

ZNIKNIĘCIE

annie
thorne



C. J. Tudor

Autorka bestsellerowego *Kredziarza*

ZNIKNIĘCIE
annie
thorne



Przełożyła Grażyna Woźniak

C. J. Tudor

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2019

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Prolog](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[Epilog](#)

[Przypisy końcowe](#)

Tytuł oryginału: *THE TAKING OF ANNIE THORNE*

Redakcja: Beata Wójcik

Projekt okładki: © Penguin Books UK

Zdjęcie na okładce: © Bela Molnar

Adaptacja okładki: Magda Kuc

Korekta: Maria Osińska, Aleksandra Dąbała

Redaktor prowadzący: Katarzyna Monika Słupska

Copyright © C.J. Tudor, 2017

Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2019

Copyright for the Polish translation © by Grażyna Woźniak, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN: 978-83-8015-679-1

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Wspólna 35 lok. 5, 00-519 Warszawa www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Pisarze są jak puzzle. Wymagamy cierpliwości, wytrwałości, a czasami kogoś, kto
poskłada nas w całość.

Tę książkę dedykuję Neilowi, który mnie dopełnił.

Prolog

Gary wie, że jest źle, jeszcze zanim wejdzie do środka.

Przez otwarte drzwi sączy się słodkawo-mdlący zapach. W lepkim, dusznym korytarzu brzęczą muchy. Już samo to wystarczy, by stwierdzić, że z tym domem jest coś nie tak – w najgorszy możliwy sposób – i na dodatek panuje w nim grobowa cisza.

Na podjeździe stoi wypucowany biały fiat, przy frontowych drzwiach – rower, a tuż za progiem leżą rozrzucone kalosze. To zwykły dom, w którym – nawet gdy jest pusty – rozbrzmiewa echo rodzinnego życia. Nie powinien stać spowity grubym, przygważdżającym kocem ciszy, tak jak teraz.

Mimo to mężczyzna woła jeszcze raz:

– Halo! Jest tam kto?

Cheryl podnosi rękę i energicznie uderza nią w drzwi. Zastali je zamknięte, ale nie na klucz. Kolejna rzecz, która się nie zgadza. Arnhill może i jest małą wioską, lecz jej mieszkańcy zamykają drzwi.

– Policja! – krzyczy.

Cisza. Nie słyhać nawet najlżejszego dźwięku kroków, skrzypnięcia czy szeptu. Gary wzdycha, nagle przerażony perspektywą wejścia do środka. Nie tylko z powodu zgniętego zapachu śmierci. Jest tam coś jeszcze. Coś pierwotnego, co każe mu się odwrócić i stamtąd odejść.

– Sierzancie? – Cheryl patrzy na niego, unosząc cienką jak nitka brew.

Mężczyzna spogląda na mierzącą sto sześćdziesiąt dwa centymetry i ważącą czterdzieści pięć kilogramów partnerkę. Gary, ze swoim metrem osiemdziesiąt

wzrostu i stu trzydziestoma kilogramami wagi, wygląda przy niej jak niedźwiedź Baloo przy delikatnym jelonku Bambi. Przynajmniej jeśli chodzi o wygląd, bo gdy w grę wchodzi charakter, to Gary płacze na filmach Disneya.

Kiwa głową, krótko i posepnie, po czym oboje wchodzi do środka. Gary przełyka ślinę, starając się oddychać przez usta, i rozpaczliwie żałuje, że to nie ktoś inny – k t o k o l w i e k – przyjął to zgłoszenie. Cheryl krzywi się z obrzydzeniem i zakrywa dłonią nos.

Wszystkie te małe domki wyglądają podobnie. Niewielki korytarz. Po lewej stronie schody. Po prawej salon i maleńka kuchnia na tyłach. Gary kieruje się do salonu. Otwiera drzwi.

Widował już trupy. Ciało dzieciaka zabitego w wypadku. Nastolatka wciągniętego w sprzęt rolniczy. Okropny widok. Niepotrzebna śmierć. Ale to... Jest kiepsko – myśli. Naprawdę kiepsko.

– Kurwa – szepcze Cheryl, a Gary sam nie ująłby tego lepiej.

Cała groza sytuacji zawarta w krótkim, zatrwożonym przekleństwie. Ku r wa.

Pośrodku pokoju stoi wysłużona skórzana sofa, na której siedzi kobieta z twarzą zwróconą w stronę wielkiego telewizora z płaskim ekranem. Na środku ekranu widać przypominające pajęczynę pęknięcie, wokół którego leniwie przechadzają się dziesiątki much plujek.

Reszta much krąży wokół kobiety. *Zwłok kobiety* – poprawia się w myślach Gary. To już nie jest osoba, tylko ciało. Kolejna sprawa dla policji. Weź się w garść.

Gary domyśla się, że pomimo gnilnego rozdęcia kobieta musiała być kiedyś szczupła. Miała też pewnie bladą skórę, która teraz jest upstrzona plamami i siecią zielonych żyłek. Ma na sobie porządne ubranie: kraciatą koszulę, dopasowane džinsy i skórzane buty. Trudno określić jej wiek, przede wszystkim dlatego, że brakuje górnej części jej głowy. „Brakuje” to może niewłaściwe słowo. Gary widzi kawałki czaszki przyklejone do ściany, regału z książkami i poduszek.

Nie ma wątpliwości co do tego, kto pociągnął za spust. Strzelba wciąż leży na jej kolanach, napuchnięte palce zaciskają się na spuście. Gary analizuje przebieg

zdarzeń. Kobieta włożyła sobie lufę do ust, pociągnęła za spust, kula wyszła z lewej strony, bo właśnie ta część czaszki jest najbardziej uszkodzona; ma to sens, skoro trzymała broń w prawej dłoni.

Gary jest zwykłym funkcjonariuszem, rzadko ma do czynienia z technikami śledczymi, za to często ogląda *CSI*.

Rozkład musiał nastąpić dość szybko. W domu jest gorąco i duszno. Temperatura na zewnątrz oscyluje wokół dwudziestu pięciu stopni, okna są pozamykane i chociaż zasłony zaciągnięto, w domu musi być pewnie ze trzydzieści stopni. Gary czuje pot spływający mu po plecach i zbierający się pod pachami. Nawet Cheryl, która nigdy nie traci zimnej krwi, ociera czoło i widać, że czuje się nieswojo.

– Cholera, co za bajzel – mówi ze znużeniem, rzadko dającym się słyszeć w jej głosie.

Wpatruje się w siedzące na sofie ciało, kręci głową, po czym przeczesuje wzrokiem resztę pokoju, z zaciśniętymi ustami i malującą się na twarzy powagą. Gary wie, o czym myśli. *Miły domek. Ładny samochód. Porządne ubrania. Ale nigdy nic nie wiadomo. Nigdy nie wiadomo, co się dzieje w środku.*

Poza skórzaną kanapą w salonie stoją jeszcze: ciężki dębowy regał na książki, niewielki stolik kawowy i telewizor. Gary spogląda na niego jeszcze raz. Zastanawia go pęknięcie w ekranie i powód, dla którego muchy tak się nim interesują. Podchodzi parę kroków, słysząc trzeszczenie rozbitego szkła pod stopami, i nachyla się w stronę telewizora.

Z bliska od razu domyśla się przyczyny. Roztrzaskane szkło pokrywa ciemna, zaschnięta krew. Jeszcze więcej krwi spłynęło z ekranu na podłogę, gdzie na deskach utworzyła się lepka kałuża, w którą prawie wdepnął.

Cheryl podchodzi do niego.

– Czy to krew?

Gary myśli o rowerze, kaloszach i przejmującej ciszy.

– Musimy sprawdzić resztę domu – mówi. Cheryl spogląda na niego z niepokojem i tylko kiwa głową.

Schody są strome, trzeszczące i pochłapane ciemną krwią. Na górze mieszczą się dwie sypialnie oraz maleńka łazienka. O ile to w ogóle możliwe, na piętrze panuje jeszcze większy upał i nieznośny smród. Gary daje Cheryl znak, żeby sprawdziła łazienkę. Przez chwilę myśli, że się nie zgodzi. Zapach wyraźnie dolatuje z którejś z sypialni, ale ten jeden jedyny raz partnerka pozwala mu wejść w rolę starszego rangą i ostrożnie idzie w stronę łazienki.

Gary zatrzymuje się przed wejściem do pierwszej sypialni, czując w ustach gorzki, metaliczny posmak, a później wolno otwiera drzwi.

Pokój należy do kobiety. Jest czysty, uporządkowany i pusty. W kącie stoi szafa, przy oknie komoda, a na środku duże łóżko przykryte nieskazitelną kremową kapą. Na nocnym stoliku stoją lampa i samotne zdjęcie w skromnej drewnianej ramce. Gary podchodzi bliżej i sięga po nie. Zdjęcie przedstawia chłopca, na oko dziesięcio- lub jedenastoletniego, drobnego i kościstego, z szerokim uśmiechem na twarzy i strzechą jasnych włosów na głowie. *O Boże – modli się w myślach policjant. Błagam, Boże, tylko nie to.*

Z ciężkim sercem wychodzi na korytarz, gdzie zastaje bladą i spiętą Cheryl.

– Łazienka jest pusta – oświadcza jego partnerka i Gary już wie, że myślą o tym samym. Został tylko jeden pokój. Muszą go otworzyć, żeby zdobyć główną nagrodę. Gary nerwowym ruchem opędza się od muchy i najchętniej głęboko zaczerpnąłby powietrza, gdyby nie ten duszący zapach. Sięga w stronę klamki i popycha drzwi.

Słyszy, jak Cheryl zbiera się na wymioty, ale jest zbyt twarda, by się im poddać. Jemu również przewraca się w żołądku, lecz udaje mu się opanować odruch wymiotny.

Kiedy wcześniej wydawało mu się, że jest kiepsko, był w błędzie. Dopiero teraz mają przed oczami pieprzony koszmar.

Chłopiec leży na łóżku, ubrany w za duży T-shirt, workowate szorty i białe sportowe skarpetki. Ściągacz skarpetek wrzyna mu się w nabrzmiące nogi.

Gary nie może oderwać wzroku od śnieżnobiałych skarpetek. Oślepiająco białych. Świeżo wypranych. Jak z reklamy proszku do prania. A może tylko się

takie wydają, bo wszystko inne jest czerwone. Ciemnoczerwone. Za duży T-shirt, poduszki i pościel. W miejscu, gdzie powinna się znajdować twarz chłopca, jest tylko czerwona miazga, nie sposób rozpoznać jej rysów. Ze zmasakrowanych tkanek wyłazą muchy i chrząszcze, przelewająca się fala czarnych insektów.

Gary przypomina sobie roztrzaskany ekran telewizora, kałużę krwi na podłodze i nagle widzi tę scenę. Głowa chłopca uderza w ekran telewizora raz za razem, rozbija się o podłogę, aż w końcu zamienia się w krwawą miazgę, której nie da się już rozpoznać.

Może właśnie taki był cel – myśli, przenosząc wzrok na kolejną porcję czerwieni, której nie da się przeoczyć. Wielkie litery wysmarowane na ścianie nad ciałem chłopca układają się w napis:

NIE MÓJ SYN

1

Nigdy nie wracaj. Ludzie zawsze tak mówią. Wszystko będzie wyglądało inaczej, niż to zapamiętałeś. Zapomnij o przeszłości. Oczywiście to ostatnie łatwiej jest powiedzieć niż zrobić. Przeszłość lubi do nas wracać jak kiepskie curry.

Tak naprawdę wcale nie chcę wracać. Już prędzej wolałbym zostać żywcem zjedzony przez szczury albo wziąć udział w wieczorku tańców westernowych. Z całego serca nie mam ochoty oglądać zabitej dechami dziury, w której się wychowałem. Jednak czasami nie mamy innego wyboru jak tylko ten zły.

Właśnie dlatego jadę krętą szosą przez północne Nottinghamshire, i to już

o siódmej rano. Nie widziałem tej drogi przez bardzo długi czas. Dawno też nie oglądałem świata o siódmej rano.

Droga jest prawie pusta. Wyprzedza mnie raptem parę samochodów. Kierowca jednego z nich wali przy tym w klakson (zapewne sądząc, że usiłuję mu przeszkodzić w szarży godnej Lewisa Hamiltona i opóźnić jego przyjazd do głównianej pracy o parę minut). Muszę jednak przyznać, że faktycznie jadę powoli, z nosem przysuniętym do przedniej szyby, dłońmi zaciśniętymi na kierownicy i zbielejącymi z wysiłku kłykciami: wolniusieńko.

Nie cierpię prowadzić i za wszelką cenę staram się tego unikać. Wszędzie chodzę pieszo albo jeżdżę autobusem lub pociągiem. Na moje nieszczęście Arnhill nie leży na trasie żadnej z linii autobusowych, a od stacji kolejowej dzieli je prawie dwadzieścia kilometrów. Jediną realną możliwością był więc przyjazd samochodem. Jak już wcześniej mówiłem, czasami po prostu nie ma się wyboru.

Włączam kierunkowskaz i skręcam z głównej drogi w labirynt jeszcze węższych i bardziej zdradliwych wiejskich drózek. Po obu ich stronach rozciągają się brązowe i brudnozielone pola. Świnie wystawiają ryjki z zardzewiałych, pokrytych blachą falistą chlewików. Gdzieś tam można też zobaczyć przeredzone brzoze zagajniki. Sherwood Forest, czy raczej to, co z niego zostało. Robin Hooda i Małego Johna można znaleźć już tylko na tandetnych szyldach podupadających pubów. Przesiadujący w nich mężczyźni raczej nie tworzą wesołej kompanii i mogą cię obrabować co najwyżej z zębów, jeśli krzywo na nich spojrzysz.

Wbrew popularnemu w Anglii powiedzeniu nie zawsze „im bardziej na północ, tym bardziej ponuro”. Nottinghamshire nie leży znów tak daleko na północy – chyba że nigdy nie wyrwaliście się z diabelskiego kręgu autostrady M25 – ale jest płaskie, pozbawione kolorów i życia, z którymi kojarzy się wieś. Tak jakby kopalnie, które kiedyś dominowały w tym regionie, zdołały wyssać całą energię z tego miejsca.

Wreszcie, długo po tym, jak minąłem ostatnie ślady cywilizacji albo chociaż lokal McDonald's, po lewej stronie miga mi przekrzywiona, wysmagana wiatrem

tablica z napisem: ARNHILL ZAPRASZA.

Pod spodem jakiś elokwentny gnojek dopisał: ŻEBY CIĘ WYRUCHAĆ.

Arnhill nie należy do przyjaznych miejsc. Jest zgorzkniałe i przygnębiające. Niewzruszone, zatwardziałe i znużone. Jego mieszkańcy trzymają ze sobą i nieufnie traktują przyjezdnych. Witają ich krzywymi spojrzeniami, a na pożegnanie spluwają z obrzydzeniem.

Poza kilkoma farmami i starymi kamiennymi domkami na przedmieściach Arnhill nie jest ani spokojne, ani malownicze. Chociaż miejscową kopalnię zamknięto prawie trzydzieści lat temu, jej dziedzictwo nadal tkwi w tej ziemi, podobnie jak ruda. Próżno tu szukać krytych strzechą dachów czy podwieszanych koszy z kwiatami. Przed domami wisi co najwyżej suszące się pranie i gdzieś flaga z krzyżem Świętego Jerzego.

Wzdłuż głównej drogi ciągną się domy szeregowe z okopconej cegły, jest też zapuszczony pub o nazwie Running Fox. Kiedyś działały jeszcze Arnhill Arms i Bull, ale zamknęli je dawno temu. W dawnych czasach (moich czasach) właściciel Foxa – Cygan – przymykał oko, kiedy starsze dzieciaki kupowały u niego piwo. Nadal pamiętam, jak po wyrzuceniu trzech kufli snakebite'a, i sporej części własnych wnętrzności, po wyjściu z obskurnej toalety zastawałem go pod drzwiami, wyposażonego w wiadro i mop.

W sąsiednim lokalu wciąż mieści się knajpa Wandering Dragon z jedzeniem na wynos, nietknięta nowoczesnością, świeżą farbą i – mógłbym się założyć – zmianami w menu. Nie zgadza się tylko jedno: sklepik na rogu, w którym kupowaliśmy ciągutki, czekoladowe drażetki na wagę i batoniki, zniknął. Jego miejsce zajął sklep Sainsbury's Local. Postęp najwyraźniej dociera wszędzie, nawet do Arnhill.

Poza tym jednym wyjątkiem spełniły się moje najgorsze obawy. Nic się tu nie zmieniło. To miejsce wygląda – niestety – dokładnie tak samo, jak je zapamiętałem.

Jadę dalej główną ulicą, mijając zaniedbany plac zabaw i skwerek. Pośrodku wznosi się posąg górnika upamiętniający ofiary katastrofy w kopalni węgla, do

której doszło w roku 1949.

Minąwszy najbardziej charakterystyczny punkt wioski, wjeżdżam na niewielkie wzniesienie i widzę przed sobą bramę prowadzącą do szkoły. Arnhill Academy, tak się teraz nazywa. Cały kompleks doczekał się nowej elewacji, a w miejscu starego budynku literatury angielskiej, z którego dachu spadł kiedyś uczeń, utworzono strefę wypoczynkową. Łajno zapakowane w złoty papierek wciąż pozostanie łajnem. Powinienem był to wiedzieć.

Zatrzymuję się na parkingu pracowniczym na tyłach budynku i wysiadam ze steranego golfa. Na parkingu stoją jeszcze dwa samochody: czerwona corsa i stary saab. Podczas letnich wakacji budynki szkół rzadko kiedy stoją puste. Nauczyciele muszą przygotować klasy i plany lekcji, zająć się trudnymi przypadkami. A czasami ubiegają się o pracę.

Zamykam samochód i ruszam w stronę recepcji, starając się nie kuleć. Noga wyjątkowo mi dziś dokucza, po części z powodu długiej jazdy samochodem, a po części – stresu. Niektórzy ludzie w nerwowych sytuacjach dostają migreny, mnie boli noga. Tak naprawdę powinienem skorzystać z laski, ale tego nie cierpię. Czuję się z nią jak inwalida. Ludzie patrzą na mnie ze współczuciem. Nienawidzę, kiedy ktoś się nade mną lituje. Współczucie powinno być zarezerwowane dla tych, którzy na nie zasługują.

Z lekkim grymasem wspinam się po schodach prowadzących do głównego wejścia. Na błyszczącej tablicy nad nimi dostrzegam napis: „Dobry, lepszy, najlepszy. Nie poddawaj się, dopóki nie wejdiesz na szczyt. Dopóki twój dobry wynik nie zamieni się w lepszy, a lepszy w najlepszy”.

Jakież to inspirujące. Przypominają mi się słowa Homera Simpsona: *Dzieciaki, dałyście z siebie wszystko i gówno z tego wyszło. Macie nauczkę, że nie warto się starać.*

Wciskam guzik interkomu. Słyszac trzeszczenie, nachylam się w stronę głośnika.

– Jestem umówiony z panem Price'em.

Rozlegają się kolejne trzaski, przesywający pisk, a później brzęczenie.

Rozcieram ucho, popycham drzwi i wchodzę do środka.

Pierwszą rzeczą, jaka do mnie dociera, jest zapach. Każda szkoła ma swój charakterystyczny zapach. W nowoczesnych placówkach składa się na niego woń środków czyszczących i płynu do czyszczenia monitorów. W szkołach prywatnych – zapach kredy, drewnianych podłóg i pieniędzy. W Arnhill Academy czuć hamburgerami, kostkami toaletowymi i buzującymi hormonami.

– Dzień dobry.

Zza szklanego frontu recepcji spogląda na mnie surowo krótko ostrzyżona starsza kobieta w okularach.

Panna Grayson? Niemożliwe. Na pewno zdążyła już przejść na emeryturę. I wtedy go zauważam. Wypukły brązowy pieprzyk na brodzie, z którego wciąż wyrastają sztywne czarne włoski. Chryste, to naprawdę ona. Czyli że lata temu, kiedy wydawało mi się, że jest stara jak pieprzony dinozaur, miała zaledwie – no ile? – czterdzieści parę lat. Tyle samo co ja teraz.

– Jestem umówiony z panem Price'em – powtarzam. – Jestem Joe... pan Thorne.

Czekam, aż mnie rozpozna – i nic. Ale przecież minęło tyle lat, a przez mury tej szkoły przewinęło się mnóstwo uczniów. Nie jestem już tym samym chuderlawym dzieciakiem w za dużym mundurku, który przemykał przez recepcję, bojąc się, że burknie jego nazwisko i wlepi mu naganę za niewpuszczoną w spodnie koszulę albo nieregulaminowe obuwie.

Panna Grayson nie była najgorsza. Często widywałem w jej maleńkim biurze słabsze, nieśmiałe dzieciaki. Naklejała im plastry na skaleczone kolana, jeśli akurat nie było pielęgniarki, sadzała je w fotelu i poiła sokiem, czekając, aż zjawi się nauczyciel, albo pozwalała sobie pomóc w porządkowaniu papierów. Wszystko, byle tylko dać im chwilę wytchnienia od udręki związanej ze spędzeniem przerwy na szkolnym boisku.

Mimo to cholernie się jej bałem.

I wciąż się boję. Wydaje z siebie westchnienie sugerujące, że tylko marnuję czas – jej, szkoły i swój własny – a następnie sięga po telefon. Ciekawe, co tutaj robi,

skoro są wakacje. Nie należy przecież do kadry nauczycielskiej. Z drugiej strony, nie jestem zbyt zaskoczony. W dzieciństwie nie potrafiłem sobie wyobrazić panny Grayson poza murami szkoły. Była jej nieodłączną częścią.

– Panie Price? – burczy do słuchawki. – Przyszedł pan Thorne. Tak. W porządku. – Odkłada słuchawkę. – Zaraz przyjdzie.

– Świetnie, dziękuję.

Ponownie zwraca się w stronę komputera. Nie proponuje mi kawy ani herbaty, choć akurat w tym momencie każda komórka mojego ciała domaga się ożywczej dawki kofeiny. Przysiadam na brzeжку plastikowego krzesła, starając się nie wyglądać jak niegrzeczny uczeń czekający na spotkanie z dyrektorem. Kolano pulsuje mi z bólu. Kładę na nim dłonie, dyskretnie masując palcami obolały staw.

Za oknem dostrzegam kilkoro dzieciaków w zwykłych ubraniach, siedzących niedaleko szkolnej bramy. Popijają red bulla i śmieją się z czegoś, co widzą na swoich smartfonach. Dopada mnie uczucie déjà vu. Znowu mam piętnaście lat, siedzę przy tej samej bramie, popijam colę i... nad czym siedzieliśmy, zaśmiewając się do łez, zanim wynaleziono smartfony? Pewnie nad magazynem „Smash Hits” i podkradzionymi komuś świerszczykami.

Odwracam się i wlepiam spojrzenie w buty. Skóra na czubkach jest lekko zdarta. Powinienem był je wypastować. Naprawdę potrzebuję kawy. Już prawie kapituluję i proszę o nią pannę Grayson, gdy nagle słyszę skrzypienie kroków na wypolerowanym linoleum i widzę, jak otwierają się podwójne drzwi prowadzące do głównego korytarza.

– Joseph Thorne?

Wstaję z miejsca. Harry Price wygląda dokładnie tak, jak się spodziewałem, a nawet gorzej. Szczupły, zmęczony życiem człowiek po pięćdziesiątce w bezkształtnym garniturze i wsuwanych mokasynach. Przerzedzone siwe włosy zaczesał do tyłu, a jego twarz ma taki wyraz, jakby bez przerwy otrzymywał straszne wiadomości. Aura znużonej rezygnacji spowija go niczym woń kiepskiego płynu po goleniu.

Uśmiecha się do mnie krzywymi, pożółkłymi od nikotyny zębami. Przypomina

mi się, że odkąd wyjechałem z Manchesteru, nie miałem w ustach papierosa. Myśl o tym, w połączeniu z rozpaczliwym pragnieniem kofeiny, sprawia, że mam ochotę zacisnąć zęby tak mocno, aż się pokruszą.

Wyciągam dłoń i zmuszam się do uprzejmego – a przynajmniej taką mam nadzieję – uśmiechu.

– Miło mi pana poznać.

Widzę, że mnie ocenia. Jestem od niego wyższy o parę centymetrów. Świeżo ogolony. Mam porządny garnitur, który był drogi, kiedy go kupowałem. Ciemne włosy, chociaż teraz już poprzetykane siwizną. Ciemne oczy, chociaż teraz lekko przekrwione. Ludzie twierdzą, że mam szczerą twarz, co tylko świadczy o tym, jak niewiele o mnie wiedzą.

Dyrektor ściska moją dłoń i mocno nią potrząsa.

– Zapraszam do gabinetu.

Poprawiam torbę na ramieniu, usiłując zmusić bolącą nogę do posłuszeństwa, i ruszam za Harrym. Przedstawienie czas zacząć.

– Referencje, które wystawił panu poprzedni dyrektor, są znakomite.

No ja myślę. W końcu sam je pisałem.

– Dziękuję.

– W ogóle cały pański życiorys prezentuje się imponująco.

Bajerowanie to jedna z moich specjalności.

– Ale...

A jednak.

– Miał pan dość długą przerwę w pracy – ponad dwanaście miesięcy.

Sięgam po kubek słabej mlecznej kawy, którą panna Grayson w końcu łaskawie mi przyniosła. Upijam łyk, powstrzymując się od grymasu.

– Tak, no cóż, to było celowe posunięcie. Zdecydowałem się na roczny urlop. Uczyłem przez piętnaście lat. Nadszedł czas, żeby naładować akumulatory. Pomyśleć o przyszłości. Postanowić, co chcę robić dalej.

– A czy mogę zapytać, czym pan się w tym czasie zajmował? Nie widzę tego

w pańskim życiorysie.

– Dawałem korepetycje. Udzielałem się społecznie. Przez pewien czas uczyłem za granicą.

– Doprawdy? A gdzie?

– W Botswanie.

W Botswanie? Skąd mi się to u licha wzięło? Nie potrafiłbym nawet pokazać pieprzonej Botswany na mapie.

– Godne pochwały.

I pomysłowe.

– Nie kierowałem się wyłącznie altruizmem. Tamtejsza pogoda jest zdecydowanie lepsza niż w Anglii.

Obaj się śmiejemy.

– A teraz chce pan wrócić do uczenia na pełny etat?

– Tak, jestem gotowy na nowy etap w mojej karierze.

– W takim razie dlaczego chce pan pracować akurat w Arnhill Academy?
Sądząc po pańskim CV, może pan przebierać w ofertach.

Sądząc po moim CV, dawno już powinienem dostać Pokojową Nagrodę Nobla.

– No cóż – mówię – pochodzę stąd. Dorastałem w Arnhill. Chyba chciałbym się jakoś odwdzięczyć lokalnej społeczności.

Zaczyna przekładać leżące na biurku papiery, wyraźnie skrepowany.

– Jest pan świadomy okoliczności, w jakich zwolniło się to stanowisko?

– Czytam gazety.

– I co pan o tym sądzi?

– Wydarzyła się straszna tragedia. Ale jedna tragedia nie powinna definiować całej szkoły.

– Cieszę się, że pan tak twierdzi.

Cieszę się, że to sobie wcześniej przećwiczyłem.

– Chociaż – podejmuję – zapewne mocno to państwem wstrząsnęło.

– Pani Morton była lubianą nauczycielką.

– Niewątpliwie.

– A Ben, no cóż, dobrze zapowiadającym się uczniem.

Czuję, jak zaciska mi się gardło, ale tylko trochę. Mam grubą skórę, chociaż przez moment jestem wstrząśnięty. Życie pełne obietnic. Ale przecież właśnie z nich się ono składa. Same obietnice i żadnych gwarancji. Lubimy wierzyć, że mamy zaklepane miejsce w przyszłości, jednak to tylko rezerwacja. Nasze życie może zostać przerwane w dowolnym momencie, bez ostrzeżenia, bezpowrotnie, niezależnie od tego, jak daleko zaszliśmy. Nawet jeśli dopiero co zdążyliśmy się po nim rozejrzeć.

Tak jak Ben. I moja siostra.

Dociera do mnie, że Harry znowu coś mówi.

– Sytuacja jest delikatna. Ludzie zadają pytania. Jak szkoła mogła nie zauważyć, że jedna z nauczycielek jest nie zrównoważona psychicznie? Czy coś grozi uczniom?

– Rozumiem.

Rozumiem, że Harry bardziej się martwi o swoją ciepłą posadkę i szkółkę niż tragicznie zmarłego Benjamina Mortona, którego twarz została doszczętnie zmiażdżona przez jedyną osobę w jego życiu, która powinna go bezwzględnie chronić.

– Rzecz w tym, że muszę starannie wybrać osobę, której powierzę to stanowisko. Zależy mi na zaufaniu rodziców.

– To zrozumiałe, więc jeśli znalazł pan bardziej odpowiedniego kandydata...

– Tego nie powiedziałem.

Rzeczywiście. Jestem cholernie pewien, że nie znalazł. Jestem też dobrym nauczycielem (z reguły). Faktem jest również to, że Arnhill Academy leży na zadupiu. Ma kiepskie wyniki i opinię. On o tym wie. Ja o tym wiem. Łatwiej byłoby mu znaleźć niedźwiedzia, który nie sra w lesie, niż namówić porządnego nauczyciela do pracy w tej szkole. Szczególnie w tych o k o l i c z n o ś c i a ch.

Postanawiam trochę go przycisnąć.

– Wybaczy mi pan szczerłość? – Zawsze dobrze jest o to zapytać, gdy nie ma się najmniejszego zamiaru być szczerym. – Wiem, że Arnhill Academy ma problemy.

Właśnie dlatego chcę tu pracować. Nie szukam ciepłej posadki, tylko wyzwania. Znam te dzieciaki, bo kiedyś byłem taki sam jak one. Znam tę społeczność. Dokładnie wiem, z kim i z czym mam do czynienia. To mnie nie przeraża. Szczerze mówiąc, sądzę, że należę do wyjątków.

Widzę, że go przekabaciłem. Dobrze sobie radzę na rozmowach kwalifikacyjnych. Wiem, co ludzie chcą usłyszeć, i co ważniejsze, potrafię wyczuć, kiedy są zdesperowani.

Harry prostuje się w fotelu.

– Chyba nie mam już więcej pytań.

– Świetnie. W takim razie dziękuję za spotkanie...

– Właściwie poza jednym.

No do kurwy...

– Kiedy może pan zacząć? – pyta z uśmiechem.

2

Trzy tygodnie później

W domku panuje ziąb, jak to w budynku, który od dłuższego czasu stoi zamknięty i nikt w nim nie mieszka. Ten rodzaj zimna przenika człowieka aż do kości i zostaje z nim nawet wtedy, gdy maksymalnie podkręci ogrzewanie.

Poza tym cuchnie zaniedbaniem, tanią farbą i wilgocią. Zdjęcia na stronie agencji nieruchomości nieznacznie minęły się z prawdą. Sugerowały raczej podniszczony szyk, ekscentryczne zaniedbanie. Rzeczywistość okazała się bardziej niepokojąca i na skraju ruiny. Nie żebym mógł sobie pozwolić na bycie wybrednym. Muszę gdzieś mieszkać i nawet w takiej dziurze jak Arnhill ten domek to jedyne, na co mnie stać.

Oczywiście nie jest to jedyny powód, dla którego go wybrałem.

– Wszystko w porządku?

Odwracam się w stronę gładko przylizanego młodego mężczyzny czającego się w drzwiach: Mike'a Bellinga z agencji nieruchomości Belling i Spółka. Wydaje się zbyt dobrze ubrany i elokwentny, żeby pochodzić stąd. Widzę, że nie może się już doczekać, by wrócić do biura w centrum miasta i zmyć krowie łajno z błyszczących czarnych półbutów.

– Nie do końca tego się spodziewałem.

Jego uśmiech przygasa.

– Cóż, zgodnie z opisem, jest to tradycyjny wiejski domek, bez wielkich wygod. Przez pewien czas nikt go nie wynajmował...

– Może i tak – przyznaję niepewnie. – Mówił pan, że piecyk znajduje się

w kuchni? Chyba powinienem tu trochę nagrzać. Dziękuję, że mnie pan wpuścił.

Agent przestępuje z nogi na nogę, wyraźnie skrępowany.

– Została nam jeszcze jedna sprawa, panie Thorne...

– Jaka?

– Depozyt.

– A co z nim?

– To pewnie zwykłe nieporozumienie, ale... nie otrzymaliśmy jeszcze pańskiego czeku.

– Doprawdy? – Kręcę głową. – Poczta działa coraz gorzej.

– Cóż, to żaden problem. Gdyby zechciał pan...

– Oczywiście.

Sięgam do kieszeni marynarki i wyjmuję z niej książeczkę czekową. Mike Belling wręcza mi długopis. Nachylam się nad podłokietnikiem sfatygowanej kanapy i wypisuję czek, po czym wyrywam go z książeczki i podaję agentowi.

Bierze go ode mnie z uśmiechem, który błyskawicznie znika z jego ust, kiedy zauważa kwotę.

– To jest czek na pięćset funtów. Depozyt plus czynsz za pierwszy miesiąc to razem tysiąc.

– Ma pan rację, ale teraz już obejrzałem domek. – Rozglądam się i wymownie krzywię. – To przecież nora. Zimna, zapleśniała i śmierdząca. Nie jestem pewien, czy chcieliby w niej mieszkać squattersi. Nie pofatygował się pan nawet, żeby przyjechać tu wcześniej i włączyć ogrzewanie.

– Obawiam się, że nie mogę na to przystać.

– W takim razie proszę znaleźć innego najemcę.

Blef zadziałał. Widzę, że się waha. Nigdy nie okazuj słabości.

– A może nie ma innych chętnych? Może nikt nie chce wynająć domku z powodu tego, co się w nim zdarzyło? No wie pan, drobnego morderstwa połączonego z samobójstwem, które pan przemilczał.

Twarz agenta tężeje, jakby ktoś wbił mu w bok rozżarzony pogrzebacz. Nerwowo przełyka ślinę.

– Nie mamy prawnego obowiązku informować najemców...

– Nie, ale z etycznego punktu widzenia chyba byłoby miło? – Uśmiecham się życzliwie. – Biorąc to wszystko pod uwagę, wydaje mi się, że obniżka depozytu jest najmniejszym ustępstwem, na jakie może pan pójść.

Zaciska szczęki. Dostrzegam drobny tik przy jego prawym oku. Ma ochotę mi odpyskować, może nawet mnie uderzyć. Ale nie może, bo wtedy straciłby swoje milutkie dwadzieścia tysięcy rocznie plus prowizję i z czego opłaciłby wszystkie swoje eleganckie garnitury i lśniące czarne półbuty?

Składa czek na pół i chowa go do teczki.

– Oczywiście, żaden problem.

Rozpakowywanie nie zabiera mi dużo czasu. Nie należę do osób gromadzących przedmioty dla samego faktu ich posiadania. Nigdy nie potrzebowałem ozdóbek, a zdjęcia może i są potrzebne, jeśli ma się rodzinę i dzieci, ale ja ich nie mam. Noszę ubrania, dopóki się nie zedrą, po czym kupuję dokładnie takie same.

Oczywiście zdarzają się wyjątki od tej reguły. Dwa przedmioty, które wypakowałem z malutkiej walizki jako ostatnie. Pierwszy z nich to podniszczona talia kart. Wsuwam je do kieszeni. Niektórzy gracze noszą przy sobie amulety. Nigdy nie wierzyłem w szczęśliwy traf, dopóki nie zacząłem przegrywać. Później zacząłem o to obwiniać parszywy los, buty, które akurat miałem na sobie, pieprzony układ gwiazd. Wszystko, tylko nie siebie. Karty są moim zaprzeczeniem talizmanu – bezustannie przypominają mi o tym, jak strasznie dałem ciała.

Drugi przedmiot jest większy, zapakowany w gazetę. Wyjmuję go z walizki i kładę na łóżku, tak delikatnie, jakby był prawdziwym dzieckiem, po czym ostrożnie rozpakowuję.

Krótkie kluchowate nóżki sterczą do góry, maleńkie dłonie są zaciśnięte przy bokach, błyszczące blond włosy układają się w wymiętoszone loki. Puste błękitne oczy wpatrują się we mnie. A właściwie jedno oko. Drugie grzechocze w oczodole, zerkając pod dziwnym kątem, jakby dostrzegło coś bardziej intrygującego niż ja i nie zadało sobie trudu, by poinformować o tym swojego towarzysza.

Sięgam po lalkę Annie i sadzam ją na komodzie, żeby mogła mnie taksować tym swoim krzywym spojrzeniem w dzień i w nocy.

Przez resztę popołudnia i wieczoru krzątam się po domu, próbując się rozgrzać. Noga wciąż daje mi się we znaki, jeśli za długo siedzę w jednej pozycji. Panujący w domku ziąb i wilgoć również nie pomagają. Kaloryfery chyba nie działają najlepiej – pewnie są zapowietrzone.

W salonie znajduje się kominek na drewno, jednak ani w domu, ani w szopie nie znalazłem śladu drewna czy podpalki. W jednej z szafek znalazłem za to stary elektryczny grzejnik. Włączam go, żeberka pokrywa tłusta, gruba warstwa brudu, a powietrze napełnia woń spalenizny. Liczę na to, że da mi konkretną ilość ciepła, o ile wcześniej nie porazi mnie prądem.

Dom jest zaniedbany, lecz myślę, że kiedyś mogło w nim być przytulnie. Kuchnia i łazienka zdają się wysłużone, ale czyste. Ogródek na tyłach domu jest długi i otoczony polami; idealnie nadaje się do gry w piłkę. Miłe, przytulne, b e z p i e c z n e miejsce do dorastania dla małego chłopca. Tylko że temu chłopcu nie było dane dorosnąć.

Nie wierzę w duchy. Moja babcia lubiła powtarzać: *To nie martwych powinienes się bać, skarbie, tylko żywych.* Byłbym skłonny przyznać jej rację. Wierzę jednak, że można wyczuć echa złych rzeczy. Ich odbicie w materii rzeczywistości, podobne do odcisku buta w wilgotnym betonie. Chociaż przyczyna wrażenia mogła dawno zniknąć, nie da się wymazać pozostawionego przez nią śladu.

Być może właśnie dlatego nie wszedłem jeszcze do jego pokoju. Nie mam problemu z mieszkaniem w tym domu, ale czuję się w nim n i e s w o j o. Jak mógłbym się czuć inaczej? W tych czterech ścianach doszło do strasznej tragedii, a mury nigdy nie zapominają.

Nie kupiłem sobie nic do jedzenia, ale nie jestem głodny. Kiedy zegar pokazuje siódmą, otwieram butelkę burbona i nalewam poczwórną porcję. Nie mogę skorzystać z laptopa, ponieważ nie załatwiłem sobie jeszcze internetu. Jak na razie

nie mam zbyt wiele do roboty, poza siedzeniem i oswajaniem się z nowym otoczeniem czy próbami zignorowania bolącej nogi i znajomego ucisku w żołądku. Wyciągam z kieszeni opakowanie kart i kładę je na stoliku, ale ich nie wyjmuję. Nie temu służą. Słucham za to muzyki z telefonu, czytając przereklamowany thriller, którego zakończenia zdążyłem się już domyślić. Później staję w kuchennych drzwiach i palę papierosa, wpatrując się w zarośnięty ogród.

Niebo jest ciemniejsze niż czeluść piekielna, nie rozjaśnia go ani jedna gwiazda. Zapomniałem już, jak ciemno potrafi być na wsi. Zbyt długo mieszkałem w mieście. W mieście nigdy nie panuje całkowita ciemność ani cisza jak tutaj. Słyszę tylko własny oddech i odgłos marszczącego się filtru w papierosie.

Po raz kolejny zastanawiam się, dlaczego właściwie tu wróciłem. Arnhill jest co prawda odizolowanym, na wpół zapomnianym punktem na mapie, ale za granicą byłoby bezpieczniej. Tysiące kilometrów dzieliłyby mnie od moich długów i ludzi, którzy nie tolerują cudzej złej passy, jeśli ten ktoś okaże się niewypłacalny.

Mógłbym zmienić nazwisko i zatrudnić się jako barman w jakiejś budzie na plaży. Sączyć margaritę o zachodzie słońca. A jednak wybrałem to miejsce. Czy może raczej ono wybrało mnie.

Tak naprawdę nie wierzę w przeznaczenie. Wierzę za to, że niektóre rzeczy mamy zapisane w genach. Jesteśmy zaprogramowani do działania i reagowania w określony sposób i właśnie to kształtuje nasze życie. Nie jesteśmy w stanie tego zmienić, tak samo jak koloru naszych oczu czy skłonności do powstawania piegów na słońcu.

A może to zwykła bujda i wymówka, by uniknąć odpowiedzialności za swoje czyny? Faktem jest, że zawsze planowałem tu któregoś dnia wrócić. Mail tylko ułatwił mi podjęcie tej decyzji.

Pojawił się w mojej skrzynce prawie dwa miesiące temu. To doprawdy zdumiewające, że nie wylądował od razu w spamie.

Od: ME1992@hotmail.com

Temat: Annie

Byłem bliski skasowania go. Nigdy nie słyszałem o takim nadawcy. Pewnie to zwykły troll, któremu zebrało się na chory żart. Niektóre tematy powinny pozostać zamknięte. Z ich rozgrzebywania nie może wyniknąć nic dobrego. Najrozsądniejszą rzeczą, jaką mogłem zrobić, było usunięcie wiadomości, opróżnienie kosza i zapomnienie o całej sprawie.

A jednak kliknąłem „otwórz”:

Wiem, co spotkało Twoją siostrę. To się znowu dzieje.

3

Rodzice nie powinni faworyzować żadnego z dzieci. Oto kolejna z powtarzanych przez ludzi bzdur. O c z y w i ś c i e, że to robią. Tak wynika z ludzkiej natury. Począwszy od czasów, gdy nie całe potomstwo przeżywało, rodzice faworyzowali silniejsze z dzieci. Nie było sensu przywiązywać się do tego, które mogło nie przetrwać. Poza tym bądźmy szczerzy, niektóre dzieci po prostu łatwiej jest kochać.

Annie była ulubienicą naszych rodziców. To zrozumiałe. Urodziła się, kiedy miałem siedem lat i dawno przestałem być uroczym szkrabem. Wyrosłem na poważnego, chudziutkiego chłopczyka z wiecznie pozdzieranymi kolanami i w wiecznie brudnych spodenkach. Nie wyglądałem już słodko. Nie nadrabiałem tego nawet słabością do kopania piłki w parku czy spacerowania po lesie z tatą. Wolałem raczej zostać w domu i poczytać komiksy albo pograć na komputerze.

Taka postawa rozczarowywała tatę i wkurzała mamę. *Rusz się z domu i łyknij trochę świeżego powietrza* – fukała na mnie. Już jako siedmiolatek przeczuwałem, że świeże powietrze jest mocno przereklamowane, ale niechętnie się im podporządkowywałem i nieuchronnie pakowałem się w jakieś kłopoty, wracałem do domu brudny i znowu dostawałem opieprz.

Nic dziwnego, że rodzice marzyli o drugim dziecku: uroczej dziewczuszcze, która pozwalałaby się im ubierać w róże i koronki i przytulać bez grymasów i wyrywania się.

Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że już od jakiegoś czasu starali się o drugie dziecko. Młodszą siostrzyczkę lub młodszego braciszka dla mnie. Jakby

robili mi tym jakąś wielką przyjemność albo przysługę. Wcale nie byłem taki pewien, czy potrzebuję rodzeństwa. Rodzice mieli już mnie. Kolejne dziecko wydawało mi się zbyteczne.

Nie zmieniłem zdania nawet po narodzinach Annie. Dziwnie pomarszczonej różowej kluchy ze skrzywioną twarzą jak u kosmity. Przez cały czas tylko spała, robiła pod siebie albo płakała. Jej przenikliwe zawodzenie nie pozwalało mi w nocy spać. Wpatrywałem się w sufit, żałując, że rodzice nie kupili mi psa czy choćby złotej rybki.

Przez kilka pierwszych miesięcy byłem pogrążony w stanie apatii; ani za bardzo nie pokochałem, ani też nie znieubiłem swojej siostrzyczki. Kiedy do mnie gulgotała albo ścisnęła mój palec tak mocno, że zaczynał sinieć, pozostawałem niewzruszony – nawet gdy mama piszczała z uciechy i wrzeszczała do taty: *Przynieś ten cholerny aparat, Sean.*

Jeśli Annie próbowała mnie gonić albo dotykać moich rzeczy, uciekałem i zabierałem to, co nie należało do niej. Nie byłem niemiły, po prostu niezainteresowany. Nie prosiłem się o nią i nie widziałem powodu, dla którego miałbym na nią zwracać uwagę.

Trwało to mniej więcej do momentu, gdy skończyła rok. Tuż przed swoimi pierwszymi urodzinami zaczęła chodzić i wymawiać zbitki głosek, które brzmiały prawie jak słowa. Nagle zaczęła przypominać małego człowieczka, a nie dzidziusia. Stała się bardziej interesująca, a nawet zabawna, z tym swoim obco brzmiącym paplaniem i chwiejnym chodem jak u staruszki.

Zacząłem się bawić z Annie i trochę z nią rozmawiać. Kiedy mnie naśladowała, w mojej piersi narastało dziwne uczucie. Gdy na mnie patrzyła i trajkotała: *Joe-ee, Joe-ee*, robiło mi się cieplej na sercu.

Zacząła wszędzie za mną łązić i naśladować każdy mój ruch. Śmiała się z moich głupich min i uważnie słuchała, gdy opowiadałem jej o rzeczach, których nie mogła zrozumieć. Gdy płakała, wystarczył jeden mój dotyk, żeby ją uspokoić; tak bardzo chciała sprawić przyjemność starszemu bratu, że natychmiast zapominała o wszystkich smutkach.

Nigdy wcześniej nikt mnie tak nie kochał, nawet rodzice. Oczywiście wiedziałem, że mnie kochają, ale nie patrzyli na mnie z tak bezgranicznym uwielbieniem jak moja młodsza siostra. Nikt tak na mnie nie patrzył. Byłem przyzwyczajony raczej do spojrzeń pełnych współczucia lub dezaprobaty.

W dzieciństwie nie miałem zbyt wielu przyjaciół. Właściwie nie byłem nieśmiały. Jeden z nauczycieli w podstawówce określił mnie jako „pełnego rezerwy”. Wydaje mi się, że po prostu postrzegałem innych chłopców, z tymi ich nudnymi zabawami w postaci wspinania się na drzewa i bójek, jako nieciekawych i przygłupich. Poza tym świetnie się czułem we własnym towarzystwie. Dopóki na świecie nie pojawiła się Annie.

Przed jej trzecimi urodzinami długo oszczędzałem i kupiłem jej lalkę. To nie była jedna z tych drogich lalek ze sklepu z zabawkami, które wydają dźwięki i siusiają. Mój tata nazwałby moją lalkę „podróbką z bazaru”. Właściwie była dość brzydka i przerażająca z tym swoim twardym spojrzeniem błękitnych oczu i dziwnie zaciśniętymi ustami. Jednak Annie pokochała tę lalkę. Wszędzie ją ze sobą zabierała i co noc tuliła do snu. Z jakiegoś powodu (pewnie coś źle usłyszała) nazwała ją Abbie-Eyes.

Kiedy Annie skończyła pięć lat, Abbie-Eyes wylądowała na półce w pokoju mojej siostry, zastąpiona przez lalki Barbie i kucyki My Little Pony. Jednak za każdym razem, gdy mama sugerowała, żeby się jej pozbyć, Annie zabierała jej lalkę z okrzykiem przerażenia tak donośnym, że chyba zdołałby wyrwać te niebieskie plastikowe oczy z orbit.

Z biegiem czasu Annie i ja stawaliśmy się sobie coraz bliżsi. Wspólnie czytaliśmy, graliśmy w karty albo w gry komputerowe na mojej używanej konsoli Sega Mega Drive. W deszczowe niedzielne popołudnia, kiedy tata przesiadywał w pubie, a mama była zajęta prasowaniem, w powietrzu unosiły się bijące z żelazka ciepło i zapach płynu do zmiękczenia tkanin, zwijaliśmy się na fotelu wypełnionym groszkiem i oglądaliśmy stare filmy – *E.T.*, *Pogromców duchów*, *Poszukiwaczy zaginionej Arki* – a czasami coś nowszego i pewnie zbyt dorosłego dla Annie, na

przykład *Terminatora 2* albo *Pamięć absolutną*.

Tata miał kolegę, który robił pirackie kopie kaset i sprzedawał je za pięćdziesiąt pensów. Obraz był co prawda lekko zamazany i czasami trudno było zrozumieć wypowiedziane przez aktorów kwestie, ale jak zwykł mawiać tata: „Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma” i „Darowanemu koniowi w zęby się nie zagląda”.

Wiedziałem, że rodzice nie mają za dużo pieniędzy. Tata pracował kiedyś w kopalni, ale po strajku – chociaż nasza kopalnia nie od razu została zamknięta – sam się zwolnił.

Tata postanowił nie brać udziału w strajku. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale wiedziałem, że kiepska atmosfera w pracy, napięcie i kłótnie – koledzy i sąsiedzi zwrócili się przeciwko sobie – po prostu go przerosły. Byłem małym chłopcem, kiedy to wszystko się działo, lecz pamiętam, jak mama zmywała z frontowych drzwi naszego domu napis „PARCH”. Pewnego razu ktoś wrzucił nam do salonu cegłę, akurat gdy oglądaliśmy telewizję. Następnego wieczoru tata poszedł dokądś z kilkoma kumplami. Wrócił do domu z przeciętą wargą, lekko poturbowany. *I po sprawie* – powiedział do mamy twardym, ponurym głosem, którego nigdy wcześniej u niego nie słyszałem.

Od czasu strajku tata się zmienił. W moich oczach zawsze był gigantem, wysokim i potężnym, ze strzechą gęstych, kręconych, ciemnych włosów. Po wszystkim jakby się skurczył, zeszcupłał i zgarbił. Kiedy się uśmiechał, co zdarzało mu się coraz rzadziej, zmarszczki w kącikach jego oczu coraz mocniej wrzynały mu się w skórę. Na skroniach pojawiła się siwizna.

Postanowił zostawić kopalnię i przekwalifikować się na kierowcę autobusu. Sądzę, że nigdy nie polubił nowej pracy. Zarabiał całkiem godziwe pieniądze, ale nie tyle co w kopalni. Częściej kłócili się z mamą, zwykle o to, że ona za dużo wydawała, a on nie zdawał sobie sprawy z tego, ile kosztuje utrzymanie domu. Później wychodził do pubu. Pił tylko w jednym pubie, tam gdzie spotykała się reszta górników, którzy odmówili udziału w strajku: Arnhill Arms. Górnicy, którzy strajkowali, pili w pubie Bull. Running Fox był miejscem neutralnym, nie zaglądał tam żaden z górników. Odwiedzały go za to starsze dzieciaki, wiedząc, że nie

natkną się w nim na swojego tatę czy dziadka.

Rodzice nie byli złymi ludźmi. Kochali nas, jak potrafili. Jeśli nawet darli z sobą koty i nie zawsze mieli dla nas czas, to nie z braku troski, tylko dlatego, że ciężko pracowali, brakowało im pieniędzy i często byli zmęczeni.

Oczywiście mieliśmy telewizor, magnetowid i komputer, lecz mimo to większość wolnego czasu musieliśmy sobie organizować sami: graliśmy z Annie w berka i zośkę, rysowaliśmy kredą po chodnikach albo graliśmy w karty w długie deszczowe popołudnia. Nigdy nie żałowałem, że muszę zabawiać młodszą siostrę. Lubiłem z nią spędzać czas.

W sobotę rano, jeśli była ładna pogoda (albo chociaż nie lało jak z cebra), mama wyganiała nas z Annie na dwór, z garścią drobnych, żebyśmy mogli sobie kupić coś słodkiego, i liczyła na to, że wrócimy dopiero przed kolacją. Zwykle się z tego cieszyliśmy. Byliśmy wolni. Mieliśmy bogatą wyobraźnię i przede wszystkim mieliśmy siebie.

Wszystko się zmieniło, gdy jako nastolatek znalazłem sobie nowych „kumpli”. Stephen Hursta i jego bandę. Grupę łobuzów, z którymi taki odludek jak ja nie powinien był się trzymać.

Być może Hurst błędnie odczytał mój status outsidera jako oznakę męstwa. Albo po prostu zobaczył we mnie dzieciaka, którym łatwo będzie manipulować. Niezależnie od przyczyny byłem mu idiotycznie wdzięczny za przyjęcie do bandy. Nigdy wcześniej nie miałem problemu z tym, że jestem samotnikiem. Odrobina rówieśniczej akceptacji może się jednak okazać uzależniająca dla nastolatka, którego nigdy nie zapraszano na imprezy.

Trzymaliśmy się razem i robiliśmy to samo co reszta nastolatków: przeklinaliśmy, paliliśmy papierosy i piliśmy piwo. Bazgraliśmy napisy na placu zabaw i zaczepialiśmy łańcuchy huštawek o ich górną poprzeczkę. Obrzucaliśmy jajkami domy nauczycieli, których nie lubiliśmy, i przebijaliśmy opony tym, których szczerze nie cierpieliśmy. Znęcaliśmy się nad słabszymi od siebie. Dzieciakami, które – chociaż wolałem się do tego nie przyznawać – były dokładnie

takie same jak ja.

Nagle trzymanie się z ośmioletnią siostrą przestało być fajne. Stało się wręcz potwornie obciachowe. Kiedy Annie pytała, czy może ze mną pójść do sklepu, wymyślałem różne wymówki albo ukradkiem wymykałem się z domu. Kiedy byłem z moją nową bandą, odwracałem wzrok, udając, że nie widzę, jak Annie do mnie macha.

Starałem się nie zauważać smutku w jej oczach i rozczarowanej miny. W domu robiłem wszystko, żeby jej to jakoś wynagrodzić. Wiedziała o tym. Dzieci nie są głupie. A jednak pozwalała mi na to, przez co czułem się jeszcze gorzej.

To niemądre, ale kiedy teraz o tym myślę, nigdy z nikim nie czułem się szczęśliwszy niż z Annie. Udawanie twardziela to nie to samo co bycie twardzielem. Szkoda, że nie mogę tego powiedzieć piętnastoletniemu sobie, razem z paroma innymi przydatnymi prawdami: że dziewczyny nie chcą się umawiać z grzecznymi chłopcami, znieczulanie ucha lodem przed jego przekłuciem nie działa, a thunderbird nie jest winem ani też odpowiednim drinkiem do picia przed weselem.

Przede wszystkim jednak chciałbym móc powiedzieć swojej siostrze, że ją kochałem. Bardziej niż kogokolwiek innego na świecie. Była moją najlepszą przyjaciółką, przy której naprawdę mogłem się poczuć sobą i która jako jedyna potrafiła mnie rozbawić do łez.

Niestety nie mogę tego zrobić. Bo w wieku ośmiu lat moja siostra zniknęła. Wtedy wydawało mi się, że to najgorsza rzecz, jaka tylko mogła nas spotkać.

A później wróciła.

4

Do pierwszego dnia pracy w Arnhill Academy przygotowuję się w ten sam sposób co zwykle: poprzedniego wieczoru za dużo piję, wstaję zbyt późno, przeklinam dzwoniący budzik, aż w końcu – niechętnie i z żalem – kuśtykam w stronę łazienki.

Odkręcam prysznic, ustawiając go na maksymalną temperaturę – z głowicy bez przekonania zaczyna ciurkać woda – gramolę się do kabiny, trochę się rozgrzewam, wyłączę z powrotem, wycieram się ręcznikiem i wkładam czyste ubranie.

Wybieram czarną koszulę, granatowe dżinsy i stare, schodzone converse'y. Elegancja elegancją, ale buty do płasów muszą być. Wiem, że to głupie określenie. Zapożyczyłem je od Brendana, z którym kiedyś wynajmowałem mieszkanie. Brendan jest Irlandczykiem, co oznacza, że sypie powiedzonkami jak z rękawa. Większość z nich jest całkowicie pozbawiona sensu, ale to jedno akurat do mnie przemawia. Każdy ma parę butów „do płasów”. Takich, które wkładamy, żeby poczuć się dobrze i wygodnie. W niektóre dni są nam one szczególnie potrzebne.

Przeciągam grzebieniem po włosach i zostawiam je do wyschnięcia. Schodzę na dół, żeby napić się czarnej kawy i wypalić papierosa. Staję w otwartych kuchennych drzwiach. Na dworze jest tylko trochę zimniej niż w domu. Niebo wygląda jak pokryte grubą warstwą szarego betonu. Drobną, uporczywą mżawka siecze mnie w twarz. Jeśli słońce nosi dziś kapelusz¹, to na pewno przeciwdeszczowy.

Docieram do szkoły kwadrans przed dziewiątą, razem z pierwszą grupą uczniów: trzema nastolatkami stukającymi w wyświetlacze swoich smartfonów

i odgarniającymi ułożone na sztywno włosy oraz paczką poszturchujących się chłopców, których żartobliwe przepychanki w każdej chwili mogą się zamienić w prawdziwą bójkę. Kilkoro dzieciaków wystylizowanych na emo zezuje spod ciężkich grzywek na nauczycieli.

Niektórzy uczniowie zjawiają się w szkole sami. Mają zwieszane głowy i ramiona. Idą wolnym, niepewnym krokiem potępieńców; to właśnie oni są obiektem żartów i prześladowań.

Moją uwagę zwraca jedna z dziewczynek: niska, z burzą nastroszonych rudych włosów i trądzikiem, w niedopasowanym mundurku. Przypomina mi moją koleżankę ze szkolnych lat: Ruth Moore, która śmierdziała potem i nikt nie chciał z nią siedzieć w ławce. Dzieciaki wymyślały na jej temat złośliwe rymowanki: *Ruth Moore biedna jak szczur, dostaje żarcie za darmochę i prosi o jeszcze trochę. Ruth Moore, wstrętny paszczur, zlizuje mydło z podłogi w kiblu.*

Zabawne, jaką kreatywnością potrafią się wykazać dzieci, żeby komuś dopiec.

Nieco dalej zauważam ofiarę numer dwa: wysokiego chuderlaka ze strzechą ciemnych włosów, które prawie stoją dęba. Chłopak nosi okulary i mocno się garbi, trochę przez swój wzrost, a trochę przez zwisający mu z pleców ciężki plecak. Założę się, że nie radzi sobie z piłką nożną i resztą sportów, za to w grze na PlayStation nie ma sobie równych wśród kujonów. Mamy ze sobą wiele wspólnego.

– Hej, Marcus, ty pieprzona cipo!

Krzyk dobiega od strony grupki chłopaków idących tuż za nim. Jest ich pięciu i pewnie chodzą do jedenastej klasy. Zbliżają się do niego płynnym, kołyszącym się krokiem zgranej paczki. Pasywno-agresywnym. Lider bandy – wysoki, przystojny, ciemnowłosy – obejmuje Chudzielca ramieniem i coś do niego mówi. Chudzielec stara się sprawiać wrażenie rozluźnionego, lecz emanuje z niego napięcie i przerażenie. Reszta paczki otacza ich luźnym kołem, żeby w razie czego odciąć mu drogę ucieczki.

Trzymam się trochę z tyłu. Jeszcze mnie nie zauważyli. Stoję po drugiej stronie ulicy. Oczywiście nie mają pojęcia, że jestem nauczycielem. Widzą we mnie

niechlujnego gościa w budrysówce i converse'ach. Mógłbym pozostać tym gościem. Lekcje jeszcze się oficjalnie nie zaczęły. Nie jesteśmy nawet na terenie szkoły. Poza tym to mój pierwszy dzień. Nadejdą kolejne dni i kolejne sytuacje, w których będę się mógł zająć tym problemem.

Sięgam do kieszeni po paczkę marlboro lightów i patrzę, jak banda przypiera Chudzielca do muru. Nerwowy uśmiech zdążył wyparować z jego twarzy. Otwiera usta, żeby zaprotestować. Lider przyciska mu ramię do gardła, jeden z chłopaków ściąga mu plecak z ramienia, a reszta bandy rzuca się na niego niczym zgraja wściekłych psów; wyjmuje książki i zeszyty, wrywa kartki i depcze zapakowane w folię spożywczą kanapki.

Jeden z nich radośnie wysuwa z kieszeni plecaka coś, co wygląda jak nowiutki iPhone. *Dlaczego?* – pytam w myślach. *Dlaczego rodzice wysyłają ich do szkoły z całym tym badziewiem?* W moich czasach najgorszą rzeczą, jaką mógł ci gwizdnąć szkolny łobuz, były pieniądze na drugie śniadanie albo ulubiony komiks.

Spoglądam tęsknie na papierosy, po czym z westchnieniem chowam paczkę do kieszeni i przechodzę na drugą stronę ulicy, w sam środek całego tego zamieszania.

Chudzielec próbuje odzyskać swój telefon. Lider wali go kolanem w kroczę i zabiera iPhone'a swojemu kumplowi.

– Oooo, najnowszy model. Fajny.

– Proszę – dyszy Chudzielec. – Dostałem go w prezencie... urodzinowym.

– Chyba nie zaprosiłeś nas na przyjęcie. – Lider spogląda na kolegów. – Mam rację?

– Taa. Zaproszenia pewnie zawieruszyły się na poczcie.

– Nie wysłałeś nam nawet głupiego SMS-a.

Lider unosi telefon wysoko nad głowę. Chudzielec próbuje po niego sięgnąć, ale bez większego przekonania. Jest dobrych parę centymetrów wyższy od swojego prześladowcy, lecz i tak czuje się przegrany. Poznają to po jego minie.

– Obym tylko go nie upuścił – odzywa się Lider z wrednym uśmiechem.

Zaciskam palce na jego uniesionym nadgarstku.

– Nie upuścisz.

Lider odwraca głowę w moją stronę.

– A ty, kurwa, kto?

– Pan Thorne, wasz nowy nauczyciel angielskiego. Ale możecie się do mnie zwracać per profesorze.

Przez bandę przelatuje zdumiony szmer. Liderowi rzednie mina, ale tylko trochę. Posyła mi uśmiech, który pewnie uważa za uroczy i przez który jeszcze bardziej przestaję go lubić.

– Tylko się wygłupialiśmy, panie profesorze. To zwykłe żarty.

– Doprawdy? – Zerkam na Chudzielca. – Ty też się dobrze bawiłeś?

Chudzielec spogląda na Lidera i lekko przytakuje.

– Tak, tylko sobie żartowaliśmy.

Puszczam nadgarstek Lidera – chociaż niechętnie – i oddaję telefon Chudzielcowi.

– Na twoim miejscu, Marcus, jutro zostawiłbym go w domu.

Kiwa głową, podwójnie zawstydzony.

– Nazwisko? – zwracam się do Lidera.

– Jeremy Hurst.

Hurst. Czuję, jak leciutko drga mi powieka. No jasne, powinienem był się domyślić. Zmyliły mnie ciemne włosy, ale teraz już widzę rodzinne podobieństwo. Dziedziczny błysk okrucieństwa w błękitnych oczach.

– Czy to wszystko, panie p r o f e s o r z e?

Słowo „profesor” wymawia z ironicznym naciskiem. Chce mnie sprowokować. Ale to by było zbyt proste. *Kiedy indziej* – upominam się w myślach. *Będę miał jeszcze niejedną okazję.*

– Na razie tak. – Zwracam się w stronę reszty. – Zmiatajcie stąd. A jeśli w przyszłości zobaczą, jak któryś z was wyrzuca gumę na chodnik, przyczepię się do niego bardziej niż ciężki przypadek chlamydii.

Kilku chłopaków z trudem powstrzymuje uśmiech. Ruchem głowy wskazują na szkolną bramę, a oni zaczynają iść w jej stronę. Hurst zostaje na posterunku najdłużej, lecz i on wreszcie się odwraca i odchodzi za nimi niespiesznym krokiem.

Marcus nie bardzo wie, jak się zachować.

– Ty też – mówię.

Stoi jak słup soli.

– No co?

– Nie powinien pan tego robić.

– Wolałbyś, żebym pozwolił mu zniszczyć twój nowy telefon?

Marcus ze znużeniem kręci głową i odwraca się do mnie plecami.

– Przekona się pan.

5

Nie muszę długo czekać.

Przerwa na lunch. Siedzę przy biurku, zapisując notatki z lekcji i gratulując sobie tego, że zdołałem przetrwać ranek, nie zanudzając uczniów na śmierć, żadnego z nich nie wyrzuciłem też przez okno ani sam przez nie nie wyskoczyłem.

Jak słusznie zauważył Harry, miałem dłuższą przerwę w uczeniu. Przyznaję, lekko wyszedłem z wprawy. Później jednak przypomniałem sobie słowa mojego dawnego kolegi: z uczeniem jest jak z jazdą na rowerze. Nigdy się tego nie zapomina. A jeśli masz wrażenie, że zaraz stracisz równowagę albo się przewrócisz, pamiętaj, że w klasie siedzi trzydzieścioro dzieciaków, które tylko czekają na to, żeby cię wyśmiać albo buchnąć ci rower. Tak więc pedału dalej, nawet jeśli nie masz bladego pojęcia, dokąd zmierzasz.

No to pedałowalem. Pod koniec porannego bloku zajęć byłem dumny ze swojego sukcesu.

Oczywiście nie mogło to trwać zbyt długo.

Słyszę pukanie do drzwi i widzę, jak Harry wsuwa głowę do klasy.

– Panie Thorne? Cieszę się, że pana złapałem. Czy wszystko w porządku?

– No cóż, żaden z uczniów jeszcze nie zasnął na mojej lekcji, więc chyba tak.

Kiwa głową.

– To dobrze. Bardzo dobrze.

Wcale nie wygląda, jakby było „bardzo dobrze”. Wygląda raczej na kogoś, kto zgubił dychę i znalazł gniazdo os. Wchodzi do klasy i staje przede mną, wyraźnie skrepowany.

– Przykro mi, że muszę poruszyć ten temat w pierwszym dniu pana pracy, ale zwrócono mi uwagę na coś, czego nie mogę zignorować.

Niech to szlag – myślę. Sprawdził moje referencje i wie, że naściemniałem.

Od początku to była ruletka. Debbie, sekretarka z mojej poprzedniej szkoły, miała słabość do mnie i – jeszcze większą – do drogich torebek. Przez wzgląd na stare dobre czasy (i elegancką kopertówkę) przechwyciła prośbę Harry’ego o referencje i przekazała ją mnie, razem z kilkoma kartkami kancelaryjnego papieru. Właśnie temu zawdzięczam swoje cudowne referencje. Pomysł był świetny, chyba że Harry zaczął drążyć.

Przygotowuję się na atak, ale okazuje się, że nie o to chodzi.

– Czy dzisiaj rano doszło przed bramą szkoły do incydentu z udziałem jednego z naszych uczniów?

– Jeśli pod pojęciem „incydent” rozumie pan „znęcanie się”, to tak.

– A więc nie zaatakował pan ucznia?

– C o t a k i e g o?

– Jeremy Hurst poskarżył mi się, że go pan zaatakował.

A to gnojek. Czuję, jak zaczyna mi pulsować skroń.

– To kłamstwo.

– Podobno ścisnął go pan za rękę.

– Przyłapałem Jeremy’ego Hursta i jego bandę, jak znęcali się nad innym uczniem. Postanowiłem zainterweniować.

– Ale nie użył pan nieuzasadnionej siły?

Patrzę mu prosto w oczy.

– Oczywiście, że nie.

– W porządku – odpowiada z westchnieniem Harry. – Przepraszam, musiałem zapytać.

– To zrozumiałe.

– Powinien pan do mnie przyjść i opowiedzieć o tym incydencie. Mógłbym wtedy zdusić całą tę sprawę w zarodku.

– Nie widziałem takiej potrzeby. Uznałem problem za rozwiązany.

– Na pewno, ale szczerze mówiąc, przypadek Jeremy’ego Hursta jest dosyć delikatny.

– Nie sprawiał wrażenia szczególnie delikatnego, kiedy znęcał się nad innym chłopcem i groził, że zniszczy mu telefon.

– To pana pierwszy dzień tutaj, więc nie zna pan jeszcze dynamiki naszej szkoły, doceniam również pańską postawę wobec problemu zastraszania, ale nie wszystko musi być zawsze czarne albo białe.

– Wiem, co widziałem.

Zdejmuje okulary i pociera oczy. Czuję, że nie jest złym człowiekiem, co najwyżej zmęczonym i przepracowanym; takim, który pomimo niesprzyjających okoliczności stara się robić wszystko jak najlepiej i najczęściej ponosi klęskę.

– Chodzi o to, że Jeremy Hurst jest jednym z naszych najlepszych uczniów oraz kapitanem szkolnej drużyny piłki nożnej.

Co nie wyklucza bycia dupkiem.

– To nie usprawiedliwia stosowania przemocy i kłamstwa...

– Jego matka choruje na raka...

Przerywam w pół zdania.

– Raka?

– Jelit.

Już mam powiedzieć: „gówniana sprawa”, ale w tych okolicznościach byłoby to wielce niestosowne.

– Rozumiem.

– Wiem, że Hurst miewa problemy z rówieśnikami i opanowaniem agresji...

– A więc tak to się teraz nazywa.

Harry posyła mi smutny uśmiech.

– Jednak ze względu na jego sytuację musimy się wykazać delikatnością.

– Jasne – przytakuję. – Chyba rozumiem to wszystko już trochę lepiej.

– To dobrze. Powinienem był powiedzieć o tym panu wcześniej. Nie wszystko można wyczytać ze szkolnych podręczników, prawda?

– Tak.

Święta prawda.

– Cóż, nie będę panu zabierał więcej czasu.

– Dziękuję, że powiedział mi pan o Jeremym Hurście.

– Żaden problem. Widzimy się później. – Zawiesza głos. – Mimo wszystko będę musiał umieścić stosowną notatkę w pańskich aktach.

– Co proszę?

– Mamy obowiązek wpisać do akt każdą skargę pochodzącą od ucznia. Choćby nawet nieuzasadnioną.

Serce zaczyna mi szybciej bić. Hurst. Pieprzony Hurst.

– Oczywiście. – Posyłam mu wymuszony, napięty uśmiech. – Rozumiem.

Idzie w stronę drzwi.

– Czy ona umrze? – pytam. – Mam na myśli matkę Jeremy’ego.

Odwraca się i posyła mi dziwne spojrzenie.

– Kuracja przebiega zgodnie z oczekiwaniami – wyjaśnia. – Jednak w przypadku tego typu raka rokowania nie są najlepsze.

– Jeremy’emu i jego ojcu musi być ciężko.

– Tak, to prawda.

Przygląda mi się jeszcze przez moment, jakby chciał coś dodać, ale w końcu tylko niezręcznie kiwa głową i zamyka za sobą drzwi.

Ojcu Jeremy’ego musi być ciężko. Wyciągam z kieszeni paczkę papierosów i się uśmiecham. I dobrze, myślę. Świetnie. Pieprzona karma.

Blok literatury angielskiej mieścił się pomiędzy głównym budynkiem szkoły a stołówką i był z nimi połączony wąskim korytarzem, przez który między lekcjami przelewała się fala spoconych uczniów. Latem było tam upalniej niż w Wielkim Zderzaczu Hadronów. Żartowaliśmy sobie, że gdyby ktoś powstał w nim dostatecznie długo, wyszedłby stamtąd czarniejszy niż Jim Berry (jedyne Mulat w naszej szkole).

Chociaż oficjalna nazwa brzmiała: „blok literatury angielskiej”, dzieciaki nazywały go po prostu Blokiem. Cztery piętra betonowego brzydactwa chwiejące

się przy byle podmuchu wiatru.

Nikt nie lubił mieć lekcji w Bloku, nawet zanim to się stało. Zawsze było tam zimno, okna przeciekały i pamiętam, jak pewnej szczególnie srogiej zimy siedzieliśmy w klasie ubrani w czapki i szaliki, a na wewnętrznej stronie szyb lśniły płatki śniegu.

Po tym, jak Chris Manning skoczył z dachu, budynek zamknięto, a po jakimś czasie ponownie otwarto z „zachowaniem nowych procedur bezpieczeństwa”, które polegały na tym, że drzwi prowadzące na dach zawsze były zamknięte na kłódkę.

W którymś momencie podczas ostatnich dwudziestu lat podjęto decyzję o całkowitym zburzeniu Bloku. W jego miejscu znajduje się teraz niewielki, wyłożony płytami chodnikowymi placyk z trzema ławkami ustawionymi wokół mizernego kręgu na wpół uschniętych roślin. Na jednej z ławek umieszczono skromną tabliczkę z napisem: „Pamięci Christophera Manninga”.

Siadam na innej ławce i ukradkiem wyciągam z paczki papierosa. Obracam go w palcach i wpatruję się w płyty chodnikowe, zastanawiając się, w którym dokładnie miejscu upadł.

Nie wydał przy tym żadnego dźwięku. Nie podczas spadania. Nawet wtedy, gdy wylądował na ziemi. Słyszać było tylko ciche, głuche łupnięcie. Nie wydawało się bardzo mocne. Byłbym skłonny uwierzyć, że wciąż żyje, tylko sobie odpoczywa w bladych promieniach jesiennego słońca, gdyby nie to, że jego ciało wyglądało na dziwnie wypompowane, jakby ktoś spuścił z niego całe powietrze. Oczywiście była też wolno wypływająca krew; rubinowy cień wydłużający się w świetle zachodzącego słońca.

– Cholerna szkoda, co?

Podnoszę głowę zaskoczony. Przede mną stoi niska dziewczyna z ciemnymi włosami zaczesanymi w niechlujny koński ogon i mnóstwem srebrnych kolczyków w uszach. Nie słyszałem, jak podchodzi, ale jest tak chuda, że mógłby ją zdmuchnąć byle wiatr.

Przez chwilę biorę ją za bardzo bezpośrednią uczennicę, lecz później zwracam uwagę na brak szkolnego mundurka (chyba że można tak nazwać podkoszulek

z logo grupy The Killers, obcisłe džinsy i martensy) oraz zmarszczki wokół oczu, niepasujące do jej młodzieńczego wyglądu.

– Słucham?

Wskazuje na papierosa, którego wciąż obracam między palcami.

– Cholerna szkoda, że najpierw stworzyli idealne miejsce do palenia, a później zabronili ludziom palić na terenie szkoły.

– Ach tak. – Spoglądam tęsknie na papierosa i wkładam go z powrotem do paczki. – Prawdziwa tragedia.

Uśmiecha się szeroko i przysiada do mnie bez pytania. Zwykle ten rodzaj nieproszonej intymności kurewsko by mnie wkurzył. Jednak z jakiegoś powodu bliskość Panny Zakolczykowanej tylko cholernie mnie irytuje.

– Przykre, że ten dzieciak skoczył. – Kręci głową. – Straciłeś kiedyś jakiegoś?

– Ucznia?

– Przecież nie kota.

– Nie, chyba nie.

– Mam nadzieję, że jednak byś pamiętał. – Wyciąga paczkę papierosów marki Polo, wyjmuje jednego i wkłada go do ust. Częstuje mnie. Już mam odmówić, ale w końcu biorę. – Jedna z moich uczennic zmarła. Zatrzymała się lekami.

– Przykro mi.

– Była naprawdę miła. Pracowita. Lubiana. Niby wszystko jej się układało, a potem... zażyła dwa opakowania paracetamolu i popiła butelką wódki. Zapadła w śpiączkę. Tydzień później musieli ją odłączyć od aparatury podtrzymującej życie.

Marszczę brwi.

– Nigdy o tym nie słyszałem.

– Nic dziwnego. Można powiedzieć, że przyćmiła ją sprawa Julii i Bena Mortonów. – Wzrusza ramionami. – Zawsze to większa tragedia, prawda?

– Chyba tak.

Przez chwilę żadne z nas się nie odzywa.

– Nie chcesz wiedzieć?

– Czego?

– Tego, co cała reszta. *Znałaś ich? Domyślałaś się, że coś u nich nie gra? Zauważyłaś coś niepokojącego?*

– A zauważyłaś?

– Tak i nie. Trudno powiedzieć. Chyba nie wspomniałam o tym, że któregoś dnia Julia zjawiła się w szkole z wielką tabliczką na szyi z napisem: „Zamierzam zabić syna i siebie. Miłego dnia”.

– Cóż, uprzejmość nic nie kosztuje.

Śmieje się i wyciąga do mnie rękę.

– Beth Scattergood. Uczę plastyki.

Ściskam jej dłoń.

– Scattergood ²? Serio?

– Tak.

– Dzieciaki pewnie nabijają się z twojego nazwiska?

– Panna Zrzucić Ciuszki właśnie wygrała z Panną Rozrusznik.

– Nieźle.

– Ech, te dzieciaki. Trzeba je pokochać albo zmienić pracę.

– Jestem Joe...

– Wiem. Joe Thorne. Nauczyciel zastępczy.

– Słyszałem już gorsze rzeczy na swój temat.

– No to do której grupy należysz?

– Co masz na myśli?

– W Arnhill Academy pracują dwa typy nauczycieli. Pierwsi mają powołanie, a drudzy nie mogą znaleźć innej pracy. No więc?

Zastanawiam się przez chwilę.

– Lubię myśleć, że mam powołanie.

– Jasne – odpowiada ironicznie. – Miło pana poznać, panie Thorne.

– Dzięki za dodanie mi otuchy pierwszego dnia.

Uśmiecha się szeroko.

– Zawsze do usług.

Nagle uświadamiam sobie, że ją lubię, i zaskakuje mnie to chyba bardziej, niż powinno.

– A ty jakim jesteś nauczycielem? – pytam.

Podnosi się z ławki.

– Głodnym. Właśnie szłam do stołówki. Może się przyłączysz? Przedstawię cię paru nieszczęśnikom, którzy też tu uczą.

Panujący w stołówce gwar słychać na długo przed wejściem do środka. Po raz kolejny uderza mnie woń przepalonego oleju i zapach czegoś nieokreślonego, dolatujący z wywietrzników w szkołach i unoszący się w domach starych ludzi.

W środku wszystko wygląda prawie tak samo jak dawniej. Parkiet na podłodze. Plastikowe stoliki i krzesła. Za to kuchnia chyba bardzo się zmieniła od czasu, gdy stawałem w kolejce po burgera ze smażoną cebulą i frytkami. Teraz serwują w niej wyłącznie kurczaka z ryżem, makaron z warzywami i sałatki. Winą za to obarczam Jamiego Olivera.

– Widzę naszych. Chodź.

Beth prowadzi mnie w kierunku stołu w kącie sali. Do stolika nauczycieli. Siedzą przy nim cztery osoby. Beth błyskawicznie mi je przedstawia.

Panna Hardy, Susan – chuderława pani z długimi siwymi włosami i w grubych okularach – historia.

Pan Edwards, James – przystojny młody mężczyzna z hipsterską brodą – matematyka.

Panna Hibbert, Coleen – kobieta z mocną szczęką i włosami ostrzyżonymi na jeża – WF.

I wreszcie pan Saunders, Simon – szczupły jegomość w koszulce z Pink Floydami i wytartych sztruksach; przerzedzające się włosy związane w cienki kucyk – socjologia.

Z jakiegoś powodu od razu przestaję go lubić. Być może dlatego, że zwraca się do mnie słowami: *Jak leci, chłopie?*

Nie należy mówić „chłopie”, chyba że jest się członkiem jakiejś kapeli lub

amerykańskim windsurferem. W przeciwnym razie wychodzi się na kretyna. Podobny efekt można osiągnąć, związując przerzedzone włosy w kitkę. I tak nikt się na to nie nabierze.

Siadam przy stoliku, a Simon celuje we mnie widelcem.

– Wyglądasz znajomo, chłopie. Znamy się skądś?

– Nie sędzę – odpowiadam, niespiesznie rozpakowując kanapkę z tuńczykiem.

– Gdzie wcześniej uczyłeś?

– Za granicą.

– A dokładnie?

Potrzebuję chwili, żeby przypomnieć sobie własne kłamstwo.

– W Botswanie.

– Naprawdę? Moja była dziewczyna też tam kiedyś uczyła.

No jasne, kurwa.

– Wareng? – pyta z uśmiechem.

Zastanawiam się, co to może znaczyć. *Wareng*? Na pewno nie miejsce. To by było zbyt oczywiste. Pewnie jakiś rodzaj powitania. Na pewno nie „cześć”, bo to już przerabialiśmy, więc pewnie...

– U mnie wszystko w porządku, dzięki – odpowiadam życzliwie. – A u ciebie?

Uśmiech na twarzy Simona rzędzie szybciej niż jego włosy. Odgryzam kęs kanapki, zastanawiając się, czy gdybym wywlókł go ze stołówki i wrzucił pod przejeżdżający autobus, ktokolwiek by się tym przejął.

– Podobno jesteś stąd? – odzywa się Coleen, szczęśliwie zmieniając temat.

– Dorastałem w Arnhill – wyjaśniam.

– I wróciłeś? – pyta z niedowierzaniem James, nie do końca żartując.

– Cóż, cieszymy się, że z nami jesteś – zapewnia mnie Susan. – Trudno było znaleźć zastępstwo, po tym jak... za panią Morton.

– Tak – odzywa się Simon. – Nie trzeba być szaleńcem, żeby tu pracować, ale tak jest na pewno łatwiej. – Śmieje się z własnego żartu.

Beth piorunuje go wzrokiem.

– Julia cierpiała na depresję. Nie była szalona.

Simon uśmiecha się nieprzyjemnie.

– Jasne. Roztrzaskanie twarzy własnemu dziecku z pewnością świadczy o zdrowiu psychicznym. – Bierze do ust solidny kęs makaronu i głośno przeżuwa.

– Czy ktokolwiek wiedział o chorobie Julii? – zwracam się do Beth.

– Nie robiła z tego tajemnicy. Ciężko zniosła rozstanie z tatą Bena. Przeprowadzając się tutaj, liczyła chyba na nowy początek.

Ładny mi początek – myślę.

– Zażywała leki – wtrąca Susan. – Ale najwyraźniej przestała.

– Skąd wzięła broń?

– Jej rodzina ma farmę niedaleko Oxton. Strzelba należała do jej ojca.

– Gdyby tylko któreś z nas podejrzewało, że coś może być nie tak... – odzywa się James.

To co? – myślę. Co byście zrobili? Zapytali ją, czy wszystko w porządku, i uśmiechnęli się z ulgą, słysząc, że tak. Załatwione. Okienko „troska o koleżankę” odhaczone. Prawda jest taka, że żadne z nas nie chce wiedzieć o takich rzeczach. Bo wtedy musielibyśmy się zająć cudzym problemem, a kto ma na to czas?

– Oczywiście – mówię.

Simon pstryka palcami i wskazuje na mnie ze słowami:

– Stockford Academy.

Przewraca mi się w żołądku.

– *T o s t a m t a d* cię kojarzę – stwierdza. – Pracowałem tam parę lat temu jako nauczyciel na zastępstwo.

Gdy to mówi, mgliście kojarzę kiepsko ubranego chudego kolesia z cuchnącym oddechem. Nawet nie pracowaliśmy w jednym budynku. *S e r i o* mnie zapamiętał?

– Cóż, pracowałem tam niezbyt długo, więc...

– To prawda. Odszedłeś dość niespodziewanie. Co się stało? Wkurzyłeś dyrektora?

– Nie. Nic z tych rzeczy.

„Wkurzyłeś” to mało powiedziane.

– To dziwne. – Marszczy brwi i wskazuje ruchem głowy na moją felerną nogę. –

Wtedy chyba jeszcze nie kulależ.

Piorunuję go wzrokiem.

– W takim razie chyba mnie z kimś mylisz. Kuleję od dziecka.

Zapada moment krępującej ciszy, który niebezpiecznie się przedłuża.

– Co się stało? O ile w ogóle chcesz o tym mówić...

Szczerze mówiąc, nie chcę, ale w sumie sam sprowokowałem to pytanie.

– Miałem wtedy piętnaście lat. Jechałem samochodem razem z tatą i młodszą siostrą. Zjechaliśmy z drogi i uderzyliśmy w drzewo. Annie i tata zginęli na miejscu. Mnie zmiażdżyło nogę. Lekarze potrzebowali aż sześciu kawałków metalu, żeby poskładać ją z powrotem.

– O Boże – odzywa się Susan. – Tak mi przykro.

– Dziękuję.

– Ile lat miała twoja siostra? – pyta Beth.

– Osiem.

Patrzą na mnie ze smutkiem i współczuciem, poza Simonem, który nie może mi spojrzeć w oczy. Odczuwam z tego powodu dziwną przyjemność.

– W każdym razie – podejmuję – to było dawno temu. I na szczęście planowałem zostać nauczycielem, a nie stepującym tancerzem, więc oto jestem.

Śmieją się, chociaż nieco nerwowo. Rozmowa płynie dalej. Dobrze to rozegrałem. Mają mnie za dobrego, uczciwego człowieka. Faceta, który przeżył tragedię, ma po niej blizny, lecz mimo to nie stracił poczucia humoru.

Jestem również kłamcą. Nie straciłem siostry w wypadku i rzeczywiście jeszcze wtedy nie kulależ.

6

Ludzie twierdzą, że czas leczy rany. Nie mają racji. Czas tylko zamazuje pamięć. Płynie bezustannie, podmywając nasze wspomnienia, i odrywa kawałki ciężkich głązów niedoli, dopóki nie zamienią się w ostre kamyki, wciąż sprawiające nam ból, lecz są na tyle małe, że da się z nimi żyć.

Złamanego serca nie można wyleczyć. Czas tylko zbiera pogruchotane fragmenty i obraca je w pył.

Siedzę w domu, w jednym ze skrzypiących foteli, i upijam solidny łyk piwa. To był długi dzień. Dawno już nie przepracowałem całego dnia jako nauczyciel. Czuję się zmęczony psychicznie i fizycznie. Doskwiera mi ból w uszkodzonej nodze i nawet cztery tabletki kodeiny, które wcześniej zażyłem, nie są w stanie go uśmierzyć. Tej nocy nie zasnę, postanawiam więc pić do momentu, aż urwie mi się film. To taka forma samoleczenia.

W pokoju panuje półmrok, rozświetlony blaskiem stołowej lampy i płonącego w kominku ognia. Wcześniej pojechałem do supermarketu za miastem po najpotrzebniejsze rzeczy: mrożoną pizzę, gotowe posiłki, kawę, papierosy i alkohol. W drodze powrotnej zauważyłem na jednej z farm zajazd sprzedający drewno. Kiedy zapukałem do drzwi, nikt mi nie otworzył, chociaż przed budynkiem stał poobijany ford focus. Na tylnym siedzeniu zauważyłem dwa dziecięce foteliki, a na tylnej szybie naklejkę: POTWORKI NA POKŁADZIE.

Przed zajazdem leżały paczki z drewnem, a obok koszyk z karteczką: „5 funtów za paczkę – płatne tutaj”. W koszyku znajdowało się jakieś trzydzieści funtów. Przez chwilę wpatrywałem się w pogniecione banknoty, ale przypomniałem sobie

o dziecięcych fotelikach i dorzuciłem piąta. Wziąłem torbę z drewnem i wróciłem do supermarketu po podpałkę.

Potrzebowałem aż sześciu jej kawałków i całego mnóstwa przekleństw, żeby rozpalić ten cholerny ogień. Za to teraz, pierwszy raz, odkąd się tu wprowadziłem, pokój wypełnia przyjemnie suche ciepło. Prawie widzę parującą ze ścian wilgoć. Gdyby nie rozwalające się meble, brak osobistych pamiątek i fakt, że w tym domu zmarły tragicznie dwie osoby, mógłbym się tu poczuć jak u siebie.

Na kolanach trzymam otwarty notes. Na pierwszej stronie zapisałem cztery nazwiska: Chris Manning, Nick Fletcher, Marie Gibson i, rzecz jasna, Stephen Hurst, wraz z notatkami na temat każdej z osób. Dawna paczka znów w komplecie, przynajmniej na papierze. Jedyni ludzie, którzy tam wtedy byli i wiedzieli, co się stało.

Fletch, jak się dowiedziałem, prowadzi teraz zakład hydrauliczny w Arnhill. Hurst jest radnym. Na temat Marie nie znalazłem w sieci niczego, ale mogła przecież wziąć ślub i zmienić nazwisko. Przy imieniu Chrisa napisałem krótko: „nie żyje”, chociaż to nie oddaje całej prawdy. A w zasadzie wcale jej nie oddaje.

Na górze kolejnej strony umieściłem imiona i nazwisko dwóch osób: Julia i Ben Mortonowie. Pod spodem wynotowałem sobie parę faktów, znalezionych w internecie i gazetach; wiem, że nie są to zbyt rzetelne źródła informacji. O ile gazety przekuwają fakty w historie, o tyle w internecie historie zamieniają się w historie spiskowe.

Wiem na pewno, że Julia miała depresję. Dopiero co rozwiodła się z ojcem Bena (Michaeliem Mortonem, adwokatem). Przestała zażywać lekarstwa i wypisała Bena ze szkoły. Och, a gdy już zatłukła syna na śmierć – i zanim odstrzeliła sobie głowę – napisała krwią trzy słowa na ścianie jego sypialni.

NIE MÓJ SYN.

Krótko mówiąc, nie zachowała się jak osoba zdrowa psychicznie.

Wydrukowałem dwa zdjęcia i przypiąłem je spinaczem do kartek w notesie. Pierwsze z nich przedstawia Julię. Wygląda, jakby zostało zrobione podczas jakiejś służbowej uroczystości. Ma na sobie elegancki żakiet, włosy związała w luźny

kucyk. Uśmiecha się szeroko, ale patrzy w obiektyw ze znużeniem i rezerwą. *Zrób wreszcie to zdjęcie i zostaw mnie w spokoju* – mówi jej mina. Ciekawe, czy właśnie z tego powodu zamieszczono je w gazecie. Oto kobieta bliska załamania. Kobieta na krawędzi. A może po prostu taka, która nie ma już dłużej ochoty pozować do głupich zdjęć.

Zdjęcie Bena to typowa szkolna fotografia. Jego twarz rozjaśnia szeroki, szczerzy uśmiech, dwa przednie zęby są lekko skrzywione, a na szyi pewnie pierwszy raz w życiu ma schludnie zawiązany krawat. Dziennikarze powtarzają w kółko te same frazesy: lubiany, dobry uczeń, mnóstwo przyjaciół, świetlana przyszłość. Nie piszą o tym, jaki był naprawdę. Wolą przekopiować fragmenty standardowych materiałów drukowanych w gazetach, kiedy umrze jakieś dziecko.

Tylko jeden z artykułów sugeruje coś więcej. Rzuca cień na skąpaną w słońcu fasadę wyimaginowanej egzystencji Bena. Jak doniosło anonimowe szkolne źródło, w ciągu ostatnich tygodni przed śmiercią Ben dziwnie się zachowywał: pakował się w kłopoty, wagarował. *Zachowywał się inaczej niż zwykle. Jak nie on.*

Myślę o słowach napisanych przez Julię: NIE MÓJ SYN. Czuję na karku lodowaty dreszcz.

Odkładam notes na stolik kawowy. Nagle zaczyna dzwonić mój telefon; dźwięki *Enter Sandman* przerywają przytulną ciszę. Sztywnieję, sięgam po telefon i zerkam na wyświetlacz. Brendan. Naciskam „odbierz”.

– Halo?

– Jak leci?

– Dobre pytanie. Ciągle zastanawiam się nad odpowiedzią.

Czekam. Brendan nie należy do tych przyjaciół, którzy dzwonią, by pytać o samopoczucie. Przy braku innych doniesień zakłada, że żyję, i to mu w zupełności wystarcza.

– Wczoraj wieczorem ktoś pytał o ciebie w pubie – mówi wreszcie.

– Ktoś?

– Kobieta. Drobna blondynka. Ładna, ale dość toporna.

Żołądek mi się zaciska, noga zaczyna pulsować z bólu.

- Rozmawiałeś z nią?
- Prysnałem stamtąd, kurde, gdy tylko ją zobaczyłem. Od niektórych kobiet lepiej się trzymać z daleka.
- Okej. Nie wracaj tam.
- Ale w tym pubie podają najlepszą na świecie zapiekaną wołowinę z cynaderkami. Oczywiście nie licząc kuchni mojej kochanej mamuni.
- Kup sobie książkę kucharską.
- Jaja sobie robisz?
- Mówię poważnie. Nie wracaj tam.
- Chryste. – Słyszę pstryknięcie zapalniczką i odgłos zaciągania się papierosem.
- Co jej zrobiłeś? Gwizdnąłeś biżuterię? Uciekłeś z oszczędnościami całego życia?
- Gorzej.
- Wiesz, co powiedziałyby na to moja kochana mamunia?
- Mam przeczucie, że i tak mi powiesz.
- Najszybszym sposobem, żeby kogoś pochować, jest wręczyć mu łopatę.
- I co to niby ma znaczyć?
- Kiedy wreszcie przestaniesz kopać?
- Gdy znajdę skarb?
- Jedyne, co możesz znaleźć, mój przyjacielu, to swój własny grób.
- Uwielbiam te nasze pogawędki. Zawsze poprawiają mi humor.
- Jak chcesz mieć lepszy humor, obejrzyj Oprah.
- Mam plan...
- Raczej skłonności samobójcze.
- Potrzebuję tylko trochę czasu.

Wzdycha.

- Myślałeś kiedyś, żeby zwrócić się o pomoc do specjalisty?
- Jak już pozbędę się problemu, to pomyślę.
- Koniecznie.

Rozłącza się. Naprawdę zaczynam o tym myśleć. Przez jakieś dziesięć sekund. Jestem to winien Brendanowi. Znamy się od mniej więcej trzech lat, z czego przez

półtora wynajmowaliśmy wspólnie mieszkanie. Był przy mnie, kiedy cała reszta się ulotniła. Sęk w tym, że Brendan jest niepijącym alkoholikiem, co oznacza, że uwielbia się bawić w rzeczy takie jak: wyznawanie win, przebaczenie i zadośćuczynienie. Ja wolę mieć tajemnice, żywić urazę i odpłacać pięknym za nadobne.

Czasami się zastanawiam, jak to w ogóle możliwe, że się zakumplowaliśmy. Pewnie, tak jak w przypadku wielu przyjaźni, zdecydował o tym splot sprzyjających okoliczności w połączeniu z alkoholem (przynajmniej u mnie tak było).

Zaczął się od tego, że regularnie widywaliśmy się w pubie niedaleko mojego ówczesnego mieszkania. Któregoś wieczoru niezobowiązujące pozdrowienie zamieniło się w rozmowę. Zaczęliśmy siadywać przy jednym stoliku i gawędzić nad drinkiem – Brendan zamawiał sok, a ja guinnessa albo whisky.

Towarzystwo Brendana było proste i niewymagające, chyba jako jedyne w moim życiu. Fundamenty mojej wygodnej egzystencji przedstawiciela klasy średniej właśnie zaczęły się kruszyć. Byłem o włos od utraty pracy i ledwie mogłem sobie pozwolić na opłacenie czynszu. Po sześciu miesiącach zalegania z opłatami zjawił się u mnie właściciel mieszkania razem z dwoma wyrośniętymi braćmi; wykopali mnie stamtąd i zmienili zamki.

Nagle okazało się, że moje możliwości lokalowe są mocno ograniczone. Co powinienem wybrać: kawalerkę z podejrzanymi plamami na ścianach czy zapleśniałą suterенę, nad którą mieszkał chyba zespół stepujących tancerzy? Nie mówiąc już o tym, że byłem zmuszony zawęzić poszukiwania do okolic, w które nawet Batman bałby się zapuścić po zmroku.

Właśnie wtedy Brendan zaproponował, żebym się do niego wprowadził.

– Mam, kurde, wolny pokój, który tylko niepotrzebnie ogrzewam.

– Dzięki za propozycję, ale mój budżet jest mocno ograniczony.

– Zapomnij o pieniądzach.

Wlepiłem w niego wzrok.

– Nie mógłbym tego zrobić.

Popatrzył na mnie znacząco.

– Jak mawia moja kochana mamunia: „Nim stawisz czoło wilkom, które stoją pod twoimi drzwiami, zajmij się czyhającym w salonie lwem”.

Ponownie rozważyłem jego propozycję. I pozostałe możliwości. Mniejsza o lwy; któregoś dnia mogłem się obudzić ze szczurami wgryzającymi się w moje gałki oczne.

– Okej. I dziękuję.

– Najlepszym podziękowaniem będzie wyjście z nałogu.

– Nie mogę przecież wiecznie przegrywać.

Na moment spochmurniał.

– Obyś miał rację. Bo z tego, co słyszałem, wisisz pieniądze komuś, kto od rozbijania długów na raty woli rozbijanie rzepek w kolanach.

– Pracuję nad tym. I przysięgam, że zwrócę ci pieniądze.

– No raczej, kurde. – Uśmiechnął się szeroko. – Przed snem lubię mieć wymasowane plecy. Nie oszczędzaj oliwki.

Sięgam po piwo, ale dociera do mnie, że już je wypilem. Zgniatam pustą puszkę. Wstaję po kolejne, lecz najpierw postanawiam pójść do toalety. Przechodzę przez salon i naciskam włącznik światła w korytarzu. Niechętnie mi ustępuje. Stawiam stopę na pierwszym stopniu. Skrzypi, jak zawsze. Kiedy wspinam się po wąskich schodach, staram się nie myśleć o Julii Morton wlekącej ciało syna na górę, krok po skrzypiącym, mozolnym kroku. Jedenastolatek musi być ciężki. A martwe ciało robi się jeszcze cięższe. Wiem to z doświadczenia.

Na górze jest zimno. Grzejniki są zamontowane wyłącznie w pokojach. Ale nie w tym rzecz. To nie jest normalne zimno, które poczułem, wchodząc tu po raz pierwszy. Ten rodzaj zimna jest inny. U p i o r n y c h ł ó d. Ostatni raz czułem go, będąc dzieckiem. Taki chłód przenika człowieka aż do kości i zagnieżdża się w trzewiach niczym kostka lodu.

Nagle dociera do mnie jakiś dźwięk; stłumiony, lecz uporczywy. Dziwny łoskot, postukiwanie, coś jak przesuwanie się powietrza w rurach. Staję i nasłuchuję.

Odgłos dobiega z łazienki. Otwieram drzwi i ciągnę za postrzępiony sznureczek. Światło włącza się z irytującym niskim bzyknięciem, jak u zdychającego komara.

W łazience jest jeszcze zimniej niż na korytarzu. Dźwięk też wydaje się głośniejszy. Nie jest to powietrze w rurach. Nie. Ten rozpierschający się chrobot musi mieć inne źródło. Bardziej znajome. Bardziej... ż y we. I znajduje się ono w toalecie.

Deska i klapa sedesu są opuszczone. Nie z szacunku dla kobiecego pierwiastka mojej natury, lecz z powodu łagodnej fobii na punkcie dziur. Odpływów, wylewania się. Wszelkiego rodzaju dziur w ziemi. Zeszłej nocy, przed położeniem się spać, obszedłem dom i zatkałem korkami wszystkie odpływy. Teraz wyciągam rękę i ostrożnie unoszę klapę sedesu.

– Kurwa!

Odskakuję do tyłu tak szybko, że prawie się przewracam. Jakimś cudem udaje mi się przytrzymać umywalki i nie upaść. Nie mam jednak aż takiej kontroli nad swoim pełnym pęcherzem. Strużka ciepłego moczu spływa mi po nodze.

Prawie nie zwracam na to uwagi. Wnętrze sedesu się rusza. Pełno w nim drobnych, błyszczących ciał. Poruszają się przy wtórze klekoczącego pomlaskiwania, niczym morze ekskrementów.

– Chryste.

Wstrząsa mną fala wstrętu, razem z echem odległego wspomnienia:

Te cienie się poruszają.

Opieram się o zlew, dysząc ciężko. Chrząszcze. Pieprzone chrząszcze.

Po chwili robię krok do przodu i ponownie unoszę klapę. Owady zaczynają się poruszać jeszcze szybciej, jakby wyczuły moją obecność. Kilka z nich rzuca się do ucieczki, wspinając się w stronę krawędzi muszli. Gwałtownie zatrzaskuję klapę, więżąc insekty pomiędzy dwiema warstwami plastiku. Miażdżeniu towarzyszy miłe dla ucha chrupnięcie.

Jak u licha się tu dostały? Muszla musi być sucha, więc pewnie przywędrowały rurami, ale mimo wszystko? Sięgam po wybielacz, biorę głęboki wdech, jeszcze raz unoszę klapę i wlewam zawartość butelki do sedesu, zalewając ruchliwe

insekty.

Tylko je to rozwściecza. Niektóre chrząszcze mozolnie wspinają się w górę muszli. Chwytam za szczotkę do mycia toalet i wpycham je z powrotem. Spuszczam wodę raz za razem, aż wreszcie spłuczka wydaje jękliwy dźwięk, a na dnie rezerwuaru zostaje odrobina wody i kilka czarnych ciałek unoszących się na powierzchni. Dla pewności zatykam odpływ zwitkiem papieru toaletowego.

Przysiadam na brzegu wanny, czy raczej nogi odmawiają mi posłuszeństwa, krawędź wanny zgotowuje mi twarde powitanie. *Chrząszcze. Kurwa, kurwa, kurwa.* Serce wali mi jak młotem. Cały się pocę, pomimo zimna. Muszę się napić i zapalić. Ale przede wszystkim muszę sobie ulżyć. Pierwszy raz, odkąd tu przyjechałem. Pierwszy raz od długiego czasu. Muszę ukoić skołatane nerwy i uspokoić trzęsące się dłonie.

Wyciągam z kieszeni telefon. Internet szerokopasmowy będę miał zainstalowany dopiero w przyszłym tygodniu, jednak zostało mi 3G. Gra online to tylko namiastka, dość nędzna, jeśli mam być szczerzy, ale – niczym alkoholik sięgający po denaturat po osuszeniu wszystkich pozostałych butelek – nie mogę być wybredny.

Uruchamiam stronę. „Vegas Gold” – głoszą błyszczące i złote, a jakże, litery. Dostrzegam ironię faktu, że gram w Vegas Gold, siedząc na brzegu zapleśniałej wanny w dżinsach przesiąkniętych moczem. Sięgam kciukiem do wyświetlacza.

Właśnie wtedy dobiega mnie z dołu jakiś brzęk.

– Co, do kurwy nędzy?!

Złazę na dół najszybciej, jak tylko mogę, i wchodzę do salonu. Fala zimnego nocnego powietrza uderza mnie w twarz. Zasłony wydymają się na wietrze. W oknie zieje postrzępiona dziura, na podłodze leżą odłamki szkła. Słyszę pisk opon, dźwięk pracującego silnika i milknący w oddali skowyt odjeżdżającego skutera.

Na samym środku pokoju zauważam źródło uszkodzenia: cegłę z owiniętym wokół niej kawałkiem papieru zabezpieczonym gumką. Jakież to oryginalne.

Podchodzę bliżej, skopując z drogi odłamki szkła, i podnoszę cegłę. Odwijam

papier. Kartka jest cienka i w linie, wyrwana ze szkolnego zeszytu. Jak na powitalną wiadomość przystało, kusi całkiem przyjemną perspektywą: PIERDOL SIĘ, KULAFUCU.

7

Człowiek zauważa, że robi się coraz starszy, kiedy policjanci, z którymi ma do czynienia, stają się coraz młodszy. Nie bardzo wiem, jak świadczy o mnie fakt, że policjanci wydają mi się coraz mniejsi.

Patrzę – z dużej wysokości – na funkcjonariuszkę Cheryl Taylor. A przynajmniej sędzę, że tak właśnie się przedstawiła. Jej ton jest szorstki, postawa chłodna. Odnoszę wrażenie, że wolałaby być teraz gdzie indziej. Być może przeszkodziłem jej w ujęciu groźnego przestępcy albo zjedzeniu kanapki z frytkami.

– A więc ktoś wrzucił panu cegłę przez okno mniej więcej o godzinie dwudziestej siedem?

– Tak.

Okolo godziny temu, co oznacza, że sprawca dawno się zmył. Przynajmniej miałem czas, żeby zmienić dzinsy.

– Widział pan coś?

– Wielką czerwoną cegłę na środku świeżo przewietrzonego salonu.

Posyła mi spojrzenie, do którego zdążyłem się już przyzwyczaić. Wiele kobiet patrzy na mnie w ten sposób.

– A coś poza cegłą?

– Nie, ale słyszałem dźwięk odjeżdżającego skutera.

Notuje coś, po czym schyla się i podnosi cegłę.

– Nie chce jej pani schować do torebki, zdjąć odcisków palców?

– Jesteśmy w Arnhill, a nie na planie serialu *CSI* – stwierdza kwaśno, odkładając

cegłę.

– No tak, oczywiście. Przepraszam, przez moment myślałem, że jest pani zainteresowana schwyтaniem tego, kto to zrobił.

Wygląda, jakby miała ochotę mi odpyskować, ale w końcu gryzie się w język i pyta:

– Liścik?

Podaję jej kartkę, której przez chwilę się przygląda.

– Temu komuś przydałby się słownik.

– Wydaje mi się, że to nie jest błąd. Napisał tak celowo, żeby wytrącić mnie z równowagi.

Policjantka unosi wyskubaną brew.

– Proszę mówić dalej.

– Jestem nauczycielem angielskiego – wyjaśniam cierpliwie. – Spotykam się z mnóstwem błędów. To nie jest słowo, w którym łatwo jakiś popełnić.

Zastanawia się nad tym przez chwilę.

– W porządku. Czy podejrzewa pan, kto mógł zrobić coś takiego? Ma pan jakichś wrogów? Osoby, które źle panu życzą?

Ledwie się powstrzymuję od śmiechu. Nie masz nawet pojęcia, myślę. Jestem prawie pewien, że stoi za tym Hurst albo ktoś z jego bandy. Nie mam jednak żadnych świadków, dowodów, a biorąc pod uwagę pogawędkę, jaką uciałem sobie rano z Harrym (Chryste, czy to naprawdę wydarzyło się dzisiaj?), nie chcę się narażać na problemy w pracy. Jeszcze nie.

– Panie Thorne?

– Szczerze mówiąc, dopiero co się tutaj wprowadziłem. Nie zdążyłem jeszcze wkurzyć zbyt wielu osób.

– Ale chyba jest pan na dobrej drodze.

– Najwyraźniej.

– No cóż, przyjrzymy się temu, ale to pewnie jakieś dzieciaki. Mieliśmy już wcześniej kłopoty z uczniami pańskiej szkoły.

– Doprawdy? Jakiego rodzaju?

– Nic poważnego: wandalizm, wtargnięcia na teren prywatny, nieodpowiednie zachowanie w miejscu publicznym.

– Ach, łezka się w oku kręci.

– Jeśli pan chce, mogę przysłać do szkoły funkcjonariusza, żeby strzelił im pogadankę o odpowiedzialności społecznej i paru innych rzeczach.

– Czy to pomoże?

– Ostatnim razem uczniowie przebili mojemu partnerowi wszystkie opony w radiowozie.

– W takim razie chyba podziękuję.

– Okej. Proszę, oto numer sprawy, do celów ubezpieczeniowych. W razie jakichkolwiek innych problemów proszę od razu do nas dzwonić.

– Tak zrobię.

Zatrzymuje się przy drzwiach, jakby się nad czymś zastanawiając.

– Nie chciałabym jeszcze bardziej uprzykrzyć panu tej nocy...

Myślę o rozłazących się chrząszczach.

– Nie wiem, czy to możliwe.

– Ale czy ktoś opowiedział panu o tym miejscu?

– O tym, co się tutaj zdarzyło?

– A więc pan wie?

– Temat jakoś wypłynął.

– I nie przeszkadza to panu?

– Nie wierzę w duchy.

Rozgląda się, nie potrafiąc ukryć obrzydzenia. Nagle coś mi przychodzi do głowy.

– To pani ich znalazła, prawda?

– Owszem. Dotarliśmy tu z partnerem jako pierwsi.

– Musiało być pani ciężko?

– To część mojej pracy. Trzeba sobie z nią jakoś radzić.

– Ale nie chciałyby tu pani mieszkać?

Nieznacznie wzrusza ramionami.

– Krwi nigdy nie da się tak do końca zmyć. Niezależnie od tego, ile wybielacza się użyje i jak długo będzie się szorowało. Zawsze tam zostanie, nawet jeśli jej nie widać.

– Podniosła mnie pani na duchu, dziękuję.

– Sam pan zapytał.

– Mogę zadać jeszcze jedno pytanie?

– Chyba tak – zgadza się ostrożnie.

– Czy może istnieć jakieś inne wytłumaczenie tego, co się tutaj stało?

– Nie było żadnych śladów włamania, nic też nie wskazywało na udział osób trzecich. Może mi pan wierzyć, sprawdziliśmy to bardzo dokładnie.

– A co z ojcem Bena?

– Był na kolacji z klientem.

– A więc pani zdaniem Julia Morton doznała załamania nerwowego, po którym zabiła syna i siebie?

– Moim zdaniem zadaje pan dużo pytań jak na kogoś, kto się tą sprawą nie interesuje.

– Zwykła ciekawość.

– Niech pan ją lepiej powściągnie. – Chowa notes do kieszeni. – Wspomniałam o historii tego domu wyłącznie dlatego, że agent nieruchomości mógł pana o niej nie poinformować.

– Dziękuję... chociaż nie sądzę, by to dom był przyczyną problemu.

– Tak. – Posyła mi kolejne spojrzenie, które nie do końca umiem rozszyfrować.

– Chyba ma pan rację.

Szklarz zjawia się po piętnastu minutach. Zabija deską rozbite okno, informuje mnie, że „będzie się należeć jakieś pińdziesiąt funtów”, a nowe okno założy mi „za jaki tydzień”.

Odpowiadam, że w porządku. Nie będzie mi brakowało widoku na drogę.

On też posyła mi dziwne spojrzenie. Nie ten typ poczucia humoru.

Po jego wyjściu wypijam jeszcze kilka szklaneczek burbona, wypalam

papierosa, stojąc w kuchennych drzwiach, po czym dochodzę do wniosku, że mam już dosyć – stanowczo dosyć – jak na jeden dzień, i idę na górę, żeby się położyć.

Uczucie przenikliwego chłodu zniknęło. Jest zimno, ale w zwyczajny sposób. Ostrożnie wchodzę do łazienki, lecz sedes wciąż jest pusty. Wyciągam papier, sikam, myję twarz i zęby, gaszę światło i zamykam drzwi.

Później coś mi przychodzi do głowy. Schodzę na dół, biorę cegłę, zanoszę ją na górę do łazienki i kładę na opuszczonej klapie sedesu.

Tak na wszelki wypadek.

Nie mam snów, tylko koszmary.

Zwykle pomaga mi na nie alkohol.

Ale nie tej nocy.

Wspinam się po schodach mojego rodzinnego domu, tylko że – jak to we śnie – wygląda on trochę inaczej niż normalnie. Schody są znacznie węższe, bardziej strome i układają się na kształt spirali. W ciemności na dole rozlega się rozpierchający chrobot. Widzę kłębiące się pode mną cienie. Z góry dobiega jakiś inny dźwięk. Upiorne piskliwe zawodzenie, jakby cierpiącego zwierzęcia, przeplatane wołaniem: *Abbie-Eyes, Abbie-Eyes, kto ją pocałuje, gorzko pożałuje*.

Nie chcę wejść na górę, ale nie mam wyboru. Za każdym razem, gdy się odwracam, widzę, że ciemność pochłonęła kilka kolejnych stopni. Cienie pełzną w moją stronę, podobnie jak chłód, i zaraz mnie dopadną.

Wspinam się dalej. Schody ciągną się w nieskończoność, lecz nagle docieram na samą górę. Odwracam się za siebie. Schodów już tam nie ma. Cienie podpełzły jeszcze wyżej i je pochłonęły, a teraz kłębią się zaledwie parę centymetrów od moich stóp.

Na szczycie schodów znajduje się troje drzwi i wszystkie są zamknięte. Otwieram pierwsze z nich. W środku jest tata. Siedzi na łóżku, chociaż „siedzi” nie jest chyba odpowiednim słowem. Tkwi w tej pozycji ze zwieszoną głową, niczym kukielka z poodcinanymi sznurkami. Jego głowa spoczywa na ramieniu, jakby zmęczyło ją tkwienie na karku. Ledwo się trzyma na lśniących ścięgnach

i czerwonych strzępach mięśni. Kiedy samochód uderzył w drzewo, poszarpany kawałek przedniej szyby prawie odciął mu głowę.

Otwiera usta, z których wydostaje się dziwny, chrapliwy głos. Po chwili dociera do mnie, że próbuje wypowiedzieć moje imię: *Joe-eeeeee* i wstać. Zatrząskuję drzwi z bijącym sercem i nogami jak z waty. Podchodzę do kolejnych drzwi. Zdaję sobie sprawę, że to, co za nimi znajdę, będzie jeszcze gorsze. Ale – niczym w kiepskim horrorze – wiem, że i tak je otworzę.

Popycham drzwi i robię krok do tyłu. W pokoju roi się od much tworzących ciemną, bzyzącą chmurę. Pomiędzy nimi dostrzegam dwie postacie. Julię i Bena. A przynajmniej wydaje mi się, że to muszą być oni. Trudno to stwierdzić, ponieważ Julia nie ma połowy głowy, natomiast Ben – twarzy. W jej miejscu widzę tylko czerwono-białą masę złożoną z krwi, kości i chrząstek.

Stoją tam, otoczeni przez muchy, i nagle dociera do mnie, że ich postacie też są zrobione z much. Gdy tak na nich patrzę, nagle się rozpadają i płyną w moją stronę. Wycofuję się za drzwi i gwałtownie je zatrząskuję. Słyszę, jak muchy wściekle objają się o drewno.

Obudź się – myślę. Obudź się, obudź się, obudź się. Ale moja podświadomość nie zamierza tak łatwo odpuścić. Kieruję się w stronę ostatnich drzwi. Sięgam po gałkę i ją przekręcam. Drzwi powoli się otwierają. Pokój jest pusty, nie licząc łóżka i Abbie-Eyes. Leży na środku łóżka, z zamkniętymi oczami. Podchodzę bliżej i po nią sięgam. Oczy lalki gwałtownie się otwierają. Różowe plastikowe usta wykrzywiają się w uśmiechu: *Jest za tobą.*

Odwracam się. W drzwiach stoi Annie, ubrana w piżamę. Bładoróżową, w białe owieczki. Tę samą co w noc wypadku. Ale coś się nie zgadza. W noc swojej śmierci moja siostra była ubrana inaczej.

– Idź sobie – mówię.

Sunie do mnie z wyciągniętymi rękami.

– Odejdź.

Otwiera usta, z których wylewa się mrowie chrząszczy. Próbuję uciec, ale potykam się na chorej nodze i upadam na podłogę. Za sobą słyszę chrobotanie,

stukot twardych pancerzy i ruchliwych odnóży. Czuję, jak pełzną po moich kostkach, wbijając się w skórę. Próbuję je z siebie zrzucić. Łażą mi po rękach i szyi, pakują się do ust i gardła. Nie mogę oddychać. Dławię się cuchnącymi, czarnymi insektami...

Budzę się spocony i roztrzęsiony, młócąc rękami splątana pościel, która owija i przytrzymuje moje nagie ciało.

Promienie porannego światła przenikają przez częściowo zaciągnięte zasłony, rażąc mnie w oczy. Mrużę powieki i spoglądam na budzik dokładnie w chwili, gdy zaczyna dzwonić, potęgując dudnienie w mojej głowie.

Z jękiem przewracam się na drugi bok. Czas do szkoły.

8

– Profesorze?

– Tak, Lucasie? – Znużonym gestem wskazuję na wyciągniętą w górę rękę, ale zanim zdąży cokolwiek powiedzieć, sam unoszę dłoń. – Jeśli to kolejne pytanie dotyczące Tindera, to wydaje mi się, że już coś sobie ustaliliśmy: w czasach Romea i Julii nie istniały aplikacje randkowe.

W górę wystrzeliwuje kolejna ręka.

– Josh?

– A co ze Snapchatem?

Klasa zanosi się śmiechem. Próbuję się nie uśmiechnąć.

– Okej, poddałeś mi pewien pomysł.

– Naprawdę? Jaki?

– Weźcie jeden z rozdziałów, które czytaliśmy, i przepiszcie go w taki sposób, jakby jego akcja toczyła się we współczesnych czasach. Zwróćcie szczególną uwagę na analogie oraz wątki tragedii i katastrofy.

Unoszą się kolejne ręce. Wybieram jedną.

– Aleysha?

– Co to są analogie?

– Coś podobnego do czegoś lub odpowiadającego czemuś innemu.

– A katastrofa?

– Ta klasa.

Rozlega się dzwonek na przerwę obiadową. Staram się nie skrzywić na jego dźwięk.

– W porządku, już was tu nie ma. Nie mogę się doczekać, żeby przeczytać jutro wasze eseje.

Słychać szuranie krzeseł i ogólny rozgardiasz, gdy dzieciaki rzucają się do ucieczki. Niezależnie od tego, jak ciekawie poprowadzisz lekcję i jak bardzo zainteresowani tematem są twoi uczniowie, na dźwięk dzwonka zawsze próbują się jak najszybciej wydostać z klasy, niczym więźniowie wypuszczeni zza krat.

Zaczynam składać książki i upychać je do torby, gdy do sali zagląda znajoma twarz.

– Hej!

– Cześć.

Beth wchodzi do środka – tego dnia ma na sobie koszulkę Nirvany, podarte dżinsy i vansy – i przysiada na brzegu mojego biurka.

– Słyszałam, że wczoraj ktoś wybił ci okno cegłą?

– W Arnhill wieści szybko się rozchodzą.

– Tak, ale nigdy nie przekraczają granic wsi.

Śmieję się z jej żartu.

– Kto ci powiedział?

– Kuzyn jednego z asystentów nauczyciela pracuje na pół etatu z kobietą, której brat służy w policji.

– A niech mnie. Macie tu lepsze źródła niż CNN.

– Na pewno bardziej wiarygodne.

Unosi brew, zapewne czekając na to, aż potwierdzę tę plotkę lub jej zaprzeczę.

Wzruszam ramionami.

– Chyba komuś nie spodobały się moje pomysły na zajęcia.

– Myślisz, że to któryś z naszych dzieciaków?

– To chyba najbardziej prawdopodobne.

– Masz głównego podejrzanego?

– Można tak powiedzieć – odpowiadam niepewnie. – Jeremy Hurst.

– Aha.

– Nie wyglądasz na zdziwioną.

– Tym, że podejrzewasz Świętego Jeremego? Nie. Słyszałam, że mieliście małe starcie.

– Masz naprawdę znakomity słuch. Gdyby kiedyś wpadły ci w ucho zwycięskie numery w totka...

Uśmiecha się szeroko.

– Akurat bym ci powiedziała.

– W takim razie co wiesz o...

Ktoś stuka w uchylone drzwi. Oboje podnosimy wzrok. Do sali zagląda dziewczyna z lekką nadwagą, mnóstwem pasemek i zdecydowanie zbyt mocnym makijażem.

– Czy to klasa pana Andersona?

– Drzwi obok – odzywa się Beth.

– Racja – fuka i szybko się wycofuje.

– Nie ma za co! – woła za nią Beth, po czym znowu spogląda na mnie. – Może porozmawiamy o tym gdzie indziej? Mamy teraz przerwę na lunch.

– Stołówka?

– Chrzanić stołówkę. Myślałam raczej o pubie.

Wysiedziane krzesła i ławki zniknęły. Przyprawiający o ból głowy wzorzysty dywan ustąpił miejsca błyszczącym drewnianym deskom. Na parapetach stoją gustowne lampy, a przy barze pojawił się szeroki wybór win i burbona. Nie mówiąc już o ekscytującym nowym menu.

Niestety nic z tego nie jest prawdą.

Odkąd byłem tu po raz ostatni, czyli dwadzieścia pięć lat temu, w Running Fox nic się nie zmieniło. W kącie stoją te same stare szafy grające, pewnie z tymi samymi starymi szlagierami co kiedyś. Nawet niektórzy goście wyglądają, jakby wcale się nie zmienili – ani też nie ruszyli – od minionego wieku.

– Wiem – odzywa się Beth, widząc, jak taksuję wzrokiem bar. – Zabieram cię w same najlepsze miejsca.

– W toalecie pewnie nadal czuć moje wymiociny.

– Dobre. Zapomniałam, że się tu wychowałeś. No, może nie dokładnie tu t aj.

– No nie wiem.

– A więc to tu przesiadywałeś?

– W sumie tak. Oficjalnie byłem za młody, żeby pić. Nieoficjalnie... właściciel nie bardzo się przejmował takimi rzeczami.

Odwracam się w stronę baru. Spodziewam się zobaczyć za nim wciąż obsługującego gości Cygana, ale zamiast niego widzę młodą dziewczynę z wielkimi kołami w uszach i włosami związanymi w kucyk tak ciasny, że jej brwi wyglądają, jakby znajdowały się tam wbrew swojej woli.

– Co podać? – pyta z krzywym uśmiechem.

Patrzę na Beth.

– Tylko colę light, dzięki.

Spoglądam tęsknie na whisky, po czym niechętnie mówię:

– Poproszę dwie cole light. I menu.

– Kanapka z serem, kanapka z szynką, wieprzowina w cieście i frytki.

– Heston Blumenthal ³ pewnie cały się trzęsie w tych swoich mokasynach.

Barmanka wlepia we mnie wzrok, żując gumę.

– Poproszę frytki i kanapkę z serem – mówi Beth.

– Dla mnie to samo.

– Dziesięć funtów, sześćdziesiąt pensów.

Cokolwiek by mówić o jej postawie wobec klienta, dziewczyna potrafi imponująco szybko liczyć w pamięci.

Beth zaczyna grzebać w torebce.

– Ja stawiam. – Sięgam do kieszeni i marszczę brwi. – Cholera, zostawiłem portfel w domu.

– Nie przejmuj się – mówi szybko Beth. – Raczej przez to nie zbiednieję.

Uśmiecham się, dręczony wyrzutami sumienia. Chociaż lekkimi.

Po zapłaceniu znajdujemy wolny stolik – co nie jest zbyt trudne – w kącie przy jednym z okien.

– A więc – zagaduję Beth, która sący swoją dietetyczną colę – miałaś mi

opowiedzieć o Hurście?

– Tak. Cóż, nie bardzo jest o czym opowiadać. Jeremy to inteligentny, wysportowany, przystojny i sadystyczny gnojek. Zawsze wszystko uchodzi mu na sucho ze względu na jego tatę.

– Stephena Hursta.

– Znasz go?

– Chodziliśmy razem do szkoły.

– No tak.

– Słyszałem, że jest radnym?

– Tak. Wiesz, jacy ludzie zwykle nimi zostają.

– Ci, którzy chcą bezinteresownie pomagać lokalnej społeczności?

– A także dupki, wykorzystujący swoją pozycję do własnych celów.

– Kurczę, ciekawe, do której grupy zalicza się Stephen Hurst.

– Nieżyły z niego numer. Ale pewnie już o tym wiesz. Słyszałeś o planach zagospodarowania dawnej kopalni?

– Rada chce zamienić te tereny w park?

– Tak. Jednym z powodów, dla których tak długo się to ciągnie, jest właśnie Hurst.

– To znaczy?

– Oficjalnie problemem jest brak funduszy. Nieoficjalnie Hurst ma układy z firmą deweloperską, która chciałaby tam wybudować domy.

– Domy? Na terenie dawnej kopalni? Musieliby czekać latami na pozwolenie rady... – Doznaję olśnienia. – A, już rozumiem.

– No właśnie. Hurst Junior wdał się w tatusia, który zasiada również w radzie szkoły, więc za każdym razem, gdy Jeremy zrobi coś, za co każdy inny dzieciak natychmiast by wyleciał, do akcji wkracza Hurst Senior. Ucina sobie pogawędkę z Harrym, prawdopodobnie na temat funduszy na nową salę gimnastyczną albo dodatkowe zajęcia naukowe, i wiesz co? Nic się nie dzieje.

Wzbiera we mnie znajome uczucie gniewu. Nic się nie zmieniło, myślę.

Barmanka Roku zbliża się w naszą stronę, dzierżąc przed sobą sztucce niczym

broń, i rzuca je na stolik.

– Frytki będą za chwilę. Skończył nam się keczup.

– Okej.

Przygląda mi się tak długo, że zaczynam się czuć niezręcznie. Czyżby słowo „okej” jakoś ją uraziło? W końcu odchodzi od naszego stolika.

Beth patrzy na mnie.

– O rany, ty naprawdę umiesz sobie zjednywać ludzi, co?

– Myślisz, że to dzięki mojemu urokowi osobistemu?

– Nie oszukuj się.

Upijam łyk coli i pytam:

– Julia Morton była w zeszłym roku wychowawczynią klasy Hursta, prawda?

Beth kiwa głową.

– Ale nie przywiązywałabym do tego zbyt wielkiej wagi.

– Nie?

– Nie. Julia wiedziała, jak postępować z Hurstem. Nie dawała sobie wciskać kitu, zresztą on też nie próbował. Twarda z niej była sztuka. Niełatwo ją było złamać.

A jednak tak się stało. Zatlukła własnego syna na śmierć. Dlaczego nie użyła broni? Zrobiła to w przyływie szaleństwa? Czy czegoś innego?

– I dlatego to, co się stało, zupełnie nie ma sensu – dodaje Beth, jakby czytała w moich myślach.

– Podobno miała depresję?

– Mówiłam, że c h o r o w a ł a na depresję, w przeszłości.

– Ale przecież depresja tak po prostu nie znika. Przestała brać leki. Może znowu jej się pogorszyło, przeszła załamanie nerwowe.

Beth wzdycha.

– Nie wiem. Może. I m o ż e gdyby zabiła tylko siebie, tobym zrozumiała. Ale Ben? Był jej oczkiem w głowie. N i g d y tego nie rozumiem.

– Jaki on był?

– Dosyć bystry, miał wielu przyjaciół. Może trochę za łatwo ulegał wpływom,

przez co parę razy wpakował się w kłopoty. Ale to był dobry dzieciak. Aż do momentu zaginięcia.

– Ben zaginął? Kiedy?

– Parę miesięcy przed śmiercią. Wrócił po dwudziestu czterech godzinach. Szukali go wtedy wszyscy mieszkańcy. Nie chciał powiedzieć, gdzie się podziewał. To było zupełnie nie w jego stylu.

Przez chwilę zastanawiam się nad tym, co powiedziała. Zniknął, a później wrócił.

– Nigdzie o tym nie pisali.

Beth wzrusza ramionami.

– Pewnie zapomnieli po tym, co się stało. W każdym razie po powrocie... – zawiesza głos – był jakiś inny.

– To znaczy?

– Wycofany, rozkojarzony. Przestał się spotykać z przyjaciółmi albo to oni przestali się spotykać z nim. Zabrzmiało to strasznie, ale śmierdziało, jakby przestał się myć. Później wdał się w bójkę. Mocno pokieroszował tamtego dzieciaka. Właśnie wtedy Julia zabrała go ze szkoły. Twierdziła, że Ben ma „problemy emocjonalne” z powodu rozwodu.

– Dlaczego nie wspomnieli o tym w żadnym artykule?

– Pytasz serio? Kto by napisał coś złego na temat zmarłego dziecka? Poza tym wszyscy winili Julię za jego zachowanie. Matka miała szmergla, więc to pewnie była jej wina, prawda?

Przez chwilę myślę o tym anonimowym szkolnym źródle. Chcę ją zapytać o coś jeszcze, ale – jak na zawołanie – przy stoliku zjawia się nasza urocza kelnerka.

– Kanapki z serem i frytki.

– Dzięki.

Głośno odstawia talerze na stolik i znowu świdruje mnie wzrokiem.

– Przepraszam – mówię. – Coś nie w porządku?

– Wynajmuje pan dom Mortonów?

– Tak.

– Wie pan, co się tam stało?

Wszyscy mnie o to pytają.

– Tak.

– No to kim pan jest?

– Co proszę?

– Jakaś hieną?

– Eeee... nie. Jestem nauczycielem.

– Aha.

Po chwili zastanowienia sięga do kieszeni, wyjmując z niej wizytówkę i mi podaje.

Biorę kartonik, nie chcąc jej zdenerwować jeszcze bardziej. Widnieje na nim nazwa: „Dawsonowie – Pogromcy Kurzu”.

– Kto to?

– Moja mama. Jest sprzątaczką. Dawniej zajmowała się domem pani Morton. Może pan do niej zadzwonić.

Była to najdziwniejsza reklama, jaką w życiu słyszałem.

– Cóż, chyba nie stać mnie teraz na sprzątaczkę, ale dzięki.

– Jak pan sobie chce.

Barmanka odchodzi. Spoglądam na Beth.

– O rany.

– Rzeczywiście jest trochę...

– Nieuprzejma? Dziwna? Przeróżająca?

– Lauren ma zaburzenia ze spektrum autyzmu, więc interakcje społeczne mogą jej sprawiać trudność.

– Rozumiem. A mimo to ktoś zatrudnił ją jako barmankę?

– Nie sądzisz, że wszyscy powinni mieć równe szanse?

– Mówię tylko, że nie jest stworzona do obsługi klientów.

– Jakie to krytyczne.

– Raczej praktyczne.

– Różnica jak między ziemniakiem a kartoflem.

– Zdecydowanie ziemniak. Akurat w tej kwestii jestem bardzo krytyczny.

Beth posyła mi szeroki uśmiech. W ogóle często się uśmiecha. Mam ochotę zrobić to samo, korzystając z mięśni, których dawno nie używałem.

– A wracając do naszej rozmowy... – zagajam, chowając wizytówkę do kieszeni. – Co takiego mówiłaś?

– O nie. – Celuje we mnie widelcem. – Kolej na ciebie. Właściwie d l a c z e g o wynajmujesz dom Mortonów?

– Ty też?

– Bo to rzeczywiście trochę dziwne.

– Jest tani i blisko szkoły. A wiele lat temu nie wynajmowali go Mortonowie, tylko pewna starsza pani, która karmiła ptaki chlebem i przeklinała dzieciaki jeżdżące na rowerach obok jej domu. To po prostu budynek, który ma swoją historię. Podobnie jak większość miejsc.

Tylko że w większości budynków w rurach nie gnieźdzą się chrząszcze. Staram się nie wzdrygnąć.

Beth uważnie mi się przygląda.

– A skoro już mowa o historii, dziwnie się czuję, wracając tutaj?

Wzruszam ramionami.

– Każdy czułby się trochę dziwnie, wracając do rodzinnej wsi.

– Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żebym kiedykolwiek chciała wrócić do Arnhill. Jak tylko będę mogła, od razu się stąd wyniosę.

– Jak długo już tu jesteś?

– Jeden rok, jeden dzień i jakieś... – spogląda na zegarek – dwanaście godzin i trzydzieści dwie minuty.

– Nie żebyś liczyła?

– Liczę, i to jak.

– Słuchaj, wiem, że Arnhill jest małe, zaściankowe, trochę zacofane.

– Nie o to chodzi...

– W takim razie o co?

– Byłeś kiedyś w Niemczech?

– Nie.

– A ja tak, tuż po studiach. Moja przyjaciółka pracowała wtedy w Berlinie. Zabrała mnie na wycieczkę do jednego z obozów koncentracyjnych.

– Fajna wycieczka.

– Był piękny, słoneczny dzień. Błękitne niebo, śpiew ptaków, a budynki to przecież tylko budynki, prawda? A mimo to czułam się tam nieswojo. Jakby coś wisiało w powietrzu. Dało się wyczuć, że stało się tam coś strasznego. Chodziliśmy za przewodnikiem, smutno kiwając głowami, ale jakaś część nas miała ochotę uciec stamtąd z krzykiem.

– I właśnie tak czujesz się w Arnhill?

– Nie. Po prostu chciałabym wrócić do Niemiec. – Wrzuca frytkę do ust, po czym pyta: – O co chodzi z tobą i Stephenem Hurstem?

– To znaczy?

– Wyczuwam, że w dzieciństwie nie bardzo się przyjaźniliście?

– No nie.

– Poróżniliście się o coś?

Nabijam frytkę na widelec.

– O nic wielkiego, jak to między nastolatkami.

– Aha.

Ton głosu Beth świadczy o tym, że mi nie wierzy, ale nie chce naciskać.

Przez chwilę jemy w milczeniu. Frytki są w porządku. Kanapka przypomina plastik, tylko że pozbawiony smaku.

– Harry powiedział mi, że żona Hursta choruje? – odzywam się wreszcie.

Beth kiwa głową.

– Na raka. I niezależnie od tego, co myślisz o Hurście, na pewno bardzo cierpi.

– Tak.

A karma czasem lubi się mścić.

– Od dawna są małżeństwem?

– Zaczęli się ze sobą spotykać jeszcze w szkole. – Spogląda na mnie. – W sumie powinieneś to pamiętać.

– Chodziłem do szkoły z mnóstwem osób.

– Chyba ma na imię Marie.

Czas zwalnia, a później staje w miejscu.

– Marie?

– Tak, ale nie mogę sobie przypomnieć jej panińskiego nazwiska.

Nie musi. Kolejny kawałek mojego zbolełego serca właśnie obraca się w pył.

– Gibson – mówię. – Marie Gibson.

9

Wychowaliśmy się z Marie na tej samej ulicy. Nasze mamy się przyjaźniły, więc często kazały nam się razem bawić, gdy byliśmy mali, podczas gdy one popijały herbatę i plotkowały. Bawiliśmy się w berka i chowanego, a także siedzieliśmy na krawężniku, jedząc lody na patyku i rożki, jeśli na naszej ulicy akurat pojawiła się furgonetka z lodami. Annie nie było jeszcze wtedy na świecie, więc musieliśmy mieć jakieś cztery czy pięć lat.

W skrytości ducha ubóstwiałem Marie, a ona mnie tolerowała, bo byłem jedynym dzieciakiem w jej wieku na całej naszej ulicy. Kiedy poszliśmy do szkoły, szybko porzuciła mnie na rzecz bardziej popularnych rówieśników. Chyba uznałem, że taki już mój los. Marie była ładna i fajna, a ja byłem dziwnym, wycofanym dzieciakiem, którego nikt nie lubił.

W gimnazjum zauważyłem, że Marie jest więcej niż ładna. Była piękna. Jej lśniące brązowe włosy – gdy była mała, nosiła je zaczesane w kitki – zostały ostrzyżone na kształt krótkiego, wywiniętego boba. Czasami kręciła sobie loki, jak u swojej idolki, Madonny. Nosiła dekatyzowane dżinsy i workowate bluzy z rękawami zakrywającymi palce. Zrobiła sobie po dwie dziurki w każdym uchu, a w szkole podwijała spódnicę w pasie tak, by nie sięgała kolan, odsłaniając kuszący fragment opalonego ciała pomiędzy rąbkiem spódnicy i podkolanówkami.

Marie praktycznie nie zwracała już wtedy na mnie uwagi.

Nie robiła tego ze złośliwości czy okrucieństwa. A przynajmniej nie celowo.

Od czasu do czasu mijala mnie na ulicy, zachowując się tak, jakby mnie kojarzyła, ale nie bardzo wiedziała skąd. Rzucala mi rozkojarzone „cześć”, a ja

przez wiele godzin promieniałem szczęściem.

Annie czasem się ze mnie nabijała, mówiąc: *Oooh, spójrz. Idzie twoja dziewczyna*. I wydawała z siebie mlaszczące dźwięki. *Joey i Marie siedzą na drzewie i się CAŁUJĄ*.

Tylko wtedy tak naprawdę wkurzałem się na Annie. Być może dlatego, że uderzała w czułą strunę. Marie nie była moją dziewczyną i wiedziałem, że nigdy nią nie zostanie. Dziewczyny takie jak ona nie umawiały się z chłopcami takimi jak ja: chuderlawymi, nieśmiałymi kujonami, którzy czytali komiksy i grali na komputerze. Spotykały się z p r a w d z i w y m i chłopakami, trenującymi piłkę nożną i rugby, przesiadującymi na placu zabaw, plującymi i przeklinającymi bez powodu.

Takimi jak Stephen Hurst.

Zaczęli ze sobą chodzić w trzeciej klasie. Właściwie było im to pisane – Hurst był miejscowym zabijaką, a Marie najładniejszą dziewczyną w szkole. Taki los. Nie czułem się specjalnie zazdrosny. No, może trochę. Już wtedy wiedziałem, że Marie jest lepsza niż Hurst. Bardziej bystra, miłsza i, w przeciwieństwie do wielu dziewczyn z naszej szkoły, miała większe ambicje niż tylko wyjść za mąż i urodzić dzieci.

Kiedy zostałem przyjęty do paczki Hursta – a Marie znowu zaczęła na mnie zwracać uwagę – wyznała mi, że chciałyby pójść do college'u i studiować projektowanie mody. Była dobra z plastyki. Marzyła jej się przeprowadzka do Londynu, chciała się utrzymywać z modelingu. Miała wszystko dokładnie zaplanowane. Na pewno nie zamierzała zostać w zabitej dechami dziurze, takiej jak Arnhill. Planowała wsiąść do pierwszego autobusu, gdy tylko będzie dostatecznie dorosła, i się stąd wynieść.

Ale nie zrobiła tego. Coś się zmieniło. Coś ją powstrzymało. Coś odarło ją z marzeń i obróciło jej ambicje w pył. Coś ją tu zatrzymało.

Czy raczej ktoś.

Stoję na rogu mojej dawnej ulicy i palę papierosa. Zamierzałem wrócić do domu

tuż po szkole, ale moja podświadomość najwyraźniej miała inne plany.

Ulica nic się nie zmieniła, a jednak wygląda inaczej. Po dwóch stronach drogi stoją te same domy szeregowy z czerwonej cegły, które wyglądają, jakby szykowały się do bójki. Ale pojawiły się też nowe elementy: talerze satelitarne i świetliki w dachach, okna i drzwi z PCV. Wzdłuż wąskich chodników tłoczy się znacznie więcej samochodów. Błyszczące golfy, terenówki i wersje mini. Za moich czasów nie wszystkie rodziny miały samochód. A już na pewno nie nowy.

Nie wszystko się jednak zmieniło. Nad rozmontowanym motocyklem stoi grupa chłopaków. Palą papierosy i pociągają z puszek carlsberga. Parę psów ujada, głośno i bez chwili wytchnienia. Z któregoś okna dudnią dźwięki muzyki praktycznie pozbawionej melodii i tekstu. Banda młodszych dzieciaków kopie piłkę.

Mój dawny dom, ten z numerem dwadzieścia dziewięć, stoi w połowie ulicy, w odległości paru budynków od domorosłego mechanika i chłopaków, którym marzyło się powtórzyć sukces zespołu Rooney. Ze wszystkich domów to właśnie on najmniej się zmienił. Drewniane drzwi wciąż są pomalowane na czarno, tak jak to sobie zapamiętałem, chociaż starą mosiężną kołatkę zastąpiła srebrna, bardziej elegancka. Furtka z kutego żelaza nadal jest lekko przekrzywiona, w dachu brakuje kilku dachówek, a we frontowej ścianie przydałoby się uzupełnić spoinę.

Mój pokój znajdował się na tyłach domu, tuż obok pokoju Annie, której – jako młodszej – dostało się pomieszczenie gospodarcze. Kiedy byliśmy mali, przed snem pukaliśmy w ścianę łączącą nasze pokoje. Później, gdy już wróciła, leżałem w swoim pokoju w słuchawkach na uszach i kołdrą naciągniętą na głowę, żebym nie musiał jej słyszeć.

Mama sprzedała dom zaraz po tym, jak po wypadku wyszedłem ze szpitala. Tłumaczyła, że potrzebujemy domu, po którym łatwiej będzie mi się poruszać o kulach. Ciasna szeregowka ze stromymi schodami nie była zbyt praktyczna.

Rzecz jasna nie był to prawdziwy powód. Nasz dom łączył się z mnóstwem wspomnień, w większości złych. Mama kupiła niewielki bungalow w pobliżu. Mieszkaliśmy tam razem, dopóki nie skończyłem osiemnastu lat. Mama została

w nim aż do dnia, w którym dziesięć lat później zabrali ją do szpitala, gdzie zmarła w wieku zaledwie pięćdziesięciu trzech lat. Podobno zabił ją rak płuc, ale to nie była cała prawda. Częstka mamy odeszła już w noc wypadku. Reszta potrzebowała tylko trochę czasu, żeby do niej dołączyć.

Odwracam się na pięcie. Zaczyna się robić coraz ciemniej i chłodniej. Jeśli stąd nie odejdę, ktoś w końcu zadzwoni na policję. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebuję, jest niepotrzebne ściąganie na siebie uwagi. Stawiam kołnierz kurtki i wracam tą samą ulicą, którą przyszedłem.

Ludzie – szczególnie jeśli chcą sprawiać wrażenie bardzo mądrych – lubią powtarzać, że niezależnie od tego, jak długą pokonamy drogę, nigdy nie zdołamy uciec od samych siebie.

Gówno prawda. Wystarczy się znaleźć odpowiednio daleko od relacji łączących nas z innymi, od ludzi, którzy nas definiują, znajomych widoków i rutynowych czynności sprawiających, że jesteśmy tym, kim jesteśmy, żeby bez większego trudu uciec od samych siebie, przynajmniej na jakiś czas. Jaźń to tylko konstrukt, który można rozłożyć na kawałki, zdemontować i na nowo poskładać.

Pod warunkiem że nigdy nie wrócimy tam, skąd przyszliśmy, bo wtedy nowa tożsamość spadnie z nas niczym szaty cesarza, obnażając wszystkie nasze wady i popełnione błędy.

Nie chcę wracać do pubu, ale jakimś cudem właśnie tam ląduję. Przez parę chwil stoję przed wejściem, dopalając papierosa, i usiłuję sobie wmówić, że nie wejdę do środka. Na pewno nie. Nie zamierzam rozpocząć kolejnego dnia pracy od kaca. Wrócę do domu, przygotuję sobie coś do jedzenia i wcześniej położę się spać. Zgniatam niedopałek, gratuluję sobie zdrowego rozsądku i wchodzę do pubu.

Od samego progu zauważam, że wygląda on inaczej niż w porze lunchu. Wiele lokali tak ma. Zmieniają się po zmroku. Jest w nim teraz ciemniej, stare lampy z frędzlami zalewają wnętrze przyćmionym światłem. Atmosfera zaś wydaje się – o ile to w ogóle możliwe – jeszcze bardziej nieprzyjazna. Zapach również wydaje się inny. Mocniejszy, bardziej pszeniczny i gdybym nie wiedział, że to niezgodne

z prawem, mógłbym przysiąc, że ludzie niedawno tu palili.

W pubie jest też znacznie więcej gości niż za dnia. Przy barze kręci się kilku młodych mężczyzn ze szklankami piwa w dłoniach, chociaż w całym lokalu jest mnóstwo wolnych miejsc. Typowe, zaborcze zachowanie pokazujące, kto tu jest silniejszy. Znaczenie terytorium, jak u psów obsikujących drzewo (nie zdziwiłbym się, gdyby podobnie postąpili z pubem).

Przy stolikach zauważam grupki starszych mężczyzn i kobiet. Siedzą pochyleni nad drinkami niczym zwierzyzna pilnująca swojej ofiary. Mężczyźni noszą sygnety świadczące o przynależności do jakiejś drużyny, spod podwiniętych rękawów koszul wystają szare, wyblakłe tatuaże. Kobiety mają miedziane pasemka we włosach i bluzki bez rękawów, w których ich pomarszczone ramiona nie wyglądają zbyt korzystnie.

Znam takie puby, i to nie tylko ze swojego dzieciństwa. Mogą się mieścić w większych miastach i wydawać nieco bardziej wyrafinowane, lecz ich klientela i atmosfera są dokładnie takie same jak tutaj. Nie są to lokale stworzone do rodzinnych posiłków czy picia schłodzonego chardonnay w towarzystwie przyjaciółek. Spotykają się tu miejscowi, pijacy i, niekiedy, hazardziści.

Podchodzę do baru, starając się sprawiać wrażenie mniej skrępowanego, niż się czuję. Mogę znać tego rodzaju puby, ale tutaj – chociaż wychowałem się w tej wiosce – wciąż jestem outsiderem. Może i nie jest tak jak w westernach, kiedy w momencie otwarcia się wahadłowych drzwi do saloonu pianista nagle przestaje grać, ale mógłbym przysiąc, że gdy wchodzę do baru, panujący w nim gwar rozmów na moment cichnie i wszyscy goście prześlizgują się po mnie wzrokiem.

Dziś wieczorem Panna Przeróżająca nie pracuje. Zamiast niej za barem stoi łysiejący mężczyzna z atramentowoczarnymi worami pod oczami i kilkoma brakującymi zębami.

– Co podać?

– Poproszę dużego guinnessa.

W milczeniu nalewa mi piwo. Dziękuję mu, płacę i czekając na swoje zamówienie, ponownie rozglądam się po wnętrzu baru. Dostrzegam wolny stół

w dalekim kącie. Biorę szklanekę, podchodzę do stolika i siadam. Mam przy sobie prace uczniów, więc wyciągam je i zaczynam oceniać, sącząc piwo. Niezależnie od obsługi, oświetlenia, zapachu i wystroju piwo okazuje się całkiem smaczne. Wypijam je szybciej, niż planowałem.

Znów podchodzę do baru. Mężczyzna obsługuje kogoś po przeciwnej stronie. Najwyraźniej przeszedł jakąś cudowną zmianę osobowości, ponieważ uśmiecha się i dowcipkuje z grupą facetów, których zauważyłem, gdy tylko tu wszedłem. Prawdę mówiąc, sprawia wrażenie tak towarzyskiego, że zaczynam się zastanawiać, czy nie ma brata bliźniaka.

Czekam. Jeden z młodych mężczyzn spogląda w moim kierunku i coś mówi. Barman śmieje się jeszcze głośniejsze i rozmawia dalej. Czekam jeszcze chwilę, udając zrelaksowanego, chociaż ogarnia mnie rozdrażnienie. Barman nie przerywa rozmowy. Głośno odchrząkuję. Patrzy na mnie, uśmiech znika mu z twarzy i niechętnie idzie w moją stronę. Dwóch młodych mężczyzn podąża za nim, jakby przyciągała ich niewidzialna magnetyczna siła.

Unoszę pustą szklanekę.

– Dzięki – *za to, że wreszcie zająłeś się swoją robotą.* – Jeszcze raz to samo.

Bierze szklanekę i podtyka ją pod nalewak.

Jestem świadomy faktu, że dwóch młodych mężczyzn podeszło do mnie niebezpiecznie blisko. Jeden z nich jest niski i przysadzisty, ma wygoloną głowę i szczelnie pokryte tatuażami ramię. Drugi jest wyższy, szczupły, ma trądzik i nażelowane włosy, które, jak mi się wydawało, odeszły w niepamięć razem z białymi skarpetkami i przykrótkimi spodniami. Nie naruszyli jeszcze mojej przestrzeni osobistej, ale dzielą ich od tego milimetry. Czuję nieprzyjemną woń starego potu częściowo zamaskowaną tanim dezodorantem. W tych dwóch facetach jest coś dziwnie znajomego, a może to po prostu groźba konfrontacji wydaje mi się znajoma?

Przyglądam się beczynnie, jak barman nalewa mi piwo. A później słyszę, jak ten niższy i bardziej przysadzisty mówi:

– Nigdy wcześniej cię tu nie widzieliśmy, kolego.

Jeśli istnieje określenie, którego nie cierpię bardziej niż „chłopie”, to jest nim właśnie „kolego” w ustach kogoś, z kim na pewno nigdy się nie zakoleguję.

Odwracam się do nich z uśmiechem.

– Dopiero co się przeprowadziłem.

– Jesteś tym nowym nauczycielem – stwierdza Nażelowany.

– Tak.

Uwielbiam, gdy ludzie mówią mi coś, o czym doskonale wiem.

– Joe Thorne. – Wyciągam rękę, ale żaden z nich jej nie ściska.

– Mieszkasz w dawnym domu Mortonów?

Znowu ten „dom Mortonów”. Tak jakby tragedia – szczególnie krwawa i brutalna – odciskała swoje piętno na wszystkim, co ją otacza.

– Tak – powtarzam.

– Trochę to, kurwa, dziwne, nie? – Nażelowany podchodzi jeszcze bliżej.

– Co masz na myśli?

– Wiesz, co tam zaszło? – odzywa się Przysadzisty.

– Owszem.

– Większość ludzi nie chciałaby mieszkać w domu, w którym zabito dziecko.

– Chyba że są jacyś dziwni – dodaje Nażelowany, na wypadek gdybym nie wychwycił tego jakże subtelного podtekstu.

– W takim razie chyba jestem dziwny.

– Żartujesz z nas, kolego?

– Raczej nie.

Napiera na mnie.

– Nie podobasz mi się.

– A już miałem cię prosić o numer.

Widzę, jak zaciska pięści. Chwytam pustą szklanekę, gotów ją roztrzaskać o bar, jeśli zajdzie taka potrzeba. Byłem już w podobnej sytuacji, i to co najmniej raz.

Nagle, gdy już mi się wydaje, że nie uniknę bójki, dobiega mnie znajomy głos:

– W porządku, panowie. Nic się nie stało, prawda?

Przyjemniaczki odwracają się i momentalnie odpuszczają. Do baru zbliża się

wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna. Może jednak wierzę w duchy, przechodzi mi przez myśl. Złe duchy, których nie da się pozbyć, niezależnie od czasu, jaki upłynie, pokonanych kilometrów czy użytej święconej wody.

– Joe Thorne – mówi. – Kopę lat.

Wpatruję się w Stephena Hursta.

– Tak, kopę lat.

10

Czy jeśli niektóre dzieci rodzą się ofiarami, to znaczy, że innym pisany jest los prześladowców?

Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Wiem jednak, że w tych czasach nie powinno się tak twierdzić. Lepiej nie sugerować, że niektóre dzieci i niektóre rodziny są z gruntu złe. Nie ma to żadnego związku z klasą, pieniędzmi ani ich brakiem. Po prostu są tak skonstruowane. Mają to w genach.

Stephen Hurst wywodził się z długiej linii prześladowców. Przyjemność z dokuczania słabszym była u nich przekazywana z pokolenia na pokolenie, tak jak rodzinne pamiątki albo hemofilia.

Ojciec Stephena, Dennis, był sztygarem. Ludzie go nie znosili, bali się go i nie cierpieli jeszcze bardziej. Dzierżył swoją władzę niczym górniczy topór, wyrzynając nim tych, którzy mu się stawiali, przydzielając swoim wrogom najgorsze szychty i ze złośliwą rozkoszą odmawiając im urlopu z okazji narodzin dziecka czy choroby krewnego.

Kiedy rozpoczął się strajk, można go było zobaczyć w pierwszym szeregu protestujących. Wymachiwał transparentem, rzucał obelgi pod adresem pracujących górników, ciskał kamieniami i butelkami w policję. Nie twierdzę, że uczestnicy strajku nie mieli racji, tak samo jak nie ośmieliłbym się oceniać tych, którzy poszli wtedy do pracy, jak mój tata. Jedni i drudzy myśleli, że robią to, co najlepsze dla ich rodzin; próbowali ocalić swoje posady. Ale Hurst nie zajął miejsca w pierwszym szeregu z powodu swoich przekonań. On po prostu uwielbiał konfrontację, nerwy, brzydotę i przede wszystkim przemoc.

Chociaż wtedy nikt nie powiedział tego głośno, później dotarło do mnie, że za obraźliwym napisem na drzwiach, zastraszaniem i cegłą wrzuconą przez okno do naszego salonu stał pewnie Dennis. Lubił uderzać w najsłabszych. Zamiast zaatakować tatę, skupił się na jego rodzinie.

Mama Stephen'a często chodziła z podbitym okiem lub rozciętą wargą. Raz nosiła nawet gips, który ciągnął się przez całą długość jej kościstej ręki. Większość ludzi wiedziała, że te obrażenia nie są spowodowane jej „niezdarnością”, lecz tym, że po kuflu – lub dziesięciu kuflach – piwa Dennis lubił sobie poboksować. Ale nikt tego nigdy nie skomentował. W tamtych czasach, w małej wiosce takiej jak Arnhill, tego rodzaju sprawy dotyczyły wyłącznie męża i jego żony. I może jeszcze ich syna.

Stephen był wysoki jak ojciec, po matce odziedziczył zaś urodę i niebieskie oczy. Przystojny jak z obrazka. Wręcz śliczny. Potrafił też być uroczy i zabawny, jeśli chciał. Wszyscy jednak wiedzieli, że to tylko pozory. Stephen był Hurstem do szpiku kości.

Oczywiście pomiędzy Stephenem a jego ojcem istniała jedna zasadnicza różnica: Dennis był skorym do bitki łotrem, a Stephen miał trochę oleju w głowie. Był sprytny i przebiegły, lecz także agresywny, brutalny i sadystyczny.

Widziałem, jak wepchnął komuś głowę do muszli klozetowej pełnej szczyń, a innego dzieciaka zmusił do jedzenia robaków; bił, poniżał i torturował – psychicznie i fizycznie. Czasami go nienawidziłem. Czasami się go bałem. A kiedyś nawet z przyjemnością bym go zabił.

A przecież nigdy nie należałem do jego ofiar, tylko do przyjaciół.

Blond włosy zdążyły mu się przerzedzić, a rzeźbione rysy złagodnieć na skutek upływu czasu i wygodnego życia. Ma na sobie koszulkę polo, granatowe dżinsy i porażające bielą adidasy. Tak jak wielu mężczyzn w średnim wieku, zmienił określenie „swobodny strój” w oksymoron.

Wygląda, jakby to ubranie go uwierało. Pewnie jest bardziej przyzwyczajony do noszenia garnituru i krawata. Sprawia też wrażenie wyczerpanego. Nawet

opalenizna – pochodząca z dwóch wakacyjnych wyjazdów rocznie – nie jest w stanie ukryć ciemnych worków pod jego błękitnymi oczami ani zamaskować zwiotczałej skóry, tak jakby nieszczęście toczyło go od środka.

Wygląd Stephena Hursta o dziwo nie poprawia mi humoru. Przez lata życzyłem mu wszystkiego, co najgorsze. A teraz, gdy umiera mu żona, wcale nie czuję satysfakcji. Być może jestem lepszym człowiekiem, niż mi się wydaje. Albo wprost przeciwnie: kara wciąż wydaje mi się niewystarczająca. Życie jak zawsze okazało się niesprawiedliwe. To nie Marie powinien trawić rak, tylko Hursta. Uznałbym to za dowód tego, że diabeł faktycznie dba o swoich, gdybym nie podejrzewał, że s am Hurst jest diabłem.

Siadamy przy chwiejącym się stoliku i przypatrujemy się sobie badawczo. Moja szklanka z guinnessem jest już w połowie pusta. Hurst ledwo spróbował swojej whisky.

– No więc co cię sprowadziło do Arnhill? – pyta.

– Praca.

– Tak po prostu.

– Mhm.

– Muszę przyznać, że jesteś ostatnią osobą, której bym się tu spodziewał.

– Cóż, życie nigdy nie układa się tak, jak to sobie wyobrażamy w dzieciństwie, prawda?

Spogląda w dół.

– Jak twoja noga?

Typowy Hurst. Zawsze uderza w czuły punkt.

– Czasami mi dokucza. Zresztą nie tylko ona.

Patrzy na mnie przenikliwie. Pomimo przyjaznego zachowania dostrzegam w jego oczach chłód.

– A dlaczego tak naprawdę tu wróciłeś?

– Już ci mówiłem, dostałem pracę.

– Pracę można znaleźć zawsze i wszędzie.

– Ale ta mi podpasowała.

– Masz skłonność do podejmowania złych decyzji.

– Trzeba mieć do czegoś smykałkę.

Uśmiecha się. Jego zęby są nienaturalnie białe. Całkowicie sztuczne.

– Gdyby Harry powiedział mi, z kim się umówił na rozmowę, nigdy byś nie dostał tej pracy. Arnhill to mała wioska. Ludzie pilnują tu własnego nosa. Nie lubią obcych, szczególnie takich, którzy sprawiają kłopoty.

– Po pierwsze nie jestem obcy, a po drugie nie bardzo wiem, o jakie kłopoty ci chodzi.

– Wystarczy sama twoja obecność.

– Dręczą cię wyrzuty sumienia? A nie, czekaj, to by oznaczało, że w ogóle masz sumienie.

Poprawia się na krześle. Ledwo zauważalnie. Odruchowo. Chciałby mi dać po pysku, ale się hamuje. Z trudem.

– Tamto zdarzyło się wieki temu. Może już czas zapomnieć?

Zapomnieć. Jakby chodziło o wycięty komuś numer albo pierwsze zauroczenie. Wzbiera we mnie gniew.

– A jeśli to się dzieje znowu?

Z jego twarzy nie można nic wyczytać. Być może umie blefować lepiej niż ja.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– O Benjaminie Mortonie.

– Jego matka chorowała na depresję, przeszła załamanie. To trochę niepokojące, że takie osoby zostają nauczycielami, nie sądzisz?

Nie daję się złapać na haczyk.

– Słyszałem, że Ben zaginął na krótko przed tym, jak został zabity?

– Dzieciaki czasami znikają.

– Na dwadzieścia cztery godziny? Jak sam powiedziałaś, Arnhill to mała wioska, więc gdzie wtedy był?

– Nie mam pojęcia.

– Czy dzieciaki wciąż się bawią na terenie starej kopalni?

Dostrzegam błysk w jego oczach. Nachyla się w moją stronę.

– Wiem, co sugerujesz. Ale nie masz racji. Ta sytuacja nie ma nic wspólnego z... – urywa, gdy mija nas starszy mężczyzna z siwą czupryną, ubrany w brązowe dzwony. – Jak leci, Steve?

– Pomalutku. Będziesz jutro na wieczorku quizowym?

– Jasne, ktoś przecież musi ci znowu skopać tyłek.

Obaj się śmieją. Mężczyzna odchodzi do swojego stolika, a Stephen ponownie zwraca się w moją stronę. Uśmiech znika z jego twarzy jak za naciśnięciem guzika.

– Nauczyciel z twoimi kwalifikacjami na pewno znajdzie pracę w jakimś fajniejszym miejscu niż ta zabita dechami dziura. Zrób sobie przysługę i wyjedź stąd, zanim spotka cię kolejna przykrość.

– K o l e j na? – A więc wie o cegle. – Powiedz mi, czy twój syn ma może skuter?

– Jego w to nie mieszaj.

– Jasne, gdyby nie ten jego p r z y k r y nawyk wrzucania mi cegieł przez okno.

– To brzmi jak pomówienie.

– Raczej uszkodzenie mienia.

– Na tym chyba powinniśmy skończyć. – Zaczyna odsuwać swoje krzesło.

– Przykro mi z powodu Marie.

W tym momencie wyraz twarzy Hursta się zmienia. Drżą mu usta. Opada jedna z powiek. Wygląda jak starzec i przez ułamek sekundy prawie zaczynam mu współczuć.

– Pewnie jest ci ciężko. Byliście małżeństwem przez tyle lat.

– Jesteś zazdrosny?

– Raczej rozczarowany. Zawsze myślałem, że Marie stąd wyjedzie. Miała różne marzenia.

– Miała m n ie.

Z jakiegoś powodu brzmi to bardziej jak ciężar niż powód.

– I to wszystko?

– Trzeba czegoś więcej? Byliśmy w sobie zakochani. Wzięliśmy ślub.

– A potem żyliście długo i szczęśliwie.

– J e s t e ś m y szczęśliwi. Pewnie trudno ci to zrozumieć. Dobrze się nam tu żyje. Mamy Jeremy’ego, duży dom, dwa samochody i willę w Portugalii.

– Nieźle.

– Żebyś, kurwa, wiedział. I nikt – a już na pewno nie jakiś trzeciorzędny belfer z głównianej szkółki – nam tego nie odbierze.

– Myślałem, że rak już to zrobił.

– Marie się nie poddaje.

– Tak jak moja mama. Walczyła do samego końca.

Ale to nieprawda. Pod koniec wcale nie walczyła, tylko wrzeszczała. Rak rozwinął się najpierw w płucach – wyhodowany na dwudziestu papierosach marki Benson and Hedges palonych przez nią każdego dnia – a później zaatakował wątrobę, nerki, kości, właściwie całe ciało. Nawet morfina nie była w stanie uśmierzyć jej cierpienia, nie przez cały czas. Krzyczała z bólu, a w krótkich momentach ulgi krzyczała ze strachu przed jedyną rzeczą, która mogła ją uwolnić od cierpienia raz na zawsze.

– Tak, no cóż, to zupełnie coś innego. Marie pokona raka. A lekarze zatrudnieni w państwowych szpitalach, z pieprzonym mlekiem pod nosem, nie są nieomylni.

Patrzy na mnie roziskrzonym wzrokiem. Płoną mu policzki, w kąciku ust zbiera się ślina.

– Powiedzieli, że umiera, tak?

– N ie! – Wali ręką w stół tak mocno, że nasze szklanki aż podskakują. Zresztą ja też podskakuję. – Marie n i e umrze. Nie dopuszczę do tego.

Tym razem w pubie rzeczywiście na moment zapada cisza. Wszyscy nieruchomieją, wlepiając w nas wzrok. Hurst też to pewnie wyczuwa. Po chwili – bardzo dłużej – podczas której czekam, aż na mnie ryknie, wywróci stół i rzuci mi się do gardła, rozgląda się wokół siebie, uspokaja i wstaje z krzesła.

– Dzięki za troskę, ale – podobnie jak twoja obecność tutaj – jest ona niepotrzebna.

Patrzę, jak wychodzi. I wtedy to czuję. Nagłą falę przerażenia, przypominającą zawroty głowy, która draży żołądek od środka i wysysa wszystkie siły z kości.

Nie dopuszczę do tego.

To się znowu dzieje.

Po wyjściu Hursta dopijam piwo – raczej dla zachowania pozorów niż z pragnienia czy chęci pozostania w barze – a później idę do domu. Moja noga nie jest mi za to wdzięczna. Uważa mnie za sadystę i idiotę, który powinien schować dumę do kieszeni i skorzystać z pieprzonej laski. Ma rację. W połowie drogi zatrzymuję się, robię głęboki wdech i zaczynam masować guzowatą, pokrzywioną kończynę.

Jest już prawie dziewiąta i robi się ciemno. Niebo ma kolor przykurzonej szarości; księżyc przypomina blady, nagi cień za przesuwającą się kurtyną chmur.

Dociera do mnie, że zatrzymałem się obok dawnej kopalni węgla. Pozostałości zrehabilitowanej kopalni wznoszą się za moimi plecami, ciemne grzbiety starych hałd przypominają uśpione smoki.

Ogromny teren ma powierzchnię przynajmniej ośmiu kilometrów kwadratowych. Zauważam nowe ogrodzenie z solidną, zamkniętą na kłódkę bramą, do której przytwierdzona jest tabliczka z napisem: PARK KRAJOBRAZOWY ARNHILL, OTWARCIE W CZERWCU.

Mamy wrzesień, więc wydaje mi się, że to dość optymistyczne założenie. Plany rekultywacji tego terenu pojawiały się już wtedy, gdy byłem dzieckiem. Po zamknięciu kopalni wszystkie stare tunele i szyby miały zostać zasypane. Chodziły jednak słuchy, że zrobiono to zbyt pośpiesznie, tanim kosztem i nie do końca zgodnie z planami. Pojawiły się problemy z osiadaniem. Leje krasowe. Podobno jeden z nich niemal pochłonął faceta, który akurat wyprowadzał psa.

Tego wieczoru cały teren przypomina wielki nieużytek. Martwy i opuszczony. Na jednym ze wzniesień stoi samotna koparka, która wygląda, jakby ktoś ją porzucił. Przeszywa mnie zimny dreszcz. *Grzebie w ziemi, wywraca wszystko na wierzch.*

Odwracam się i kontynuuję powolną, szarpaną wędrówkę. Nagle słyszę za plecami jakiś dźwięk. Zbliża się do mnie samochód. Na szczęście niezbyt szybko. Prawdę powiedziawszy, jedzie w ślimaczym tempie. Oglądam się za siebie.

Oślepiają mnie reflektory, ustawione na pełną moc. Unoszę rękę, żeby osłonić oczy. Co u licha?

Po chwili już wiem. Samochód się zatrzymuje, a ze środka dobiega głos:

– W porządku, kolego?

Nażelowany siedzi w poobijanej cortinie obok swojego przysadzistego kumpla, który prowadzi. Droga jest zupełnie pusta. Żadnych samochodów. Żadnych zabudowań. Od domu wciąż dzieli mnie prawie pół kilometra. Jest ich dwóch, na dodatek w samochodzie, a ja nie mam przy sobie niczego, co mógłbym wykorzystać w charakterze broni, nawet pieprzonej laski.

– W porządku, dzięki – staram się to powiedzieć opanowanym tonem.

– Może cię podwieźć?

– Nie trzeba.

Idę dalej. Słyszę stukot zmienianych biegów. Samochód powoli toczy się obok mnie.

– Mocno kulejesz, kolego. Powinieneś wsiąść do samochodu.

– Powiedziałem już, że dziękuję.

– A ja powiedziałem, żebyś wsiadł.

– Chyba cię na mnie nie stać.

Auto gwałtownie hamuje. *Ależ to było głupie, Joe. Naprawdę głupie.* Czasami mam wrażenie, że sam się proszę o kłopoty. A może po prostu próbuję przyspieszyć to, co nieuniknione.

Drzwi się otwierają i obaj wysiadają z samochodu. Mógłbym się rzucić do ucieczki, ale to by było bezcelowe i żałosne. Postanawiam jednak wziąć ich na litość.

– Ja tylko żartowałem, kolego. Chcę po prostu wrócić do domu.

Nażelowany robi krok w moją stronę.

– To nie jest twój dom. Nie jesteś tu mile widziany.

– Okej, zrozumiałem.

– Wcale nie. Właśnie dlatego nas tu przysłał.

Pewnych rzeczy nie da się w życiu uniknąć. Jak już mówiłem, nie chodzi

o przeznaczenie, tylko sekwencję nieuchronnie do czegoś prowadzących zdarzeń. Chwilę przed tym, jak na mojej twarzy łąduje pierwszy cios, uświadamiam sobie, jak głupio postąpiłem. *Dlatego nas tu przysłał.* To byli pomagierzy Hursta. Dlatego grzecznie się wycofali, kiedy wszedł do pubu. A gdy nie chciałem mu ustąpić, wysłał ich za mną. Chyba jednak niewiele się zmieniło, myślę sobie, gdy po kolejnym ciosie zginam się w pół i osuwam na kolana.

Zwijam się w kłębek i przyjmuję kopniak w żebra, które eksplodują potwornym bólem. Obejmuję głowę rękami. Niestety już byłem w podobnej sytuacji. Gdybym mógł się odezwać, ale nie mogę, bo staram się nie stracić zębów, powiedziałbym tym oprychom, że dostawałem już łomot od lepszych niż oni najemnych zbirów. Że w kategorii pobić są amatorami. Obrywam kopniaka w plecy. Ogień wystrzeliwuje w górę kręgosłupa. Krzyczę. Z drugiej strony, nawet amatorom czasem dopisuje szczęście. Wątpię, żeby Hurst kazał im mnie zabić, ale granica pomiędzy pobiciem a zatłuczeniem na śmierć jest cienka i wcale nie jestem pewien, czy tych dwóch gamoni będzie się umiało w porę powstrzymać.

Jeden z nich celuje butem w bok mojej głowy. Ból rozsadza mi czaszkę, wzrok mętnieje. I wtedy słyszę w oddali jakiś dźwięk. Może krzyk? Z trudem rejestruję stłumione przekleństwa i jęk bólu, który przynajmniej ten jeden raz nie wyrywa się z mojego gardła. A później, ku własnemu zdziwieniu, słyszę trzaśnięcie drzwiami i odgłos odjeżdżającego samochodu. Chciałbym poczuć ulgę, ale jestem na to za bardzo obolały, na granicy utraty przytomności.

Leżę na zimnej, twardej ziemi. Moje ciało jest jednym wielkim kłębowiskiem cierpienia. Boli mnie przy każdym oddechu, nie wspominając już o próbie poruszenia się. Za to głowę mam niepokojąco odrętwiąłą. Coś mi mówi, że nie jestem sam.

Wyczuwam ruch po którejś ze stron. Lewej albo prawej, nie potrafię stwierdzić. Czuję na ramieniu czyjś dotyk. Usiłuję skupić wzrok na twarzy osoby, która się nade mną pochyła, ale co chwilę tracę ją z pola widzenia. Widzę blond włosy. Czerwone usta. Zanim wreszcie pochłania mnie ciemność, ogarnia mnie nadzieja, że jednak umieram.

Ponieważ alternatywa byłaby znacznie gorsza.

11

Pisk gumowych podeszew na lśniącem linoleum. Woń kapusty, środków dezynfekujących i czegoś jeszcze, czego żadne środki nie są w stanie zamaskować: fekaliów i śmierci.

Jeśli trafiłem do nieba, to strasznie w nim śmierdzi. Otwieram oczy, mrugam parę razy.

– A więc jednak zdecydował się pan wrócić do świata żywych.

Widzę przed sobą kobietę w lekarskim fartuchu. Jest wysoka i chuda, ma krótkie blond włosy i wyrazistą twarz.

– Wie pan, gdzie się pan znajduje?

Omiotam wzrokiem cienką, na wpół zaciągniętą niebieską zasłonę, wąskie łóżko, zabiegane pielęgniarki krzątające się w jego nogach, słyszę czyjeś jęki i zawodzenia.

– W szpitalu? – strzelam.

– Świetnie. – Podchodzi do mnie i świeci mi latarką w oczy. Mrużę powieki i próbuję się odsunąć, gdy w kącie mojego obolałego mózgu eksploduje kolejna fala bólu. – W porządku. – Czuję kawę i miętówki w jej oddechu. Bierze mnie za głowę i przekręca ją na boki. – Jak się pan nazywa?

– Joe Thorne.

– Jaki mamy dzień, Joe?

– Eee... 6 września 2017.

– Tak. Kiedy się urodziłeś?

– 13 kwietnia 1977.

– Dobrze.

Ponownie się wycofuje. I uśmiecha. Widać, że nie przychodzi jej to naturalnie. Wygląda na osobę, która dużo pracuje, a przez resztę czasu śpi, chociaż nie tyle, ile by chciała.

– Pamięta pan, co się stało?

– Ja... – Mój mózg wciąż nie działa jak należy. Zaczyna boleć, gdy się nad czymś zastanawiam. – Wracalem do domu z pubu i...

Samochód. Bandziory Hursta. I ktoś jeszcze. Przez chwilę nic nie mówię.

– Naprawdę nie pamiętam.

– Pił pan alkohol?

– Dwa piwa. – Przynajmniej raz mogę powiedzieć prawdę. – Wszystko działo się bardzo szybko.

– W porządku. Najwyraźniej został pan pobity, więc będzie chciała z panem rozmawiać policja.

Świetnie.

– Nic mi nie jest?

– Ma pan mocno poobijane żebra i dolną część tułowia.

– Rozumiem.

– A także sporo brzydkich stłuczeń i dwa imponujące guzy na głowie, ale jakimś cudem nie doznał pan żadnych złamań ani wstrząśnienia mózgu, chociaż będziemy chcieli pana zatrzymać przez noc, na obserwacji.

Mówi dalej, ale już jej nie słucham. Nagle coś sobie przypominam. Pochylając się nade mną postać.

– Jak tu trafiłem?

– Dzięki dobrej samarytance, która akurat tamtędy przejeżdżała. Zauważyła, jak leży pan na chodniku, zatrzymała się i przywiozła pana do szpitala. Miał pan wielkie szczęście.

– Jak wyglądała?

– Drobną blondynką. A dlaczego pan pyta?

– Nadal tu jest?

– Tak, w poczekalni.

Przerzucam nogi przez krawędź łóżka.

– Muszę już iść.

– Panie Thorne, naprawdę nie sędzę, żeby to było rozsądne...

– Gównu mnie obchodzi, co pani o tym sądzi.

Na jej bladych, zapadniętych policzkach pojawia się rumieniec. W końcu kiwa głową, odsuwa zasłonę i ustępuje mi z drogi.

– Proszę bardzo.

– Przepraszam.

– Pański wybór.

– Nie będzie mnie pani zatrzymywać?

Posyła mi znużony uśmiech.

– Skoro ma pan dość sił, żeby wyjść stąd o własnych siłach, niewiele mogę zrobić.

– Spróbuję nie paść trupem. Obiecuję.

Wzrusza ramionami.

– Tak między nami mówiąc, mamy więcej wolnych łóżek w kostnicy niż na oddziale.

Idę do łazienki, gdzie przemywam twarz zimną wodą. Nie udaje mi się co prawda usunąć z niej śladów zaschniętej krwi, ale zaczynam się czuć trochę bardziej po ludzku. Wolno kuśtykam w stronę korytarza. To duży szpital, z mnóstwem wejść i wyjść. Odwracam się od tabliczek kierujących do głównego wyjścia i zapuszczam się głębiej, w labirynt błękitnoszarych korytarzy. W końcu dostrzegam kolejny znak, tym razem wskazujący drogę do Północnego Wyjścia. Powinno się nadać.

Dotarcie na miejsce zabiera mi sporo czasu. Stłuczone żebra protestują przy każdym oddechu. Czuję się tak, jakby ktoś wbijał mi rozżarzony pręt w podstawę kręgosłupa, głowa pulsuje tęnym bólem. Oczywiście nie jest to najgorsze, co mogło mnie spotkać. Mogła mnie jeszcze odnaleźć.

Popycham drzwi. Nocne powietrze wymierza mi siarczysty policzek. Po wyjściu

ze szpitalnego zaduchu zaczynam się trząść z zimna. Przez chwilę próbuję opanować drgawki, nabierając hausty lodowatego powietrza. Później drżącymi dłońmi sięgam po telefon. Muszę zadzwonić po taksówkę i wrócić do domu, zanim... i wtedy prawda uderza mnie jak obuchem.

Skoro już tu jest ijechała wieczorem wzdłuż Arnhill Lane, to znaczy, że wie, gdzie mieszkam.

Opuszczam telefon i w tym samym momencie słyszę dźwięk silnika. Wiem, że to ona, jeszcze zanim zatrzymuje się przede mną smukły srebrny mercedes, w którym powoli opuszcza się szyba.

Gloria uśmiecha się do mnie z fotela kierowcy.

– Joe, skarbie, wyglądasz okropnie. Wskakuj, podrzucę cię do domu.

W życiu każdego uzależnionego człowieka przychodzi taki moment, gdy uzmysławia sobie, że jego słabość – niezależnie od tego, czy chodzi o alkohol, narkotyki czy, jak w moim wypadku, hazard – zamieniła się w prawdziwy problem.

Mnie olśniło wtedy, gdy poznałem Glorię. Można wręcz powiedzieć, że ocaliła mnie przed samym sobą.

Aż do tamtej chwili udawałem, że karty to tylko hobby, zabawa, sposób na zabicie czasu. Chociaż straciłem pracę, przyjaciół, oszczędności, samochód i praktycznie każdego wieczoru pozwalałem się uwieść zielonemu suknu oraz szelestowi tasowanych i przekładanych kart, wciąż twierdziłem, że to kontroluję.

Zabawne, że najlepiej wychodzi nam oszukiwanie samych siebie.

Gry w karty nauczyli mnie dziadkowie. Remik Gin, Pontoon, Newmarket, Sevens i wreszcie poker. Graliśmy o jednocentówki, które dziadkowie trzymali w wielkim szklanym słoju. Już w wieku ośmiu lat wydawało mi się to fascynujące i uzależniające. Uwielbiałem wypłowiwały czerwony wzór na tyłach kart, różne ich kolory, dwoistą naturę asa, który może być zarówno kartą niską, jak i wysoką, władczych króli i królowe, a także lekko złowieszcze, bezczelne walety.

Lubiłem patrzeć, jak dziadek błyskawicznie rozdaje karty swoimi poślizniętymi palcami pełnymi odcisków; palcami, które sprawiały wrażenie szorstkich

i niezdarnych, lecz podczas gry w karty potrafiły być zwodnicze i zwinne.

Próbowałem naśladować sposób, w jaki tasował i efektownie przekładał karty. Niektóre z najszcześniejszych chwil dzieciństwa spędziłem właśnie przy poodpryskiwanym stole z formiki w maleńkiej, zabrudzonej tłuszczem kuchni dziadków. Przede mną stała szklanka wygazowanej coli, przed dziadkiem szklanka piwa stout, a przed babcią – lagera z limonką. Wpatrywaliśmy się w napięciu w nasze karty, dopóki papierosy dziadków nie spaliły się w popielniczce aż po filtr.

Niektórych karcianych gier nauczyłem też Annie, ale nasi rodzice nigdy nie mieli czasu, żeby z nami grać, więc to nie było to samo co z dziadkami. Do większości gier potrzeba co najmniej trzech osób, ale i tak spędziliśmy wiele deszczowych popołudni, grając w snapa lub pasjansa.

Po wypadku odstawiłem karty. Skoncentrowałem się na studiach. Postanowiłem się zapisać do college'u dla nauczycieli. Lubiłem angielski, uważałem ten zawód za porządny (mama na pewno byłaby ze mnie dumna) i możliwe, że jakaś część mnie chciała w ten sposób zrobić coś dobrego. Pomóc dzieciakom i odpłacić za całe zło, które wyrządziłem jako młody chłopak.

O dziwo byłem dobrym nauczycielem. W jednej ze szkół przebąkiwano nawet o moim awansie na opiekuna roku, a w przyszłości może nawet na wicedyrektora. Powinienem być szczęśliwy, a przynajmniej zadowolony. Ale nie byłem. Czegoś mi brakowało. Czuję pustkę, której nic, nawet praca, przyjaciele bądź dziewczyna, nie mogło wypełnić. Czasami całe moje życie wydawało mi się nierealne, jakby rzeczywistość skończyła się razem ze śmiercią Annie, a wszystko, co działo się później, było tylko jej marną kopią.

W którymś momencie znowu sięgnąłem po karty. Zwykle znajdowałem w pubie znajomków do rozegrania kilku partii po pracy. Podobnie jak alkoholicy, hazardziści potrafią się wyczuć nawzajem. Przyjacielskie rozgrywki z zakładami o funta czy piątaka szybko jednak przestały mi wystarczać.

Spotkałem pewnego człowieka. Zawsze jest jakiś człowiek, który wszystko zmienia. Diabeł siedzący ci na ramieniu i szepczący do ucha. Któregoś wieczoru zbierałem się do wyjścia z pubu, lekko sterany, gdy jeden ze stałych bywalców –

niski, błądy gość, którego imienia nie znałem, ani też nie zapytałem o nie – przywołał mnie gestem i zapytał: *Masz ochotę zagrać na poważnie?*

Powinienem był odmówić. Z uśmiechem powiedzieć, że jest już późno, a ja za kilka godzin muszę być w pracy, nie wspominając już o stercie prac domowych, które powinienem ocenić. Przypomnieć mu, że jestem nauczycielem, a nie szulerem. Jeździłem toyotą, kupowałem kawę w Coście i kanapki w Marks & Spencer. Tak wyglądał mój świat. Powinienem był odejść, złapać taksówkę, wrócić do domu i żyć dalej.

Ale tego nie zrobiłem.

Zamiast tego spytałem: *Gdzie?*

Dużo później, gdy już dotarło do mnie, że wszystko straciłem, kiedy długi zaczęły mi się piętrzyć pod stopami niczym niewybuchy, gdy musiałem sprzedać toyotę, straciłem pracę, nie miałem już od kogo pożyczać pieniędzy, któregoś wieczoru zostałem wciągnięty na tył furgonetki, gdzie siedziała Gloria, uśmiechając się trochę jak amerykańska cheerleaderka, a trochę jak amerykański seryjny morderca.

Powiedziałem wtedy:

– Nie! Błagam, nie!

Nie kuleję teraz z powodu wypadku samochodowego sprzed dwudziestu pięciu lat, chociaż przez jakiś czas po nim rzeczywiście kulałem. Jednak tamten uraz nogi i tamte blizny były już dawno zagojone, gdy Gloria przyłożyła mi do ust jeden ze swoich pomalowanych na różowo paznokci i szepnęła słodko:

– O nic nie błagam, Joe. Nie znoszę mężczyzn, którzy to robią.

Przestałem więc błagać i zacząłem krzyczeć.

Stuka paznokciami – tego wieczoru pomalowanymi na błyszczący czerwony kolor – w kierownicę. Z głośników dudni piosenka zespołu Human League.

Każda cząstka mnie kuli się z przerażenia. Poza krzywdzeniem ludzi Gloria uwielbia muzykę z lat osiemdziesiątych. Nie mogę słuchać Cyndi Lauper, bo za każdym razem pędzę do łazienki zwymiotować. Również z tego powodu nie

chadzam na imprezy w klimacie tamtych lat.

– Jak mnie znalazłaś?

– Mam swoje sposoby.

Na moment zamiera mi serce.

– Chyba nie przez Brendana?

– Ależ nie, nic mu nie jest. – Posyła mi karcące spojrzenie. – Nie krzywdzę ludzi bez powodu. Nawet ciebie.

Zalewa mnie fala ulgi i, co w naszej sytuacji wydaje się dość idiotyczne, także wdzięczności. Nagle coś sobie przypominam.

– A co z tamtymi? Gośćmi, którzy mnie zaatakowali?

– No tak, Głupi i Głupszy. Zwichnięty bark i złamany nos. Potraktowałam ich łagodnie. Szybko zwiali.

Nie, myślę sobie. Założę się, że było inaczej. Gloria może i wygląda jak laleczka z chińskiej porcelany, ale jedyna lalka, z którą ma cokolwiek wspólnego, to Chucky. Podobno w dzieciństwie była gimnastyczką, ale zmieniła specjalność na sztuki walki. Zabroniono jej udziału w zawodach po tym, jak jedna z jej przeciwniczek zapadła w śpiączkę. Ta kobieta jest szybka, silna i zna wszystkie słabe punkty w ludzkim ciele. O niektórych z nich nie mają pojęcia nawet anatomowie.

Spogląda na mnie.

– Zabiliby cię, gdybym im nie przeszkodziła.

– I oszczędziliby ci pracy.

Cmoka z niezadowoleniem.

– Martwy nie jesteś mi do niczego potrzebny. Martwi ludzie nie spłacają swoich długów.

– Pocieszające.

– A Fatman nadal chce odzyskać swoje pieniądze.

– Ludzie naprawdę go tak nazywają czy zaczerpnął tę ksywkę z komiksu?

Zanosi się gardłowym śmiechem.

– Właśnie z powodu takich komentarzy jak ten Fatman wynajmuje ludzi takich

jak ja, żeby dali ci po mordzie.

– Miły gość. Koniecznie muszę go poznać.

– Nie polecam.

– Zbieram dla niego pieniądze. Właśnie dostałem nową pracę.

– Joe, nie chcę być niemiła, ale parę funtów nie załatwi sprawy. Chodzi o trzydzieści kawałków. Właśnie tyle chce dostać Fatman.

– T r z y d z i e ś c i? To przecież dużo więcej niż...

– W przyszłym miesiącu zażąda czterdziestu. Wiesz, jak to działa.

Wiem. Kiwam głową.

– Mam plan.

– Zamieniam się w słuch.

– Pewnemu człowiekowi bardzo zależy na tym, żebym się stąd wyniósł.

– Chyba nie mówisz o tym samym człowieku, który nasłał na ciebie tych zbirów?

– Właśnie o nim.

– Teraz dla odmiany da ci kupę szmalu?

– Owszem.

– A niby dlaczego?

Z powodu tego, co się stało. Tego, co zrobił. Jak sam powiedział, wiedzie tu całkiem przyjemne życie, które mógłbym zniszczyć jednym ruchem.

– Jest mi coś winien – wyjaśniam. – I nie chce mieć przeze mnie kłopotów.

– Ciekawe. Kim jest ten człowiek?

– Radnym i biznesmenem.

Skreca w stronę wioski.

– Lubię osoby publiczne. Można spierdolić im życie na wiele różnych sposobów, nie sądzisz?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– A powinienes. Takich ludzi najłatwiej jest skrzywdzić. Tych, którzy mają najwięcej do stracenia.

– W takim razie powinienem być bezpieczny.

– Cóż, każdego można zranić. Ale najłatwiej jest się otrząsnąć z bólu fizycznego.

W tym momencie każda cząstka mojego ciała mogłaby powiedzieć coś zupełnie odwrotnego, lecz milczę. Rozmawianie z Glorią o bólu jest kiepskim pomysłem. To jak zaprosić kłusownika na safari.

Przez chwilę jedziemy w milczeniu. W pewnym momencie Gloria wzdycha.

– Lubię cię, Joe...

– Okazujesz to w zabawny sposób.

– Wyczuwam nutkę sarkazmu.

– Zrobiłaś ze mnie kalekę.

– Raczej uchroniłam cię przed kalectwem. – Zatrzymuje się przed domem i zaciąga ręczny hamulec. – Fatman chciał, żebym uszkodziła ci z d r o w ą nogę.

Odwraca się i delikatnie kładzie mi rękę na udzie.

– Na szczęście dla ciebie jestem tylko postrzeloną kobitką z Manchesteru i coś mi się pomyliło.

Wpatruję się w nią ze zdumieniem.

– Mam ci za to podziękować?

Znowu się do mnie uśmiecha. Byłby to całkiem przyjemny uśmiech, gdyby rozświetlił jej martwe błękitne oczy. Jeśli rzeczywiście są one zwierciadłem duszy, to w oczach Glorii odbijają się wyłącznie puste pokoje ze ścianami pochłapanymi krwią.

Przesuwa rękę po moim udzie, aż do kolana, a później mocno zaciska na nim palce. Jak na tak drobną kobietkę ma mocarny uścisk. W innych okolicznościach mogłoby to być całkiem przyjemne, ale teraz nie mogę złapać tchu. Ból jest tak okropny, że nie daję rady nawet krzyknąć. Gdy już mi się wydaje, że zemdleję, rozluźnia chwyt. Gwałtownie łapię powietrze i opadam na fotel.

– Nie chcę, żebyś mi dziękował, tylko załatwił te trzydzieści kawałków, bo następnym razem nie będę tak kurewsko miłosierna.

12

– Nic nie mów – odzywa się Beth. – Powinnam zobaczyć, jak oberwał walec drogowy?

Próbuję unieść brew. Ależ to boli. Tego ranka boli mnie każda część ciała. Poczucie jest tylko to, że dzięki temu ból w nodze wydaje się znośny.

– Bardzo zabawne. – Przysiadam się do jej stolika w stołówce. – Wybacz, że się nie śmieję, ale wolałbym sobie niczego nie uszkodzić.

Spogląda na mnie z nieco większym współczuciem. Albo po prostu coś utknęło jej w gardle.

– Co ci się stało?

– Spadłem ze schodów.

– Naprawdę?

– To były bardzo strome schody.

– Jasne.

– Na których łatwo się potknąć.

– Aha.

– Mówisz tak, jakbyś mi nie wierzyła.

Wzrusza ramionami.

– Po prostu jestem ciekawa, czy znowu udało ci się kogoś wkurzyć.

– Masz o mnie kiepskie zdanie.

– Nie. Uważam tylko, że jesteś mistrzem w wyprowadzaniu ludzi z równowagi.

Śmieję się. I oczywiście znowu mnie boli.

– Dobrze, że potrafisz się z tego śmiać.

– Z trudem.

Wyraz jej twarzy łagodnieje.

– A poważnie, nic ci nie jest? Gdybyś chciał pogadać...

Zanim zdążę odpowiedzieć, owiewa mnie zapach nieświeżego oddechu i kiepskiej wody kolońskiej. Odkasłuję i odsuwam kanapkę na bok. Gwoli sprawiedliwości dodam, że i tak nie byłem bardzo głodny.

– Joey, chłopie.

Myślałem, że nie mogę go już bardziej zniechęcić, ale słysząc, jak zdrabnia moje imię, jednak mi się to udaje.

Simon odsuwa krzesło i siada. Dziś ma na sobie koszulkę z symbolem magicznego ronda w Swindon i bordowe sztruksy. B o rd o we.

– O rany, co ci się stało w twarz, chłopie? A może powinienem zobaczyć tego drugiego?

– Ma naprawdę mocno posiniaczone knykcie – żartuje Beth.

Simon śmieje się bez przekonania. Podejrzewam, że nie przepada za kobietami, które są mądre lub zabawne. Czuje się przy nich gorszy. I słusznie. A moja twarz wcale tak bardzo nie ucierpiała. Mam tylko podbite oko i rozciętą wargę.

– Spadłem ze schodów – mówię.

– Naprawdę? – Kręci z niedowierzaniem głową. – Myślałem, że może ma to jakiś związek ze Stephenem Hurstem.

Wlepiam w niego wzrok.

– Co takiego?

– Widziałem, jak rozmawialiście w barze.

– Byłeś tam?

– Wpadłem napić się piwa.

I trochę mnie pospieszować. Ta myśl przychodzi mi do głowy nieproszona. Może i popadam w paranoję, ale dlaczego do mnie nie podszedł?

– Nie chciałem ci przeszkadzać – wyjaśnia. Brzmi to jak dobrze przećwiczone kłamstwo.

– A co rozmowa ze Stephenem Hurstem mogłaby mieć z tym wspólnego? –

pytam niewinnie. Skoro chce ze mną grać w słodkie kłamstewka, niech wie, że jestem w tym całkiem niezły.

Simon uśmiecha się do mnie. Naprawdę wolałbym, żeby tego nie robił.

– No cóż, tak między nami mówiąc... Stephen Hurst może i sprawia wrażenie szanowanego radnego, ale chodzą słuchy, że nie waha się skorzystać z mniej profesjonalnych metod, kiedy ktoś zalezie mu za skórę.

– Co masz na myśli?

– Jeremy Hurst poróżnił się kiedyś z nauczycielem WF-u – wtrąca się do rozmowy Beth. – Zanim ten facet zdążył się zwolnić, nadział się na czyjeś pięści, gdy wracał wieczorem do domu.

Patrzy na mnie i wtedy uzmysławiam sobie, że ona wie. Wiedziała już w chwili, gdy – z grymasem bólu na twarzy – przysiadłem się do jej stolika.

– Nie powinniście wierzyć plotkom – odpowiadam ze spokojem.

– Słuszna uwaga – stwierdza Simon, po czym hałaśliwie rozpakowuje kanapkę z kurczakiem i równie hałaśliwie odgryza jej kęs. Pewnie nawet śpi hałaśliwie. –

Tak sobie jednak pomyślałem... – mamrocze pod nosem. – Pamiętasz Carol Webster?

– Słucham?

– Ze Stockford Academy. Była tam wicedyrektorką.

Usiłuję zachować neutralny wyraz twarzy, chociaż moje serce przyspiesza niczym biegacz na widok linii mety. Nie jestem zachwycony kierunkiem, w którym zmierza nasza rozmowa.

– Obawiam się, że nie.

Owszem, pamiętam ją. Miała potężną nadwagę, strzechę kręconych ciemnych włosów i wiecznie malujące się na twarzy niezadowolenie – z siebie, ze szkoły albo świata w ogóle, nigdy nie byłem pewien.

– Cóż, utrzymujemy ze sobą kontakt za pośrednictwem Facebooka.

No jasne, że tak. Facebook jest przecież miejscem, gdzie ludzie pozbawieni przyjaciół w prawdziwym życiu utrzymują kontakty z ludźmi, z którymi w prawdziwym życiu nie mieliby ochoty się przyjaźnić.

– To miło.

– Pamięta cię, czy raczej pamięta twoje odejście.

– Tak?

– Mniej więcej w tym samym czasie ze szkolnego sejfu zniknęły wszystkie pieniądze.

Przyglądam mu się ze spokojem.

– Chyba coś ci się pomyliło. Słyszałem, że je zwrócono.

Głodzi się po brodzie w udawanym geście zamyślenia.

– Ach tak. Chyba właśnie dlatego nie zaangażowano policji w całą tę sprawę, tylko zamieciono ją pod dywan.

Beth piorunuje go wzrokiem.

– Czyżbyś oskarżał o coś pana Thorne’a? Bo jesteś subtelny jak cholerny czołg.

Simon unosi ręce, jakby się poddawał.

– Ależ nie. Nic z tych rzeczy. Tłumaczę tylko, dlaczego go zapamiętała. Z powodu zbieżności zdarzeń. A skoro o przewinieniach mowa – spogląda na zegarek – muszę porozmawiać z uczniem, który coś przeskrobał. – Wstaje, sięgając po swoją kanapkę. – Złapię was później.

– Tak – mówię. – Koniecznie.

– Chyba że wcześniej zdążymy się przeciwko tobie zaszczepić – mamrocze pod nosem Beth, uśmiechając się słodko.

Patrzę za odchodzącym Simonem, marząc o tym, by pochłonęła go ziemia, sufit zwałił mu się na głowę albo żeby doznał spontanicznego samozapłonu.

– Nie przejmuj się nim – radzi mi Beth.

– Wcale się nie przejmuję.

– Akurat. Simon jest beznadziejnym nauczycielem, ale potrafi zaleźć za skórę. Jeśli masz jakiś słaby punkt, na pewno się o nim dowie i rzuci się na niego jak wygłodniały pies.

– Dzięki za malowniczy opis.

– Nie ma za co. – Wkłada kęs makaronu do ust. – Ale nie zrobiłeś tego, prawda?

– Czego?

– Nie wyprowadziłeś pieniędzy ze swojej dawnej szkoły?

– Nie.

Chciałem to zrobić. Naprawdę upadłem tak nisko. Ale kiedy przyszło co do czego, po prostu nie mogłem.

Bo ktoś mnie uprzedził.

– Przepraszam – mówi Beth. – Nie powinnam była cię o to pytać.

– Nie ma sprawy.

– Harry był co prawda zdeterminowany, żeby znaleźć nowego nauczyciela angielskiego, bo umówmy się, że ta posada to taki trochę zatruty kielich...

– Nie ma o czym mówić.

– Ale nawet Harry nie...

– S k o ń c z j u ż.

Dałem się ponieść nerwom. Beth patrzy na mnie z urazą. Nie chcę stracić jedyne go sprzymierzeńca, jakiego mam.

– Przepraszam – mówię. – Jestem trochę obolały i...

– Nie, w porządku. – Kręci głową. Dostrzegam błysk jej srebrnych kolczyków. – Czasami nie wiem, kiedy powinnam się zamknąć.

– Nie w tym rzecz...

W mojej kieszeni zaczyna wibrować telefon. Najchętniej bym go zignorował, ale to może być Gloria, która poprzedniego wieczoru dała mi jasno do zrozumienia, że nie należy jej ignorować.

– Przepraszam – mówię znowu. – Muszę tylko...

– Śmiało.

Wyjmuję telefon z kieszeni i zerkam na wyświetlacz. To jednak nie Gloria. Wlepiam wzrok w wiadomość. W skórę wbijają mi się miliony maleńkich, lodowatych wideł.

– Coś się stało?

Tak.

– Nie. – Chowam telefon do kieszeni. – Ale właśnie sobie przypomniałem, że muszę dokądś pójść.

- Teraz?
- Natychmiast.
- Za trzydzieści minut zaczynasz lekcję.
- Zdamę wrócić.
- Dobrze wiedzieć, Arnie.

Wkładam kurtkę, krzywiąc się z bólu.

- Do zobaczenia.
- Patrz pod nogi.

Marszczę brwi.

- Dlaczego?

Figlarnie unosi brew.

- Chyba nie chcesz znowu spaść ze schodów?

13

Kościół pod wezwaniem Świętego Judy mieści się w niewielkim zakopconym budynku i bardziej przypomina zniszczoną harcówkę niż miejscową parafię. Nie ma tu iglicy, jedynie krzywy, dziurawy dach, w którym brakuje dachówek. Okna zakratowano, drzwi zabito deskami. W środku gromadzą się już tylko wrony i gołębie.

Otwieram bramę i ruszam porytą koleinami ścieżką. Cmentarz przed kościołem również wygląda na zaniedbany. Od dawna nikogo tu nie chowano. Moi rodzice i siostra zostali skremowani w wielkim krematorium w Mansfield.

Nagrobki są poodpryskiwane i popękane, inskrypcje zniszczone przez pogodę i upływający czas, a niektóre z nich kompletnie nieczytelne. Korzenie drzew podważyły i wyróciły najstarsze groby, które leżą teraz pośród trawy i chwastów.

Tak bardzo się staramy zaznaczyć swoje miejsce na tym świecie, myślę. Zostawić po sobie jakiś ślad. Jednak nawet te ślady okazują się ulotne i nietrwałe. Walka z czasem nie ma sensu. To jak próbować wbiec na górę po pędzących coraz szybciej w dół ruchomych schodach. Czas płynie bezustannie, wiecznie zajęty, zawsze sprzątający po sobie, pozbywający się staroci i zastępujący je czymś nowym.

Powoli obchodzę kościół. Teren nieco się podnosi; jest coraz mniej nagrobków. Staję i zaczynam się rozglądać. Przez chwilę go nie widzę. Może już go tu nie ma. Może ta wiadomość była tylko... i wtedy go zauważam. Stoi na samym końcu cmentarza, porośnięty dzikim bluszczem i innym pnączem.

Posąg anioła. Nie jest to żaden pomnik ani element nagrobka. Pewnie postawili

go tu właściciele tej kwatery jeszcze w czasach wiktoriańskich. Niektórzy mówili, że upamiętnia ich córki bliźniaczki, zmarłe w niemowlęctwie, ale kiedyś rozkopano ten grób (miało to jakiś związek z tym, że był nieoznakowany) i nie znaleziono w nim żadnych ludzkich szczątków.

Tak naprawdę nikt nie wie, skąd się wzięła ta figura ani dlaczego tam stała. Już nawet nie przypomina anioła. Zamiast rąk ma połamane kikuty, a głowa gdzieś się zapodziała. Stoi trochę krzywo i chwiejnie na kanciastych kamiennych stopach. Jej dawniej rozwiane szaty są teraz poodpryskiwane i popękane, porośnięte puchatym mchem, tak jakby natura otuliła ją dodatkową warstwą, by ochronić kamienne kości przed chłodem.

Schylam się – doznając nowego, intrygującego rodzaju bólu, który przypomina mi o tym, że powinienem niedługo zażyć leki – odgarniając z cokołu trawę i mech. Napis jest nieco wyblakły, ale wciąż da się go odczytać.

A Jezus rzekł do nich: „Pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie, nie przeszkadzajcie im; do takich bowiem należy Królestwo Boże”⁴.

Jeszcze raz spoglądam na treść wiadomości w swoim telefonie:

Poduście dzieci. Jebać je. Rozwalić na kawałki.

Wiele lat temu banda nastolatków namazała sprejem różne napisy na figurze anioła. Ta sama banda przyniosła łopatę i odłupała nią głowę oraz ręce, okaleczając go raz na zawsze. Nie mieli powodu, żeby dopuścić się tego ataku. Był to bezmyślny akt wandalizmu dokonany pod wpływem taniego cydru i nastoletniej brawury.

Dekapitacja i napisy były pomysłem Hursta, ale ich treść – przyznaję się do tego ze wstydem – wymyśliłem ja. Wtedy, z pęcherzem pełnym alkoholu, podburzany przez resztę paczki, byłem z siebie cholernie zadowolony.

Później, wisząc nad toaletą, gdy wypluwałem z siebie żółć zmieszaną ze wstydem, poczułem się jak ostatni gnój. Nie byłem szczególnie religijny, podobnie jak reszta mojej rodziny, lecz i tak wiedziałem, że to, co zrobiliśmy, było złe.

Nawet dwadzieścia pięć lat później czuję się niekomfortowo na samo wspomnienie. Zabawne jest to, że dobre wspomnienia przypominają motyle: są

ulotne, kruche i nie da się ich schwytać, nie miażdżąc ich. Z kolei te złe – poczucie winy, wstyd – tkwią w człowieku niczym pasożyty, po cichu zżerając go od środka.

Tamtego dnia było nas czterech: Hurst, Fletch, Chris i ja. Marie akurat wtedy z nami nie było. Spędzała z nami coraz więcej czasu, ku rosnącej irytacji Fletcha, który nie chciał mieć w paczce dziewczyny, ale zdarzało się, że robiliśmy coś bez niej. Hurst pewnie i tak jej później o wszystkim opowiedział. A w szkole plotki szybko się roznoszą. To, że wycieliśmy ten numer we czterech, wcale nie oznacza, że nikt inny nie miał o nim pojęcia.

Osoba, od której dostałem tę wiadomość, musiała z nami chodzić do szkoły. Może ten sam człowiek przysłał mi maila? Próbowałem zadzwonić pod numer nadawcy i od razu połączyłem się z pocztą głosową. Wysłałem więc SMS-a. Nie spodziewam się odpowiedzi. Nadawcy nie zależało chyba na rozmowie ze mną. Chciał, żebym tu przyszedł. Tylko po co?

Prostuję się i patrzę na bezgłowego anioła, ale nie doznaję niebiańskiego olśnienia. Ciekawe, co się stało z jego głową i dłońmi. Pewnie są gdzieś w kościele, a może jakiś oszołom zabrał je sobie na pamiątkę i schował pod klepkami w podłodze. Dochodzę do wniosku, że to i tak lepsze niż kolekcjonowanie l u d z k i c h głów.

Coś mi umknęło. Coś oczywistego. Przyglądam się dziwnie przechylonej figurze. I wtedy mnie olśniewa. Obchodzę posąg i znowu przykucam.

W miejscu, w którym korzenie pnączy zaczęły wypychać figurę do góry, zauważam wykopaną w wilgotnej ziemi dziurę, w którą coś wepchnięto. Zanurzam dłonie w zimnej, mokrej glebie, krzywiąc się z niesmakiem. Jest tam jakaś paczka, zabezpieczona plastikiem. Pociągam za nią parę razy i w końcu wyciągam na powierzchnię. Strzepuję z niej resztki ziemi i kilka szczypawek. Przyglądam się pakunkowi, obracając go w dłoniach: jest formatu A4 i grubości połowy przeciętnej książki w miękkiej oprawie. Owinięto go kawałkiem worka na śmieci i zabezpieczono taśmą izolacyjną. Będę potrzebował nożyczek, żeby go otworzyć, co oznacza, że muszę wrócić do szkoły.

Chowam paczkę do torby (razem z podręcznikami i pracami uczniów, które

pewnie właśnie teraz powinienem sprawdzić). Zamykam ją, wstaję i nieco zwawszym krokiem obchodzę kościół. Zbliżam się do bramy, gdy zauważam, że nie jestem sam. Na jedynej ławce, pod starym jaworem, ktoś siedzi. Znajoma chuderlawa, zgarbiona postać. Serce podchodzi mi do gardła. Nie teraz. Muszę wrócić do szkoły i otworzyć paczkę. Nie mam czasu odgrywać roli zatroskanego nauczyciela ani pieprzonego dobrego samarytanina.

Później jednak górę bierze ta wkurzająca część mnie, która wcale nie ma dzieciaków w dupie i która wiele lat temu przekonała mnie, by zostać nauczycielem.

Podchodzę do ławki.

– Marcus?

Unosi wzrok, lekko się przy tym wzdrygając. Typowa reakcja kogoś, kto spodziewa się wyłącznie zniewag albo ciosów.

– Co tu robisz? – pytam.

Wierci się na ławce, czerwieniejąc jak burak.

– Nic.

– Jasne.

Czekam. Bo czasami to najlepsze wyjście. Nie należy zmuszać dzieciaków do mówienia. Lepiej się wycofać i zaczekać, aż same to zrobią.

Marcus wzdycha.

– Przychodzę tu, żeby zjeść drugie śniadanie.

Już mam zapytać „dlaczego”, ale to by było głupie. Dlaczego Ruth Moore codziennie jadła lunch na przystanku autobusowym na końcu drogi, daleko od szkoły? Bo tak było bezpieczniej. Mogła się tam schować przed swoimi prześladowcami. Lepsza cuchnąca moczem wiata czy wilgotna ławka na zimnym cmentarzu niż rytualne upokorzenie w szkolnej stołówce czy na dziedzińcu.

– Ochrzani mnie pan za to, że uciekłem ze szkoły? – pyta Marcus.

Siadam obok niego, tłumiąc grymas bólu.

– Nie. Chociaż jestem ciekawy, jak udało ci się przejść przez bramki.

– Akurat panu powiem.

– Słusznie. – Rozglądam się. – Naprawdę nie ma lepszego miejsca?

– Nie w Arnhill.

Też prawda.

– Chowasz się tu przed Hurstem?

– A jak pan myśli?

– Posłuchaj...

– Jeśli chce mi pan powiedzieć, że powinienem się postawić Hurstowi, bo ci, którzy się znęcają nad innymi, szanują taką postawę, lepiej niech pan sobie schowa te bzdety do swojej głupiej torby, razem z egzemplarzem „Guardiana”.

Patrzy na mnie wyzywająco. I ma rację. Prześladowcy wcale nie szanują tych, którzy się im stawiają, tylko gnębią ich jeszcze bardziej. Bo zawsze mają przewagę liczebną. Równanie jest proste.

Próbuję go podejść inaczej.

– Nie powiem tego, Marcusie, bo to rzeczywiście bzdety. Najlepsze, co możesz zrobić, to nie rzucać się w oczy, nie wchodzić w drogę Hurstowi i jakoś sobie radzić. Nie będziesz wiecznie chodził do szkoły, chociaż teraz tak właśnie ci się wydaje. Możesz za to przyjść do mnie. Wiem, jak poradzić sobie z Hurstem. Możesz na mnie liczyć.

Patrzy na mnie przez chwilę, zastanawiając się, czy wciskam mu głodne kawałki, czy naprawdę może mi zaufać. Na dwoje babka wróżyła. W końcu lekko kiwa głową.

– Nie chodzi tylko o mnie. Hurst wyżywa się na wielu dzieciakach. Wszyscy srają przed nim w gacie... nawet nauczyciele.

Myślę o tym, co powiedziała w pubie Beth, że Julia Morton była wychowawczynią Hursta. I o zaginięciu Bena.

– A pani Morton? W zeszłym roku była jego wychowawczynią, prawda?

– Tak, ale ona się go nie bała. Przypominała trochę... pana.

Biorąc pod uwagę, że zabiła własnego syna i odstrzeliła sobie głowę, nie jestem pewien, czy powinienem to uznać za komplement.

– Znałeś Bena Mortona? – pytam.

– Nie bardzo. Chodził do pierwszej klasy.

– A co z Hurstem? Znęcał się również nad Benem?

Kręci głową.

– Hurst nie czepiał się Bena. Ben był popularny. Miał kumpli... – zawiesza głos.

– Ale...?

Rzuca mi ukradkowe spojrzenie.

– Wiele młodszych dzieciaków próbuje zaimponować Hurstowi. Mieć go po swojej stronie. Należać do jego paczki.

– I?

– Hurst każe im robić różne... wyzwania.

– Coś w rodzaju inicjacji?

Przytakuje.

– Na przykład?

– Różne rzeczy. Naprawdę żałosne.

– Na terenie szkoły?

– Nie. Jest takie miejsce, o którym wie Hurst... na terenie dawnej kopalni.

Krew zastyga mi w żyłach.

– Na terenie czy w e w n ą t r z niej? Znalazł tam coś? Tunele, jaskinie?

Bezwiednie podniosłem głos. Marcus wpatruje się we mnie.

– Nie wiem, okej? Nigdy nie chciałem należeć do pieprzonej bandy Hursta.

Za mocno go przycisnąłem. A on d o s k o n a l e wie. Po prostu nie jest jeszcze gotowy, żeby mi o tym powiedzieć. Ale i tak sporo się dowiedziałem. Pozwalam chwili przeminąć. Możemy do tego wrócić przy innej okazji. W przypadku dzieciaków takich jak Marcus zawsze nadarza się „inna okazja”. Hurst może i jest niewybredny w zastraszaniu, ale – tak jak to było z jego rodzicami – każdy prześladowca ma ulubioną ofiarę, nawet jeśli się do tego nie przyznaje.

Ponownie rozglądam się po cmentarzu.

– Wiesz, że kiedy byłem nastolatkiem, czasem tu przychodziliśmy?

– Naprawdę?

– Tak, żeby... – *niszczyć posągi aniołów* – się napić, zapalić, takie tam. Pewnie

nie powinienem ci tego mówić.

– Lubię patrzeć na stare nagrobki – wyznaje Marcus. – Czytać nazwiska zmarłych. Wyobrażać sobie, jakie mieli życie.

Krótkie, ciężkie i smutne, myślę. Właśnie tak wyglądało życie większości ludzi w dziewiętnastym wieku. Mamy tendencję do idealizowania przeszłości w dramatach historycznych i olśniewających adaptacjach filmowych. To trochę tak jak z naturą. Nie jest piękna, tylko brutalna, nieprzewidywalna i bezlitosna. Zjadasz albo zostajesz zjedzony. Taka właśnie jest natura, niezależnie od tego, ile odcinków programów przyrodniczych Davida Attenborough i teledysków Coldplaya obejrzysz.

– Większości ludzi, którzy żyli w tamtych czasach, los nie oszczędzał – zauważam.

Kiwa głową, nagle podekscytowany.

– Właśnie. Wie pan, ile wynosiła średnia długość życia w dziewiętnastym wieku?

Unoszę ręce w obronnym geście.

– Uczę angielskiego, nie historii.

– Czterdzieści sześć lat, jeśli miało się szczęście. A Arnhill było wioską przemysłową. Robotnicy z niższych sfer żyli jeszcze krócej. Umierali z powodu infekcji płuc, wypadków w kopalni i, oczywiście, typowych chorób, takich jak czarna ospa czy tyfus.

– Nie najlepsze czasy, żeby się w nich urodzić.

Oczy mu rozbłyskują. Wyczuwam, że weszliśmy na jego ulubiony temat.

– Racja, to też. W tamtych czasach kobiety rodziły przeciętnie od ośmiorga do dziesięciorga dzieci. Jednak wiele z nich umierało w niemowlęctwie albo zanim jeszcze weszły w wiek dojrzewania. – Milknie na moment, żebym mógł to sobie przyswoić. – Zauważył pan coś dziwnego w tym miejscu?

Rozglądam się.

– Poza tym, że pełno tu umarłaków?

Znowu się przede mną zamyka. Myśli, że się z niego nabijam.

– Przepraszam, głupi żart. Mam do nich słabość. Powiesz mi?

– Czego brakuje na tym cmentarzu?

Ponownie rozglądam się wokół siebie. Rzeczywiście c z e g o ś brakuje. Czegoś bardzo oczywistego, na co powinienem był zwrócić uwagę już wcześniej. Rozwiązanie tkwi gdzieś w zakamarkach mojego umysłu, ale nie potrafię po nie sięgnąć.

Kręcę głową.

– Mów dalej.

– Nie leży tu ani jedno dziecko bądź młoda osoba. – Patrzy na mnie triumfalnym wzrokiem. – W takim razie gdzie podziały się wszystkie dzieci?

14

Kiedy Annie miała jakieś trzy latka, zapytała mnie: *Gdzie się podziały wszystkie bałwany?*

Pytanie wcale nie było pozbawione sensu. Mieliśmy wtedy listopad i parę dni wcześniej napadało dużo śniegu. Dzieciaki wyległy na dwór, żeby rzucać się śnieżkami i toczyć z nich bezkształtne bryły, w niczym nieprzypominające bałwanów, które można zobaczyć na filmach lub bożonarodzeniowych kartkach. Prawdziwe bałwany nigdy tak nie wyglądają. Ich kształt znacznie odbiega od kuli, natomiast śnieg nigdy nie jest biały, tylko zmieszany ze sporą ilością błota, trawy, a czasami psiego gówna.

W tamten weekend wszędzie widziało się te pokraccze, brzydkie bałwany. W każdym parku, ogrodzie i na każdym podwórku. Z okna Annie można było zobaczyć co najmniej parę bałwanów przed sąsiednimi domami. Oczywiście sami też ulepiliśmy bałwana i, chociaż był mały, nie wyglądał najgorzej. Miał oczy i usta z węgielków, a na głowie starą wełnianą czapkę. Ręce zrobiłem mu z dwóch szkolnych linijek – przy naszej ulicy nie rosły drzewa, nie było więc gałązek ani patyków.

Annie była nim zachwycona. Każdego ranka zrywała się z łóżka i sprawdzała, czy wciąż stoi na swoim miejscu. Trzeciego dnia temperatura wzrosła, zaczęło padać i przez noc z ulic zniknął cały śnieg wraz ze wszystkimi bałwanami.

Annie podbiegła do okna i posmutniała na widok wszystkich tych rozrzuconych węgielków, przemoczonych czapek i oddzielonych od ciała, prowizorycznych kończyn.

– Gdzie się podziały wszystkie bałwany?

– No cóż, śnieg się rozpuścił – odparłem.

Posłała mi zniecierpliwione spojrzenie.

– Wiem, ale gdzie się podziały b a ł w a ny? Dokąd p o s z ły?

Nie mogła zrozumieć, że kiedy rozpuścił się śnieg, razem z nim rozpuściły się bałwany. Dla niej były one czymś odrębnym: prawdziwym, solidnym, materialnym. Ludzikami ze śniegu. Skoro już zostały stworzone, nie mogły tak po prostu zniknąć. Musiały g d z i e ś być.

Próbowałem jej to tłumaczyć. Powiedziałem, że możemy ulepić nowego bałwana, kiedy znowu spadnie śnieg, lecz odparła:

– To już nie będzie to samo. To nie będzie m ó j bałwan.

Miała rację. Niektóre rzeczy takie właśnie są – unikatowe, przemijające. Można je kopiować, odtwarzać, ale nigdy już do nas nie wróca. Nie w tej samej formie.

Szkoda, że Annie musiała umrzeć, bym to sobie uświadomił.

Siedzę na kanapie, ubrany w płaszcz, a przede mną, na stoliku kawowym, leży tajemnicza paczka. W szkole nie miałem okazji jej otworzyć. Po powrocie z cmentarza byłem już spóźniony na lekcję. W przerwie musiałem ocenić prace, a gdy wreszcie przebrnąłem przez ostatnią lekcję, marzyłem już tylko o tym, żeby wynieść się z budynku.

Odmówiłem nawet propozycji wypicia piątkowego drinka z Beth, Susan i Jamesem w Foksie, chociaż teraz żałuję. Miłe towarzystwo i zimne piwko w ciepłym pubie, choćby nawet i takim, nagle wydaje mi się znacznie przyjemniejszą perspektywą niż siedzenie w zimnej chatce bez telewizora, w towarzystwie moich rozłazących się na wszystkie strony, chroboczących kumpli z kibla.

Wpatruję się w paczkę. W końcu sięgam po nożyczki znalezione w kuchennej szafce i ostrożnie rozcinam plastik. W środku znajduje się teczka pełna papierów, spięta dwiema gumkami recepturkami.

Na wierzchu ktoś nabazgrał czarnym długopisem jedno słowo: „Arnhill”.

Sięgam po drinka i upijam spory łyk.

Każde miasto, miasteczko i wioska ma swoją historię. Zazwyczaj więcej niż jedną. Istnieje historia oficjalna. Wysznięta na wiór wersja przedstawiana w podręcznikach i spisach ludności, powtarzana w klasie.

Jest też historia przekazywana z pokolenia na pokolenie. Opowieści wymieniane między sobą w pubie, nad kubkami z herbatą, w towarzystwie wiercących się w wózkach niemowląt, w zakładowych stołówkach i na placach zabaw.

Tajemna historia.

W roku 1949 po katastrofie w kopalni węgla w Arnhill osiemnastu górników zostało przysypanych kilkoma tonami gruzu i dławiącego pyłu. Zdołano wydobyć tylko piętnaście ciał.

Miejscowi pamiętali dudniący wstrząs, który rozniósł się po całej wiosce. Na początku myśleli, że to trzęsienie ziemi. Wybiegli w panice z domów. Nauczyciele szybko wyprowadzili dzieci z klas. Tylko najstarsi mieszkańcy Arnhill nie zaczęli uciekać. Siedzieli dalej, sącząc piwo i wymieniając między sobą zaniepokojone spojrzenia. Wiedzieli, że to kopalnia. A gdy kopalnia grzmi w taki sposób, zwykle jest już za późno.

Po huku przyszedł pył: czarne, kłębiące się chmury, które wypełniły niebo i przesłoniły słońce. Przenikliwe zawrodożenie kopalnianego alarmu poszybowało w ciemne niebo, a tuż po nim rozbrzmiały syreny karetek, straży pożarnej i policji.

Były raporty i dochodzenie. Nikogo jednak nie pociągnięto do odpowiedzialności. A trzech zaginionych górników pozostało zakopanych głęboko pod ziemią.

Oficjalnie.

N i e o f i c j a l n i e – bo kto opowiedziałby o tym komuś z zewnątrz albo dziennikarzowi? – wiele osób, w tym mój dziadek (szczególnie po paru piwach), zarzekało się, że widziało nocą w kopalni pogrzebanych górników. Jedna z wiejskich legend – przekazywana z ust do ust i za każdym razem lekko podkoloryzowana – mówiła o tym, że część załogi, której udało się przeżyć, siedziała pewnego dnia w pubie Bull i piła, gdy nagle drzwi się otworzyły i do

środką wparował Kenneth Dunn, najmłodsza z ofiar katastrofy, który zginął w wieku zaledwie szesnastu lat. Wyglądał jak żywy, chociaż był czarny od węglowego pyłu.

Barman odstawił ponoć szklanę, którą właśnie wycierał, zmierzył wzrokiem martwego chłopaka i powiedział: *Wynocha stąd, Kenneth. Jesteś za młody, żeby pić alkohol.*

Świetna historia o duchach; każda wioska ma wiele podobnych. Oczywiście żaden z górników nie przyznałby, że siedział tamtego wieczoru w pubie. A zapytany o to barman (już od dawna na emeryturze) tylko poklepałby się po pokrytym czerwonymi żyłami nosie i rzekł: *Musiałbyś mi postawić morze wódki, żebyś opowiedział ci, co się wtedy stało.*

Nikommu nie udało się tego zrobić, chociaż wielu próbowało.

Przy głównej ulicy stał budynek, w którym mieścił się ośrodek kultury. Nie ten oryginalny, który zburzono w latach sześćdziesiątych, po tym jak w wyniku osuwiska zawałowała się jedna ze ścian, przygniatając kilku górników i ich rodziny. Zginęły wtedy dwie kobiety i dziecko. Ludzie twierdzili, że chłopczyk nadal wałęsał się po nowym budynku i można go było czasem zobaczyć w długim, ciemnym korytarzu pomiędzy głównym barem a toaletami.

Jako dzieciak sączyłem oranżadę – tata zamawiał piwo, a mama piła małego lagera z limonką, kołysząc Annie w wózku (co piątek w ośrodku urządzano wieczorki rodzinne) – i powstrzymywałem się od sikania, dopóki nie wróciłem do domu. Jeśli już musiałem się załatwić, biegłem ile sił w nogach obskurnym korytarzem do toalet i z powrotem, przerażony tym, że któregoś wieczoru mógłbym poczuć dotyk zimnej dłoni na nadgarstku, odwrócić się i zobaczyć małego chłopca, z twarzą wciąż usmarowaną pyłem, w postrzępionych ubraniach i z zakrwawionym wgnieceniem w głowie, w miejscu, gdzie zmiażdżyło mu czaszkę.

W 1857 roku niejaki Edgar Horne zadźgał żonę nożem, został zlinczowany, powieszony na latarni, a później jego ciało pochowano w płytkim grobie na niepoświęconej ziemi. Legenda głosi, że kiedy go zakopywano, nadal żył.

Próbował się ratować i czasami można go zobaczyć, z włosami i ubraniami zabrudzonymi ziemią, siedzącego przy grobie żony. W Noc Guya Fawkesa w Arnhill palono kukłę przedstawiającą właśnie Edgara Horne'a, by upewnić się, że tym razem naprawdę umrze.

Mój tata zawsze kpił z podobnych rzeczy. Gdy tylko usłyszał, jak dziadek opowiada historię z Kennethem Dunnem, od razu tracił humor i mówił: *Daj spokój, Frank. Dymi ci się z uszu bardziej niż z komina kopalni.*

Czasami jednak, gdy słyszałem, jakim tonem to mówi, miałem wrażenie, że nie jest zły, tylko się boi. Nie kpi z dziadka, po prostu broni się przed tym, o czym wolałby nie myśleć.

Nawet mój tata musiał przyznać, że Arnhill prześladował pech. Co prawda w kopalni nie było już więcej katastrof, ale doszło do kilku mniej groźnych wypadków, przez które ludzie tracili czas, pieniądze, a jeden z górników stracił nogi. Kopalnia zyskała reputację przeklętej. Niektórzy górnicy niechętnie posyłali tam swoich synów. Chociaż w dalszym ciągu przynosiła dochody – a pod ziemią tkwiły tony rudy – w roku 1988 podjęto decyzję o zamknięciu kopalni węgla w Arnhill.

To, co było na dole, miało tam pozostać w niezmienionej formie i niezmaconym spokoju.

Przeglądam zawartość teczki strona po stronie. Cóż za upiornie fascynująca lektura. Niektóre fakty znałem, a przynajmniej tak mi się zdawało. Pewnych szczegółów nie byłem świadomy. Takich, które zatarły się podczas przekazywania historii. Zawsze wyobrażałem sobie Edgara Horne'a jako prostackiego potwora. Tymczasem był on powszechnie szanowanym lekarzem. Aż do pewnego gorącego letniego wieczoru, kiedy to poszedł do kościoła, zjadł na kolację rosół z ziemniakami i poderżnął śpiącej żonie gardło skalpelem.

O dziwo żaden z mieszkańców wioski nie został pociągnięty do odpowiedzialności za udział w linczu. Wszyscy kryli się nawzajem. Ciekawe, jak wielu ich potomków nadal mieszka w Arnhill i ilu z nich wie – o ile w ogóle ich to

obchodzi – o tym, że ich przodkowie mieli na rękach krew.

Im dalej cofamy się w czasie, tym bardziej mglista staje się historia wioski: składają się na nią zwykłe opowieści o biedzie, chorobach i przedwczesnych śmierciach. Tych ostatnich jest całe mnóstwo. Niektóre strony zostały zakreślone. Wyciągam jedną z nich:

PROCES O CZARY W NOTTINGHAMSHIRE

W szesnastym wieku w całej Europie odbywały się polowania na czarownice. Procesy w Arnhill rozpoczęły się w momencie, gdy niejaki Thomas Darling oskarżył swoją ciotkę o konszachty z diabłami, które wskrzeszały dla niej martwe niemowlęta. Darling twierdził również, że Mary Walkenden znosiła chore niemowlęta do jaskiń w górach, wymieniając ich dusze za życie wieczne.

Nazwisko Darling nic mi nie mówi, ale pamiętam, że chodziłem do szkoły z Jamiem Walkendenem. Ludzie naprawdę zapuszczają tu korzenie. Pokolenie za pokoleniem. Rodzą się tu, żyją i umierają.

Odkładam kartkę na bok i sięgam po kolejną.

EZEKERIAH HYRST – CUDOTWÓRCA (1794–1867)

Hyrst był słynnym uzdrowicielem duchowym, któremu przypisywano wiele cudów. Jak twierdzą świadkowie, uleczył chłopca z paraliżu obydwu nóg, wypędził diabła z kobiety i wskrzesił dziecko, które urodziło się martwe. Do większości tych zdarzeń doszło w Nottinghamshire, w niewielkiej wiosce o nazwie Arnhill.

Hyrst? Hurst? To nie może być zbieg okoliczności. A profesja szarlatana idealnie wpisuje się w ich rodzinne tradycje. Cuda i tragedie. Tragedie i cuda. Zawsze idą

w parze.

Odwracam kolejną kartkę i nagle nie mogę złapać tchu.

TRWAJĄ POSZUKIWANIA ZAGINIONEJ OŚMIOLATKI.

Ze zdjęcia uśmiecha się do mnie twarz Annie. Szeroki szczerbaty uśmiech, włosy wysoko związane w kucyk. Mama próbowała jej pleść warkocze, ale Annie nigdy nie potrafiła usiedzieć w miejscu. Była w ciągłym ruchu. Szukała przygód. Łaziła za mną. Nie muszę czytać tej historii. Przeżyłem ją. Odsuwam od siebie teczkę, sięgam po drinka i uświadamiam sobie, że szklanka jest pusta. A to ci niespodzianka. Wstaję i zamieram w bezruchu. Chyba coś usłyszałem. Skrzypnięcie podłogi w korytarzu? Niech to szlag. Czyżby odwiedziła mnie Gloria?

Odwracam się i czuję, jak uginają się pode mną kolana. To nie Gloria.

– Witaj, Joe.

15

Życie nie jest łaskawe dla nikogo.

Kładzie nam ciężary na barki, odbiera lekkość chodu. Odziera nas z rzeczy, na których nam zależy, i zatruwa nasze dusze poczuciem żalu.

W życiu nikt nie wygrywa. Wszyscy tracimy młodość, atrakcyjny wygląd. Przede wszystkim jednak tracimy tych, których kochamy. Czasami myślę, że starzejemy się nie z upływem lat, tylko ludzi i rzeczy, na których nam zależy. Tego procesu nie odwrócą igły ani wypełniacze. Cierpienie odbija się w oczach. Oczy, które wiele w życiu widziały, zawsze łatwo rozpoznać.

Wiem, bo sam mam takie oczy. Marie też.

Przycupnęła na wygniecionej sofie. Kolana razem, dłonie złożone ciasno na podolku. Jest szczuplejsza – znacznie szczuplejsza – niż tryskająca życiem nastolatka, którą pamiętam. Miała wtedy okrągłe policzki, w których robiły się dołeczki, gdy się śmiała. Jej kończyny były długie i smukłe, pokryte jędrnym młodym ciałem.

Teraz okryte dzinsem nogi są chude jak patyki, a policzki zapadnięte. Włosy wciąż ma grube, ciemne i lśniące. Dopiero po chwili dociera do mnie, że to musi być peruka. Brwi też ma starannie dorysowane kredką.

Krzątam się po salonie, tak samo skrępowany jak ona. Chowam papiery, które przeglądałem, z powrotem do teczki i wsuwam ją sobie pod pachę. Nie mam pojęcia, co widziała Marie ani jak długo tam stała, gdy już weszła do domu po tym, jak nie usłyszałem jej pukania. A przynajmniej t w i e r d z i, że pukała.

– Mogę ci zaproponować coś do picia? Kawa, herbata, coś mocniejszego?

Na dźwięk tych słów leciutko się krzywię. *Co za banał* – karcę się w myślach.

Marie przekrzywia głowę; włosy opadają jej na bok, jak dawniej.

– Jak mocnego?

– Piwo, burbon? Oczywiście nie próbowałaś jeszcze mojej kawy...

Dostrzegam na jej twarzy cień uśmiechu.

– Poproszę piwo.

Kiwam głową i idę do kuchni. Serce mi wali, czuję się trochę słabo. Pewnie dlatego, że mam pusty żołądek. Naprawdę powinienem coś zjeść. Albo napić się czegoś bezalkoholowego. Kolejny drink sprawi, że poczuję się jeszcze gorzej.

Otwieram lodówkę i wyciągam z niej dwa piwa.

Przed powrotem do salonu uchylam szafkę pod zlewem i chowam do środka teczkę. Idę do Marie i stawiam przed nią puszkę. Otwieram swoją, po czym upijam długi łyk. Myliłem się. Wcale nie czuję się gorzej. Lepiej też nie, ale mniejsza o to.

Siadam ciężko w fotelu.

– Kopę lat – mówię, jakbym zamienił się w maszynę wypluwającą z siebie frazesy.

– Owszem. Powiesz mi, że nic a nic się nie zmieniłam?

Kręcę głową.

– Wszyscy się zmieniamy.

Przytakuje, sięga po puszkę i bierze łyk piwa.

– Tak. Ale nie wszyscy umieramy na raka.

Zaskakuje mnie szczerść tego wyznania. A później, widząc, jak przechyla puszkę, domyślam się, że to nie jest jej pierwszy drink tego wieczoru.

– Pewnie już o tym słyszałeś – kontynuuje. – W końcu to Arnhill.

Kiwam głową.

– Jak idzie leczenie?

– Nie działa. Rak się rozprzestrzenia. Co prawda powoli, ale to niewiele zmienia.

– Bardzo mi przykro.

Banał za pieprzonym banałem. Po wypadku nie cierpiałem, gdy ludzie mówili,

że jest im przykro. Niby z jakiego powodu? Czy to wy spowodowaliście wypadek? Nie? W takim razie dlaczego jest wam przykro?

– Co mówią lekarze?

– Niewiele. Za bardzo się boją Stephena, żeby udzielić mi jasnej odpowiedzi. Zresztą on i tak uważa, że nic nie wiedzą. Chce mi załatwić badania kliniczne w amerykańskiej klinice imienia Bardona–Hope’a. Ponoć to jakaś nowa, cudowna terapia.

Ezekeriah Hyrst – cudotwórca – myślę, a później przypominam sobie, jak Stephen zagotował się wtedy w pubie: *Marie nie umrze. Nie dopuszczę do tego.*

– Powiedział ci, na czym ona polega? – pytam.

Kręci głową.

– Nie, ale jestem gotowa spróbować wszystkiego. – Wlepia we mnie spojrzenie zapadniętych oczu. – Chcę żyć. Chcę zobaczyć, jak mój syn dorasta.

To oczywiste. Każdy na jej miejscu postąpiłby tak samo. Tylko że cuda nie zdarzają się tak po prostu. Za każdy trzeba słono zapłacić.

Odwracam wzrok. Oboje pociągamy łyk piwa. Zabawne, że im więcej się razem przeżyło, tym mniej ma się sobie do powiedzenia.

– A więc uczysz w naszej szkole? – odzywa się wreszcie.

– Tak.

– Pewnie czujesz się trochę dziwnie?

– Rzeczywiście. Nie jestem już więźniem, tylko strażnikiem.

– Dlaczego wróciłeś?

Mail. Przymus. Niedokończone sprawy. Wszystko po trochu i żadne z powyższych. W sumie zawsze wiedziałem, że kiedyś tu wrócę.

– Właściwie sam nie wiem. Pojawiła się oferta pracy i pomyślałem, że to dobra okazja.

– Do czego?

– Co masz na myśli?

– Zdziwiłam się, słysząc, że wróciłeś. Nie sądziłam, że cię jeszcze kiedyś zobaczę.

– Cóż, znasz mnie – wracam jak zły szeląg.

– Nieprawda. Ty zawsze byłeś dobry, Joe.

Czuję, że się czerwienię i nagle znowu mam piętnaście lat. Pławię się w blasku jej pochwały.

– A ty? – pytam. – Dlaczego nie wyjechałaś?

Obojętne wzruszenie ramion.

– Jakoś się nie złożyło, a później Stephen poprosił mnie o rękę.

– A ty się zgodziłaś.

– Dlaczego miałabym się nie zgodzić?

Przypominam sobie wypłakującą się na moim ramieniu piętnastolatkę. Z podbitym okiem. Która obiecywała, że nigdy więcej do tego nie dopuści.

– Wydawało mi się, że miałaś inne plany.

– Cóż, plany czasami trzeba zmienić, prawda? Nie miałam takich ocen, na jakie liczyłam. Mama straciła pracę. Potrzebowaliśmy dodatkowych pieniędzy, więc sama się zatrudniłam i wyszłam za mąż. Koniec kropka.

Nie do końca.

– A później urodziłaś syna?

– Wiesz, że tak.

– Wykapany tatuś. Stephen musi być z niego dumny.

Posyła mi ostre spojrzenie.

– Oboje jesteśmy dumni z Jeremy'ego.

– Naprawdę?

– A ty masz dzieci?

– Nie.

– W takim razie nie masz prawa nas oceniać. – Zgniatą puszkę. – Jeszcze po jednym?

– Jesteś pewna?

– Raczej mnie to nie zabije.

Wstaję i idę do kuchni po kolejne dwie puszki. Nagle dopadają mnie wątpliwości. Marie musiała tu przyjechać samochodem. Widziałem, jak wrzuca

kluczyki do torebki. Pewnie nie powinna już więcej pić.

Ale to przecież nie mój problem. Wracam do salonu i podaję jej piwo. Rozgląda się wokół siebie i przechodzi ją dreszcz.

– Zimno tu.

– Tak, ogrzewanie kiepsko działa.

Ale nie w tym problem.

– Dlaczego właśnie ten dom?

– Tak jakoś wyszło.

– Zupełnie jak z pracą.

– Właśnie.

– Gówno prawda.

W końcu to z siebie wyrzuca.

– Jeśli przyjechałeś tu po to, żeby grzebać w przeszłości... – zaczyna.

– Co? Czego ty się właściwie boisz? Czego boi się Hurst?

Przez chwilę milczy. A gdy się wreszcie odzywa, jej głos łagodnieje.

– Wyjechałeś, ale reszta z nas tu została. Proszę cię, żebyś dał temu spokój. Nie ze względu na Stephena, tylko na mnie.

Nagle coś do mnie dociera.

– On cię tu przysłał, tak? – pytam. – Numer ze zbirami się nie powiodł, więc uznał, że poruszysz we mnie czułą strunę i nakłonisz mnie do wyjazdu przez wzgląd na dawne czasy?

Kręci głową.

– Gdyby Stephen chciał cię stąd wykurzyć, nie przysłałby mnie, tylko kogoś, kto dokończyłby to, co zaczęli synowie Fletcha.

– Synowie Fletcha?

No jasne. Nażelowany i Przysadzisty. Właśnie dlatego wydawali mi się znajomi. Powinienem był się domyślić. W dzieciństwie Fletch zawsze był bezmózgim mięśniakiem, a jego synowie najwyraźniej kontynuują tę tradycję.

– Powinienem był zauważyć rodzinne podobieństwo – stwierdzam. – Również w sposobie, w jaki wymierzali mi ciosy.

Czerwieni się na twarzy, a mnie ściska w dołku. Jednak nie z sentymentu. Raczej dlatego, że moje najgorsze obawy właśnie się potwierdziły.

– Wiedziałaś o moim powitalnym przyjęciu?

To tłumaczy, dlaczego po przyjściu nie spytała, dlaczego jestem taki poobijany.

– Dowiedziałam się dopiero po fakcie. Przykro mi.

– Mnie również.

Podnosi się z kanapy.

– Lepiej już pójdę. Przyjazd tutaj był głupim pomysłem. Zwykła strata czasu.

– Nie do końca. Możesz coś przekazać Hurstowi.

– Nie sądzę.

– Powiedz mu, że mam coś, co należy do niego.

– Wątpię, żeby Stephenowi zależało na odzyskaniu tych rzeczy.

– Nazwijmy je pamiątką. Z kopalni.

– Na litość boską, to się zdarzyło dwadzieścia pięć lat temu. Byliśmy wtedy dziećmi.

– Nie, tylko moja siostra była dzieckiem.

Chociaż pewnie nie najlepiej to o mnie świadczy, odczuwam satysfakcję na widok smutku malującego się na jej wychudzonej, ziemistej twarzy.

– Przykro mi z powodu Annie – mówi.

– A co z Chrisem?

– To był jego wybór.

– Doprawdy? W takim razie zapytaj Hursta o coś innego. Zapytaj go, czy Chris skoczył sam.

16

1992

Tamto miejsce znalazł Chris. Zawsze miał smykałkę do znajdowania różnych rzeczy.

Podobnie jak ja, był zadziwiającym dodatkiem do paczki Hursta: wysoki, chudy, z włosami jasnymi jak słoma, które zawsze wyglądały, jakby strzelił w nie piorun. Na dodatek się jąkał, szczególnie w stresujących sytuacjach (a jak większość nieśmiałych, kujonowatych dzieciaków Chris denerwował się przez większość czasu spędzanego w szkole).

Nikt nie rozumiał, dlaczego Hurst wziął go pod swoje skrzydła. Poza mną. Hurst może i lubił się znęcać nad słabszymi, ale nie był głupi. Wiedział, kogo zniszczyć, a kogo zatrzymać przy sobie. A Chris czasami był przydatny, tak samo jak reszta.

Wśród znajomych Hursta pełno było pozerów i rozrabiaków, ale grono jego przyjaciół wyglądało trochę inaczej. Fletch był mięśniakiem. Bezmózgim osiłkiem, który śmiał się z żartów Hursta, włożył mu w tyłek i rozbijał dla niego głowy. Chris był bystrzakiem. Odmieńcem i niezrozumianym geniuszem. Dzięki jego zamiłowaniu do nauk ścisłych konstruowaliśmy najlepsze śmierdzące bomby, genialne pułapki na niczego nieświadome ofiary, a raz nawet doprowadziliśmy do eksplozji, przez którą trzeba było ewakuować ze szkoły wszystkich uczniów na koszt – zwolnionego po tym incydencie – nauczyciela chemii.

Chris miał jeszcze jedną zaletę. Niepohamowaną ciekawość. Uwielbiał się dowiadywać różnych rzeczy i je znajdować. Widział to, czego inni nie byli w stanie dostrzec. Jeśli komuś zależało na zdobyciu pytań egzaminacyjnych, Chrisowi

zawsze się to udawało. Wiedział, w którym miejscu boiska stanąć, żeby podglądać dziewczyny w szatni. Potrafił włamać się do kiosku, żeby zwędzić z niego słodycze i fajerwerki.

Gdyby czaszka Chrisa nie roztrzaskała się o szkolny dziedziniec, a jego genialny mózg nie rozlał się po brudnym szarym betonie, pewnie zostałby przedsiębiorcą miliardерem... albo nieuchwytnym przestępcą. Zawsze tak to sobie wyobrażałem.

Kiedy w tamten piątkowy wieczór wparował na plac zabaw, jak zwykle spóźniony – Chris zawsze się spóźniał, i to nie o parę minut; przybiegał zziębnięty, w przekrzywionym krawacie, z koszulą poplamioną jedzeniem i ze skruszoną miną – był jeszcze bardziej zdyszany i zdenerwowany niż normalnie. Od razu wiedzieliśmy, że coś się stało.

– Wszystko w porządku, Chris?

– Zna-zna-znalazłem c-coś. W-w-w ziemi.

W chwilach zdenerwowania Chris jąkał się tak strasznie, że prawie nie można go było zrozumieć.

Spojrzałem na Hursta i Fletcha. Marie akurat wtedy z nami nie było. Musiała pomóc mamie w domu, więc siedzieliśmy we trzech i gadaliśmy o pierdołach. Właściwie nawet mi to pasowało, bo chociaż lubiłem Marie... No właśnie. L u b i ł e m Marie trochę za bardzo. A gdy była z nami, tak naprawdę była z Hurstem, który władczo obejmował ją ramieniem.

Hurst rzucił niedopałek na ziemię, zeskoczył z drabinki i popatrzył na Chrisa w wieczornym półmroku.

– W porządku, stary. Uspokój się. Ciężko cię, kurna, zrozumieć.

Fletch zarechotał, jakby ktoś napełnił jego papierosa gazem rozweselającym.

Twarz Chrisa zapłonęła jeszcze mocniej. Na tle bladej cery jego policzki wydawały się czerwone niczym wóz strażacki. Włosy miał zmierzwione i sterczące jak stóg siana wystawiony na działanie silnego wiatru, a bluzę pogniecioną i brudną. Moją szczególną uwagę przykuły jednak jego oczy. Zawsze były intensywnie niebieskie, ale tego wieczoru bił od nich nietypowy blask. Czasami – chociaż nie lubiłem się do tego przyznawać, bo brzmiało to dziwacznie i trochę

gejowsko – Chris przypominał mi pięknego, szalonego anioła.

– Daj mu spokój – powiedziałem do Hursta.

Tylko ja mogłem się do niego zwracać w ten sposób. Miałem u niego posłuch. Chyba właśnie dlatego mnie potrzebował. Byłem jego głosem rozsądku. Ufał mi. A przy tym często odrabiałem za niego pracę domową z anglika.

Zduśliłem niedopałek. Nigdy nie przepadałem za papierosami. Zresztą za piwem też nie. Miałem ochotę splunąć i wyszorować sobie język. Oczywiście z wiekiem zmądrzałem i się od nich uzależniłem.

– Oddychaj – zwróciłem się do Chrisa. – Mów powoli. Powiedz nam, co się stało.

Chris pokiwał głową, nerwowo sapiąc i próbując złapać oddech. Mocno zacisnął przed sobą ręce, żeby opanować nerwy i jąkanie.

– Pieprzony przygłup – wymamrotał pod nosem Fletch, po czym wypluł na ziemię wielką pacynę flegmy.

Hurst popatrzył na mnie. Sięgnąłem do kieszeni, wyjąłem lekko sfatygowany batonik Wham i podałem go Chrisowi niczym psi przysmak szczeniakowi.

– Proszę.

W przeciwieństwie do tego, co się obecnie uważa, słodka przekąska była jedyną rzeczą, jaka potrafiła uspokoić Chrisa. Pewnie właśnie dlatego prawie zawsze miał je przy sobie.

Wziął ode mnie batonik, odgryzł kawałek i powiedział:

– Byłem w... w kopalni.

– Okej.

Wszystkie dzieciaki czasem tam łążyły. Zanim zaczęli wyburzać stare budynki, zakradaliśmy się do środka i kradliśmy różne bezużyteczne rzeczy: kawałki starego metalu i maszynierii. Robiliśmy to wyłącznie po to, żeby udowodnić, że tam weszliśmy. Ale Chris chodził tam znacznie częściej, i to sam, co wydawało mi się trochę dziwne. Z drugiej strony wszystko w Chrisie było dziwne, do tego stopnia, że po jakimś czasie stawało się czymś normalnym. Kiedyś zapytałem go, dlaczego tak często tam chodzi, na co odparł:

- Muszę szukać.
- Czego?
- Jeszcze nie wiem.

Rozmowy z Chrisem bywały frustrujące. Stłumiłem w sobie irytację, gdy znów próbował się wysławić.

W końcu wydukał:

- Coś znalazłem. W zie-zie-ziemi. T-t-to może być zejście.
- Zejście dokąd?
- Na dół.

Poczułem się nieswojo, jakbym już wcześniej słyszał te słowa. Albo jakbym na nie czekał. Przeszył mnie nieprzyjemny dreszcz, tak jak wtedy, gdy dotknie się naelektryzowanego wózka w sklepie. N a d ó ł.

Hurst aż podskoczył.

- Znalazłeś zejście do starych szybów?
- Zajebiaszco – wtrącił Fletch.

Pokręciłem głową.

– Niemożliwe. Wszystkie szyby odcięto, poza tym będą one wiele metrów pod ziemią.

Hurst spojrział na mnie i przytaknął.

- Thorney ma rację. Na pewno się nie pomyliłeś, Ciastusiu?

Hurst nazywał Chrisa Ciastusiem, ponieważ był „miękki jak ciasto”.

Chris patrzył na nas, bezradny niczym gigantyczny zając złapany w światła samochodu. Przełknął ślinę i powiedział:

- N-n-nie jestem pe-pewien. Pokażę wam.

Dopiero później, gdy się nad tym poważnie zastanowiłem – a miałem mnóstwo okazji, żeby o tym myśleć – dotarło do mnie, że nie odpowiedział na pytanie Hursta.

- Zejście do starych szybów?

Założyliśmy, że właśnie o to mu chodziło. Ale chyba jednak nie. Miał na myśli Dół. Jakby już wtedy wiedział, czym on jest. A Dół okazał się czymś zupełnie

innym.

Zanim dotarliśmy na miejsce, zaczęło się ściemniać. Był późny sierpień, kończyły się wakacje i „wcześnie robiła się szarówka”, jak powiedziała by moja mama (zawsze wyobrażałem sobie wtedy, jak ktoś bierze wielki kawałek węgla i wszystko nim zamazuje).

Chyba wszyscy mieliśmy poczucie zbliżającego się kresu, jak to pod koniec sześciotygodniowych wakacji. Poza tym wiedzieliśmy, że to nasze ostatnie lato, gdy jesteśmy „dziećmi”. W kolejnym roku czekały nas egzaminy i nawet w latach dziewięćdziesiątych wielu naszych kolegów z klasy prosto po skończeniu szkoły miało pójść do pracy, chociaż niekoniecznie w kopalni.

Stara kopalnia węgla była już tylko wielką błotnistą blizną. Zaczynały ją porastać trawa i krzaki. Większość terenu wciąż jednak pokrywały węglowy pył oraz kamienie, zardzewiała maszyna, ostre fragmenty metalu i bryły betonu.

Przecisnęliśmy się przez dziurę w ogrodzeniu, które nie bardzo spełniało swoje zadanie. Napisy na tabliczkach: NIEBEZPIECZEŃSTWO, NIE WCHODZIĆ i WSTĘP WZBRONIONY równie dobrze mogłyby brzmieć: ZAPRASZAMY, PROSZĘ WEJŚĆ, ODWAŻYSZ SIĘ?

Prowadził nas Chris. Przynajmniej w teorii. Gramolił się, ślizgał i potykał, a później zatrzymywał się, rozglądał dookoła, znowu się gramolił, ślizgał i potykał.

– Kurna, Ciastuś, na pewno dobrze idziemy? – zapytał zziębnięty Hurst. – Stare szyby są w tamtą stronę.

Chris pokręcił głową.

– Idziemy tędy.

Hurst popatrzył na mnie. Wzruszyłem ramionami. Fletch przyłożył palec do czoła i znacząco nim pokręcił.

– Dajcie mu szansę – powiedziałem.

Szliśmy dalej. Na szczycie stromego, błotnistej wzniesienia Chris zatrzymał się i rozglądał przez dłuższą chwilę, niczym ogromny, węszący pies. Następnie rzucił się w dół urwistego zbocza, ślizgając się na żwirze i kamykach.

– Niech to szlag – burknął Fletch. – Ja nie schodzę.

Przyznaję, że sam miałem ochotę zawrócić, ale ogarnęło mnie też dziwne podekscytowanie, jak na widok kolejki górskiej w wesołym miasteczku, kiedy nie chcesz na nią wsiąść, bo wygląda przerażająco jak cholera, i jednocześnie korci cię, żeby się nią przejechać.

Zerknąłem na Fletcha.

– Cykasz się? – Nie mogłem się powstrzymać przed zadaniem mu tego pytania.

Spiorunował mnie wzrokiem.

– Pieprz się!

Hurst uśmiechnął się szeroko. Nic nie cieszyło go bardziej niż konflikty w naszej paczce.

– Cioty! – zawołał, po czym rzucił się na łeb na szyję w dół zbocza. Ruszyłem za nim, chociaż nieco ostrożniej. Fletch ponownie zaklął, a później zrobił to samo co ja.

Po dotarciu na dół prawie klapnąłem na tyłek, ale jakoś zdołałem utrzymać równowagę. Poczulem, jak żwir wpada mi do butów i wbija się w podeszwy stóp. Niebo nad naszymi głowami jakby się obniżyło, ciężkie od zapadającej ciemności.

– Teraz nic już, kurna, nie zobaczymy – jęknął Fletch.

– Daleko jeszcze? – zapytał Hurst.

– Jesteśmy na miejscu! – odkrzyknął Chris i zniknął.

Zamrugąłem, rozejrzałem się dookoła i wreszcie spostrzegłem coś szarego. Chris kuczał w zapadlisku utworzonym przez niewielki skalny nawis. Łatwo go było przeoczyć w tej dziurze. Przykucnęliśmy obok niego. Ziemię w tym miejscu zaczęły nieśmiało porastać kępy trawy i krzaków, dodatkowo je maskując. Zauważyłem też kilka rozrzuconych głazów, a gdy Chris zaczął je przesuwając, dotarło do mnie, że celowo je tam ułożył, żeby łatwiej mu było tu trafić.

Odgarnął dłońmi ziemię i kamyki. Przysiadł na piętach i popatrzył na nas triumfalnie.

– No co? – burknął Fletch. – Ja tu nic nie widzę.

Zmrużyliśmy oczy, wpatrując się w odsłonięty kawałek ziemi. Był co prawda

lekko nierówny i miał inny kolor niż teren dookoła, ale poza tym niczym specjalnym się nie wyróżniał.

– Jaja sobie robisz, Ciastuś? – warknął Hurst, łapiąc Chrisa za kołnierz bluzy. – Bo jeśli to jakaś ściema...

Chris wytrzeszczył oczy.

– Żadna ściema.

Później skojarzyłem sobie, że nawet przyduszany przez Hursta nie zaczął się jękać. Nie w tym miejscu.

– Zaczekajcie – powiedziałem. Nachyliłem się jeszcze bardziej, odgarnąłem trochę więcej ziemi i poczułem pod palcami coś zimnego. Metal. Wyprostowałem się i nagle to zobaczyłem.

Okrągły kształt, zardzewiały prawie na taki sam kolor jak ziemia. Przypominał stary kołpak, lecz jeśli przyjrzało się mu uważniej, wydawał się trochę za duży i za gruby. Wokół krawędzi miał niewielkie okrągłe wypustki, jakby nity. Pośrodku znajdowało się jeszcze jedno kółko, lekko wypukłe, z wyżłobieniami.

– Tutaj – odezwałem się. – Teraz widzicie?

Wskazałem na ziemię i popatrzyłem na resztę chłopaków.

Hurst puścił Chrisa.

– Co to, kurna, jest?

– Stary kołpak – powiedział Fletch, powtarzając na głos moje pierwsze przypuszczenie.

– Za duży – odparł szybko Hurst, powtarzając na głos moją kolejną myśl, i znowu spojrzał na Chrisa. – No?

Chris popatrzył na niego takim wzrokiem, jakby odpowiedź była oczywista.

– To wąż.

– Co takiego?

– Zejście – wyjaśniłem – prowadzące do podziemi.

Hurst uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Zajebiaszco. – Spojrzał na okrągły kształt. – Czyli co? Szyb ewakuacyjny dla górników? Chyba gdzieś o tym słyszałem.

Ja co prawda nie, chociaż mój tata pracował w kopalni przez całe życie. Słyszałem za to o szybach wentylacyjnych. Nie rozumiałem tylko, jaki będziemy mieć z niego pożytek. Tego rodzaju szyby były odpowiednikami kominów. Biegły pionowo w dół i miały długość prawie stu metrów. Donikąd nie prowadziły, co najwyżej można się było w nich zabić.

Już miałem to powiedzieć na głos, ale Hurst odezwał się pierwszy:

– No, dalej – zwrócił się do Chrisa. – Otwórz go.

Chris popatrzył na niego ze zboląłą miną.

– Nie mogę.

– Nie możesz? – Hurst pokręcił z obrzydzeniem głową. – Och, na litość boską, Ciastusiu.

Pochylił się i spróbował złapać za krawędzie włazu, wsuwając palce pod spód. Przykrywa okazała się jednak tak duża i ciężka, że nawet nie drgnęła. Hurst dyszał i stękał, aż wreszcie krzyknął do nas:

– Pomóżcie mi, do kurwy nędzy!

Pomimo obaw zrobiłem to, co nam kazał, podobnie jak Fletch. Wbiliśmy palce w ziemię i spróbowaliśmy chwycić za metalową krawędź, ale okazało się to niemożliwe. Pokrywa była po prostu za gruba i zbyt głęboko wkopana w ziemię. Pewnie nikt jej nie ruszał od lat. Choćbyśmy nie wiem jak kombinowali, nie byliśmy w stanie jej ruszyć.

– Pieprzyć to. – Hurst dał wreszcie za wygraną. Z wdzięcznością osunęliśmy się na twardą ziemię, zziajani i z obolałymi rękami.

Spojrzałem na dziwne metalowe koło. Rzeczywiście, było mocno zaklinowane w ziemi, ale jeśli pod spodem znajdował się szyb ewakuacyjny lub wentylacyjny, to musiało przecież mieć jakąś rączkę albo dźwignię, żeby w razie potrzeby można się było szybko dostać do środka. Właśnie na tym polegała idea włazu. Tylko że tutaj nic takiego nie było, poza tym dziwnym, mniejszym kółkiem, zupełnie jakby miał pozostać zamknięty. Jakby nikt nie powinien tam wchodzić.

– No dobra – odezwał się Hurst. – Musimy sobie zorganizować porządne narzędzia i to otworzyć.

– Teraz? – spytałem. Zmierzch zapadał tak szybko, że widzieliśmy już tylko upiorne zarysy naszych twarzy.

– Co się stało? Strach cię obleciał, Thorney?

– Nie – najeżyłem się. – Mówię tylko, że jest już prawie ciemno. Nie wystarczy nam czasu. Jeśli zamierzamy tam wejść, powinniśmy się do tego odpowiednio przygotować.

Nie żebym miał ochotę tam złazić, o ile w ogóle było to możliwe, ale nie umiałem wymyślić niczego lepszego.

Myślałem, że mnie wyśmieję, ale powiedział tylko:

– Masz rację. Przyjdziemy tu jutro. – Powiódł wzrokiem po naszych twarzach. – Przydadzą nam się latarki – dodał z szerokim uśmiechem – i łom.

Przysypaliśmy właz ziemią i kamieniami, a Hurst zostawił jeszcze swój luźno zawiązany krawat, żeby łatwiej nam było trafić. Gdyby ktoś akurat tamtędy przechodził, nie zwróciłby na niego uwagi. Na terenie starej kopalni często widywało się porzucone krawaty, buty i skarpetki.

Gdy zrobiło się już całkiem ciemno, postanowiliśmy wrócić do domu. Nie jestem pewien, ale chyba obejrzałem się za siebie, czując na karku dziwne mrowienie. Z tej odległości nie mogłem niczego dostrzec, jednak oczami wyobraźni wciąż widziałem zarys zardzewiałego włazu.

Nie podobało mi się to.

Tak samo jak pomysł z łodem.

17

Po wyjściu Marie nie mogę sobie znaleźć miejsca. Znowu zaczęła mnie boleć noga i nawet podwójny burbon w połączeniu z dwiema pigułkami kodeiny nie zdołał uspokoić moich drżących mięśni.

Kiedy siedzę, noga boli. Kiedy chodzę, zaczyna mnie rwać. Przeklinam pod nosem, wściekle ją rozcierając. Próbuję zająć myśli książką, włączam muzykę, aż w końcu wypalam papierosa, stojąc w kuchennych drzwiach. Po raz kolejny.

Mój umysł również wyrabia nadgodziny. *Poduście dzieci, jebać je*. To się znowu dzieje. SMS przyszedł pewnie od tej samej osoby co mail. A skoro ich nadawca wie o posągu anioła, musiał mnie znać wiele lat temu. Nie był to Hurst ani Marie. Fletch? Nie jestem pewien, czy w ogóle byłby w stanie wysłać mi wiadomość przy braku przeciwnych kciuków. W takim razie kto? I przede wszystkim dlaczego, dlaczego, dlaczego?

Po niezapowiedzianej wieczornej wizycie Marie mam w głowie jeszcze większy zamęt. Nie jestem pewien, czy słusznie postąpiłem. Może zbyt wcześnie odsłoniłem swoje karty. Dobry pokerzysta wie, że nie należy tego nigdy robić. Nie wtedy, gdy nie ma się pieprzonego pojęcia, jakie karty trzyma w ręku przeciwnik.

Z drugiej strony nie mam zbyt wiele czasu. A już na pewno mam go mniej, niż sądziłem. Bo jest tu Gloria. Niecierpliwie postukująca tymi swoimi błyszczącymi czerwonymi paznokciami. Jeśli szybko nie spełnię jej żądań, gra dobiegnie końca. Będę leżał martwy i prawdopodobnie pozbawiony rąk. Albo nóg. Lub czegokolwiek innego, po czym można by było zidentyfikować ciało.

Wyrzucam niedopałek papierosa i obserwuję czerwony ognik, który najpierw

przygasa, a później całkiem znika w ciemności. Odwracam się, kuśtykam do kuchni i wydaję teczkę z szafki pod zlewem. Kogo ja oszukuję? Od początku wiedziałem, że ją przeczytam. Nalewam sobie kolejnego drinka, wchodzę do salonu i kładę teczkę na stoliku kawowym przed sobą.

Nie tylko mięśnie w mojej nodze nie mogą tej nocy zaznać spokoju. Dom również. Światła mrugają i przygasają – to akurat żadne zaskoczenie, biorąc pod uwagę kapryśność dostaw prądu w naszej wiosce – a do tego coś słyszę. Jakiś dźwięk. Znajomy. Niepokojący. Ten sam przytłumiony chrobot, od którego zaczynają mnie boleć zęby i jeżyć się włoski na całym ciele. Nieprzyjemnie brzęczy mi w uszach.

Ciekawe, czy Julia siedziała w tym samym miejscu co ja i również próbowała zagłuszyć ten podstępny dźwięk. Co wieczór. A może pojawił się dopiero później? Co było jajkiem, a co kurą? Czyżby to, co spotkało Bena, miało jakiś wpływ na dom? Czy też był on jedną z przyczyn problemu: chrobot w ścianach i przenikliwy chłód podsyciły lęki i paranoję Julii?

Przeczesałem palcami włosy i przecieram oczy. Dźwięk wydaje się coraz głośniejszy. Staram się go zignorować. Przeglądam papiery w teczce tak długo, aż z jednej z kartek ponownie uśmiecha się do mnie Annie.

TRWAJĄ POSZUKIWANIA ZAGINIONEJ OŚMIOLATKI – krzyczy nagłówek. Ale to nie jest cała historia. Bynajmniej.

Tamtego wieczoru tata położył ją spać koło ósmej. A przynajmniej tak mu się zdawało. Był pijany. Podobnie jak w większość wieczorów. Mama była u dziadków, ponieważ parę dni wcześniej babcia zaliczyła „paskudny upadek” i złamała nadgarstek. Byłem na dworze z Hurstem i jego paczką. Dopiero następnego ranka mama odkryła, że Annie nie ma w łóżku, w jej pokoju ani w ogóle w domu.

Wezwaliśmy policję. Zaczęły się pytania i poszukiwania. Mundurowi i okoliczni mieszkańcy, włącznie z tatą, rozeszli się po terenie dawnej kopalni i otaczających ją polach, kuląc się w obronie przed ulewą, ubrani w długie czarne płaszcze przeciwdeszczowe, które upodabniały ich do gigantycznych sępów. Szli wolnym,

znużonym krokiem zgodnym z ich ponurym wewnętrznym rytmem, przeczesując teren kijami i gałęziami.

Chciałem pójść z nimi. Prosiłem, błagałem, ale sympatyczny policjant z brodą i wyłysiałym plackiem na głowie położył mi rękę na ramieniu i powiedział łagodnie: *To chyba nie jest dobry pomysł, synu. Lepiej będzie, jeśli tu zostaniesz i pomożesz mamie.*

Byłem na niego wściekły. Myślałem, że potraktował mnie jak dziecko, utrapienie. Później zrozumiałem, że próbował mnie chronić. Nie chciał, bym odnalazł ciało własnej siostry.

Mógłbym mu wytłumaczyć, że jest już za późno, by mnie ochronić. Mógłbym powiedzieć policji dużo rzeczy, ale nikt nie chciał mnie słuchać. Próbowałem. Opowiedziałem im o tym, jak Annie wymykała się z domu i śledziła mnie, gdy wychodziłem na dwór z chłopakami. Czasami przyprowadzałem ją z powrotem. Policjanci kiwali głowami, coś sobie zapisując, ale w gruncie rzeczy niczego to nie zmieniło. *W i e d z i e l i*, że Annie wymknęła się z domu. Nie mieli tylko pojęcia, dokąd poszła.

Jedyną rzeczą, której *n i e m o g ł e m* im wyjawić, była prawda, *c a ł a* prawda, bo nikt by mi w nią nie uwierzył. Sam nie byłem pewien, czy w nią wierzę.

Z każdą upływającą sekundą, minutą i godziną narastało we mnie przerażenie i poczucie winy. Nigdy wcześniej nie byłem tak świadomy własnego tchórzostwa jak podczas tych czterdziestu ośmiu godzin, gdy szukano mojej siostry. Strach walczył z wyrzutami sumienia, rozszarpując mnie od środka. Nie wiem, które z nich ostatecznie by zwyciężyło, gdyby nie to, że zdarzyło się niemożliwe. Odwracam kartkę na drugą stronę.

ZAGINIONA OŚMIOLATKA WRACA DO DOMU

Rodzice nie posiadają się ze szczęścia.

Gdy Annie wróciła do domu, przygotowywałem w kuchni tosty dla rodziców. Chleb był suchy i lekko spleśniały. Nie robiliśmy zakupów od poprzedniego tygodnia. Zdrapałem pleśń i położyłem kromkę na grillu. Nieważne. I tak nie będą tego jeść. Wiedziałem, że wyrzucę te tosty do śmieci razem z niezjedzonymi

posiłkami z ubiegłego dnia.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Wszyscy podnieśliśmy wzrok, ale nikt się nie ruszył. Trzy stuknięcia. Czy oznaczały jakieś nowiny? Wsłuchiwalismy się w nie, jakby to był alfabet Morse'a. Puk, puk, puk. Dobra czy zła wiadomość?

Mama ocknęła się pierwsza. Być może była najodważniejsza albo po prostu miała już dość czekania. Chciała poznać prawdę, bez względu na to, jaka by ona była. Odsunęła krzesło i chwiejnym krokiem podeszła do drzwi. Tata nie ruszył się z miejsca. Ja kręciłem się w korytarzu. Czułem swąd przypalającego się tostów, ale żadne z nas nie kiwnęło palcem, żeby zdjąć go z rusztu.

Mama otworzyła drzwi. W progu stał policjant. Nie słyszałem, co mówi, ale widziałem, jak z mamy schodzi całe napięcie i jak kurczowo łapie się framugi. Serce na moment we mnie zamarło. Nie byłem w stanie przełknąć śliny. Ani nabrać powietrza. A później mama odwróciła się i krzyknęła:

– Annie żyje! Znaleźli ją! Znaleźli nasze dziecko!

Pojechaliśmy razem na posterunek (wtedy jeszcze Arnhill miało własny), ściśnięci na tylnym siedzeniu błękitno-białego radiowozu: rodzice z oczami mokrymi od łez radości i ulgi oraz ja, spocony kłębek nerwów. Kiedy wysiedliśmy z samochodu, nogi się pode mną ugięły i tata musiał mnie złapać za ramię.

– Już dobrze, synu – powiedział. – Od tej pory wszystko będzie dobrze.

Chciałem mu wierzyć, naprawdę. Kiedyś myślałem, że tata zawsze ma rację. Ufałem mu we wszystkim. Ale nawet wtedy wiedziałem, że nie jest dobrze i nigdy już nie będzie.

– Niewiele powiedziała – poinformował nas policjant, kiedy szliśmy długim, bladoniebieskim korytarzem, w którym unosiła się woń potu i moczu. – Przedstawiła się tylko i poprosiła o coś do picia.

Wszyscy troje kiwnęliśmy głowami.

– Czy ktoś ją porwał? – odezwała się mama. – Zrobił jej krzywdę?

– Nie wiemy. Mężczyzna wyprowadzający psa zauważył ją błąkającą się po terenie dawnej kopalni. Chyba nie doznała żadnych fizycznych obrażeń. Jest tylko lekko przeziębiona i odwodniona.

– Możemy ją zabrać do domu? – zapytał tata.

Policjant przytaknął.

– Tak chyba będzie najlepiej.

Otworzył przed nami drzwi do pokoju przesłuchań.

– Joe. – Szturchnęła mnie mama. Zanim zdołałem się opanować i zebrać myśli, weszliśmy do środka.

Annie siedziała na plastikowym krześle, obok policjantki, która najwyraźniej rzadko miała do czynienia z dziećmi, wyglądała bowiem na spiętą i skrepowaną.

Na stole stała szklanka soku i leżało kilka herbatników. Annie nie patrzyła na nie, tylko na brudną, porysowaną ścianę, machając nogami w przód i w tył. Jej piżama była ubłocona i miejscami podarta. Policjanci owinęli moją siostrę niebieskim kocem, przeznaczonym pewnie dla dorosłych więźniów, ponieważ był dla niej zdecydowanie za duży. Jej stopy były białe i czarne od węglowego pyłu.

Przyciskała do piersi jakiś przedmiot, częściowo ukryty pod kocem. Widziałem tylko brudne blond pukle, różowy plastik i jedno błękitne oko. Przeszedł mnie dreszcz. *Abbie-Eyes. Przyniosła ją z powrotem.*

– Och, Annie.

Rodzice podbiegli do niej i mocno przytulili. Zasypali ją pocałunkami, brudząc się węglowym pyłem, ale nie przejmowali się tym, bo odzyskali córkę. Ich dziewczynka wróciła do domu cała i zdrowa.

Annie siedziała nieruchomo, z obojętną miną, tylko jej nogi huśtały się w przód i w tył. Mama powoli się od niej odsunęła, z twarzą zalaną łzami. Wyciągnęła rękę i pogłaskała Annie po policzku.

– Co się stało, słoneczko? Co ci się stało?

Stałem przy drzwiach, mając nadzieję, że policjanci wezmą moje zachowanie za przejaw nastoletniej nieśmiałości. Być może próbowałem przekonać samego siebie, że właśnie dlatego do niej nie podszedłem.

Annie uniosła wzrok i nasze spojrzenia się skrzyżowały.

– Joey.

Uśmiechnęła się i wtedy dotarło do mnie, co jest nie w porządku. Potwornie nie

w porządku...

Wstaję z krzesła. Intensywność tego wspomnienia dławi mnie w gardle, nie pozwala zaczerpnąć powietrza. Czuję wzbierającą w przełyku żółć. Kuśtykam na górę i docieram do łazienki w ostatniej chwili. Wypluwam gorzki brązowy płyn do zaplamionej umywalki. Po kilku płytkich, urywanych oddechach wstrząsają mną konwulsje. Wymiociny tryskają jednocześnie z gardła i nosa. Zaciskam drżące palce na zimnej porcelanie, próbując zaczerpnąć powietrza. Pochylam się nad umywalką, ze wzrokiem wlepionym w obryzganą wymiocinami porcelanę, czekając, aż się uspokoję.

W końcu odkręcam wodę i splukuję grudkowatą brązową zawartość własnego żołądka do odpływu. Spluwam kilka razy i zaczerpuję powietrza, powoli i głęboko. Spływająca woda głośno szemrze w rurach.

Słyszę coś jeszcze. Gdy już skończyłem wymiotować, znowu dociera do mnie ten uporczywy, rozpierzchający się chrobot. Coraz głośniejszy. Drażniący. Otacza mnie ze wszystkich stron. Powrócił też chłód. U p i o r n y ch ł ó d.

Spoglądam na sedes. Cegła nadal przyciska zamkniętą klapę. Delikatnie ją unoszę. Sięgam po plastikową szczotkę do czyszczenia toalet i podważam nią klapę. Przesuwam się parę centymetrów do przodu i zaglądam do środka. Pusto. Rozglądam się dookoła. Zasłona prysznicowa jest zaciągnięta. Chwytam spleśniałą krawędź i odsuwam ją na bok. Jedyne, co się za nią czai, to pokryte mydlanym osadem opakowanie żelu pod prysznic i brudna gąbka.

Wychodzę z łazienki. Rozpierzchający się chrobot podąża za mną. Czyżby miał swoje źródło w rurach i murach tego domu? Przesuwam się wzdłuż ściany, nadal ściskając w ręku szczotkę do mycia kibli. Zaglądam do sypialni. Nic tam nie ma. Przez chwilę czuję, że coś nie gra, ale to wrażenie szybko mija. Idę dalej, w stronę pokoju Bena.

Czuję jakiś zapach. Niepochozący ze szczotki. Ta woń jest silniejsza, metaliczna. Czuję ją już wcześniej. W innym domu. Przed innymi drzwiami. Jest to jednak ten sam zwierzęcy zapach i ten sam upiorny chłód, który wije mi się

w trzewiach niczym lodowaty pasożyt.

Łapię za klamkę. Otwieram drzwi i szybko włączam światło. Naga żarówka wypluwa z siebie chorobliwie żółty blask. Rozglądam się. Pokój nie jest duży. Mieści się tu pojedyncze łóżko, szafa i niewielka komoda. Ściany odmalowano, pewnie wieloma warstwami farby...

Mam to wszystko przed oczami, choć tak naprawdę widzę tylko czerwień. Wsiąkającą w nowy materac, pełznącą po ścianie. Śliskie, rubinowe strumyczki spływają z wypisanych na ścianie słów.

Jej pismo. Jego krew.

NIE MÓJ SYN.

Kiedy się zorientowała? Kiedy to do niej dotarło? Czy strach i przerażenie narastały w niej stopniowo, co minutę, co godzinę, każdego dnia, aż wreszcie nie mogła ich dłużej znieść? Zapachu, upiornego chłodu, dźwięków. Miała broń. Ale nie użyła jej przeciwko Benowi. Zabiła go gołymi rękami. W przypiływie lęku, gniewu? A może zdarzyło się coś, co nie pozostawiło jej wyboru?

Zmuszam się do otwarcia oczu, a gdy to robię, nie widzę już słów ani krwi. Ściany znowu są puste i czyste, w takim samym odcieniu złamanej bieli jak reszta domu. Złowroga magnolia. Po raz ostatni omiatam spojrzeniem pokój, po czym wycofuję się i zamykam drzwi. Przykładam czoło do drewna, oddycham głęboko.

To ten dom. Mąci ci w głowie.

Odwracam się i nagle zamiera mi serce.

– Jezu!

Na dywanie, w połowie drogi do schodów, siedzi Abbie-Eyes.

Pulchne plastikowe nogi sterczą do przodu, blond loki stoją każdy w inną stronę, oko zezuje na zakurzoną pajęczynę w kącie. To, które patrzy przed siebie, przygląda mi się drwiąco.

Hej, Joey. Wróciłam. Znowu.

Rozglądam się, jakbym spodziewał się widoku bezczelnego, podrzucającego lalki złodzieja schodzącego na dół i zaśmiewającego się z wyciętego mi numeru. Ale nikogo tam nie ma.

Chwiejnym krokiem podchodzę do Abbie-Eyes i podnoszę ją z podłogi. Poluzowane oko grzechocze. Tania poliestrowa sukienka sztywno szeleści. Kiedy czuję w dłoni jej ciężar i dotyk twardego, zimnego plastiku na skórze, przechodzą mnie dreszcze.

Mam przemożną ochotę cisnąć ją przez okno, do zarośniętego ogródka na tyłach domu, lecz dopada mnie jeszcze bardziej przerażająca wizja lalki pełzającej z powrotem w kierunku domu; plastikowej, rumianej buzi przyciśniętej do szyby pośród ciemności.

Trzymam ją w wyciągniętej ręce, jak niewybuch, po czym schodzę do kuchni. Otwieram szafkę pod zlewem, wpycham lalkę do środka razem ze szczotką do czyszczenia toalety i zatraskuję drzwiczki.

K u r w a m ać. Cały się trzęsę. Sam już nie wiem, czy zemdleję, czy raczej dostanę zawału. Nalewam wody do szklanki i zachłannie ją wypijam.

Próbuję jakoś to sobie wytłumaczyć. Może sam przeniosłem lalkę Annie i o tym zapomniałem; po pijaku urwał mi się film? Brendan opowiadał mi, że kiedy jeszcze pił, miewał halucynacje i zaniki pamięci. Któregoś razu po przebudzeniu zobaczył, że zepchnął szafę ze schodów. Nie pamiętał tego, nie miał też pojęcia, po co w ogóle miałyby się siłować z szafą.

– Oczywiście byłem wtedy znacznie większy – dodał z porozumiewawczym mrugnięciem. – Alkohol dostarcza mnóstwa pustych kalorii.

Brendan. Muszę porozmawiać z Brendanem. Wybieram jego numer i od razu łączę się z pocztą głosową. Trochę mnie to martwi, pomimo zapewnień Glorii, że nic mu nie jest. Wydaje mi się, że Gloria nie jest typem kłamczuchy, ale dobrze by było usłyszeć jego głos, choćby nawet kazał mi się „chromolić”. Ostatnio zacząłem polegać na Brendanie. Jego obecność wydaje się znajoma i kojąca niczym para starych dzinsów albo najwygodniejszych butów. Ogarnia mnie niepokój, chociaż już wcześniej byłem kłębkim nerwów.

Kuśtykam do salonu. Na stoliku nadal leży otwarta teczka. Nie zdążyłem jej przejrzeć w całości. Niektóre strony opuściłem. Ale mam już dosyć jak na jeden wieczór. Zrozumiałem przekaz: Arnhill jest ponurą wioską, w której wydarzyło się

mnóstwo złych rzeczy. Pechową. Przekłątą. Porzućcie wszelką nadzieję, którzy tu wchodzicie.

Zaczynam chować papiery do teczki. Moją uwagę zwraca jeden z prasowych wycinków.

TRAGICZNA ŚMIERĆ DOBRZE ZAPOWIADAJĄCEJ SIĘ UCZENNICY.

Na zdjęciu: uśmiechnięta nastolatka. Ładna, z długimi ciemnymi włosami i błyszczącym srebrnym kolczykiem w nosie. Coś w jej uśmiechu kojarzy mi się z Annie. Bezwiednie przebiegam wzrokiem tekst artykułu. Emily Ryan, lat trzynaście, uczennica Arnhill Academy zmarła po zażyciu zbyt dużej ilości alkoholu i paracetamolu. Podobno była „bystra, zabawna i energiczna”.

Straciłeś kiedyś jakiegoś?

Wracają do mnie słowa Beth. To musi być uczennica, o której mi opowiadała. Ale coś tu nie gra. Siadam na kanapie. Dopiero po chwili mój zmordowany umysł zaczyna pracować. W końcu jego zardzewiałe trybiki wskakują na swoje miejsce.

Często nie pamiętam, jaki mamy dzień tygodnia, ale mógłbym wam wyrecytować całe ustępy z Szekspira (gdybyście mieli pecha, a ja bardzo bym was nie polubił). Potrafię zapamiętywać fragmenty tekstu i przypadkowe słowa. Tak działa mój umysł. Zbiera bezużyteczne informacje niczym kurz.

Jeden rok, jeden dzień i jakieś dwanaście godzin, trzydzieści dwie minuty.

Beth powiedziała, że właśnie tyle przepracowała w Arnhill Academy, czyli powinna zacząć we wrześniu 2016. Zgodnie z artykułem Emily Ryan zmarła 16 marca 2016.

Oczywiście Beth mogła się pomylić w liczeniu, ale nie wydaje mi się to możliwe.

Liczę, i to jak.

Co oznacza, że nie pracowała tu w momencie, kiedy Emily Ryan się zabiła. Emily Ryan nie była jej uczennicą. W takim razie dlaczego Beth mnie okłamała?

18

Następnego ranka, nie wiedząc czemu, budzę się bardzo wcześnie. Uchylam powiekę i z jękiem przewracam się na drugi bok. Mój mózg uparcie odmawia ponownego zapadnięcia w sen, chociaż reszta ciała ma wrażenie, że przez noc zrosła się z łóżkiem.

Leżę przez kilka minut, próbując zasnąć. W końcu daję za wygraną, odrywam się od materaca, przerzucam nogi przez krawędź łóżka i stawiam stopy na zimnej podłodze. Kawy, domaga się mój mózg. I nikotyny.

Jest szary, wietrzny dzień. Wiatr przegania chmury po niebie niczym rodzic usiłujący dotrzymać kroku krnąbrnym dzieciom. Wzdrygam się i szybko dopalam papierosa, chcąc jak najszybciej wrócić do ciepłego – przynajmniej w teorii – domu.

Wydarzenia minionego wieczoru powoli zaczynają mi się zacierać w pamięci. Wyjmuję z szafki Abbie-Eyes. W świetle dnia wydaje się niegroźna. Jest tylko starą, zepsutą lalką. Lekko wysłużoną, trochę niekochaną. *Nie ty jedna* – myślę.

Mam wyrzuty sumienia, że wepchnąłem ją pod zlew. Zanoszę lalkę do salonu i kładę na fotelu, a sam siadam na kanapie i dopijam kawę. Oboje zażywamy odrobiny porannego relaksu.

Próbuję się dodzwonić do Brendana jeszcze dwa razy. Wciąż nie odbiera. Ponownie czytam artykuł poświęcony Emily Ryan. Dzisiaj rano ma on tyle samo sensu co wczoraj w nocy. Próbuję zająć myśli czymś innym, sięgając po stertę prac domowych. Mniej więcej w połowie sprawdzania dociera do mnie, że obok wyjątkowo niezgrabnego akapitu napisałem: „O kurde!”, i daję za wygraną.

Spoglądam na zegarek. Jest wpół do dziesiątej rano. Nie mam ochoty spędzać całego dnia w domu. Nie mam też nic do roboty.

Zupełnie nic.

Postanawiam wybrać się na spacer.

Pierwsze nieśmiałe wykopy rozpoczęły się w Arnhill już w osiemnastym wieku. W ciągu kolejnych dwustu lat kopalnia rozrosła się, została zburzona, przebudowana i unowocześniona.

Wokół niej kręciło się życie tysięcy mężczyzn i ich rodzin, dla których kopalnia była czymś więcej niż tylko miejscem pracy. Gdyby porównać Arnhill do żywego organizmu, kopalnia byłaby jego bijącym, tętniącym dymem sercem.

Po zamknięciu kopalni lokalne władze potrzebowały niespełna dwóch lat, żeby to serce wyrwać, chociaż już od dawna nie biło. Sadza i dym przestały krążyć w jej stalowych arteriach. Budynki popadły w ruinę i zostały zdewastowane. Złodzieje rozkradli mnóstwo metalu, urządzeń i sprzętu. Pojawienie się buldożerów było dla kopalni swego rodzaju wybawieniem.

W końcu nie zostało z niej nic poza głęboką raną w ziemi – bezustannie przypominającą nam o tym, co straciliśmy. Część rodzin się przeprowadziła, mężczyźni poszukali sobie pracy gdzie indziej. Niektórzy, tak jak mój tata, przystosowali się do nowych warunków. Wioska z trudem podźwignęła się z upadku, chociaż niektóre rany nigdy się nie goją.

Przedemną rozciąga się wyboisty teren, gęsto porośnięty polnymi kwiatami i trawą. Aż trudno uwierzyć, że kiedyś w tym miejscu wznosiły się ogromne budynki przemysłowe. Że pod ziemią wciąż znajdują się szyby górnicze i porzucone maszyny, ponieważ ich wydobycie na powierzchnię byłoby zbyt kosztowne.

Pod ziemią kryje się jednak coś jeszcze. Z czasów przed powstania kopalni. Zanim maszyny wgrzyzły się w ziemię, prowadzono tam inne wykopaliska. Istniały inne tradycje, na których wzniesiono tę wioskę.

Zaczynam wchodzić pod górę, ciesząc się, że zabrałem ze sobą laskę, która

pomaga mi się przemieszczać po nierównym podłożu. Dostałem się tu przez niewielką dziurę w ogrodzeniu. Sądząc po wydeptanej trawie i gołej ziemi po przeciwnej stronie płotu, wnioskuję, że z tego wejścia korzysta wiele osób.

W dzieciństwie dobrze znałem to miejsce. Teraz jest mi obce. Nie potrafię określić, gdzie dokładnie się znajduję, ani nawet gdzie mieszczą się stare szyby. Włazu też już nie ma. Nasze zejście pod ziemię przestało istnieć, dzięki Chrisowi. Myślałem, że raz na zawsze. Ale powinienem być mądrzejszy. Niektóre rzeczy nie chcą pozostać ukryte. A dzieciaki zawsze znajdą sposób, żeby się do nich dostać.

Zatrzymuję się na szczycie jednego ze stromych wzniesień, żeby złapać oddech. Nawet gdybym miał obie nogi sprawne, nie należę do osób nawykłych do górskich wspinaczek. Jestem stworzony do siedzenia przy stołach i na taboretach w barze. Nigdy nie podbiegam nawet do autobusu. Usiłuję zmusić płuca do zaczerpnięcia tak potrzebnego mi tlenu. Wreszcie daję za wygraną, wydaję papierosa i zapalam jednego. Myślałem, że kiedy tu przyjdę, coś sobie przypomnę, będę wiedział, dokąd iść, jakbym miał wewnętrzną różdżkę. Nic jednak nie czuję, poza bólem żeber. Być może włożyłem za dużo energii w to, żeby zapomnieć. Sam nie wiem, czy to dla mnie powód do rozczarowania czy ulgi.

Wodzę wzrokiem po pofałdowanych pasmach brązu i zieleni. Ostrej trawie i ciemnych krzewach, zboczach pokrytych usuwającym się spod stóp żwirem oraz głębokich rozpadlinach pełnych błotnistej wody i kołyszących się na wietrze szuwarów.

Niemal słyszę, jak do mnie szepczą: *Myślałeś, że tak po prostu wejdiesz tu i odnajdziesz drogę? To tak nie działa, Joey. Niczego się jeszcze nie nauczyłeś? Nie znajdziesz mnie. To ja znajdę ciebie. I nigdy o tym, kurwa, nie zapominaj.*

Przeszywa mnie lekki dreszcz. Nagle dociera do mnie, że moja wspinaczka na wzgórze wspomnień, podobnie jak wiele innych działań, może się okazać bezcelowa. A mail, SMS i cała reszta – nieistotne. Może będzie lepiej, jeśli zrobię to, co muszę, i się stąd wyniosę. Żaden ze mnie heros. Nie jestem typem filmowego bohatera, który wraca do rodzinnego miasteczka, rozwiązuje zagadkę i rozkochuje w sobie dziewczynę. Co najwyżej jego splukanym kolegą, który nie dożywa

połowy filmu. Od tamtych wydarzeń upłynęło mnóstwo czasu. Przeżyłem dwadzieścia pięć lat, nie wracając do nich, więc dlaczego teraz miałbym to zmieniać?

Bo to się znowu dzieje.

Kogo to obchodzi? Nie mój problem. Nie moja walka. Przy odrobinie szczęścia po przejściu koparek cała ta przeklęta wioska zapadnie się pod ziemię i wtedy to już naprawdę będzie koniec.

Odwracam się, żeby odejść, gdy coś przyciąga mój wzrok. Na ziemi łożę papierka. Wpatruję się w niego przez moment, przykucam i go podnoszę. Opakowanie po batoniku Wham. Wszędzie rozpoznałbym ten jaskrawoniebieski i czerwony kolor. Chris ciągle miał nimi wypchane kieszenie. Gdyby zdołał dotrzeć do dorosłości, pewnie nie dałoby się powiedzieć tego samego o jego zębach.

Prostuję się i spoglądam w dół hałdy. Tamta była chyba bardziej stroma, lecz mimo to chowam papierka do kieszeni i zaczynam się zsuwać po zboczu. Zejście okazuje się trudniejsze, niż myślałem. W połowie drogi niesprawna noga odmawia mi posłuszeństwa, stopy wysuwają się spode mnie i kilka ostatnich metrów pokonuję na tyłku.

Leżę przez chwilę na ziemi, zdyszany i roztrzęsiony. Nie sądzę, żebym dał radę dźwignąć się do pozycji siedzącej. Zamykam oczy i robię kilka głębokich wdechów.

– Nie zadzwonił pan do mojej mamy.

Gwałtownie się podrywam. Młoda kobieta, z bladą twarzą okoloną kapturem parki, patrzy na mnie z góry. W ręku trzyma smycz, na której końcu zauważam małego brudnego psa. Twarz kobiety wydaje mi się znajoma i nagle rozpoznaję w niej uroczą barmankę z pubu. Lauren.

Jeśli widzi, że leżę plackiem, utyłany ziemią, nie daje tego po sobie poznać.

– Nic mi nie jest – mówię. – Dziękuję za troskę.

– W zeszłym roku z tej hałdy spadł jakiś staruszek. Umarł z powodu hipotermii.

– Całe szczęście, że znalazła mnie taka dobra samarytanka jak ty.

Biorę laskę i niezgrabnie dźwigam się z ziemi. Pies obwąchuje moje buty. Lubie psy. Są nieskomplikowane. Niezbyt wymagające. W przeciwieństwie do ludzi. Albo kotów. Wyciągam rękę, żeby podrapać go pod pyskiem. Wystawia kły i zaczyna warczeć. Szybko cofam rękę.

– Nie lubi być głaskany – wyjaśnia Lauren.

– Rozumiem.

Na jego szyi, a w zasadzie wokół niej, zauważam łysą obwódkę.

– Co mu się stało?

– Zaplątał się w drut kolczasty i rozciął sobie gardło.

– Zdumiewające, że przeżył.

Wzruszenie ramion.

– To twój pies?

– Mojej mamy. Ma go od lat.

– Często przychodzisz z nim tu na spacer?

– Chyba tak.

– Wiele osób tak robi?

– Kilka.

Rozmowa z nią przypomina wyciskanie krwi z kamienia.

– Słyszałem, że miejscowe dzieciaki też lubią tu przesiadywać.

– Niektóre.

– Kiedy byłem dzieckiem, często się tu szwendaliśmy. Szukaliśmy wejścia do starych szybów.

– To musiało być wiele lat temu.

– Owszem. Dzięki, że mi o tym przypomniałaś.

Nie reaguje na żart.

– Dlaczego nie zadzwonił pan do mojej mamy?

– Nie potrzebuję teraz sprzątaczk. Przykro mi.

– W porządku.

Zaczyna odchodzić. Czuję, że zaraz stracę swoją szansę.

– Zaczekaj.

Odwraca się.

– Twoja mama sprzątała u pani Morton, tak?

– No.

– A więc ją znała?

– Nie bardzo.

– Ale musiała z nią czasem rozmawiać?

– Pani Morton nie była zbyt wylewna.

– Czy twoja mama wspominała może o tym, że dziwnie się zachowywała, była rozkojarzona albo zdenerwowana?

Kolejne wzruszenie ramion.

– Słyszałem, że Ben na jakiś czas zaginął. Myślisz, że uciekł z domu?

I znowu.

– Czy Ben też tu przychodził? – Nie daję za wygraną. – Znalazł coś? Może jakiś tunel albo jaskinię?

– Powinien pan zadzwonić do mamy.

– Już mówiłem, że nie... – urywam w pół zdania. – Czy wtedy ze mną porozmawia?

Lauren wpatruje się we mnie.

– Mama dostaje dziesięć funtów za godzinę. Pięćdziesiąt za wysprzątanie całego domu.

W końcu kapuję.

– Jasne. Będę pamiętał.

Pies znowu zbliża się do moich butów. Lauren lekko pociąga za smycz, w odpowiedzi na co pies marszczy szary pyszczek.

– Musi być bardzo stary – zauważam.

– Mama twierdzi, że już dawno nie powinien żyć.

– Na pewno nie mówi poważnie.

– Ależ mówi. – Odwraca się. – Muszę już iść.

– Do zobaczenia! – wołam za nią.

Nie odwzajemnia pożegnania, ale gdy już odchodzi, słyszę, jak mamrocze pod

nosem:

– Jesteś w niewłaściwym miejscu.

Dziwaczka to za mało powiedziane.

Po moim powrocie przed domem stoi biała furgonetka. Z tyłu ma rysunek przedstawiający wielki kran. Domyślam się, że należy do hydraulika. W świetle moich ostatnich łazienkowych problemów jego przyjazd wydaje się całkiem logiczny. Ale ja nie wzywałem hydraulika.

Podchodzę bliżej i wtedy potwierdzają się moje najgorsze obawy. Z boku furgonetki widnieje nazwa: „Fletcher i Synowie. Usługi hydrauliczne i grzewcze”. Patrzę, jak otwierają się drzwi samochodu i ze środka gramoli się Nażelowany. Kolejna postać, już nieco mniej znajoma, wysiada od strony kierowcy i wypływa na ziemię żółtą flegmę.

– Thorney. A niech mnie. Nie myślałem, że cię tu jeszcze zobaczę.

Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego. Wiedziałem, że nigdy stąd nie wyjedzie. Z niektórymi ludźmi tak już jest. Nie chodzi o to, że nie chcą się wynieść. Po prostu jakoś nie przychodzi im do głowy, że mogliby to zrobić.

– Co mam powiedzieć? – Rozkładałam ręce. – Brakowało mi tutejszej gościnności.

Fletch obcina mnie spojrzeniem od stóp do głów.

– Nic się nie zmieniłeś.

Po raz kolejny nie mogę mu się odwzajemnić tym samym. Czas nie okazał się łaskawy dla żadnego z nas, ale Nickowi Fletcherowi naprawdę dał w kość. Zawsze miał tępy wyraz twarzy – należał do dzieciaków, które pewnie już w pieluchach wyglądały staro – ale stracił muskulaturę, dzięki której tak dobrze nadawał się na goryla Hursta. Jest wychudzony, wręcz kościsty. Jego krótko przystrzyżone włosy mają brudny nikotynowy kolor, a twarz przecina siateczka głębokich zmarszczek, które mogły wyźłobić tylko choroba albo lata palenia i picia.

Podchodzi bliżej. Nażelowany patrzy na mnie wzrokiem, który chyba miał być złowrogi, ale nadaje mu wygląd osoby cierpiącej na zaparcie. Zwracam uwagę na

jego opuchnięty nos i podbite oczy. Gloria. Ciekawe, czy jego brat wciąż leczy uszkodzony bark. Czuję lekką satysfakcję.

Z kolei Fletch porusza się jak ktoś – wiem to z własnego doświadczenia – komu dokucza ból albo sztywnienie stawów. Może reumatyzm? Wskazują na to także zdeformowane knykcie. Tłuczenie ludzi jednak odbija się na zdrowiu.

Gdy do mnie podchodzi, czuję jego zapach. Mieszanka gumy Juicy Fruit i papierosów. Fletch zawsze nimi pachniał. Może jednak wcale się tak bardzo nie zmienił.

– Nie jesteś tu mile widziany, Thorney. Może zrobiłbyś wszystkim przysługę i wpełznął z powrotem pod ten pierdolony kamień, spod którego wypelzłeś?

– Wow, jakie długie zdanie. Chociaż trochę oklepane. Lepiej unikać powtórzeń, ale i tak wyszło ci całkiem nieźle.

Fletch się czerwieni. Nażelowany robi krok do przodu. Wyczuwam ledwie kontrolowaną agresję. Ten facet jest nie tylko gotowy, żeby mnie stłuc. On się do tego aż pali. Ślini się niczym pies na widok soczystej kości.

Jaki ojciec, taki syn. Fletch zawsze wolał najpierw uderzyć, a później zadawać pytania. Nie potrzebował wymówki, żeby spuścić komuś łomot, ale Hurst i tak mu jej dostarczył. Fletch uwielbiał wybijać zęby i podbijać oczy. Podczas bójek zachowywał się wrednie i niehonorowo. I nigdy nie odpuszczał. Na własne oczy widziałem, jak dzięki swojej napastliwości i uporowi pokonuje większych od siebie. Gdyby Hurst nie trzymał go tak krótko, myślę, że z łatwością mógłby kogoś zatłuc na śmierć.

Fletch unosi powykręcaną dłoń, a jego syn posłusznie się zatrzymuje.

– Czego ty właściwie chcesz?

– Pokoju na świecie, sprawiedliwych płac dla wszystkich obywateli i lepszej przyszłości dla naszych dzieci.

– Nadal myślisz, że jesteś zabawny?

– Ktoś musi.

Dłoń Fletcha zaczyna drżeć.

– Chcę się spotkać z Hurstem – dodaję szybko. – Myślę, że uda nam się dojść do

porozumienia, które zadowoli nas obu.

– Doprawdy?

– Mam coś, na czym mu zależy. I chętnie mu to oddam. Oczywiście nie za darmo.

Fletch prychnął lekceważąco.

– Wiesz, tamtego wieczoru Hurst kazał cię potraktować łagodnie. Pewnie przestał być tak wspaniałomyślny, odkąd zacząłeś mu grozić.

– Zaryzykuję.

– W takim razie jesteś większym kretyńcem, niż wyglądasz.

– Tak? Twój syn chyba też zebrał wtedy niezłe cięgi. – Uśmiecham się do Nażelowanego. – Jak tam bark twojego brata?

Mężczyzna robi się czerwony na twarzy.

– Miałeś fart, kaleko.

– Właśnie – odzywa się Fletch. – A teraz nie ma tu twoich kumpli, którzy mogliby ci pomóc...

K u m p li? A więc jego synowie nie potrafili się przyznać, że oberwali od kobiety.

– A z moimi chłopcami nie warto zadzierać. – Fletch szczyrzy zęby i opuszcza dłoń.

Nażelowany rusza do przodu. Jednak tym razem jestem przygotowany. Kiedy unosi pięść, zamachuję się laską. Obrywa nią mocno tuż nad uchem i osuwa się na ziemię. Wbijam mu laskę w brzuch i tłukę go nią przez plecy. Zgina się wpół niczym wyjątkowo szkaradne origami.

Fletch próbuje mnie zaatakować, ale jest starszy i wolniejszy niż jego syn. Robię unik i wbijam mu laskę między nogi. Z jękiem przewraca się na kolana. Przez wszystkie te lata sam nauczyłem się paru sposobów na to, by zadać komuś ból. Pochyliam się nad Fletchem, lekko zdyszany.

– Nie miałeś racji – mówię. – Jednak się zmieniłem.

Mruży załzawione oczy.

– Już nie żyjesz, kurwa.

– I mówi to facet ściskający się za jaja. Powiedz Hurstowi, że chcę się z nim spotkać. Może wybrać dzień, ale koniecznie w tym tygodniu.

– Nie masz pojęcia, w co się pakujesz.

Nażelowany zaczyna się podnosić. Wygląda na oszołomionego i młodszego, niż mi się wcześniej wydawało. Dopadają mnie wyrzuty sumienia, ale tylko lekkie. Zamachuję się laską, trafiając w jego napuchnięty nos. Tryska krew. Chłopak wrzeszczy i łapie się za twarz.

– Nie. To ty nie masz pojęcia, od czego próbuję się uwolnić. Daję wam pięć minut na odjechanie stąd, a później wzywam policję.

Odwracam się i kuśtykam w stronę domu. Adrenalina zdążyła już opaść i moje poturbowane ciało zaczyna się głośno skarżyć na cały ten wysiłek.

Fletch woła za mną:

– Twoja siostra umarła. Nie przywrócisz jej...

Nie kończy tego zdania. Nie musi.

19

1992

Umówiliśmy się w kopalni o dziewiątej wieczorem. Nikt nie kręcił się tam o tak późnej porze, a nie chcieliśmy, by ktokolwiek nas zaczepił.

Planowałem wymknąć się z domu po kolacji. Mama miała górę rzeczy do uprasowania, a tata na pewno pójdzie do pubu. Najpierw jednak musiałem coś załatwić. Wyszedłem z domu tylnymi drzwiami i zakradłem się do szopy. Tata trzymał w niej swoje narzędzia i stary sprzęt górniczy.

Musiałem trochę pomyszkować, odgarniając pajęczyny i martwe pająki. W końcu znalazłem to, czego szukałem: starą roboczą kurtkę, porządne buty, linę, latarkę i... tak! Nawet górniczy hełm. Podejrzywałem, że może już nie działać, ale w końcu udało mi się wskrzesić silny strumień żółtego światła.

– Co robisz?

Gwałtownie podskoczyłem i odwróciłem się, prawie upuszczając hełm na ziemię.

– Cholera! Co t y tu robisz? Szpiegujesz mnie?

W drzwiach stała Annie. Błede wieczorne światło spowijało jej wątłą postać. Miała na sobie różową pizamę z Troskliwym Misiem, a jej długie ciemne włosy były związane w koński ogon.

Moja siostrzyczka. Chociaż miała dopiero osiem lat, czasami zachowywała się jak osiemnastolatka. Śmieszna, przebojowa, uparta, głupiutka. Naiwnie inteligentna, irytująco urocza. Zabawna, wkurzająca, zajmująca. Koścista i jednocześnie mięciutka, gdy oplatała mnie pajęczyną patykowatych kończyn.

Obdarzona szczerbatym uśmiechem zdolnym rozmiękczyć najtwardsze serce. Łobuziara, która wciąż chciała wierzyć w Świętego Mikołaja i magię. Ale kto nie chciał?

- Nie powinieneś przeklinać – zwróciła mi uwagę.
- W porządku, wiem. A ty nie powinnaś się tak zakradać.
- Wcale się nie zakradałam. Po prostu mnie nie słyszałeś.

Spieranie się z ośmiolatką to jedna z wielu bezsensownych rzeczy w naszym życiu. Niezależnie od tego, jacy jesteśmy mądrzy, nie mamy szans w starciu z dziecięcą logiką.

- Cóż, byłem zajęty.
- Czym? Czy to są rzeczy tatusia?

Szybko odłożyłem hełm.

- Tak. No i...?
- Co z nimi robisz? – Nagle zauważyła plecak w mojej drugiej ręce. – Chcesz je stąd zabrać?

Kochałem moją siostrę. Całym sercem. Ale czasami była istnym utrapieniem. Przypominała teriera; gdy już się czegoś uczepiła, nie chciała odpuścić.

- Tylko pożyczyć, okej? Zresztą i tak z nich nie korzysta.
- Po co ci one?
- Nie twoja sprawa.

Skrzyżowała ramiona i zmrużyła oczy. Wiedziałem, że to spojrzenie oznacza kłopoty.

- Powiedz mi.
- Nie.
- Powiedz albo pójdę do mamy.

Westchnąłem. Byłem spięty i zdenerwowany. Tak naprawdę wcale nie chciałem wracać do tego dziwnego włazu. Nie wiedziałem, po co właściwie to robimy, ale musiałem tam pójść, bo inaczej wyszedłbym przed kumplami na tchórza, a teraz jeszcze moja ośmioletnia siostra robiła mi problemy.

- Posłuchaj, nie będziemy robić nic ciekawego. Chcemy tylko posiedzieć chwilę

w kopalni.

Podeszła bliżej.

– W takim razie po co ci rzeczy tatusia?

Ponownie westchnąłem.

– Powiem ci, ale musisz mi obiecać, że nikomu się nie wygadasz, okej?

– Okej.

– Znaleźliśmy dziurę prowadzącą do wnętrza ziemi i chcemy tam wejść, ponieważ liczymy na to, że na dole jest zaginiony świat pełen dinozaurów.

Spiorunowała mnie wzrokiem.

– Chrzanisz.

To by było na tyle w kwestii nieprzeklinania.

– Dobra. Jak nie chcesz, to mi nie wierz.

– Nie wierzę.

– Okej.

Przez chwilę żadne z nas się nie odzywało. Spakowałem hełm, ubrania, linę i buty do plecaka, zapiąłem go i zarzuciłem sobie na plecy.

– Joey?

Nienawidziłem, gdy ktoś – poza moją siostrą – tak się do mnie zwracał.

– Co?

– Bądź ostrożny.

A później pobiegła do domu, na tych swoich brudnych, bosych stopach, z podskakującym kucykiem.

Patrzyłem za nią i chciałbym móc powiedzieć, że dopadły mnie złe przecucia. Że po niebie przemknęła chmura przygnana przez złowróźbny wiatr. Że ptaki zerwały się z drzew z głośnym jazgotem albo że niespodziewany grzmot przerwał ciszę tamtego wieczoru.

Ale nic takiego się nie wydarzyło.

Takie już jest życie. Nigdy nas nie ostrzega. Nie zsyła nawet najdyskretniejszej wskazówki, że doświadczamy ważnego momentu. Moglibyśmy się wtedy zatrzymać i zadumać nad nim. Nigdy jednak nie wiemy, że jakaś chwila zasługuje

na naszą uwagę, dopóki ona nie przeminie.

Patrzyłem, jak Annie biegnie – szczęśliwa, niewinna, beztroska – i nie miałem pojęcia, że widzę ją taką po raz ostatni.

Nie zauważyłem też, że zabrała ze sobą latarkę.

Staliśmy nad wjazdem: Fletch, Chris i ja. Hurst jeszcze się nie zjawił. Jakaś część mnie – i to całkiem spora – miała nadzieję, że tego nie zrobi.

Fletch i ja mieliśmy na sobie ciężkie buty, ciemne ubrania i grube kurtki, za to Chris wyglądał, jakby przyszedł prosto z parku, ubrany w dżinsową kurtkę i spodnie oraz sportowe buty. Tylko ja zabrałem ze sobą górniczy hełm (oraz plecak z liną w środku), ale wszyscy trzej mieliśmy latarki. Byliśmy gotowi. Mimo to, przy braku narzędzi do podważenia klapy wjazdu, nie mogliśmy nic zrobić.

– Gdzie on, u licha, jest? – jęknął Fletch, wyjmując paczkę ciastek.

Wzruszyłem ramionami.

– Może nie przyjdzie.

Moglibyśmy wtedy wrócić do domu i zapomnieć o swoim głupim planie. Nie mielibyśmy do siebie żalu, ani też nie wyszlibyśmy na tchórzy.

Chris szurał nogami tak energicznie, że aż pozdzierał sobie adidas. Fletch wypalił papierosa po sam filtr. Udawałem wkurzonego, zerkając nerwowo na zegarek, lecz jednocześnie odczuwałem coraz większą ulgę. Już miałem zasugerować, żebyśmy dali sobie spokój z czekaniem, gdy usłyszałem za plecami znajomy głos:

– Jak leci, panowie?

Odwróciliśmy się jak na komendę. Hurst schodził z hałdy, sadząc wielkie susy. Nie był jednak sam. Szła za nim Marie.

– Co ona tu robi? – zapytał Chris.

– Przecież jest moją dziewczyną.

Poczułem, jak moje serce spada do za dużych na mnie butów. Marie nie tylko była kiepsko przygotowana, żeby zejść pod ziemię – ubrana w dekatyzowane dżinsy i parę szpilek – ale też ścisnęła w ręku siatkę z wystającą z niej butelką

cydru Diamond White.

– To jak, gotowi? – Hurst wyszczerzył zęby w uśmiechu, wywijając trzymanym w dłoni łomem. Jego głos świadczył o tym, że był lekko wstawiony.

– Gotowi. – Fletch wyrzucił niedopałek, który przez chwilę tlił się na ziemniczym zaczerwienione z gniewu oko.

Chris znowu zaczął szurać nogami, jakby musiał iść do toalety albo miał na sobie za ciasne buty. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego, ale w inny sposób niż ja. Emanowała z niego nerwowa ekscytacja.

– Nie powinno jej tutaj być – wymamrotał jakby do siebie.

Marie wlepiła w niego wzrok.

– Mówisz o mnie? – zapytała.

Pomimo całej tej sytuacji – oraz tego, że zgadzałem się z Chrisem – nie mogłem nie zauważyć, jak dobrze wyglądała tego wieczoru. Miała potargane włosy, a energiczny spacer (i pewnie także wypity cydr) nadał jej policzkom ładny różowy odcień. Przełknąłem ślinę i sam zacząłem szurać nogami.

Marie ruszyła w stronę Chrisa.

– Chcesz powiedzieć, że nie powinno mnie tutaj być, bo jestem dziewczyną? Nie nadaję się do tego samego co wy?

Marie zawsze miała charakterek, lecz tego wieczoru – możliwe, że za sprawą cydru – sprawiała wrażenie wyjątkowo zadziornej.

Chris skulił się w sobie.

– Nie, po prostu...

– No co?

– Nic – wtrąciłem szybko. – Chris po prostu się o ciebie martwi. Nie wiemy, co znajduje się tam na dole. Może być niebezpiecznie.

Przez chwilę miała minę, jakby zamierzała się z nami pokłócić. W końcu jednak odpuściła.

– Cóż, to miłe, ale nie musicie się martwić. Potrafię się o siebie zatroszczyć. – Wyjęła z torby butelkę, odkręciła i upiła łyk cydru.

– A w razie problemów j a się o nią zatroszczę – odezwał się Hurst, łapiąc

najpierw Marie za tyłek, później za butelkę i sam wlał sobie do gardła kilka łyków.

– No to chodźmy – mruknął Fletch. Widziałem, że i on nie jest zachwycony obecnością Marie, chociaż z innych powodów niż Chris. Fletch zawsze uważał się za najlepszego kumpla Hursta. Przy Marie spadał w hierarchii naszej grupy o jedno oczko.

– Racja, kurna – odparł Hurst, oddając Marie butelkę.

Nachylił się nad włazem i spróbował wetknąć łom pod metalową krawędź. Za pierwszym razem zachwiał się i narzędzie wypadło mu z ręki.

– Cholera!

Wyciągnął łom i ponownie spróbował go wsunąć pod pokrywę, ale znowu mu się nie udało.

– Może się zaklinowało? – powiedziałem.

Popatrzył na mnie groźnie.

– Tak myślisz, geniuszu? – Przeniósł wzrok na Fletcha. – Może byście mi pomogli?

Niechętnie – szczególnie ja – ruszyliśmy mu na pomoc. Fletch jako pierwszy chwycił łom tuż pod miejscem, w którym zaciskał na nim dłonie Hurst, i obaj mocno nacisnęli.

Wpatrywałem się we właz, błagając go o to, żeby się nie otwierał. Jednak tym razem usłyszeliśmy pisk. Zardzewiały, nieużywany od wielu lat metal zaczynał im ustępować.

– Mocniej – jęknął Hurst przez zaciśnięte zęby.

Ponownie docisnęli łom i tym razem zobaczyłem, jak pokrywa włazu zaczyna się unosić. Pomiędzy metalem a ziemią pojawiło się kilka centymetrów ciemności. Z każdym kolejnym centymetrem ogarniały mnie coraz gorsze przeczucia.

– Jeszcze raz – warknął Hurst. Fletch ryknął, naprawdę zaryczał, a później docisnęli łom.

Pokrywa włazu uniosła się jeszcze trochę.

– Łapcie to! – wrzasnął Hurst.

Nachyliliśmy się z Chrisem i obaj chwyciliśmy za metalowe krawędzie. Marie

przyłączyła się do nas. Wszyscy ciągnęliśmy. Pokrywa była ciężka, ale nie tak ciężka, jak to sobie wyobrażałem.

– Na trzy.

Wspólnie dźwignęliśmy pokrywę i tym razem wreszcie ustąpiła, nagle i niespodziewanie. Zachwialiśmy się do tyłu, gdy walnęła o ziemię w obłoku kurzu i pyłu, wydając przy tym głuchy odgłos, który poczułem w podeszwach butów.

Hurst wykrzyknął triumfalnie. Cisnął łomem o ziemię i przybił Fletchowi piątkę. Marie szczyrzyła zęby jak głupi do sera. Nawet ja poczułem chwilowy przypływ adrenaliny. Tylko Chris stał w milczeniu, z obojętną miną.

Wszyscy zrobiliśmy krok do przodu i zajrzeliśmy do dziury. Fletch włączył latarkę i nią poświecił. Ustawiłem lampkę na swoim hełmie. Spodziewałem się, że zobaczymy ciemność. Nieprzeniknioną czerń ledwie rozświetloną blaskiem naszych latarek; długi prosty korytarz prowadzący w nicość.

Dostrzegłem jednak coś innego. I o wiele gorszego. Stopnie. Metalowe szczeble przytwierdzone do skały, coś na kształt drabiny prowadzącej w dół. Nie widziałem nawet, gdzie się one kończą. Poczułem przebiegający po kręgosłupie lodowaty dreszcz.

– Cholera – mruknął Hurst. – Miałeś rację, Ciastuś. To j e s t wejście.

Tylko do czego? – pomyślałem. Co u diabła spodziewaliśmy się znaleźć tam na dole?

Hurst popatrzył na nas roziskrzonym wzrokiem. Znałem to spojrzenie. Beznamiętne, niebezpieczne, opętane.

– Kto schodzi pierwszy?

Głupie pytanie, bo przecież...

Zwrócił się w moją stronę.

– Thorney, ty masz cały sprzęt.

No jasne. Zajrzałem do dziury i wywróciły mi się wnętrzności. Nie chciałem tam schodzić. Na dnie tego długiego, ciemnego szybu nie mogło na nas czekać nic dobrego. Cały ten pomysł był bez dwóch zdań zły.

– Nie wiemy, dokąd to prowadzi – powiedziałem. – Szczeble wyglądają na stare

i pordzewiałe. Mogą się pod nami załamać. A szyb może się okazać bardzo głęboki.

Fletch zaczął przeciągle gdakać.

– Co się stało, Thorney? Cykor cię obleciał?

Rzeczywiście, bałem się jak diabli.

Zdarzają się w życiu momenty, kiedy trzeba podjąć decyzję. Postąpić jak należy albo ulec presji rówieśników. Gdybym się odwrócił i odszedł, postąpiłbym rozsądnie – może nawet reszta poszłaby za mną – ale musiałbym się pożegnać z paczką Hursta. Przez resztę szkoły jadłbym drugie śniadanie na przystanku autobusowym.

Ale przynajmniej byłbym na tyle żywy, żeby w o g ó l e jeść drugie śniadanie.

– Joe? – odezwała się Marie, kładąc dłoń na moim ramieniu. Posłała mi przy tym leniwy, pijacki uśmiech. – Nie musisz tego robić, jeśli nie chcesz. W porządku.

Jej słowa przeważały szalę. Podniosłem rękę i zacisnąłem pasek na górniczym hełmie taty.

– Pójdę – zdecydowałem.

– Brawo. – Hurst poklepał mnie po plecach i spojrzał na resztę. – Gotowi?

Wszyscy zaczęli kiwać głowami. Widziałem jednak, że Fletch się denerwuje. Hurst sprawiał wrażenie pewnego siebie, nabuzowany cydrem i szaleńczą ekscytacją. Z kolei Chris wyglądał na tak spokojnego, jakbyśmy wybierali się na zakupy, a nie do ciemnego tunelu.

– W takim razie jedziemy z tym koksem. – Hurst podniósł z ziemi krawat, obwiązał nim sobie głowę i szeroko się uśmiechnął. – Pierwsza krew. – Później, jakby tknięty przecuciem, sięgnął jeszcze po łom.

Wpatrywałem się w metalowe narzędzie, czując, jak w żołądku formuje mi się dziwna, twarda gula.

– Po co ci to?

Ponownie wyszczerzył zęby w uśmiechu i uderzył łomem w wewnętrzną część dłoni.

– Tak na wszelki wypadek, Thorney.

Szczeble rzeczywiście były zardzewiałe i wąskie. Ledwie mieściły się na nich palce stóp. Przy każdym kroku ugiwały się pode mną z jęklwym protestem. Ścisnąłem je kurczowo, modląc się, żebyśmy zdołali po nich zejść na sam dół.

Słyszałem, że reszta idzie za mną, obsypując mój hełm drobinkami metalu i ziemi. Chociaż czułem się trochę głupio, gdy go wkładałem, teraz cieszyłem się, że chroni moją głowę i że dzięki niemu mam obie ręce wolne.

Schodząc, liczyłem szczeble. *Dziesięć, jedenaście, dwanaście.* Przy dziewiętnastym nie trafiłem stopą w szczebel. Zawisła w powietrzu, a później dotknęła twardego podłoża. Poczulem zalewającą mnie falę ulgi. Zszedłem na ziemię. Udało się.

– Jestem na dole! – zawołałem.

– Co widzisz? – odkrzyknął z góry Hurst.

Rozejrzałem się dookoła. Światło lampki na hełmie zalało pomieszczenie bladym, żółtawym blaskiem. Stałem w niewielkiej jaskini, która mogła pomieścić nie więcej niż sześć osób. Sprawiała wrażenie pustej, nie licząc leżących na ziemi szczątków kilku małych zwierząt. Sam już nie wiedziałem, czy czuję z tego powodu ulgę czy rozczarowanie.

– Niewiele – przyznałem.

Hurst wylądował obok mnie z głuchym tąpnięciem. Po chwili dołączyli do niego Fletch, Chris i Marie, która pomimo szpilek jakoś zdołała zejść. Wciąż ścisnęła w rękę torbę z cydrem.

– To już wszystko? – zdziwiła się.

Fletch poświecił latarką i splunął na ziemię.

– Zasnana dziura w ziemi.

– Strata czasu – stwierdziłem, starając się nie okazać zadowolenia.

Hurst tylko się skrzywił.

– Pieprzyć to. Muszę się odlać.

Odwrócił się w stronę ściany. Usłyszałem dźwięk rozpinanego rozporaka i uderzający w ziemię strumień moczu. Kwaśny zapach uryny, dodatkowo wzmocniony cydrem, wypełnił ciasną przestrzeń.

Chris nadal się rozglądał, marszcząc brwi.

Popatrzyłem na niego.

– No co?

– Myślałem, że coś tu znajdziemy.

– Najwyraźniej nic tu nie ma, więc...

Ale on mnie nie słuchał. Zaczął krążyć po jaskini niczym pies, który zwęszył kość. Nagle zatrzymał się przy skale, w miejscu, gdzie cienie łączyły się ze sobą, i nachylił się.

A później zniknął. Zamrugałem kilka razy. Co u licha?

– Gdzie on się podział? – zapytała Marie.

Hurst zapiął rozporek i odwrócił się w naszą stronę.

– Gdzie Ciastuś?

– Tutaj – rozległ się głos pozbawiony właściciela.

Skierowałem światło w kierunku, z którego dochodził. I wtedy ją zobaczyłem. Wyrwę w skale. Wysoką na jakieś sto dwadzieścia centymetrów i dość wąską. Łatwo ją było przegapić, chyba że wyteżyło się wzrok. Albo wiedziało o jej istnieniu.

– Można zejść jeszcze głębiej! – zawołał z ciemności Chris. – Tu są kolejne stopnie.

– To mi się, kurna, podoba! – ucieszył się Hurst.

Wyminął mnie i przecisnął się na drugą stronę. Po chwili wahania i kolejnym łyku cydru Marie ruszyła za nim, a później dołączył do nich Fletch.

Westchnąłem, przeklinając w duchu Chrisa, i schyliłem się, żeby pójść za nimi. Uderzyłem głową w skałę. Górniczy hełm okazał się za szeroki. Światło lampki zamigotało i zgasło. Niech to szlag. Pewnie ją uszkodziłem. Wycofałem się i zdjąłem hełm. Będę musiał go wnieść do środka. Znowu zacząłem się przeciskać, gdy nagle wydało mi się, że coś słyszę. Jakby skrobanie i stukot kamieni. Dźwięk dobiegł zza moich pleców, od strony metalowych szczepki, po których tu zesliśmy.

Rozejrzałem się, ale bez światła widziałem tylko cienie i tańczące mi przed oczami mroczki.

– Hej! – zawołałem. – Jest tam kto?

Cisza.

Nie bądź głupi, Joe. Nikogo tam nie było. Pewnie usłyszałem wiatr wpadający do środka przez otwarty włącz. Jak ktokolwiek mógłby tu trafić? Nikt nie wiedział o tym zejściu. Nikt nie wiedział, że jesteśmy na dole. Zupełnie nikt.

Nikogo tu nie ma poza nami, kurczaczkami – nie wiedzieć czemu przypomniała mi się stara piosenka, którą kiedyś śpiewała mi babcia. *Nie ma tu żywego ducha.*

Po raz ostatni wlepiłem wzrok w ciemność, po czym odwróciłem się, przecisnąłem przez szparę i ruszyłem za resztą.

20

– Przyjemnie spędziłeś weekend?

Beth wyrasta u mojego boku, wyłoniwszy się spośród tłumu uczniów.

Wygląda świeżo i promiennie. Nie cierpię, gdy ktoś tak wygląda w poniedziałek rano przed dziewiątą.

Patrzę na nią spod powiek ciężkich jak ołów.

– Wystrzałowo.

Przygląda mi się jeszcze uważniej.

– Naprawdę? Bo wyglądasz jak gównno.

Wlokę się przez korytarz.

– I właśnie to świadczy o udanym weekendzie.

– Tak. Pewnie w twoim wieku kace trwają dłużej.

– M o i m wieku?

– No wiesz, w średnim. Kiedy przychodzi kryzys i trzeba regularnie badać prostatę.

– Ty naprawdę umiesz rozjaśnić nawet najbardziej ponury poniedziałkowy ranek, co?

– Jeszcze nawet się nie rozkręciłam.

– Udawajmy, że osiągnęłaś szczyt swoich możliwości.

Puszcza do mnie oko.

– Och, na pewno byś się zorientował, gdybym osiągnęła szczyt.

– Szczerze w to wątpię. W m o i m wieku?

Zanosi się serdecznym, gardłowym śmiechem i rzeczywiście trochę poprawia

mi tym mój wisielczy nastrój.

W takim razie dlaczego skłamała?

Usiłuję wymyślić jakiś sposób, by się tego dowiedzieć, gdy zza rogu wybiega uczeń dziewiątej klasy – z fryzurą jak u członka boysbandu i w stroju, który nie bardzo można nazwać regulaminowym – prawie się z nami zderzając. W ostatniej chwili udaje mu się jednak wyhamować.

– Czy ktoś ci już mówił, że nie wolno biegać po korytarzach? – pytam ostro.

– Przepraszam, ale musicie pójść do toalety.

– Ja już byłem, dzięki.

Beth posyła mi karcące spojrzenie.

– Co się stało? – pyta.

Chłopak przestępuje nerwowo z nogi na nogę.

– Będzie lepiej, jeśli sama pani to zobaczy.

– Daj nam chociaż jakąś wskazówkę – mówię.

– Chodzi o Hursta. Zamknął się z jakimś dzieciakiem i... – przerywa. Nikt nie lubi być kapusiem.

– W porządku. Zaraz się tym zajmiemy. – Daję mu znak, że może już odejść. –

I nie martw się, niczego nie widziałeś.

Chłopak znika w korytarzu.

Patrzę na Beth.

– Mogę się pożegnać z kawą – wzdycha.

Z toalety dobiegają zduszone krzyki i śmiechy. Próbuję otworzyć drzwi, ale ktoś blokuje je z drugiej strony.

– Spieprzaj stąd. Zajęte.

– Już nie.

Napieram na drzwi ramieniem i wpadam do środka. Dzieciak przytrzymujący drzwi zatacza się na pisuary. Obejmuję wzrokiem całą scenę. Trzech kumpli Hursta stoi w luźnym półkolu. Hurst klęczy nad leżącym na podłodze dzieciakiem z pudełkiem Tupperware przy boku. Łapię go za ramię i ciągnę do góry.

– Stań tam.

Pochyliam się nad leżącym na podłodze dzieciakiem. To Marcus. No jasne.

– Nic ci nie jest?

Kiwa głową. Próbuje wstać, ale nie daje rady. Wyciągam do niego rękę, lecz po nią nie sięga. Z jego ustami dzieje się coś dziwnego.

– Marcusie, odezwij się. Dobrze się czujesz?

Chłopak łapie się za żołądek, zgina w pół i wymiotuje. Na popękanych i zaplamionych kafelkach lądują kawałki chleba i coś jeszcze. Plątanina czarnych odwłoków i nitkowatych odnóży. Jeden próbuje odpełznąć. Czuję, jak przewraca mi się w żołądku. Pajaki nasoszniki.

Sięgam po pudełko Tupperware, wciąż do połowy wypełnione pajęczakami. Zmusili Marcusa do ich zjedzenia. Przez chwilę nic nie widzę. Mam przed oczami wyłącznie białe plamy.

– Czyj to był pomysł? – pytam. Jakbym nie wiedział.

Cisza.

– Pytam, c z y j t o b y ł p o m y ś l!

Mój głos odbija się echem po wyłożonych glazurą ścianach.

Hurst robi krok do przodu z drwiącym uśmiechem na twarzy. Mam przemożną ochotę zedrzeć mu go z twarzy.

– Mój, panie profesorze. Ale zostałem sprowokowany.

– Doprawdy?

– Tak. Marcus obrażał moją mamę. Z powodu jej choroby. Proszę spytać innych uczniów.

Patrzy na swoją bandę zakutych łbów, którzy jak na komendę przytakują.

– Kłamiesz – mówię.

Zbliża się do mnie tak bardzo, że prawie stykamy się nosami.

– Niech pan to udowodni, p r o f e s o r z e.

Zanim zdołam się powstrzymać, popycham Hursta na umywalkę. Łapię go za włosy i walę jego głową o zardzewiałe krany, raz za razem. Krew tryska na kafelki, pokrywając ściany abstrakcyjnym czerwonym wzorem. Czuję, jak jego czaszka

pęka i się roztrzaskuje. Kilka zębów wystrzeliwuje mu z ust i uderza w podłogę. Nie mogę się powstrzymać, dopóki...

Beth kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Może ja się tym zajmę, panie Thorne?

Mrugam. Hurst nadal stoi przede mną z pogardliwym uśmieszkiem. Zacisnąłem prawą dłoń w pięść, ale wciąż trzymam ją przy boku. Nawet go nie dotknąłem.

Beth zabiera mi pudełko Tupperware, które ściskam w drugiej ręce.

– Hurst, jestem bliska zawieszenia cię tu i teraz. Jeszcze jedno twoje słowo, a to zrobię. Wszyscy idziemy do gabinetu dyrektora. Ale już.

– Powinienem pójść z tobą – mówię.

– Nie – odpowiada twardo. – Powinieneś tu zostać i zająć się Marcusem.

Otwiera drzwi i cała banda – łącznie z Hurstem – wymaszerowuje z łazienki. Odwraca się i posyła mi dziwne spojrzenie.

– Porozmawiamy o tym później, panie Thorne.

– Miałem wszystko pod kontrolą.

W odpowiedzi tylko głośno zamyka drzwi. Patrzą na nie przez chwilę, po czym ponownie spoglądam na Marcusa, który leży na podłodze zwinięty w kłębek i ciężko oddycha.

– Możesz wstać?

Lekko kiwa głową. Wyciągam rękę, po którą tym razem sięga. Dźwigam go z podłogi i wskazuję na zlew.

– Może umyjesz sobie twarz i przepłuczesz usta?

Znowu przytakuje w oszołomieniu. Spoglądam na zwrócone kawałki chleba z pajakami. Póżywy insekt dał wreszcie za wygraną i leży nieruchomo na podłodze.

Wzdycham. Nauczycielstwo to niewdzięczny zawód. Wchodzę do jednej z kabin, sięgam po papier toaletowy (ze względu na jego jakość potrzebuję co najmniej kilku kawałków, żeby nie rozpadł się w kontakcie z czymś mokrym). W muszli klozetowej dostrzegam czarny przedmiot zalany cuchnącym moczem. Telefon komórkowy. Spuszczam wodę, zakładając, że jest zbyt duży, żeby wpaść

do odpływu, po czym ostrożnie wyławiam komórkę i osuszam ją na rolce papieru toaletowego. Zerkam na stary model nokii i wychodzę z kabiny.

Marcus zakręca wodę, ociera twarz rękawem swetra i patrzy na mnie, mrugając zaczerwienionymi oczami.

– Twój? – pytam, unosząc telefon.

Kiwa głową.

– Tak.

– Co się stało z twoim iPhone'em?

Spuszcza wzrok.

– A jak pan myśli?

Wzbiera we mnie gniew. Wiem, że nie da się chronić uczniów przez cały czas. Można próbować, kiedy są w szkole. Ale nie sposób im towarzyszyć w drodze do domu, w parku, na placu zabaw czy pod sklepem. Łobuzy nie przestają się znęcać nad swoimi ofiarami na dźwięk ostatniego dzwonka.

– Marcusie...

– Nie pójdę z tym do dyrektora.

– Wcale tego od ciebie nie wymagam. Oboje z Beth widzieliśmy, co się stało. Przy odrobinie szczęścia Hurst zostanie zawieszony w prawach ucznia.

– Akurat.

Chciałbym go przekonać, że się myli, lecz brakuje mi do tego energii.

– Nigdy nic nie wiadomo – mówię tylko.

– Owszem, wiadomo. I pan też to wie.

Nic nie mówię.

– Mogę już iść?

Przytakuję ze znużeniem. Marcus zarzuca sobie plecak na ramię i wychodzi. Zostaję w łazience, patrząc na wymiociny. Powtarzam sobie, że to nie mój problem. Przecież niedługo stąd wyjadę. Tylko że ta irytująca, porządna część mnie pragnie mu pomóc. Próbuję ją zignorować i sięgam po więcej papieru. Wtedy właśnie uświadamiam sobie, że wciąż mam jego telefon. Wsuwam go do kieszeni. Później znajdę Marcusa i mu go oddam. Sprzątam wymiociny – przy okazji sam

walczę z nudnościami – i wychodzę z toalety, kuśtykając.

Mógłbym pójść do gabinetu Harry’ego, ale coś mi mówi, że moja obecność tam tylko zaogniłaby sytuację. Poza tym i tak wiem, co się stanie. Widzę to wyraźnie. Harry jedynie pogrozi Hurstowi palcem i każe mu zostać po lekcjach. Z głębokim westchnieniem wyjaśni, że ma związane ręce; zawieszenie Hursta w prawach ucznia byłoby niewłaściwe, zważywszy na stan zdrowia jego matki, nie mówiąc już o zbliżających się egzaminach. Poza tym dzieci są tylko dziećmi.

Sęk w tym, że jeśli im na to pozwolimy, zaczną sobie smarować twarze świńską krwią, spychać kolegów z urwisk i rozbijać im głowy kamieniami. Nasze zadanie jako nauczycieli, dorosłych i rodziców polega na tym, żebyśmy powstrzymywali dzieci – na każdym etapie ich życia – od bycia dziećmi, bo inaczej rozerwą ten pieprzony świat na strzępy, i to na naszych oczach.

Wolno przemierzam pusty korytarz, chociaż szkolne korytarze tak naprawdę nigdy nie są puste. Pobrzmiwają w nich śmiechy, krzyki i wrzaski uczniów, którzy dawno je opuścili. Pozostają jednak ich duchy. Otaczają i poszturchują mnie ze wszystkich stron, wznosząc okrzyki typu: „Hej, Thorney!” i „Dorwiemy cię, Ciastuś!”. Słyszę dźwięk dzwonka. Zmurszałe adidas popiskują na zakrętach, kiedy biegną do klas, w których lekcje nigdy się nie kończą. Wydaje mi się, że dostrzegam w szybie odbicie kogoś innego niż ja. Widzę strzechę blond włosów, niskiego chudzielca z czerwoną miazgą zamiast twarzy. A później wszyscy znikają w odmętach mojej pamięci.

– Pan Thorne?

Na dźwięk głosu aż podskakuję. Przede mną stoi panna Grayson, przyciskając do piersi stos niebieskich teczek. Spogląda na mnie chłodnym wzrokiem przez szkła okularów.

– Nie ma pan teraz lekcji?

Ton jej głosu sprawia, że czuję się tak, jakbym znowu nosił krótkie spodenki.

– Właśnie tam idę.

– Wszystko w porządku?

– Miałem ciężki ranek. Wie pani, jeden z tych, kiedy zastanawiamy się, po co

w ogóle zostaliśmy nauczycielami.

Kiwa głową.

– Wykonuje pan dobrą robotę, panie Thorne.

– Naprawdę?

– Tak. – Kładzie mi rękę na ramieniu. Przez koszulę czuję dotyk jej zimnych palców. – Jest pan tu potrzebny. Proszę się nie poddawać.

– Dziękuję.

Przez jej twarz przemyka coś, co do złudzenia przypomina uśmiech. A później panna Grayson odchodzi korytarzem w tych swoich wygodnych mokasynach, kardiganie i beżowej spódnicy niczym duch dawno minionych szkolnych czasów.

Gdy wreszcie docieram do sali, uczniowie dziesiątej klasy wciąż cierpliwie na mnie czekają. Siedzą przyklejeni do swoich smartfonów, z nogami na ławkach. Niektórzy na mój widok bez większego przekonania próbują schować telefon do kieszeni albo usiąść prosto. Większość nie zawraca sobie tym głowy, tylko patrzy, jak odwieszam torbę na krzesło.

Przyglądam się im. Wbrew temu, co powiedziała panna Grayson, nagle ogarnia mnie rozpacz na myśl o tym, jak bezsensowna jest moja praca, moje życie, mój powrót tutaj. Chodzę po klasie, rozdając uczniom mocno sfatygowane egzemplarze *Romea i Julii*.

– Schowajcie telefony, zanim je skonfiskuję. Powinienem was chyba uprzedzić, że często zdarza mi się mylić szkolny sejf z mikrofalówką.

W sali następuje lawinowe poruszenie.

– W porządku – mówię, ponownie stając na przodzie klasy. – Temat dzisiejszej lekcji: jak dostać przynajmniej czwórkę za mierne wypracowania, które oddaliście mi w zeszłym tygodniu?

Przez klasę przebiega szmer. Jedyń odważny uczeń podnosi rękę do góry.

– Jak tego dokonać, panie profesorze?

Siadam na krześle i wyjmuję z torby stertę prac domowych, które powinienem był sprawdzić przez weekend.

– Siedźcie cicho i udawajcie, że powtarzacie materiał, a ja będę udawał, że je czytam.

Wyjmuję czerwony długopis i rozglądam się znacząco po klasie. Uczniowie otwierają podręczniki.

Po skończonej lekcji, wypuszczeniu uczniów do domu i ocenieniu wypracowań – wbrew temu, co powiedziałem, większość z nich naprawdę czytam, a niektórzy uczniowie rzeczywiście zasługują na czwórkę – pakuję torbę, włączam telefon i sprawdzam, czy nie dostałem żadnej nowej wiadomości. Nic. Tajemniczy nadawca mi nie odpisał. Właściwie nie spodziewałem się, że to zrobi. To tak nie działa. Mimo wszystko podejmuję kolejną próbę i wybieram numer.

W słuchawce rozlega się sygnał. Marszczę brwi. Słyszę też dzwonięcie innego telefonu. Dźwięki są ze sobą idealnie zsynchronizowane. Telefon rozbrzmiewa w tym samym pokoju, w którym się znajduję. W mojej kieszeni. Wsuwam do niej rękę i wyjmuję starą nokię. Telefon Marcusa. Wpatruję się w aparat. Na ekranie wyświetla się mój numer. W momencie gdy dzwonek milknie, automatyczny głos informuje mnie, że dodzwoniłem się do poczty głosowej sieci Vodafone, bla, bla, bla.

W dalszym ciągu wlepiam wzrok w telefon, szukając w tym wszystkim jakiegokolwiek sensu, gdy ktoś mocno puka w drzwi do sali. Szybko chowam nokię do kieszeni.

Beth wchodzi do klasy i przysiada na biurku.

– Hej.

– Wejdz, siadaj.

– Dzięki, tak zrobię.

– Co z Hurstem?

– Przez tydzień będzie zostawał po lekcjach w kozie.

– Tylko tyle?

– To i tak więcej, niż się spodziewałam. Widziałam ameby z silniejszym kręgosłupem niż u Harry'ego.

- Czyli kumple Hursta potwierdzili jego wersję?
- Och, śpiewali jednym głosem, jak najbrzydszy boysband świata.
- Jasne.

Przez chwilę żadne z nas nic nie mówi.

- Posłuchaj, jeśli chodzi o to, co się tam zdarzyło...
- Miałaś rację. Prawie straciłem nad sobą kontrolę.
- Tak mi się właśnie wydawało.

– Czasami mam wrażenie, że w wypadku Hurstów historia aż za bardzo lubi się powtarzać.

- Wiem, że to pewnie nie moja sprawa...
- Pewnie tak.

– Ale czy łączą cię z Hurstem Seniozem jakieś niedokończone sprawy? Czy to właśnie przez nie tu wróciłeś?

- Dlaczego cię to interesuje?
- Nie tylko mnie.
- Co masz na myśli?

– Do Harry'ego dotarły plotki, że ciebie i Hursta łączy jakaś wspólna historia.

Chyba martwi się, że będzie miał przez to problemy. A konkretnie: więcej pracy.

- Niech go o to głowa nie boli. Nasza historia jest dawno zamknięta.
- W Arnhill takie historie nie istnieją.

Ma rację. W tym miejscu jest więcej sekretów niż wspólnych genów.

– W każdym razie – mówi dalej – gdybyś miał ochotę o tym pogadać przy piwie, może spotkamy się jutro wieczorem?

Zastanawiam się nad jej propozycją. Nie mam ochoty rozmawiać o Hurście, za to mam w i e l k ą ochotę porozmawiać z Beth.

- Okej.
- Świetnie. Ty stawiasz.
- Aha. W porządku.

Uśmiecha się szeroko i zsuwa się z biurka. Chciałbym ją zapytać o coś jeszcze.

- Beth, co wiesz na temat Marcusa i jego rodziny?

– Dlaczego pytasz?

– Ze zwykłej ciekawości.

– Jego mama jest sprzątaczką. Lauren dała ci jej wizytówkę wtedy w pubie.

Słyszę głucho stuknięcie w tyle głowy; jeden z elementów układanki właśnie wskoczył na swoje miejsce. Wyjmuję portfel i odszukuję wizytówkę.

– Dawsonowie – Pogromcy Kurzu?

– Właśnie tak.

To by znaczyło, że Lauren – Posępna Barmanka, Niechętna Wyprowadzaczka Psa – jest siostrą Marcusa. Wreszcie dostrzegam podobieństwo. To samo skrępowanie. Nieumiejętność odnalezienia się w grupie. Myślę nad tym przez chwilę. Wiadomość wysłano z telefonu Marcusa. Tamtego dnia był na cmentarzu. To nie przypadek. Ale jak udało mu się zdobyć mój numer? I skąd wiedział o graffiti, o mojej siostrze? Nie. Musi być coś jeszcze, czego do tej pory nie skojarzyłem.

– Czy mama Marcusa mieszka tu przez całe życie?

– Chyba jak większość ludzi w Arnhill?

– Jak ma na imię?

– Ruth.

W końcu coś mi świta w głowie. Tak jak tamtego pierwszego dnia przed szkolną bramą. Dawne wspomnienie, które zostało rozbudzone na nowo.

– Czy Dawson to jej panieńskie nazwisko?

Beth przewraca oczami.

– Jezu! Za kogo ty mnie masz? Myślisz, że prowadzę lokalny rejestr ślubów?

Moje życie nie kręci się wyłącznie wokół tej zawszawionej wioski, wiesz?

– Masz rację. Przepraszam.

Krzyżuje ramiona na piersi i wlepia we mnie wzrok.

– A właściwie dlaczego o to pytasz?

Bo muszę poznać odpowiedzi.

– Chyba chodziliśmy razem do szkoły.

Wzdycha ciężko.

– To nie jest jej panięskie nazwisko. Mąż Ruth zmarł kilka lat temu. Nikt za nim nie płakał – to był kawał drania. Lauren nie chce nawet używać jego nazwiska.

– Skąd o tym wiesz?

– Pomagałam jej wypełnić formularze aplikacyjne, kiedy szukała pracy. Zwróciłam uwagę na inne nazwisko. Powiedziała, że korzysta z panięskiego nazwiska swojej matki.

– Które brzmi...?

– Moore.

Prawie uderzam się ręką w czoło.

Ruth Moore biedna jak szczur, dostaje żarcie za darmo i prosi o jeszcze trochę. Ruth Moore, wstrętny paszczur, zlizuje mydło z podłogi w kiblu.

Kolejne nieśmiałe, odstające od reszty rówieśników dziecko. Kolejna ofiara. A jednak czasami to właśnie one widzą najwięcej. Przez nikogo niezauważone, chłoną wszystko, co się wokół nich dzieje – historie, plotki, pozostałości szkolnego życia – i zbierają to niczym polano unoszące się w rwącym nurcie rzeki. Nikt nie zdaje sobie sprawy z tego, jak wiele wiedzą. Bo nikt ich o to nie pyta.

Beth marszczy brwi.

– Dobrze się czujesz?

– Tak. Chciałbym z nią porozmawiać... o Marcusie.

I nie tylko.

– Możesz spróbować. Ale ta kobieta jest trochę dziwna. – Beth spogląda na mnie i zmienia zdanie. – Powinniście się świetnie dogadać.

– Dzięki.

– Nie ma za co. – Idzie w stronę drzwi. – Do zobaczenia później.

Czekam, aż umilknie pisk jej adidasów w szkolnym korytarzu, i ponownie sięgam po wizytówkę Ruth. Dawsonowie – Pogromcy Kurzu. Z tyłu znajduję numer i hasło reklamowe: „Przyjmiemy każde zlecenie. Rozprawimy się z każdym bałaganem”.

Gdyby tylko to była prawda. Niestety niektórych rzeczy nie da się zeszkrobać za pomocą druciaka i wiadra wybielacza. Podobnie jak krew, zostają na swoim

miejscu, rozkładając się pod powierzchnią.

Wiem, co spotkało twoją siostrę.

A czasami wracają.

21

Dom sprawia wrażenie małego, ale zadbanego. Wcale nie wygląda na biedny. Nowe okna PCV, eleganckie drewniane drzwi, wiszący kosz z kwiatami. Na krawężniku stoi błękitna fiesta z lśniącem srebrnym napisem „Dawsonowie – Pogromcy Kurzu” na boku.

Przechodzę przez krótki podjazd. Na parapecie wyleguje się tłusty pręgowany kocur. Przygląda mi się pogardliwie. Zatrzymuję się pod drzwiami. Chociaż miałem cały dzień na to, by przemyśleć swoją wizytę, nadal nie jestem pewien, jak powinienem to rozegrać. Tamte wiadomości nie bez powodu były anonimowe. Jeśli wysłała je Ruth, nie będzie chciała ze mną rozmawiać. Pytanie brzmi: d l a c z e g o to zrobiła?

Nie znam Ruth. Kiedy chodziliśmy do szkoły, praktycznie jej nie poznałem. Podobnie jak reszta. Nigdy nie należała do żadnej paczki. Z nikim się nie przyjaźniła. Nikt jej nigdzie nie zapraszał. Nie wybierał do swojej drużyny, chyba że szukał ofiary, którą mógłby poniżyć.

Pamiętam, jak któregoś dnia dziewczyny ukradły jej majtki po zajęciach WF-u. Banda dzieciaków – obojga płci – uzbrojonych w patyki i linijki ruszyła za nią, gdy wyszła ze szkoły, a kiedy próbowała uciec do domu, wszyscy ją otoczyli. Wrzeszczeli, wyzywali Ruth i podnosili jej spódnice, obnażając nagość. Ich zachowanie było okrutne, straszne i nawet nie miało wymiaru seksualnego. Chodziło wyłącznie o to, żeby ją skrzywdzić i upokorzyć. Nie mam pojęcia, jak by się to wszystko skończyło; na szczęście panna Grayson zauważyła ich przez okno, zainterweniowała i odprowadziła Ruth do domu.

Nie było jej tam dużo lepiej. Matka Ruth lubiła wypić, a ojciec łatwo tracił nerwy. Kiepska kombinacja. Ich wrzaski słychać było na całej ulicy. Jedynym towarzystwem, na jakie mogła liczyć Ruth, był stary parszywy pies, z którym spacerowała po terenie dawnej kopalni.

Nie było mnie wśród dzieciaków, które ją prześladowały. Przynajmniej nie tamtego dnia. Ale to żaden powód do dumy, bo również jej nie pomogłem. Stałem tylko i patrzyłem, jak się nad nią znęcają, a później odszedłem. Nie pierwszy i nie ostatni raz.

Ruth należała do dzieci, o których ludzie starają się nie myśleć po zakończeniu szkoły, bo gdyby to zrobili, straciliby dobre zdanie na swój temat. Miałem zresztą znacznie poważniejsze powody, żeby czuć wyrzuty sumienia.

Podnoszę rękę, chcąc zapukać do drzwi... które w tym samym momencie się otwierają.

Stoi przede mną niska, przysadzista kobieta, ubrana w różowy fartuch sprzątaczkowy, z nazwą firmy schludnie wyhaftowaną na piersi. Jej gęste włosy są krótko ostrzyżone, domyślam się, że pewnie bardziej ze względów praktycznych niż estetycznych. Kanciasta twarz pod prostą grzywką wyraża stoicki spokój charakteryzujący osoby przyzwyczajone do rozczarowań. Jest to twarz bez przerwy wystawiana na drobne ciosy od losu. Często to właśnie one bolą najbardziej.

Przygląda mi się podejrzliwie, z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

– Tak?

– Pani Dawson? Nagrałem się pani wcześniej na sekretarkę. Nazywam się Joe Thorne. Jestem nauczycielem w...

– Wiem, kim pan jest.

– Ach tak.

– Czego pan chce?

Niechęć do towarzyskich uprzejmości najwyraźniej jest u nich rodzinna.

– Chciałbym zwrócić Marcusowi telefon. Zostawił go dzisiaj w szkole. Jest w domu?

– Nie. – Wyciąga rękę. – Przekażę mu.

Nie bardzo wiem, co zrobić. Jeśli oddam jej telefon, nasza rozmowa prawie na pewno się zakończy.

– Czy mógłbym wejść?

– Po co?

– Chciałbym z panią porozmawiać.

– O czym?

Biję się z myślami. Czasami trzeba odsłonić swoje karty, a niekiedy lepiej jest grać na zwłokę.

– O pracy dla pani.

Czekam. Przez chwilę myślę, że i tak zatrzaśnie mi drzwi przed nosem. Ona jednak odsuwa się na bok.

– Właśnie wstawiłam wodę.

W środku dom okazuje się równie nieskazitelny jak na zewnątrz, chociaż w lekko niepokojący sposób. Unosi się w nim woń środków dezynfekujących i odświeżaczy powietrza. Czuję, jak puchną mi zatoki, a skronie zaczynają pulsować.

– Tędy. – Ruth prowadzi mnie do niewielkiej kuchni. Na blacie leży kolejny kot: szary, puchaty i z wyglądu złośliwy. Ciekawe, gdzie się podział pies. Może Lauren poszła z nim na spacer.

Wyjmuję z kieszeni telefon Marcusa i kładę go na stół.

– Trochę się zamoczył, ale chyba wciąż działa.

Ruth spogląda na niego z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Marcus ma iPhone'a.

– Obawiam się, że już nie. Rozbił się.

Posyła mi ostrzejsze spojrzenie.

– Sam czy z czyjąś pomocą?

– Nie potrafię powiedzieć.

– No jasne. Nikt nie potrafi.

– Jeśli Marcus chce złożyć skargę...

– To co? Co pan z tym zrobi? Co zrobią władze szkoły?

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale nie bardzo wiem co.

Ruth odwraca się w stronę szafki i wyjmuje z niej dwa kubki. Na jednym jest rysunek kota, na drugim napis: „Spokojnie, jestem sprzątaczką”.

– Chodziłam do szkoły mnóstwo razy – mówi. – Rozmawiałam z pańskim przełożonym.

– Ach tak.

– Guzik to dało.

– Przykro mi.

– Myślałam, że może coś się zmieniło. Że szkoły nie tolerują już tego rodzaju zachowań. Nie pozwalają się nikomu znęcać nad słabszymi.

– Tak powinno być.

– Tak. Ale nie jest. – Odwraca się w stronę czajnika. – Napije się pan herbaty?

– Wolałbym kawę.

Wolałbym jej powiedzieć, że się myli. Że szkoły duszą takie zachowania w zarodku. Nie zamiatają ich pod maty gimnastyczne, żeby lepiej wypaść w raporcie dla kuratorium. Że to, kto jest czyimś tatusiem, nie ma wpływu na sposób traktowania przez nauczycieli. Naprawdę c h c i a ł b y m móc jej to powiedzieć.

– Nie mamy kawy.

Nie zawsze dostajemy to, czego chcemy.

– Może być herbata.

Zalewa ją wrzątkiem, dodaje mleko.

– Pamiętam pana ze szkoły – mówi. – Należał pan do bandy Hursta.

– Przez pewien czas.

– Zawsze myślałam, że jest pan inny niż reszta.

– Dziękuję.

– Nie powiedziałam, że to komplement.

Nie bardzo wiem, jak zareagować. Postanawiam nie mówić nic, przynajmniej na razie.

Kończy parzyć herbatę i przynosi kubki do stołu.

– Siada pan czy nie?

Sadzam tyłek na krześle. Ruth zajmuje miejsce naprzeciwko.

– Słyszałam, że wynajmuje pan dom Mortonów.

– W Arnhill wieści szybko się rozchodzą.

– Zawsze tak było.

Sięga po kubek i upija łyk herbaty. Spoglądam na mętny brunatny płyn w moim kubku i postanawiam nie iść za jej przykładem.

– Sprzątała pani u Julii Morton?

– Tak. Ale nie mam co liczyć na referencje.

– W takim razie musiała pani znać ją i Bena?

Zapłata palce wokół kubka i patrzy na mnie podejrzliwie.

– To dlatego pan tu przyszedł? Żeby zrozumieć, co się stało?

– Mam parę pytań.

– Nie ma nic za darmo.

– Ile?

– Tyle co za wysprzątanie całego domu.

Przypominam sobie cennik podany mi przez Lauren.

– Pięćdziesiąt funtów?

– Gotówką.

Zastanawiam się przez chwilę.

– Połowy domu i będę musiał zapłacić czekiem.

Prostuje się na krześle, krzyżując ramiona.

– Proszę pytać.

– Jaka była Julia?

– W porządku, jak to nauczycielka. Nie uważała się za lepszą od innych.

Chociaż sądziła, że jest za dobra na to miejsce. Większość tak uważa.

I pewnie mają rację.

– Ale nie miała depresji?

– Ja tego nie zauważyłam.

– A Ben?

– Dobry był z niego dzieciak. Dopóki nie zaginął.

– Co się stało?

– Któregoś dnia nie wrócił ze szkoły. Wszyscy go szukali. – Zawiesza głos. –

A później wrócił.

Po raz pierwszy wyczuwam u niej skrępowanie, rysę na twardej fasadzie.

– I...?

– I się zmienił.

– Jak?

– Zawsze był grzecznym, porządnym chłopcem. A później przestał spuszczać wodę w toalecie. Jego pościel zawsze lepiała się od potu i nie tylko. W jego pokoju cuchnęło, jakby wlało tam jakieś zwierzę i zdechło.

– Może przechodził trudny okres? – sugeruję. – Dzieciaki w mgnieniu oka potrafią się zmienić z rozkosznych malców w humorzaste nastolatki.

Patrzy na mnie i upija kolejny łyk herbaty.

– Zwykle zostawiałam sobie sprzątanie ich domu na koniec. Czasami Ben wracał ze szkoły i ze sobą gadaliśmy. Parzyłam nam herbatę. Po jego powrocie odwracałam się, a on tylko stał i się na mnie gapił. Dostawałam od tego ciarek. Ten jego wzrok, zapach. Czasami słyszałam, jak mamrocze coś pod nosem. Brzydkie słowa. To nawet nie brzmiało jak jego głos. Coś było nie w porządku.

– Rozmawiała pani o tym z Julią?

– Próbowałam. Właśnie wtedy powiedziała, że już nie potrzebuje mojej pomocy. Odprawia mnie.

– Kiedy to było?

– Zanim wypisała go ze szkoły.

Spoglądam na kubek, żałując, że nie ma w nim mocnej kawy. Co tam kawa. Wolałbym szklankę burbona i papierosa.

– Niech pan otworzy kuchenne drzwi.

– Słucham?

– Ma pan ochotę zapalić. Sama też nie odmówię. Proszę otworzyć drzwi.

Wstaję i podchodzę do drzwi. Otwierają się na niewielki ogródek. Ktoś

próbował go rozweselić za pomocą kilku donic z lekko podwiędłymi roślinami. Na końcu ogrodu stoi buda. Wracam do środka i siadam przy stole. Wyjmuję z paczki dwa papierosy i podaję jednego Ruth, po czym oba przypalam.

– Jak pani myśli, co spotkało Bena? – pytam.

Odpowiada dopiero po chwili:

– Kiedy byłam mała, mieliśmy psa. Chodziłam z nim na spacer do dawnej kopalni.

– Pamiętam – mówię, zastanawiając się, dokąd zmierza jej opowieść.

– Któregoś dnia mi uciekł. Byłam zrozpaczona. Kochałam tego psa. Dwa dni później wrócił, z futrem zmatowiałym od brudu i kurzu, z wielką krwawą blizną wokół szyi. Nachyliłam się i zaczęłam go głaskać. Zamerdzał ogonem i ugryzł mnie w rękę. Aż do samej kości. Tata chciał go ukatrupić. *Jak pies się zeźli, nic na to nie poradzisz. Nie ma już odwrotu* – powiedział.

Patrzę na nią.

– Porównuje pani Bena Mortona do psa?

– Mówię, że tego chłopca spotkało coś złego, z czym jego matka nie potrafiła dłużej żyć. – Zaciąga się papierosem i wydmuchuje gęstą chmurę dymu.

– Mówiła pani o tym policji?

Prychnięcie.

– Żeby wzięli mnie za wariatkę?

– Ale mnie pani powiedziała.

– Bo mi pan płaci.

– I tylko dlatego?

Wrzuca niedopałek do kubka.

– Jak już mówiłam, był pan inny niż reszta.

– Czy dlatego przysłała mi pani maila?

Marszczy brwi.

– Jakiego maila?

– Tego o mojej siostrze: *To się znowu dzieje*.

– Niczego panu nie wysyłałam. Widzę pana po raz pierwszy, odkąd byliśmy

dziećmi.

– Wiem, że wysłała mi pani SMS-a. – Podnoszę ze stołu nokię. – Został nadany z tego aparatu. Domyślałam się, że Marcus pożyczył go od pani.

– Nie wysłałam panu żadnego cholernego SMS-a. A to nie jest mój telefon.

Malujące się na jej twarzy zmieszanie wydaje się autentyczne. Głowa zaczyna mnie jeszcze bardziej boleć. Jak na zawołanie otwierają się frontowe drzwi i do kuchni wchodzi Marcus.

– Cześć, mammo. – Wtedy mnie zauważa. – Co on tutaj robi?

– Przyniosłem ci telefon – mówię, pokazując nokię.

Od razu rzędzie mu mina.

– Skąd go wziąłeś? – pytam.

– Mam go od lat.

– Naprawdę? W takim razie wiesz, co znaczą słowa: *Poduście dzieci. Jebać je.*

Rozwalić na kawałki?

Wina emanuje z niego niczym ciepło.

– Marcus? – odzywa się Ruth.

– To był zwykły żart. Chciałem pana wkręcić.

– A więc to był twój pomysł?

– Tak.

– Nie wierzę ci.

– Mówię prawdę.

– Czy ktoś kazał ci wysłać tego SMS-a?

– Nie. Nikt mnie do niczego n i e z m u s i ł. – Wyzywająco wysuwa podbródek.

– W porządku. – Chowam telefon do kieszeni. – Niech policja się tym zajmie.

Robię krok w kierunku drzwi.

– Niech pan zaczeka!

Odwracam się.

– Słucham, Marcusie.

Posyła mi rozpaczliwe spojrzenie.

– Mama nie straci przez to pracy, prawda?

22

1992

Jeszcze więcej stopni, chociaż innych niż poprzednio. Te zostały wykute w skale i prowadzą w dół, tworząc coś w rodzaju klatki schodowej. Śliskiej i zdradliwej. Niektóre stopnie kruszyły się pod stopami. Słysząc było, jak skalne odłamki lecą w dół. Daleko w dół.

Ściany po obydwu stronach zejścia były poszarpane, sklepienie wisiało tak nisko, że musiałem iść lekko zgarbiony. Skorygowałem ustawienie lampki na hełmie, ale ze względu na krzywiznę podłoża światło padało tylko na jeden, góra dwa stopnie; trzeci był już pogrążony w całkowitej ciemności. Przed sobą widziałem snopy światła rzucane przez dwie pozostałe latarki, podskakujące w górę i w dół, jednak dawały one tylko dziwne, abstrakcyjne plamy światła. Przynajmniej wiedziałem, że nikt jeszcze nie spadł w przepaść i nie złamał sobie karku. Na razie.

Od czasu do czasu słyszałem jakieś przekleństwo, zwykle padające z ust Marie. Podziwiałem ją za to, że radziła sobie pomimo szpilek. Moje ciało pod górniczym kombinezonem zalewał pot, który spływał też po czole i brwiach. Serce waliło mi w piersi, a oddech stawał się coraz bardziej urywany, nie tylko z powodu wysiłku i stresu. Tata powiedział mi kiedyś, że im głębiej zejdziemy, tym uboższym w tlen powietrzem będziemy oddychać.

– Daleko jeszcze, kurna? – marudził Fletch i nic dziwnego, bo skoro mnie było ciężko, to co dopiero jemu. Wypalał przecież paczkę papierosów dziennie.

Spodziewałem się, że odpowie mu Hurst, ale usłyszałem głos Chrisa.

– Jesteśmy już blisko – odparł ze spokojem i mógłbym przysiąc, że wcale nie miał zadyszki ani się nie spocił.

Szliśmy dalej, wolno i niepewnie. Po kilku minutach uświadomiłem sobie, że nie muszę się już tak schylać. Mogłem się wyprostować. Sklepienie było coraz wyżej. Jakość światła też się zmieniła – nie było już tak ciemno. Nawet powietrze stało się bardziej znośne, jakby go wokół nas przybyło.

Zbliżamy się, pomyślałem. Tylko do czego?

– Uważajcie – zawołał Chris. – Tu jest spadek.

Miał rację. Zaszliśmy za kolejny róg i nagle wąskie przejście otworzyło się na znacznie szerszą pieczarę. Była duża. Naprawdę wielka. Spojrzałem do góry. Sklepienie wisiało wysoko nad naszymi głowami i tworzyło coś na kształt kopuły podtrzymywanej przez grube drewniane krokwie. Krzyżowały się one i zakrzywiały w taki sposób, że przypominało to trochę sklepienie w stodole albo w kościele, chociaż bardziej prymitywne. Schody wciąż prowadziły w dół, ale nie mieliśmy już po swojej lewej stronie ściany, tylko przepaść.

– Cholera! – krzyknęła nagle Marie. Usłyszałem dźwięk tłuczonego szkła, który w tej ciemności wydał się szczególnie ostry i niespodziewany. – Cydr!

Podskoczyłem, tracąc na moment koncentrację. Stopa, którą właśnie miałem postawić na kolejnym stopniu, obsunęła mi się. Poczułem, jak wykręcam sobie kostkę. Syknąłem z bólu i wyciągnąłem rękę, żeby chwycić się ściany, której oczywiście tam nie było. Żadnego oparcia, tylko pusta przestrzeń.

Wrzasnąłem ze strachu. Próbowałem się czegoś złapać – czegokolwiek – ale było już za późno. Leciałem w dół. Zamknąłem oczy, przygotowany na długi lot...

...i prawie od razu uderzyłem w ziemię z głuchym, bolesnym łomotem.

– Auuuuuu. Kurwaaaaa.

– Joe? – usłyszałem dobiegający z góry głos Chrisa. – Nic ci nie jest?

Spróbowałem usiąść. Trochę bolały mnie plecy. Były poobijane, ale mogło się to skończyć znacznie gorzej. Spojrzałem w górę. Widziałem nad sobą światła latarek i zarysy postaci. Jakieś półtora metra ode mnie.

Uzmysłowiłem sobie, że dotarliśmy do celu. Byliśmy na miejscu.

Dźwignąłem się z ziemi i znowu poczułem ból w kostce.

– Niech to szlag.

Złapałem się za nogę. Była już lekko opuchnięta. Miałem nadzieję, że to tylko skręcenie, a nie złamanie. Musiałem się przecież wspiąć po tych cholernych schodach.

– Wszystko okej! – odkrzyknąłem. – Ale skręciłem sobie pieprzoną kostkę.

– Wielkie mi co. Widzisz coś? Co jest tam na dole?

Głos Hursta. Ciepły i współczujący jak zawsze.

Hełm mi się przekrzywił. Oparłem się o jedną ze skalnych ścian, zdejmując ciężar ze skręconej kostki, i poprawiłem go sobie. Rozejrzałem się dookoła. W ścianach pojawiło się więcej drewnianych krokwi, takich samych jak na sklepieniu. Pomiędzy nimi dostrzegłem rozmaite wzory i figury. Wyglądały jak zrobione z białych patyczków wtopionych w skałę. Tworzyły skomplikowane kształty: gwiazdy i oczy, dziwne litery, ludziki. Przeszył mnie dreszcz. Na niektórych ścianach było mniej wzorów, za to w wielkich, łukowato zakończonych wnękach leżały ciasno upakowane patyki i żółte kamienie.

Nie podobało mi się to. Nic a nic. Wyglądało upiornie. Dziwnie. Strasznie.

Słyszałem kroki zbliżającej się reszty. Chris powoli zszedł do pieczary. Hurst zeskokczył z ostatniego stopnia i głośno wylądował obok mnie. Ułamek sekundy później dołączyli do niego Marie i Fletch. Przez chwilę w milczeniu rozglądali się po pieczarze.

– Wow. Ale tu fajnie – odezwała się w końcu Marie. – To wygląda jak element scenografii ze *Straconych chłopców*.

– Czy to miejsce ma jakiś związek z kopalnią? – zapytał Fletch, jak zwykle wykazując się brakiem wyobraźni.

– Nie. – To słowo padło z ust Chrisa, ale sam miałem je na końcu języka.

Ta pieczara nie została wykuta przez górników. Kopalnie wybijano i wyszarpywano ze skał; był to proces niezgrabny, toporny i przemysłowy, dokonywany za pomocą ciężkiego sprzętu i maszynierii.

Ta pieczara była czymś innym. Nie powstała z konieczności ani dzięki ludzkiej

wytrwałości i ciężkiej pracy. Została stworzona z... chciałem powiedzieć, że z pasji, ale to też nie było właściwe określenie. Gdy się tak rozglądałem, do głowy przyszło mi inne słowo: p o ś w i ę c e n i e. Właśnie tak: poświęcenie.

– Poświęć naokoło, kretynie – zwrócił się Hurst do Fletcha, co ten posłusznie uczynił.

Obrócił się dookoła własnej osi, kierując światło latarki w różne punkty jaskini. Ledwie zdołało ono dotrzeć do położonych najdalej od nas ścian i zamiast je rozświetlić, tylko podkreśliło głębokie cienie i mroczne zakamarki. Pewnie było to tylko złudzenie optyczne, ale przy szybkim spojrzeniu kątem oka miało się wrażenie, że cienie są ruchome, bez przerwy się przemieszczają.

– Dziwnie tu jak cholera – mruknął Hurst. – Ciastuś ma rację. To nie kopalnia. – Zwrócił się do mnie. – Co o tym myślisz, Thorney?

Chociaż bardzo się starałem, kiepsko mi się tu myślało. Pieczara była bardziej przestronna i mniej opresyjna niż wąski tunel, ale oddychanie nadal przychodziło mi z trudem. Jakby z powietrzem było coś nie tak. Jakby zastąpiono w nim tlen czymś innym, cięższym i zepsutym. Czymś, czym nikt nigdy nie powinien oddychać.

Trujące gazy, przyszło mi nagle do głowy. Tata często opowiadał o wyziewach dobywających się głęboko spod ziemi. Czyżby właśnie o to chodziło? Czy stojąc tu, powoli się zatruliśmy? Spojrzałem na Chrisa.

– Co to za miejsce, Chris?

Nadal stał niedaleko schodów, nie zapuszczając się głębiej. Jego twarz w smolistym mroku była blada, pobrudzona i pełna nie tyle strachu, ile napięcia. Wyglądał na starszego niż te jego piętnaście lat, jak mężczyzna, którym nigdy nie miał się stać. Później spojrzał na mnie tymi swoimi niesamowitymi oczami i wtedy mnie olśniło. To nie on znalazł to miejsce, tylko ono znalazło jego, a teraz Chris rozpaczliwie chciał się od niego uwolnić.

– Jeszcze się nie domyśliliście? – zapytał. – Nie rozumiecie?

Ponownie omiotłem wzrokiem pieczarę. Wysokie sklepienie. Drewniane krokwie. I wtedy coś mnie tknęło. Jeśli przyjrzeć się uważnie, stawało się to

oczywiste. Powietrze, którym nie powinno się oddychać. Wielkie podziemne pomieszczenie przypominające kościół, ale nim niebędące.

– Czego nie rozumiemy? – zdziwił się Hurst.

Zaraz po pierwszym skojarzeniu pojawiło się kolejne. Białe patyczki w ścianach i kamienie zgromadzone w skalnych wnękach. Pokuśtykałem do najbliższej ściany. W świetle lampki na moim hełmie widać było gwiazdę, symbol przypominający rękę i ludzika z patyczków. Z bliska wcale nie wydawały się białe. I nie były zrobione z patyczków, tylko z czegoś innego.

Można się było tego spodziewać w miejscu takim jak to.

W grobowcu, w katakumbach.

– Powiesz mi w końcu, co tu się, kurna, wyprawia, Thorney? – warknął Hurst.

– Kości – szepnąłem. Strach niemal odebrał mi głos. – W tej skale jest pełno kości.

23

Niekiedy dopiero po jakimś czasie dociera do nas, że coś jest nie w porządku. Popsuło się. Cuchnie. Tak jak wtedy, gdy wejdiesz w psie gówno i dopiero siedząc w samochodzie, zaczynasz się zastanawiać, skąd pochodzi ten brzydki zapach, i nagle doznajesz olśnienia, że od ciebie. Przyniosłeś go na własnym bucie.

Po powrocie do domu zauważam, że frontowe drzwi są leciutko uchylone. Jestem pewien, że zamknąłem je na klucz. Podchodzę bliżej i widzę, że framuga jest uszkodzona. Ktoś wtargnął przez te drzwi siłą. Otwieram je na oścież i wchodzę do środka.

Poduchy kanapy zrzucano, rozcięto i wybebeszono; ich piankowe wnętrzości leżą porozrzucane na podłodze. Stolik kawowy przewrócono, szuflady wyciągnięto. Mój laptop leży rozbity na kawałki.

Cały dom został splądrowany. Marszczę czoło, potrzebując chwili, by ogarnąć umysłem tę sytuację. A później doznaję olśnienia. To pewnie sprawka Fletcha i jego synów nasłanych przez Hursta. Chyba jednak postanowił ze mną nie negocjować. Cały Hurst – jeśli ktoś nie zechce mu czegoś dać, i tak to sobie weźmie, nie przebierając w środkach.

Ale ja cholernie dobrze wiem, że nie znaleźli tego, po co tu przyszli.

Ze znużeniem wspinam się schodami na górę. Mój materac został pocięty i wypatroszony, ubrania wiszące w szafie ściągnięto z wieszaków i rzucono na podłogę. Schylam się, żeby pozbierać koszule i, sądząc po wilgoci i kwaśnym zapachu, domyślam się, że ktoś celowo je obsikał.

Zaglądam do łazienki: zasłonę prysznicową zdarto bez żadnego wyraźnego

powodu, spłuczkę zdjęto i rozbito. Mógłbym im powiedzieć, że nic, co zrobią z moimi rzeczami, nie zdoła mnie zasmucić bardziej niż to, co już przeżyłem.

Na końcu zaglądam do pustego pokoju. Sypialni Bena. Otwieram drzwi. Patrę na wybebeszony materac, zdarty z podłogi dywan i czuję, jak wzbiera we mnie gniew. Kuśtykam na dół.

W kominku znajduję Abbie-Eyes razem z teczką, którą odkryłem pod posągami anioła. Przykucam i je stamtąd wydaję. Są brudne i zakurzone, ale nikt ich nie podpalił. Ciekawe dlaczego. Odkładam lalkę na stolik kawowy. Po chwili zastanowienia wsuwam teczkę do jednej z rozciętych poduch, tak na wszelki wypadek. Coś tu nie gra. Dlaczego synowie Fletcha ich nie spalili? Czyżby znudziło ich demolowanie? Mało prawdopodobne. A może zabrakło im czasu?

Lub też ktoś im przeszkodził?

Nagle dopadają mnie bardzo złe przeczucia. Słyszę w kuchni skrzypnięcie. Prostuję się i odwracam.

– Dobry wieczór, Joe.

Siedzę na pozbawionej poduch kanapie. Gloria przycupnęła delikatnie na fotelu. W kominku głośno strzelają płomienie. Nie jest to jednak tak sympatyczna scenka, jak mogłoby się wydawać. Gloria ma na sobie czarne skórzane rękawiczki i w jednej z dłoni trzyma pogrzebacz.

– Co tu robisz?

– Sprawdzam, co u ciebie.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

Na dźwięk jej śmiechu zaciska mi się pęcherz.

– Widzę, że miałeś dzisiaj gości.

– Spotkałaś ich?

– Akurat wychodzili, kiedy się zjawiłam. Nie mieliśmy okazji porozmawiać.

Rozgląda się wokół siebie.

– Wygląda na to, że czegoś szukali. Być może tego samego, za co twój dawny przyjaciel miał ci zapłacić grubą kasę.

– Nie znaleźli tego, czego szukali.

– Jesteś pewien?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo nie ma tu tego, po co przyszli.

Przez chwilę zastanawia się nad tym, co powiedziałem.

– Ten fach nauczył mnie, że warto zawsze mieć wszystkie informacje.

– Powiedziałem ci...

– Kazałeś mi się PIERDOLIĆ!

Uderza pogrzebaczem w stół kawowy. Abbie-Eyes wlatuje w powietrze i upada obok moich stóp. Na jej plastikowej buzi pojawia się pęknięcie. Zezujące oko wypadło z oczodołu i przygląda mi się z podłogi. Czuję pot zbierający się u dołu kręgosłupa.

– Na szczęście – mówi dalej Gloria – odrobiłam pracę domową i dowiedziałam się paru interesujących rzeczy.

Wstaje, podchodzi do kominka, nachyla się i otwiera drzwiczki.

– Cofnijmy się w czasie o dwadzieścia pięć lat. Mamy pięcioro szkolnych przyjaciół: ciebie, Stephena Hursta, Christophera Manninga, Marie Gibson i Nike'a Fletchera. Ach, i jeszcze twoją młodszą siostrzyczkę, Annie. Nigdy mi o niej nie wspominałeś.

Wkłada koniec pogrzebacza do kominka, wsuwając go głęboko między płonące kawałki drewna. Płomienie zaczynają strzelać jeszcze głośniej.

– Pewnej nocy wyszedłeś gdzieś z przyjaciółmi, a ona zaginęła. Zniknęła z własnego łóżka. Były poszukiwania, apele w mediach. Wszyscy myśleli, że wydarzyło się najgorsze. Aż tu nagle, zaledwie czterdzieści osiem godzin później, wróciła do domu. Nie mogła jednak – albo nie chciała – powiedzieć, co ją spotkało...

– Nie rozumiem, jaki...

– Pozwól mi skończyć. Można by mówić o szczęśliwym zakończeniu, gdyby nie to, że dwa miesiące później wasz tatuś rozbił się o drzewo, zabijając przy okazji

siebie, małą Annie i poważnie raniąc ciebie. Jak sobie radzę?

Wpatruję się w pogrzebacz. Cały w ogniu. *Rozpalony do czerwoności* – myślę gorączkowo.

– Rzeczywiście odrobiłaś pracę domową.

Gloria wstaje i zaczyna krążyć po pokoju.

– Och, nie powiedziałam jeszcze wszystkiego. Parę tygodni po powrocie twojej siostry twój przyjaciel Christopher Manning skoczył z dachu szkolnego budynku. Tragiczny zbieg okoliczności, nieprawdaż?

– Jak to w życiu.

– A teraz nagle wracasz do swojej rodzinnej wioski. Planujesz zaszantażować dawnego kolegę ze szkoły, Stephena Hursta, i wyłudzić od niego dużą sumę pieniędzy. Co masz na niego? Co on takiego ukrywa?

– Ktoś taki jak Hurst ma mnóstwo sekretów.

– Zaczynam myśleć, że ty też, Joe.

– Dlaczego się tym przejmujesz?

– Bo cię lubię.

– Okazujesz to w bardzo dziwny sposób.

– Ujmę to inaczej – interesujesz mnie. O niewielu ludziach mogę tak powiedzieć. Jesteś jednym z najdziwniejszych nauczycieli, jakich poznałam. Pijakiem, uzależnionym od hazardu. A jednak masz powołanie. Przekazujesz wiedzę dzieciakom. Dlaczego?

– Bo mogę liczyć na długie wakacje.

– A ja myślę, że z powodu tego, co tu się wydarzyło przed dwudziestu pięciu laty. Sądzę, że próbujesz coś naprawić.

– Albo po prostu się z czegoś utrzymać.

– Żarty to kiepski mechanizm obronny. Zaufaj mi, coś o tym wiem. Są jedną z pierwszych rzeczy, których odechciewa się ludziom, gdy zaczynają się bać o własne życie.

– Czy to groźba?

– Chciałbyś. Tak naprawdę jestem twoją ostatnią deską ratunku.

Podchodzi do mnie. Wzdrygam się. Gloria nachyla się w moją stronę i coś mi podaje. Wizytówkę, na której znajduje się wyłącznie numer telefonu.

Wsuwa mi ją do kieszeni dzinsów, delikatnie poklepując mnie po kroczu.

– W ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin możesz mnie złapać pod tym numerem, gdybyś potrzebował pomocy.

– Dlaczego to robisz?

– Bo w głębi duszy mam do ciebie słabość.

– Dobrze wiedzieć.

– Nie bierz sobie tego za bardzo do serca.

Ponownie zerkam na pogrzebacz. Ogień w kominku wciąż trzaska.

– Fatman się niecierpliwi.

– Mówiłem ci...

– Zamknij się.

Strużka potu spływa mi między pośladki. Żołądek zacisnął się w twardej supeł. Chce mi się jednocześnie wymiotować, srać i sikać.

– Dał ci dodatkowy czas. A teraz domaga się swoich pieniędzy.

– I je dostanie. Właśnie dlatego tu jestem.

– Wiem o tym, Joe. I gdyby chodziło o mnie... – Wzrusza delikatnie ramionami.

– Ale dla niego to wyglądało jak ucieczka. Przestał ci ufać. Chce mieć pewność, że rozumiesz, jak poważnie podchodzi do całej tej sprawy.

– Rozumiem. Naprawdę.

Wyjmuje pogrzebacz z kominka. Jego koniec żarzy się na czerwono. Zerkam w stronę drzwi, ale wiem, że by mnie dopadła, zanim zdołałbym dźwignąć tyłek z fotela.

– Proszę...

– Jak już mówiłam, Joe, mam do ciebie słabość.

Gloria podchodzi bliżej i przykuca obok mnie. Wyciąga pogrzebacz. Czuję bijące od niego ciepło.

Uśmiecha się.

– I dlatego oszczędzę twoją śliczną buźkę.

Leżę na kanapie. Wziąłem cztery tabletki kodeiny i dopiłem butelkę burbona. Lewą dłoń owinałem sobie starą kuchenną ściereczką i położyłem na opakowaniu mrożonych paluszków rybnych. Ból jest teraz prawie znośny, ale nie spodziewam się, bym w najbliższym czasie mógł zagrać koncert skrzypcowy.

Skóra mi płonie. Co jakiś czas tracę przytomność i odpływam, ale nie w sen, tylko do iluzorycznego szarocznego miejsca pełnego dziwnych wizji.

W jednej z nich wracam do dawnej kopalni. Nie jestem sam. Chris i Annie stoją na szczycie jednej z hałd. Niebo wisi nad nimi niczym torba wypełniona rtęcią, nabrzmiałe od srebrzystego światła i czarnego deszczu. Wiatr dmie jak szalony, szarpiąc mnie swoimi niewidzialnymi pazurami.

Głowa Chrisa jest dziwnie zniekształcona, zapadnięta z tyłu. Z nosa i oczu cieknie mu krew. Annie trzyma go za rękę. Wiem, że to moja dawna Annie. Na głowie ma brzydką ranę, głęboką i śmiertelną. Gdy na nią patrzę, otwiera usta i mówi do mnie miękkim głosem:

Wiem, dokąd odchodzą bałwany, Joe. Już wiem, gdzie trafiają.

Uśmiecha się, a mnie ogarnia szczęście i spokój. Później jednak chmury nad ich głowami opuszczają się i puchną. Zamiast deszczu wylewa się z nich strumień czarnych błyszczących chrabąszczy. Patrzę, jak mój przyjaciel i moja siostra upadają na ziemię. Pochłania ich fala rozpełzających się ciałek, aż wreszcie widzę tylko morze czerni. Pożerające ich w całości.

Nagle zaczyna dzwonić mój telefon. Zostaję ocalony przez dzwonek, czy raczej Metallicę.

Przewracam się na bok i sięgam po telefon zdrową ręką. Spoglądam na wyświetlacz, mrużąc oczy. To Brendan. Odbieram połączenie drżącym palcem.

- Żyjesz? – pytam zachrypniętym głosem.
- Chyba tak. Za to ty brzmisz okropnie.
- Dzięki.
- Przecież kochasz mnie właśnie za szczerość.
- I jędrny tyłek.
- Zdrowa dieta, zero procentów. Powinieneś spróbować.

- Próbuję się do ciebie dodzwonić od paru dni.
- Zgubiłem ładowarkę. A co cię tak przypiliło?
- Po prostu... chciałem się upewnić, że wszystko u ciebie w porządku.
- Tak, poza tym, że tęsknię za swoim ulubionym pubem, łobuzie. Mogę tam już wrócić?

Zerkam na obandażowaną, poparzoną rękę.

- Jeszcze nie.
- O kurde.
- Może powinieneś się też wynieść ze swojego mieszkania na jakiś czas.
- Jezu! Czy to ma jakiś związek z twoim nawykiem pożyczania pieniędzy od nieprzyjemnych ludzi?

Ogarniają mnie wyrzuty sumienia. Brendan był dla mnie dobry – nawet więcej niż dobry. Przyjął mnie pod swój dach, nie biorąc ode mnie ani grosza. Nigdy nie prawił mi kazań na temat mojego hazardowego nałogu. Większość ludzi dawno postawiłaby na mnie krzyżyk, ale nie on. A teraz odpłacam mu za to wszystko, narażając go na niebezpieczeństwo.

- Masz gdzie się dzisiaj zatrzymać?
- D z i s i aj? Cóż, mam siostrę, która może mnie przenocować. Jej mąż na pewno będzie zachwycony.
- To nie powinno długo potrwać.
- Oby, kurde. – Wzdycha. – Wiesz, co powiedziałyby na to moja kochana mamunia?

– Mam nadzieję, że: *Tracę głos.*

– Kiedy zając przestaje uciekać przed lisem?

Wydaję z siebie przeciągły jęk.

- No kiedy?
- Gdy słyszy dźwięk trąbki myśliwskiej.
- I co to znaczy?
- Że czasami potrzebujemy, by ktoś ważniejszy – na przykład policja – zajął się naszym problemem.

- S a m zajmuję się swoimi problemami, w porządku?
- Raz już się zająłeś, kradnąc pieniądze ze szkolnego sejfu.
- Nigdy nie ukradłem ani pensa.

To prawda, ale wyłącznie dlatego, że Debbie – sekretarka uzależniona od drogich torebek – dobrała się do nich pierwsza. Gdy się o tym dowiedziałem, poszliśmy na układ. Miałem trzymać język za zębami, a ona obiecała zwrócić pieniądze. Odszedłem po cichu (i tak już dostałem ostateczne pisemne ostrzeżenie z powodu wiecznego spóźniania się, obijania i generalnie rzecz biorąc, gównianego podejścia do wykonywanych obowiązków). A Debbie miała u mnie dług wdzięczności.

- Wtedy to było co innego.
 - Pamiętam. To ja codziennie przynosiłem ci do szpitala winogrona, gdy nie byłeś w stanie spłacić swoich długów i ktoś zrobił ci z kolana papier mâché.
 - Odwiedziłeś mnie w szpitalu dwa razy i to bez winogron.
 - Ale przysyłałem ci SMS-y.
 - Raczej filmy porno.
 - Kto potrzebuje cholernych winogron?
 - Słuchaj, naprawdę sobie z tym poradzę.
 - Czy wspominałem, że będę musiał dzielić pokój gościnny u mojej siostry z chomikami, które przez całą noc zapierdzielają po skrzypiącym kołowrotku?
 - Przykro mi.
 - I że jej dwójka dzieciaków uważa piątą rano za odpowiednią porę, by poskakać sobie na brzuchu wujka jak na trampolinie?
 - Naprawdę mi przykro.
 - To nie wyleczy mojej przepukliny.
 - Potrzebuję jeszcze paru dni.
- Słyszę w telefonie bardzo głębokie westchnięcie.
- W porządku. Ale jeśli ci się nie uda i zorientujesz się, że cię to przerasta...
 - Zadzwoń do ciebie.
 - Jezu, tylko nie to. Wezwij policję, kretynie. Albo Drużynę A.

24

– I wtedy powiedziałem tej uczennicy, że chociaż szanuję jej prawo do wyrażania siebie przez ciskanie butami...

Simon snuje swoją historię sennym głosem. Podczas tej konkretnej przerwy obiadowej jego sposób mówienia wydaje mi się całkiem znośny, co świadczy pewnie o obecnym stanie mojej psychiki. A może po prostu zdołałem się wyłączyć, sprowadzić głos Simona do białego szumu: irytującego, lecz dającego się zignorować.

Tego dnia spędzam przerwę obiadową wyłącznie w towarzystwie jego i Beth. Nie jestem głodny. Ani trochę. Mimo to wmuszam w siebie parę frytek w płonnej nadziei, że pomogą mi zwalczyć kaca. Przede mną stoi już druga tego dnia puszka słodkiej coli.

Simon nie odmówił sobie serii obowiązkowych i przewidywalnych „żartów” na temat skutków picia w dni robocze. Odpowiedziałem mu uprzejmym uśmiechem, jakimś cudem powstrzymując się od walnięcia go w twarz. Po pierwsze, bolałaby mnie od tego ręka. Zrobiłem sobie w miarę profesjonalny bandaż z kawałka poszewki na poduszkę i powiedziałem wszystkim, że oparzyłem się o piecyk. Gotowanie po pijaku et cetera. Beth co jakiś czas posyła mi znaczące spojrzenie. Nie wierzy mi. Nie dbam o to. Bardziej przejmuję się tym, co przyniósł poprzedni wieczór. Słowami Marcusa. Spotkaniem z Glorią. Bagnem, w które się wpakowałem, oraz tym, że chyba nie może już być gorzej.

– Panie Thorne?

Podnoszę wzrok i widzę Harry’ego, który stoi obok naszego stolika z grobową

miną.

– Czy możemy zamienić słówko w moim gabinecie?

Nie będzie to łatwe, ale możemy spróbować.

– Oczywiście.

Czekam na jakiś złośliwy komentarz ze strony Simona, lecz on nic nie mówi, skupiony na swoim lunchu. Aż nazbyt skupiony. Odsuwam krzesło.

Beth unosi pytająco brwi.

– Widzimy się później.

– Jasne.

Idziemy z Harrym szkolnym korytarzem.

– Czy mogę zapytać, o co chodzi?

– Wolałbym z tym poczekać, aż dotrzemy do mojego gabinetu.

Mówi to twardym, wymijającym tonem, który wcale mi się nie podoba. Ogarniają mnie bardzo złe przeczucia, co – zważywszy na pułap, z jakiego startuję – wydaje się imponujące.

Harry otwiera drzwi i wchodzi do gabinetu. Podążam za nim i nagle staję jak wryty.

Przed jego biurkiem ktoś siedzi.

Gdy wchodzimy do środka, wstaje i odwraca się.

Powiedziałbym, że serce na moment się we mnie zatrzymało, ale nie jestem pewien, czy dam radę zrobić kolejny krok bez maski tlenowej. Właściwie mam ochotę się roześmiać. Powinienem był się tego spodziewać. Jestem przecież hazardzistą. Przed podjęciem działania – i opracowaniem strategii – powinienem rozważyć wszystkie pozytywy, ale nagle czuję się jak smakowity kawałek tuńczyka otoczony przez wygłodniałe rekiny.

Harry zamyka drzwi i patrzy to na mnie, to na niego.

– Panowie już się chyba znają.

– Obaj wychowaliśmy się w Arnhill – odzywa się Stephen Hurst. – Nie powiedziałbym, że „znam” pana Thorne’a.

– Już w dzieciństwie byłem wybredny w doborze znajomych – wtrąciłem.

Hurst błyskawicznie traci rezon. Później jednak zauważa opatrunek na mojej ręce.

– Znowu wdał się pan w bójkę?

– Wyłącznie z piecykiem. Ale jeśli to propozycja...

– Panie Thorne, panie Hurst – upomina nas łagodnie Harry. – Czy możemy usiąść?

Hurst siada na krześle. Podchodzę do drugiego krzesła i niechętnie je zajmuję. Znowu czuję się jak dwadzieścia pięć lat temu, na dywaniku u dyrektora.

– A zatem – odzywa się Harry, przekładając leżące przed nim papiery. – Dowiedziałem się o kilku rzeczach, o których chyba powinniśmy porozmawiać.

Usiłuję przybrać miły ton.

– Jeśli chodzi o wczorajszy incydent w toalecie z udziałem Jeremy’ego Hursta i Marcusa Dawsona, to...

– Nie – przerywa mi Harry. – Nie chodzi o to.

– Aha.

Jestem zdezorientowany. Patrzą na Hursta, który znowu wygląda na zadowolonego z siebie. Mam ochotę wybić mu szczękę. Chciałbym zerwać się z krzesła, złapać go za gardło i dusić, dopóki oczy nie wyjdą mu z orbit, a język nie zsinieje.

– W takim razie proszę mnie oświecić – mówię.

– Przed zatrudnieniem się w Arnhill pracował pan w Stockford Academy.

– Tak.

– Dostarczył mi pan referencje od swojej ówczesnej przełożonej, panny Coombes?

Pod pachami zbiera mi się pot.

– Tak.

– Ale chyba nie do końca prawdziwe?

– Obawiam się, że nie rozumiem.

– Panna Coombes twierdzi, że ich nie napisała.

– Doprawdy?

– Nie miała o niczym pojęcia.

– Cóż, to pewnie zwykłe nieporozumienie.

– Raczej nie. Panna Coombes wyraziła się jasno: opuścił pan Stockford Academy nagle, tuż po tym, jak ze szkolnego sejfu zniknęła znaczna suma pieniędzy.

– Które zwrócono.

Hurst nie może się już dłużej powstrzymać.

– Podobno lubi pan grać w karty, Joe?

Odwracam się w jego stronę.

– A co, proponuje pan partyjkę osła? I jaki to wszystko ma z panem związek?

– Chyba zapomniał pan, że zasiadam w radzie szkoły. Kiedy doniesiono mi, że jeden z nauczycieli może być nieodpowiednią osobą na piastowanym przez siebie stanowisku...

– Chwileczkę – „doniesiono”? Kto konkretnie?

Hurst zaciska usta i wtedy doznaję olśnienia. Simon Saunders. Był w Foksie tamtego wieczoru, kiedy wpadłem na Hursta. Zna go. (Chyba wszyscy w Arnhill się znają?) Po co miał z tym iść do Harry’ego, skoro mógł od razu wszystko wypaplać członkowi rady szkoły? Na dodatek takiemu, który szczerze mnie nienawidzi. I jeszcze zaskarbił sobie wdzięczność Hursta. Upiekł dwie pieczenie na jednym zradzieckim ogniu.

– Powinien pan sobie ostrożniej dobierać informatorów – mówię.

– A więc się pan nie wypiera?

– Powiedziałbym, że przedstawiona tu wersja zdarzeń ma niewiele wspólnego z prawdą. Wolałbym to przedyskutować z moim przełożonym na osobności.

Oczy Hursta gniewnie błyskają.

– P r a w d a jest taka, że dostał pan tę pracę pod fałszywym pretekstem, a z poprzednią pożegnał się w niejasnych okolicznościach. Poza tym próbuje się pan odegrać na moim synu, pewnie przez jakieś urojone krzywdy z przeszłości. Pańskie zachowanie w roli nauczyciela jest całkowicie nieodpowiednie. I na dodatek czuć od pana alkohol.

Prostuje krawat i triumfalnie rozpiera się na krześle. Harry patrzy na mnie zza biurka znużonym wzrokiem.

– Przykro mi, panie Thorne. Będziemy musieli poruszyć ten temat na zebraniu rady szkoły. Ma pan prawo do bycia reprezentowanym przez związek zawodowy, ale w świetle tych rewelacji...

– Pomówień. W większości niczym niepopartych.

– Mimo to muszę pana zawiesić w obowiązkach nauczyciela do momentu podjęcia przez nas decyzji na temat pańskiej przyszłości w naszej placówce.

– Rozumiem.

Wstaję, usiłując powstrzymać drżenie całego ciała, po części wywołane kacem, ale przede wszystkim gniewem. Nie dam im tej satysfakcji. Nie pozwolę, żeby Hurst domyślił się, jak bardzo mnie dotknął. Muszę zachować twarz.

– Zabiorę tylko swoje rzeczy.

Idę w stronę drzwi. Nagle się zatrzymuję. Muszę też przypomnieć Hurstowi o tym, kto wciąż trzyma w ręku zwycięską kartę. Spoglądam na niego.

– A tak przy okazji, ładny krawat.

Wyraz jego twarzy wszystko mi wynagradza.

Nie wracam do stołówki. Zabieram płaszcz i torbę z pokoju nauczycielskiego – który na szczęście jest pusty – i wychodzę ze szkoły. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym teraz spotkał Simona. Chociaż już jestem podejrzany, oskarżenie o napaść nie jest czymś, co chciałbym sobie wpisać do CV.

Zatrzymuję się przy recepcji. Panna Grayson nie siedzi na swoim zwykłym miejscu w przeszklonym boksie. Zamiast niej jest tam jej młodsza kopia – z krótkimi ciemnymi włosami i w okularach, chociaż bez owłosionego pieprzyka – i stuka w klawiaturę.

– Przepraszam, gdzie jest panna Grayson?

– Przeziębła się.

– Aha.

– Chciał pan z nią porozmawiać?

– Odchodzę z pracy i chciałem się z nią tylko pożegnać. Wie pani, kiedy wróci?

– Obawiam się, że nie.

– Rozumiem. Dziękuję za pomoc.

Zbieram się do odejścia.

– Jeszcze jedno, panie Thorne...

– Tak?

– Pan Price prosił, żeby przed wyjściem oddał pan swoją wejściówkę.

Bez której nie będę mógł się dostać do szkoły. Harry rzeczywiście woli nie ryzykować.

– Martwi się, że tu wrócę i ukradnę szkolne pieniądze przeznaczone na lunch?

Nie uśmiecha się. Ciekawe, co wie. Zresztą nie tylko ona.

– W porządku. – Wyciągam z kieszeni wejściówkę i jakoś udaje mi się nią nie trzasnąć o biurko.

– Dziękuję.

– Proszę. I niech pani ode mnie pozdrowi pannę Grayson.

– Oczywiście.

Posyła mi profesjonalny uśmiech, sięga po moją wejściówkę i – na wypadek gdybym liczył na to, że moje zawieszenie ma charakter tymczasowy – wyjmuje parę nożyczek, przecina ją równiutko na pół i wyrzuca do kosza.

Dom łypie na mnie z urazą swoim jedynym niewybitym oknem. *Spójrz – syczy przez szpary w uszkodzonych drzwiach. Patrz, co zrobiłeś. Jesteś z siebie zadowolony?*

Nie, myślę, bo to jeszcze nie koniec. Popycham drzwi, które dopiero po chwili ustępują mi z przeciągłym jękiem. Nie wiem, czy dom w ogóle jest po mojej stronie. Zbyt mocno wiąże się z przeszłością i z tą wioską. Nie chce mnie tutaj. Niczego mi nie ułatwia. Ale to nic. Nie zamierzam tu długo zostać.

Wchodzę do środka i rzucam torbę na kanapę. Pokój nadal wygląda tak jak poprzedniego wieczoru. Jest zdewastowany. Zastanawiam się, czy trochę w nim nie posprzątać, ale w końcu idę zapalić papierosa.

Być może Hurst zrobił mi przysługę, przyspieszając to, co nieuniknione. Przecież nie chciałem się tu sprowadzić na stałe, prawda? Nie chciałbym mieszkać w miejscu, które wiąże się z tyloma mrocznymi i bolesnymi wspomnieniami. Zranione zwierzę, które uciekło z klatki, nie pakuje się we wnyki i nie czeka, aż pogruchoczą mu kości.

Chyba że ma ku temu cholernie dobry powód.

Chciałbym móc powiedzieć, że tym powodem była Annie albo wiadomość, którą dostałem. Ale to nie takie proste. Nawet poczucie winy i stare krzywdy nie zdołały mnie tu ściągnąć z powrotem. A przynajmniej nie tylko one.

Prawda jest taka, że byłem zdesperowany. Musiałem uciec i dostrzegłem szansę na to, by za jednym zamachem spłacić długi i wyrównać dawne rachunki. Być może zawsze chciałem to zrobić. Wiedziałem, że mam coś, co może zrujnować Hurstowi życie. Dopiero później przyszło mi do głowy, że mógłby mi za to zapłacić.

Nie spodziewałem się, że tak bardzo będzie mu zależało na tym, by wypędzić mnie z wioski. Jednak pomimo swoich gróźb i manipulacji Hurst wyłożył wszystkie karty. Nie został mu w rękawie żaden as. Mógłby się mnie pozbyć już tylko w jeden sposób i chociaż nie wątpię, że byłby zdolny do morderstwa, stawka wydaje się zbyt wysoka. Czy byłby gotów zaryzykować karierę, wygodne życie i rodzinę?

Mam nadzieję, że nie, ale nie założyłbym się o to.

Wracam do domu i zamykam kuchenne drzwi. Znowu ogarnia mnie chłód. Słyszę w ścianach chrobot. Zaczynam się przyzwyczajać zarówno do panującego w domu zimna, jak i nieustannego szmeru. Nie wiem, czy to dobrze, podobnie jak w wypadku niezwracania uwagi na czczą paplaninę Simona. Gdy już się do czegoś przyzwyczaisz, popadasz w samozadowolenie i albo sam się przyłączasz, albo zostajesz wchłonięty.

Wracam do salonu i sięgam po telefon. Wybieram numer Brendana. Odbiera po drugim sygnale.

– Czego znowu ode mnie chcesz?

- Myślisz, że chodzi mi o coś więcej niż słodkie brzmienie twojego głosu?
- Lepiej, żebyś miał na sobie bieliznę.
- Muszę cię prosić o przysługę.
- Poważnie? Wiesz, że chodzę z bobkami myszoscoczków w brodzie?
- Wydawało mi się, że chomików.
- Myszoscoczki, chomiki, jeden pies. Te małe skurczybyki przez całą noc skopywały mi łajno na głowę. Jak długo mam tu jeszcze zostać?
- Czy masz torbę, którą dałem ci kiedyś na przechowanie?
- Jaką torbę?
- Taką starą, ledwie trzymającą się w jednym kawałku.
- Mam.
- Możesz mi ją przesłać kurierem?
- Joe...
- Słuchaj, chcę ci tylko powiedzieć, że zawsze byłeś dobrym przyjacielem.

Dziękuję.

- Nie próbuj mnie rozmiękczać.
- Uznałem, że może jednak powinienem.

Po chwili Brendan odzywa się wzruszonym głosem:

– Spadaj, zanim urządzę tym pierdzielonym myszoscoczkom jesień średniowiecza.

Rozłącza się. Patrzę na zegarek. Jest wpół do czwartej. Rozglądam się po zdemolowanym salonie. Podnoszę Abbie-Eyes z podłogi i sadzam ją z powrotem na fotelu. Obserwuje mnie zimnym niebieskim okiem. Plastikowy oczodół ziejże pustką. Nigdzie nie widzę jej drugiego oka. Nagle wyobrażam sobie, że wyniosły je stąd chrząszcze. Dziękuję losowi za moją wyobraźnię. Właśnie tego mi było trzeba.

Na dźwięk dzwonka telefonu aż podskakuję.

- Halo?
- Dlaczego nie powiedziałaś, że planujesz węgry? Może bym się do ciebie przyłączyła.

Beth. No tak. Któż by inny.

– Skąd masz mój numer?

– Od Danielle z recepcji. Znam jej brata. Jesteśmy w jednej drużynie podczas wieczorków quizowych w pubie.

– Więc pewnie wiesz, co się stało?

– Harry powiedział, że wziąłeś urlop.

– Tak to nazwał?

– A ty jak byś to zrobił?

Przez chwilę nic nie mówię.

– Chcesz odejść, prawda?

– Chyba już odszedłem.

– No to pobiłeś rekord świata.

– Cieszę się, że ci zaimponowałem.

– Nie mów o tym nikomu. Chodzi o ten wczorajszy incydent z Jeremym Hurstem?

– Nie.

– W takim razie o co?

– To skomplikowane.

– Jak bardzo?

– Cóż...

– Do opowiedzenia przy kilku piwach czy szklaneczkach burbonu?

Nie muszę się długo zastanawiać nad odpowiedzią.

– Zdecydowanie to drugie.

– W takim razie widzimy się w Foksie o siódmej. Zjedz coś przedtem.

Rozłącza się bez pożegnania. *Dlaczego ludzie bez przerwy to robią?*

Powinienem był coś powiedzieć. Mam do niej parę pytań, ale one mogą chyba poczekać. Siadam ciężko na twardym szkielecie kanapy i zastanawiam się, czy nie zrobić sobie kawy. Później spoglądam na Abbie-Eyes, chociaż teraz powinna się raczej nazywać Abbie-Eye. Wzdrygam się. Decyzja podjęta.

Wychodzę z domu i idę do baru.

25

Tego wieczoru Fox wydaje mi się jeszcze bardziej zniszczony i zaniedbany. Mam wrażenie, że popada w ruinę. Tak jakby moja obecność w nim uruchomiła rodzaj reakcji łańcuchowej. Jakby to ciasne, zasuszone miejsce trwało zmumifikowane, a teraz pojawiła się na nim rysa, do rozrzedzonego powietrza dostała się odrobina tlenu i nagle wszystko zaczęło gnąć od środka.

Otwieram drzwi i wchodzę. Rozglądam się po pubie i widzę, że nie ma tu ani Hursta, ani żadnego z jego pomagierów. Kilku starszych gości – pewnie tych samych co poprzednio – wegetuje przy stolikach. Wpatrują się w szklanki wypełnione piwem ale i lager top.

Beth jeszcze nie ma, ale dostrzegam znajomą twarz. Lauren stoi za barem i chociaż jej widok nie wywołuje u mnie skojarzeń z tęczą, promieniami słońca i ćwierkaniem ptaków, to i tak lepsze to niż posępne oblicze Nosferatu.

Uśmiecham się do niej.

– Wszystko w porządku?

Przygląda mi się, jakby widziała mnie pierwszy raz w życiu.

– Joe Thorne. Nauczyciel. Wpadliśmy na siebie na terenie dawnej kopalni.

– Aha. No tak. – Na jej twarzy pojawia się coś, co można wziąć za uśmiech albo grymas niezadowolenia. Trudno powiedzieć. – Co podać?

– Burbona. Podwójnego.

– Razy dwa.

Odwracam się. Obok mnie stoi Beth. Po raz pierwszy ma rozpuszczone włosy, trochę przypominające dredy. Jej drobna sylwetka tonie w za dużej na nią

skórzanej kurtce, która sprawia, że nogi Beth, w czarnych pofarbowanych dżinsach i martensach, wyglądają jeszcze szczuplej.

Gdy się do mnie uśmiecha, błyska kolczyk w jej nosie.

– Pokój nauczycielski aż huczy od plotek na pana temat, panie Thorne.

– Naprawdę? Może dlatego pieką mnie uszy.

– Albo Simon wbija w nie szpilki twojej laleczce wudu.

– Pewnie jest zrozpaczony moim przedwczesnym odejściem.

– Jeśli świadczy o tym śpiewanie piosenki *Oh, What a Beautiful Morning*, to tak.

Lauren stawia przed nami szklanki. Robi to dość gwałtownie, ale przynajmniej nie pożałowała nam burbona.

– Dziewięć funtów.

– Dzięki. – Płacę ostatnią dwudziestką, jaka została mi w portfelu. Ciekawe, jak bardzo zdążyłem uszczuplić debet na swojej karcie i ile minie czasu, aż bank mi ją zablokuje.

Beth sięga po swoją szklanę.

– Idziemy?

Wybieramy stolik w najdalszym kącie pubu. Jediną rzeczą, jakiej nie brakuje w Foksie, są ciemne zakamarki, w których można się przyczać, jeśli nie chce się zostać zauważonym albo podsłuchanym.

Beth siada na jednym z twardych drewnianych krzeseł, a ja robię to samo. Popijamy swoje drinki – w mojej szklance jest trochę więcej alkoholu niż w jej.

– Nooo – mówi znacząco. – Powiesz mi, co się naprawdę stało?

– Co powiedział Harry?

– Że poszedłeś na długi urlop ze względów osobistych.

– A o czym się plotkuje?

– Że przeszedłeś załamanie nerwowe, Hurst Senior wywalił cię z roboty albo że porwali cię kosmici – takie tam.

– Aha.

– No to co jest prawdą?

– Oczywiście kosmici. Przejęli moje ciało, a prawdziwy Joe został w domu, otulony kokonem.

– Hm. Byłabym skłonna w to uwierzyć, ale wszyscy w szkole widzieli, jak Hurst rozmawia z Harrym.

Wlepiam wzrok w zawartość swojej szklanki.

– Skłamałem, żeby dostać tę pracę. Podrobiłem referencje ze swojej poprzedniej szkoły. Nie oszedłem stamtąd w blasku chwały, wprost przeciwnie, a Harry się o tym dowiedział.

– Okeeej. Co takiego zrobiłeś w swojej poprzedniej szkole?

– Właściwie to nic. Ale z a m i e r z a ł em ukraść pieniądze z sejfu, żeby spłacić dług.

Sprawdzam, jak to przyjęła.

– Ostatecznie ich jednak nie wzięłeś?

– Nie.

Kiwa głową, dumając nad tym, co właśnie usłyszała.

– Jak Harry się dowiedział? – Zanim zdążę cokolwiek powiedzieć, unosi rękę. – Nie, czekaj. S i m o n. Czy nie wspominał, że się stamtąd znacie?

– Tak. I domyślam się, że zna również Hursta.

– Nie miałam o tym pojęcia... Z drugiej strony Simon jest typem oślizgłej gnidy, która każdemu wlaźłaby w tyłek, żeby coś ugrać.

– O ś l i z g ł e j g n i d y?

Unosi szklankę.

– To łagodne określenie.

– Najwyraźniej bycie gnidą popłaca, skoro straciłem przez niego pracę.

– Nie byłabym tego taka pewna. Harry cię lubi. Dzieciaki chyba też. Harry miał straszny problem ze znalezieniem na to miejsce kogoś, kto nie byłby świeżo po studiach.

Kręcę głową.

– Hurst nie pozwoli mu przyjąć mnie z powrotem.

– Wasza historia wcale nie jest dawno zamknięta, prawda? Co się stało?

Odstawiam szklankę na stolik i przyglądam się Beth. W mdłym barowym świetle znowu wygląda młodo. Zmarszczki wokół ust i oczu znikają. Ciemne oczy wydają się bardzo duże, a skóra miękka i blada. Czuję w sercu ukłucie. Chciałem, żeby chociaż jedna rzecz w tym miejscu okazała się dobra i uczciwa. Chociaż jedna.

Beth marszczy brwi.

– Na co tak patrzysz? Mam coś na twarzy?

– Nie... – zawieszam głos. – To nic takiego.

Przygląda mi się podejrzliwie. W końcu pyta:

– Miałeś mi powiedzieć, co cię łączy z Hurstem.

– Naprawdę?

– Owszem.

– Prawdę, całą prawdę i tylko prawdę?

– Coś w tym stylu.

– Pokłóciliśmy się jako nastolatkowie. Z perspektywy czasu wiem, że to było głupie. Jak to zwykle bywa, poszło o dziewczynę.

– O Marie Gibson?

– Tak.

Kłamstwo przychodzi mi bez trudu.

Beth sący swojego drinka.

– Nigdy bym nie pomyślała, że jest w twoim typie.

– Dlaczego? Jaki twoim zdaniem jest mój typ?

– Marie jest ładna, ale...

– Ale co?

– Nie zrozum mnie źle...

– W porządku.

– Wiem, że gównianie to zabrzmiało w kontekście raka i całej reszty, ale zawsze wydawała mi się jędzowata.

Jestem lekko zaskoczony jej słowami.

– Potrafiła być twarda, gdy jej na czymś zależało.

– Nie o to mi chodzi. Była prawdziwą jędzą. Wywyższała się. Widziałam, jak podczas wywiadówki doprowadziła jedną z nauczycielek do płaczu. Kiedyś poszła do domu ucznia, który oskarżył Jeremy’ego o to, że się nad nim znęcał. Matka tego chłopca pracowała na pół etatu w radzie miasta. Następnego dnia rozwiązano z nią umowę.

Marszczę brwi. Marie potrafiła się odgryźć, a matki czasami nie umieją dostrzec wad własnych dzieci. Mimo to nigdy nie znałem jej od t a k i e j s t r o n y.

– Cóż, ludzie się zmieniają.

– Nie aż tak.

– Sam byłem wtedy młody i głupi.

– A teraz jaki jesteś?

– Stary i cyniczny.

– Witaj w klubie.

Beth tylko udaje cyniczkę. Poznają to po oczach. Światło jeszcze ciągle się w nich tli.

– A właśnie. Nigdy mi nie powiedziałaś, do której grupy się zaliczasz.

Marszczy czoło.

– Masz powołanie czy nie możesz sobie znaleźć innej pracy?

– Kto by nie chciał t a k i e g o życia? – Rozkłada szeroko ręce.

– Czyli jednak powołanie?

– Przeprowadzasz ze mną wywiad?

– Nie, po prostu jestem ciekawy.

– Mnie?

– Emily Ryan.

Wyraz jej twarzy się zmienia. Nagle ulatuje z niej cała łagodność.

– Opowiadałaś mi o niej, pamiętasz? To ta uczennica, która popełniła samobójstwo.

– Naprawdę umiesz popsuć nastrój.

– Powiedziałaś, że była twoją uczennicą. Ale jeszcze tu nie pracowałaś, kiedy się zabiła.

– Przeprowadziłeś drobne śledztwo?

– Mów mi Columbo.

– Do głowy przychodzą mi zupełnie inne przydomki. Poza tym nie muszę ci nic mówić.

– To prawda.

– Prawie cię nie znam.

– To też prawda.

– Stajesz się kurewsko irytujący, kiedy się z kimś zgadasz.

– I znowu...

Powstrzymuje mnie gestem dłoni.

– Niech ci będzie. Masz rację. Emily nie była moją uczennicą. Tylko siostrzenicą – dodaje po chwili. – Mam parę lat starszą od siebie siostrę. Wychowywałyśmy się bez ojca, a mama też nie wygrałaby konkursu na matkę roku, więc byłyśmy ze sobą blisko związane. Dorastałyśmy w Edgeford. Kojarzysz to miejsce?

– Słyszałem o nim – nie najlepsza dzielnica Nottingham.

– Carla – moja siostra – dość młodo zaszła w ciążę. Zgodnie z rodzinną tradycją tatuś szybko się odmeldował, za to ona okazała się świetną mamą. Wychowywała Emily, robiąc jednocześnie kursy pielęgniarstwa. Emily była słodkim dzieckiem i wyrosła na całkiem fajną nastolatkę.

– To nie lada osiągnięcie.

– Uczyłam wtedy w Derby, więc rzadko się widywałyśmy. Ale pisałyśmy do siebie z Emily SMS-y albo wiadomości na Facetime. Parę razy mnie odwiedziła. Chodziłyśmy na zakupy, do kina i takie tam. Chyba byłam spoko ciocią.

– Cóż, od tego właśnie są spoko ciocie.

Lekko się uśmiecha.

– Nie zrozum mnie źle. Miała trzynaście lat i bywała humorzasta, ale ogólnie rzecz biorąc, przyjemnie spędzało się z nią czas – była bystra, zabawna, dociekliwa.

Znowu kłuje mnie serce. Ciekawe, jaką nastolatką byłaby Annie. Głośną, pewną

siebie, zabawną, lubiącą sport? A może zamknęłyby się w sobie, tak jak mnóstwo innych dzieci w tym wieku?

– Później Carli zaproponowano lepszą pracę. Przeprowadziły się i Emily musiała zmienić szkołę.

– Niech zgadnę. Przeniosły się do Arnhill?

Kiwa głową.

– Zatrudnili ją w szpitalu w Mansfield. Arnhill znajdowało się niedaleko, można tu było tanio wynająć dom i dotrzeć do szkoły na piechotę. Wydawało się to sensownym rozwiązaniem.

Większość złych decyzji na początku wydaje się sensowna.

– Zmiana szkoły zawsze jest trudna, gdy ma się trzynaście lat – mówię.

– Na początku było dobrze...

– Ale?

– Było aż za dobrze. No wiesz, kiedy wszystko układa się tak bajecznie, wiadomo, że długo to nie potrwa.

– Co mówiła twoja siostra?

Beth wzdycha.

– Nic nie rozumiała. Rzecz jasna kochała ją całym sercem, ale po prostu nie widziała problemu. Albo nie chciała go widzieć.

Kiwam głową. Wszyscy jesteśmy tak zabiegani, zajęci pracą, płaceniem rachunków, hipoteką, zakupami, że n i e c h c e m y drążyć. Nie mamy śmiałości. Lubimy, gdy jest dobrze. Bajkowo. Jeśli coś zaczyna się psuć, brakuje nam energii, żeby stawić temu czoło. Dopiero gdy wydarzy się coś złego, nieodwracalnego, widzimy wszystko wyraźnie jak na dłoni. Ale wtedy jest już za późno.

– Próbowalaś o tym rozmawiać z Emily?

– Próbowalam. Nawet pojechałam się z nią zobaczyć. Poszłam z nią na pizzę, jak dawniej, ale było jakoś inaczej.

– Co masz na myśli?

– Skończyliście?

Oboje podnosimy wzrok. Przy naszym stoliku wyrosła Lauren.

– Eee, tak, dzięki – mówię. – Możemy prosić jeszcze raz to samo?

Kiwa głową.

– Chyba tak. – Odchodzi w stronę baru.

Beth patrzy na mnie.

– Musi cię naprawdę lubić. Nie podchodzi do stolika dla byle kogo.

– Mam wrodzony urok osobisty. A wracając do tego, co mówiłaś...

Znowu pochmurnieje.

– Poszliśmy do jej ulubionej pizzerii, ale prawie nic nie tknęła. Była opryskliwa, sarkastyczna. Zupełnie jak nie ona.

– Dzieciaki w gimnazjum potrafią się zmienić jak za naciśnięciem guzika. Buzują w nich hormony i trudno przewidzieć ich zachowanie.

– Co ty powiesz? Pamiętaj, że też jestem nauczycielką. Wiem, jak to jest. Istna *Inwazja porywaczy ciał*.

Sięga po podkładkę i zaczyna ją skubać.

– Ale nawet wcześniej, kiedy Emily przechodziła burzę hormonów, r o z m a w i a ł a ze mną. Wydawało mi się, że nasza relacja jest wyjątkowa.

– Opowiadała ci o szkole? O tym, co ją gryzło?

– Nie. A gdy spróbowałam ją podpytać, zamknęła się w sobie.

Lauren wraca do nas i stawia na stoliku jeszcze dwie szklaneczki burbona. Mam chyba jakiś problem ze wzrokiem, bo jest w nich zdecydowanie za dużo alkoholu. Beth miała rację. Lauren musi mnie naprawdę lubić.

Beth upija łyk.

– Z perspektywy czasu myślę, że powinnam być bardziej stanowcza. Zmusić ją do mówienia.

– To tak nie działa. Jeśli zaczniesz za bardzo naciskać, nastolatek wpełźnie z powrotem do swojej skorupy.

– Tak, ale wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? Że nawet jej nie przytuliłam na pożegnanie. Zawsze się przytulałyśmy. Jednak tym razem po prostu odeszła. A ja – spoko ciocia – postanowiłam jej na to pozwolić. Dać jej trochę czasu. Okazuje się, że go nie miałyśmy. Widziałam ją wtedy po raz ostatni. Dwa

tygodnie później już nie żyła. – Siąka nosem, gniewnie wyciera oczy. – Powinnam ją była przytulić.

– Nie mogłaś wiedzieć.

Bo życie nigdy nas nie uprzedza.

– Mimo wszystko. Jestem nauczycielką. Powinnam się była domyślić, że to nie są zwykłe humory. Zauważyć symptomy depresji. Była moją siostrzenicą. A ja ją zawiodłam.

Zalewa mnie fala poczucia winy. Przez chwilę mnie ona paraliżuje. Przełykam ślinę.

– Co się stało z twoją siostrą?

Kręci głową, próbując wziąć się w garść.

– Nie mogła tu zostać. Nie w domu, w którym to się stało. Przeniosła się z powrotem do Edgeford, żeby być bliżej mamy. Ciągle jeszcze nie doszła do siebie. Odwiedzam ją tak często, jak tylko mogę, ale śmierć Emily stała się dla nas barierą, której nie potrafimy obejść.

Wiem, co ma na myśli. Żałoba jest czymś bardzo osobistym. Nie da się nią podzielić jak pudełkiem czekoladek. Należy tylko i wyłącznie do ciebie. Niczym najeżona kolcami kula przytwierdzona łańcuchem do twojej kostki. Albo korona cierniowa. Nikt inny nie może poczuć twojego bólu. Nie może włożyć twoich butów, ponieważ są one wypełnione kawałkami zbitego szkła, które rozszarpują ci podeszwy stóp na strzępy za każdym razem, gdy próbujesz zrobić krok. Żal po stracie kogoś bliskiego to najgorszy rodzaj tortury, która nigdy się nie kończy. Co pewien czas zostajesz ponownie wtrącony do lochów i tak aż do końca życia.

– Dlatego tu przyjechałaś? – pytam. – Z powodu Emily?

– Kilka miesięcy po jej śmierci zobaczyłam ogłoszenie, że szukają nauczyciela. Pomyślałam, że tak miało być.

Zabawny zbieg okoliczności.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym od razu?

– Bo Harry nie wie. Nie chciałam, by myślał, że jestem tu z niewłaściwych pobudek.

– Na przykład jakich?

– Z zemsty.

– A nie jesteś?

– Na początku może i tak było. Chciałam k o g o ś pociągnąć do odpowiedzialności za śmierć Emily. – Wzdycha. – Ale niczego nie mogłam znaleźć. A przynajmniej nic konkretnego. Zwykle przyjaźnie i sprzeczki.

– Co z Hurstem?

– Emily nigdy o nim nie wspomniała.

– Ale...?

– W tej szkole c o ś nie gra, między innymi z powodu Hursta. Kiedy dzieciakowi takiemu jak on wszystko uchodzi na sucho, tworzy się miejsce, w którym okrucieństwo jest normą.

Zastanawiam się, czy tylko o to chodzi. Przypominam sobie, co powiedział mi Marcus: że Hurst zabierał dzieciaki na teren dawnej kopalni. Dzieciaki, które chciały się wpasować. Być może także młodą nastolatkę, która rozpaczliwie pragnęła zostać zaakceptowana w nowej szkole. Kopalnia może się do człowieka dobrać na wiele różnych sposobów. Tak jak to było z Chrisem.

– Zamilkłeś.

– Po prostu myślę o tym, że historia ma gówniany nawyk powtarzania się – stwierdzam gorzko.

– Ale nie powinna. Szkoły takie jak Arnhill mogą się zmienić wyłącznie od środka. Nauczycielstwo to coś więcej niż dbanie o wysoką pozycję w rankingu szkół i pisanie raportów dla kuratorium. Powinniśmy pomagać młodym ludziom wyrosnąć na porządnych, kompletnych ludzi i przetrwać okres dojrzewania w jednym kawałku. Jeśli ich wtedy stracimy, to już bezpowrotnie. – Wzrusza ramionami. – Pewnie uważasz, że to, co mówię, jest naiwne.

– Nie, raczej odważne, godne pochwały i w ogóle. Ale jeśli się nie zamknę, pewnie zaraz mnie pozdrowisz środkowym palcem. O właśnie!

Beth opuszcza palec.

– Bez względu na twoje cyniczne, świadczące o zmęczeniu życiem komentarze

można by pomyśleć, że mnie rozumiesz.

– Bo tak jest. Powody, dla których sam tu trafiłem, są znacznie mniej chwalebne.

– To znaczy?

Waham się przez chwilę. Ze wszystkich osób, które znam, to właśnie Beth chciałbym wyznać prawdę. Jednak to również na jej opinii najbardziej mi zależy.

– Tak jak powiedziałaś, do Arnhill trafiają tylko dwa typy nauczycieli. Nie udało mi się znaleźć pracy nigdzie indziej.

– Wydawało mi się, że rozmawiamy szczerze.

– Jestem z tobą szczery.

– Nie. – Kręci głową. – Czegoś mi nie mówisz.

– Naprawdę nie masz racji.

– Masz to wymalowane na twarzy.

– Taką już mam twarz. To moje przekleństwo.

– W porządku. Nie chcesz, to nie mów.

– Okej.

– A więc jednak coś przede mną ukrywasz?

– No dobra, kiedyś byłem hazardzistą. Narobiłem sobie strasznych długów. Musiałem się gdzieś przyczaić, dopóki nie zdołam ich spłacić. Nie istnieje żaden szlachetny powód mojego powrotu. Jestem splukanym hazardzistą, przeciętnym nauczycielem i wątpliwej reputacji człowiekiem. Zadowolona?

Wpatruje się we mnie.

– Gównu prawda. Może i jesteś nedorajdą, ale takim, który znalazł się tu z konkretnego powodu. I to ważnego. W przeciwnym razie zwiąłbyś stąd zaraz po tym, jak pobili cię kumple Hursta. Ale jeśli nie chcesz mi powiedzieć, w porządku. Wydawało mi się, że to początek przyjaźni. Najwyraźniej się pomyliłam.

Podnosi się i sięga po kurtkę.

– Wychodzisz?

– Nie, wypadam jak burza.

– Ach tak.

- Przez co wyjdiesz na żalostnego frajera.
- Nie chcę cię rozczarować, ale do tego akurat nie jesteś mi potrzebna.

Wkłada kurtkę.

- Kogoś jednak potrzebujesz.
- Każdy kogoś potrzebuje.
- Jakież to głębokie.
- Cytuję *Blues Brothers*.
- Pieprz się.

To powiedziawszy, odwraca się i wyparowuje z pubu. Żaden z gości nawet nie unosi wzroku znad drinka.

Siedzę dalej, jak ten żalostny frajer. Ale przynajmniej mam przed sobą dwie do połowy pełne szklaneczki burbona. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Przelewam alkohol Beth do swojej szklanki i upijam porządny łyk. Później sięgam do kieszeni i wyjmuję z niej skrawek papieru, na którym zanotowałem adres.

Czas na wizytę domową. Spróbuję komuś uatrakcyjnić wieczór.

Podczas gry w karty zawsze przychodzi taki moment, kiedy widzisz karty swoich przeciwników, jakby były przezroczyste. Wiesz, co trzymają w rękach. Oceniasz swoje szanse. Planujesz kolejne ruchy. Dostrzegasz wszystko wyraźnie, jakby ktoś wypisał ci to fluorescencyjnym markerem w powietrzu, tuż przed twoimi oczami.

I zwykle nie masz racji.

Jeśli zaczniesz ci się wydawać, że masz przewagę nad resztą graczy, że wiesz, jak potoczy się partia, potrafisz przewidzieć właściwe ruchy i blefy, to jesteś w poważnych tarapatach.

Bo za moment wszystko zwali ci się na głowę.

Wydawało mi się, że jestem cwany, gdy rozpracowałem relację łączącą Marcusa i Ruth. Myślałem, że wiem, na czym stoję. Ruth mieszkała tu wtedy, znała mnie i Arnhill. A także Bena i Julię. Istniała m o ż l i w o ś ć, że zdobyła mój adres mailowy i numer telefonu, po czym wysłała mi wiadomości. To było m o ż l i w e. Tylko dlaczego miałyby to robić?

Teraz przyszło mi do głowy inne wytłumaczenie. Nie ma ono zbyt wiele sensu. Nie wiem, jakie karty trzyma w ręku drugi z graczy. Ale przynajmniej wiem, z kim gram.

Robię krok do przodu i naciskam dzwonek, po czym znowu się cofam.

Czekam. Zasłony w salonie są zasunięte i nie przebija przez nie światło, ale ona na pewno jest w środku. Okazuje się, że mam rację. Parę sekund później przez szybę we frontowych drzwiach widzę zapalające się w przedpokoju światło.

Dostrzegam za drzwiami rozmazaną sylwetkę; słyszę kasznięcie, pociągnięcie nosem, a później dźwięk przekręcanego w zamku klucza i drzwi powoli się uchylają.

– Pan Thorne.

Nie wygląda na zaskoczoną moim widokiem. Z drugiej strony przez całe życie musiała zachowywać w pracy spokój i opanowanie. Ciekawe, czemu jeszcze je poświęciła.

Odpowiadam jej uprzejmym uśmiechem.

– Dobry wieczór, panno Grayson.

26

1992

– Ko ś ci!

Twarz Hursta rozjaśnia taka radość, jakby ktoś właśnie ściągnął mu spodnie i zafundował loda.

Zaczynam się zastanawiać, z czym mi się kojarzy ta scena. Spojrzenie pełne zachwytu, blask górniczej lampki rozświetlający jego oblicze. I nagle mnie olśniewa. Przypomina mi to scenę z *Poszukiwaczy zaginionej Arki*, kiedy naziści wpatrują się w Arkę... tuż przed tym, jak ze środka wylatują demony, a twarze nazistów zaczynają im złazić z czaszek.

Wydawało mi się, że już bardziej nie mogę się bać, i jak zwykle się pomyliłem.

– Kości! – To słowo rozeszło się mrocznym echem po całej naszej grupie.

Wpatrywaliśmy się w kości wkomponowane w skałę. Z bliska niektóre z nich wydawały się bardziej żółte. Możliwe, że były starsze. A do tego drobne. Część kości połamano albo pocięto, żeby uformować z nich rozmaite symbole i kształty, ale niektóre były całe. Wyglądały bardzo delikatnie, wręcz krucho.

Hurst wyciągnął rękę i dotknął jednej z nich z zadziwiającą delikatnością. Później zacisnął na niej palce i wyciągnął kość ze ściany. Ustąpiła znacznie łatwiej, niż się spodziewałem, wzbijając niewielki obłok kurzu i odłamków skały, które posypały się na ziemię. Hurst wpatrywał się w kość. Ręka, pomyślałem. Malutka ręka.

– Jezu! – ryknął Fletch. – Widzieliście to?

Odwróciliśmy się. Trzymał w dłoni jeden z pośliskłych kamieni, tylko że to

wcale nie był kamień, lecz czaszka. Maleńka. Ledwie wypełniała jego dłoń. Nie była to czaszka dorosłego, tylko dziecka. Prawie wszystkie te rozczłonkowane szkielety należały do dzieci.

– Chyba powinniśmy stąd iść – powiedziałem słabo i bez przekonania.

– Żarty sobie robisz? – odparł Hurst. – To miejsce jest czadowe. I tylko nasze.

Właśnie wtedy zrozumiałem, w jak głębokim znaleźliśmy się bagnie. Miejsca takie jak to do nikogo nie należą. Nie można ich osiągnąć. To raczej one biorą ludzi w posiadanie.

Fletch uśmiechnął się szeroko i rzucił czaszkę do Marie.

– Kretyn. – Uchyliła się, a czaszka upadła na ziemię i pękła na pół. – Ohyda – jęknęła. Nie wyglądała najlepiej. Być może sprawił to widok tych wszystkich czaszek albo wypity przez nią cydr, ale jej twarz przybrała ziemisty odcień.

Hurst przechadzał się po jaskini, podważając łomem kolejne kości, i wyciągał je ze skał. Za każdym razem, gdy mu się to udało, wiwatował. Naprawdę wiwatował.

Fletch chwycił jeszcze parę czaszek i zaczął je kopać po pieczarze, jakby grał w piłkę. Przerazenie ścisnęło mi żołądek. Ale nic nie zrobiłem. Po prostu tam stałem. Jak zawsze.

– Dawaj! – zawołał Hurst, unosząc łom. Fletch sięgnął po kolejną czaszkę i złapał ją jak kulę do kręgli, wsuwając palce w puste oczodoły, a później rzucił ją Hurstowi, który zamachnął się łomem. Metal i czaszka zderzyły się z głośnym trzaskiem. Czaszka rozpadła się na drobne kawałki. Żołądek podszedł mi do gardła.

Spojrzałem na Chrisa, szukając u niego ratunku, jakiegoś wsparcia, ale on tylko stał, z rękami zwieszonymi wzdłuż boków, i patrzył na to wszystko beznamiętnie. Wyglądało to tak, jakby po naszym dotarciu tutaj, gdy już dowiedział się, co znaleźliśmy, doznana trauma wpędziła go w stan katatonii.

W końcu odezwałem się głośniej:

– To są kości martwych dzieci, do kurwy nędzy!

– No i? – Fletch odwrócił się w moją stronę. – Przecież się nikomu nie poskarżę. Hurst tylko wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Rozchmurz się, Thorney. Przecież tylko się bawimy. Poza tym znalezione

niekradzione, co nie?

Podniósł z ziemi połowę czaszki.

– Jak to było u Szekspira? Być albo nie być?

Podrzucił czaszkę do góry i zamachnął się łomem. Odłamki kości przeleciały przez jaskinię.

Skrzywiłem się, gdy coś odwróciło moją uwagę. Wydawało mi się, że słyszę jakiś dźwięk. Dobiegający ze ścian. Dziwny. Nie było to skrobanie, raczej r o z p i e r z c h a j ą c y s i ę c h r o b o t. Pomyślałem o nietoperzach. Czy mogły tu być? Albo nawet szczury. Na pewno lubiły ciemne, podziemne tunele.

– Słyszeliście coś? – zapytałem.

Hurst zmarszczył czoło.

– Nie.

– Na pewno? Wydawało mi się, że coś słyszę – może nietoperze albo szczury?

– Szczury! – Marie gwałtownie się odwróciła. – Cholera!

Pobiegła w najdalszy kąt jaskini i głośno zwymiotowała.

– Kurna! – zaklął Fletch. – Wiedziałem, że nie trzeba było jej tu przyprowadzać.

Twarz Hursta stężała. Nie wiedziałem, czy odszczeknie się Fletchowi, czy nakrzyczy na Marie. Później jednak rozległ się kolejny dźwięk. Tym razem wyraźniejszy. Ze schodów nad nami posypały się kamienie.

Wszyscy się odwróciliśmy (poza Marie, która wciąż wydawała z siebie w kącie głośne, jękliwe odgłosy). Powietrze w jaskini zgęstniało od woni potu i wymiocin. Mimo to miałem wrażenie, że zrobiło się chłodniej. A nawet zimno. Nie było to jednak zwyczajne zimno. U p i o r n y c h ł ó d, pomyślałem. Jak tamte przemieszczające się cienie. Ruchomy, żywy.

Poświeciliśmy latarkami w kierunku hałasu i schodów, które pięły się nierówno do góry.

– Hej! – zawołał Hurst. – Jest tam kto?

Cisza, a później kolejna kaskada kamieni.

– Lepiej tu zejść albo sam wejść na górę i...

Nie dokończył. Na ścianie pojawił się czyjś cień. Wysoki i patykowaty, ścisnął

coś w wydłużonych palcach; coś jakby niemowlę...

Wszyscy ucichliśmy, nawet jęki Marie ustały. Znowu usłyszałem tamten dźwięk. R o z p i e r z c h a j ą c y s i ę c h r o b o t. Tym razem bliżej. Cień skręcił za róg. Poczułem, jak napina mi się skóra na czaszce. Hurst uniósł łom. Cień powoli się skurczył i przybrał właściwą postać. Zobaczyliśmy drobną sylwetkę ubraną w szarą bluzę z kapturem, różowe spodnie od pizamy i adidas. W jednej ręce trzymała latarkę. W drugiej plastikową lalkę.

– Ożeż ty w dupę. – Hurst opuścił łom.

– No bez kitu – mruknął Fletch.

Wpatrywałem się w Annie.

– Co ty tu, u diabła, robisz?

27

Siedzimy w pokoju na tyłach domu. Jest kiepsko oświetlony, stoją w nim tylko dwa masywne skórzane fotele, biurko i stół do czytania. Wypłowiwały, ale pewnie dawniej kosztowny dywan przykrywa gołe deski podłogowe. Wysokie regały zajmują prawie całą powierzchnię ścian, szczelnie wypakowane książkami, których grzbiety są przyjemnie popękane i wysłużone.

Nigdy nie ufaj osobie, która ma półki pełne książek w idealnym stanie lub, co gorsza, ustawia je okładkami do przodu. Ta osoba nie jest czytelnikiem, tylko pozerem. *Spójrzcie na mnie i mój wspaniały literacki gust. Spójrzcie, jakie uznane tytuły zdołałem zebrać, chociaż pewnie nigdy ich nie przeczytam.* Czytelnik przełamuje grzbiety książek, przewraca strony, chłonie każde słowo i szczegół. Może i nie powinno się oceniać książki po okładce, ale z całą pewnością można po niej ocenić jej właściciela.

– A zatem... – zaczyna pani Grayson, stawiając filiżankę kawy na stoliku obok mnie, po czym zajmuje miejsce na drugim fotelu z kubkiem gorącego gripexu w dłoni. – Masz do mnie jakieś pytania.

– Raptem kilka.

Odchyła się na fotelu.

– Założę się, że pierwsze z nich brzmi: czy jestem stukniętą staruszką, która ma za dużo wolnego czasu?

Sięgam po filiżankę i upijam łyk. W przeciwieństwie do lury, którą zaserwowała mi wtedy w szkole, kawa jest aromatyczna i mocna.

– Mam je na swojej liście.

– Domyślałam się.

– To pani przysłała mi maila?

– Tak.

– Jak mnie pani znalazła?

– Zwykły proces eliminacji. Wiedziałam, że zostaniesz nauczycielem. Wyśledziłam, gdzie ostatnio pracowałeś, zadzwoniłam do tamtej szkoły, powiedziałam, że starasz się o pracę u nas i że zgubiłam kontakt do ciebie.

– Ale to było, jeszcze z a n i m się do was zgłosiłem.

– Tak.

Nagle coś do mnie dociera.

– Czy wspomnieli coś o okolicznościach mojego odejścia?

– Owszem.

– Czyli wiedziała pani, że przedstawiłem Harry’emu fałszywe referencje.

Dostrzegam błysk w jej oku.

– Byłam pod wrażeniem twojej pomysłowości.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę. Przez cały czas trzymała mnie w szachu.

– A teczka?

– Zebrałam materiały, a Marcus podrzucił je pod posąg. Pomyślałam, że będzie mu łatwiej niż mnie.

– Ale SMS przyszedł z jego telefonu.

– Starego, którego nie używał. Później rozbili mu iPhone’a, więc znowu zaczął z niego korzystać.

– Ale d l a c z e go? Po co tyle zachodu? Cała ta pantomima? Nie mogła pani do mnie po prostu z a d z w o n i ć? Słyszałem, że poczta nadal dostarcza ludziom listy.

– Czy wróciłbyś tu, gdybym po prostu do ciebie zadzwoniła?

– Być może.

– Oboje wiemy, że to nieprawda.

Jej głos brzmi ostro. Zaczynam się czuć jak skarcony dzieciak przyłapany na kłamstwie.

– Wiele się nauczyłam – mówi dalej – pracując z dziećmi przez wszystkie te

lata. Po pierwsze: nigdy nie pytaj o nic wprost, bo i tak cię okłamią. Po drugie: przekonaj je, że same wpadły na jakiś pomysł. I wreszcie po trzecie: wzbudź ich zainteresowanie, a same do ciebie przyjdą.

– Zapomniała pani o punkcie czwartym: nie pozwól im podpalać własnych gazów.

Na jej twarzy pojawia się blady uśmiech.

– Ironia zawsze była twoim mechanizmem obronnym. Nawet w dzieciństwie.

– Jestem zaskoczony, że kojarzy mnie pani z dawnych czasów.

– Pamiętam wszystkich moich uczniów.

– Imponujące. Ja ledwo pamiętam swoją ostatnią klasę.

– Stephen Hurst – sadystyczny, zepsuty, ale sprytny. Niebezpieczna kombinacja.

Nick Fletcher – niezbyt bystry, pełen gniewu. Szkoda, że nie umiał dla niego znaleźć lepszego ujścia. Chris Manning – genialny, skrzywdzony, zagubiony. Zawsze poszukiwał czegoś, czego nie mógł znaleźć. I wreszcie ty – czarny koń. Odpierający ciosy słowami. Jedyny prawdziwy przyjaciel Hursta. Potrzebował cię bardziej, niż zdawałaś sobie z tego sprawę.

Przełykam ślinę. Gardło mam jak wyłożone papierem ściernym.

– Zapomniała pani o Marie.

– No tak – ładna dziewczyna, sprytniejsza, niż mogłoby się wydawać. Taka, która już wtedy wiedziała, jak zdobyć to, na czym jej zależało.

– Nie jesteśmy już dziećmi.

– W środku wszyscy nimi pozostajemy. Mamy wciąż te same lęki i radości. Po prostu dorastamy i coraz lepiej wychodzi nam ukrywanie różnych rzeczy.

– Pani też jest w tym niezła.

– Nie chciałam cię oszukać.

– W takim razie c o chciała pani zrobić?

– Nakłonić cię do powrotu. I akurat to mi się udało. – Zaczyna kasłać, wyciąga z rękawa chusteczkę i zakrywa nią sobie usta. Kiedy przechodzi jej atak kaszlu, mówi: – Zakładam, że dowiedziałaś się od Marcusa.

Przytakuję.

– Martwił się, że będzie pani miała kłopoty. Zapewniłem go, że nie. Oczywiście pod warunkiem, że powie mi pani prawdę.

Kiwa głową.

– Marcus to dobry chłopiec.

– Bardzo panią szanuje.

– To mój chrześniak, ale pewnie o tym też ci powiedział?

– Tak. Nie wiedziałem, że zna pani jego mamę.

– Oboje sporo w szkole wycierpieli. Uratowałam ją kiedyś przed łobuzami i stałam się dla niej kimś w rodzaju powiernicy.

Myślę o dzieciakach, które widywałam w jej biurze. Tych, którym próbowałam pomóc. To nie było nic wielkiego. Ale w szkole, kiedy się boisz i jesteś prześladowany, każdy drobny gest zyczliwości znaczy bardzo wiele.

– W każdym razie – podejmuje – utrzymywałam kontakt z Ruth nawet po tym, jak skończyła szkołę. Po urodzeniu Lauren i Marcusa poprosiła mnie, żebym została ich matką chrzestną. Czasami zajmowałam się nimi w wakacje, kiedy pracowała. Byłam z nimi blisko, szczególnie z Marcusem. Nadal wpada do mnie na herbatę dwa razy w tygodniu. To bardzo mądry chłopiec i łączy nas wiele wspólnych zainteresowań.

– Takich jak historia najbliższej okolicy?

Posyła mi kolejny blady uśmiech.

– Między innymi.

– Czyli go pani wykorzystała?

– Chciał mi pomóc. Nie wie wszystkiego, jeśli to ci chodzi po głowie.

– Och, nie ma pani bladego pojęcia, co mi chodzi po głowie.

– W takim razie mi powiedz.

Otwieram usta i uświadamiam sobie, że mam w głowie kompletną pustkę.

– Czytałeś materiały, które były w teczce? – pyta, upijając łyk ze swojego kubka.

– Większość.

– Zainteresowały cię?

Wzruszam ramionami.

– Arnhill ma ponurą historię. Tak jak wiele innych miejsc.

– Jednak większość miejsc nie jest tak stara jak ta wioska. Ludzie myślą, że Arnhill powstało wokół kopalni, ale to nieprawda. Istniało na długo przed jej powstaniem.

– I co z tego?

– Dlaczego wioska miałyby powstać na takim pustkowiu?

– Ze względu na ładne widoki?

– Wioski powstają w określonych miejscach z konkretnych powodów, takich jak czysta woda czy żyzna ziemia. Ale czasami istnieją inne przyczyny.

Inne przyczyny. Czuję nagły przeciąg. Powiew lodowatego powietrza.

– Na przykład?

– Czytałeś artykuły dotyczące procesów o czary i Ezekeriaha Hyrsta?

– Mit, miejscowa legenda.

– Zwykle zawierają w sobie ziarenko prawdy.

– A jaka jest prawda o Arnhill?

Zapłata palce wokół kubka. Ma silne dłonie, myślę. Kompetentne. Pewne.

– Odwiedziłeś cmentarz. Zauważyłeś, kogo na nim brakuje?

– Dzieci. Niemowląt.

Przytakuje.

– Oczywiście też.

– T eż?

– Jak sam powiedziałaś, Arnhill ma ponurą historię. Pełną śmierci. A mimo to na cmentarzu pochowano zaledwie dziewięćdziesiąt osób.

– W każdej kwaterze można chyba pochować więcej niż jedną osobę?

– Owszem. Ale nawet jeśli weźmiemy to pod uwagę – oraz fakt, że większość mieszkańców po roku 1946 została pochowana na innych cmentarzach albo, w ostatnich latach, skremowana – to i tak za mało. Mówiąc wprost, na cmentarzu jest za mało grobów, żeby mogły one pomieścić wszystkich zmarłych. W takim razie gdzie się oni podziali?

Nagle dociera do mnie, co zrobiła. Sprowadziła mnie tutaj okreśną drogą, żebym się nie zorientował, dokąd ona prowadzi. Aż do tej chwili.

– Myślę, że zabrano ich gdzie indziej – mówi. – W miejsce, które mieszkańcy uważali za wyjątkowe. – Pozwala temu zdaniu odpowiednio wybrzmieć. – Myślę, że dwadzieścia pięć lat temu trafiłeś w to miejsce razem ze swoimi przyjaciółmi.

Miejsca też mają swoje sekrety, podobnie jak ludzie. Po prostu trzeba się do nich dokopać. W ziemi, w życiu, w czyjejś duszy.

– Jak się pani domyśliła?

– Widziałam wielu młodych ludzi, tutaj w wiosce. Patrzyłam, jak dorastają, biorą ślub i mają własne dzieci. Niektórym się to nie udało. Na przykład Chrisowi.

Myślę o głuchym uderzeniu. I rubinowym cieniu.

– Czasami przychodził posiedzieć w moim gabinecie. Zanim Hurst wziął go pod swoje skrzydła.

– Nie pamiętam tego.

– Pewnie byłeś zbyt zajęty przemykaniem obok mojego gabinetu, w nadziei, że nie dostaniesz bury za niewpuszczoną w spodnie koszulę albo nieregulaminowe obuwie.

Prawie się uśmiecham. Dawne czasy, myślę. Wystarczy kilka rzuconych beztrąsko słów, żeby je przywołać. Tylko że słowa panny Grayson wcale takie nie są. Długo czekała na moment, gdy będzie je mogła wypowiedzieć.

– Kilka dni przed swoją śmiercią – mówi dalej – odwiedził mnie Chris. Chciał z kimś porozmawiać o tym, co znaleźliście.

– Powiedział pani, co tam się stało?

– Częściowo. Ale myślę, że zdarzyło się coś jeszcze. Mam rację, Joe?

Zawsze jest „coś jeszcze”. Trzeba się tylko odpowiednio głęboko dokopać. A z reguły im głębiej, tym bardziej mrocznie.

Kiwam głową.

– Tak.

– Może mi o tym opowiesz?

28

1992

Annie rozejrzała się po pieczarze oczami wielkimi jak spodki.

– Poszłam za tobą.

– Bez kitu. Co ci strzeliło do głowy?

– Chciałam wiedzieć, co kombinujecie. Czy to są czaszki? Prawdziwe? – Leciutko zadrżał jej głos. Przycisnęła Abbie-Eyes do wątlej piersi.

– Musisz stąd wyjść. – Podszedłem – pokuśtykałem – do niej i chwyciłem ją za ramię. – Chodź.

– Czekaj. – Hurst zagroził nam drogę.

– Co?

– A jak wypaple?

– Ma osiem lat.

– Właśnie.

– Nikomu nie powiem – wymamrotała Annie.

– Słyszałeś? A teraz pozwól mi ją stąd wyprowadzić.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Nie wiem, jak by się to skończyło, gdyby Marie nie jęknęła z kąta:

– Źle się czuję, Steve. Chcę wrócić do domu.

– Głupia krowa – burknął Fletch, chociaż bez większego przekonania.

Widziałem, że Hurst bije się z myślami. Spojrzał na mnie i Annie, a później znowu na Marie.

– W porządku – mruknął. – Pójdziemy. Ale tu wrócimy. I nie wyjdę stąd bez

jakiejś pamiątki.

– Nie! – odezwał się wreszcie Chris. – Nie możesz tego zrobić. Stąd nie można niczego wynosić.

Hurst ruszył w jego stronę.

– A niby dlaczego nie, Ciastusiu? To miejsce jest teraz naszą własnością.

Nie, pomyślałem znowu. Nie wszedłeś w posiadanie tego miejsca. Być może pozwoliło ci tak myśleć. Może nawet c h ce, żebyś tak myślał. Ale właśnie w ten sposób przejmowało nad tobą kontrolę. Przyciągało cię do siebie. To t y stawałeś się jego własnością.

– Chris ma rację – powiedziałem. – Nie możemy stąd niczego zabierać. A jeśli ktoś nas zapyta, skąd wytrzasnęliśmy ludzkie kości?

Hurst zwrócił się w moją stronę.

– Nikomu ani słowa. I nikt nie będzie mi, kurna, mówił, co mogę robić, a czego nie, Thorney.

Ponownie uniósł łom. Poczulem, jak Annie się wzdryga, i mocniej ją do siebie przytuliłem.

Na twarzy Hursta pojawił się uśmiech.

– Daj mi swój plecak.

Nie czekając na moją reakcję, zerwał mi go z pleców i rzucił Fletchowi.

– Zgarnijmy trochę łupów. Możemy włożyć świece w czaszki i straszyć nimi ludzi w Halloween.

Fletch chwycił torbę, przykucnął i zaczął zbierać z ziemi czaszki. Hurst wrócił do ściany i zaczął podważać kości łomem, wyrywając je ze skał w napadzie szału.

Annie ścisnęła mnie za rękę.

– Abbie-Eyes się tu nie podoba.

– Powiedz jej, że wszystko jest w porządku. Zaraz stąd wyjdziemy.

Czulem, jak drży.

– Abbie-Eyes mówi, że nie jest w porządku. Te cienie się poruszają. – Odwróciła się gwałtownie. – Co to za dźwięk?

Bez wątpienia znowu dało się słyszeć r o z p i e r z c h a j ą c y s i ę

chrobot. Otaczał nas ze wszystkich stron. Nie wydawały go szczury ani nietoperze. Jedne i drugie były zbyt duże i niezgrabne. Ten dźwięk był bardziej szorstki, rozedrgany. Wydawały go jakieś mniejsze, za to bardziej liczne stworzenia. Masa objających się o siebie pancerzy i rozedrganych nóg.

Domyśliłem się chwilę przed tym, jak to się stało. *Owady* – pomyślałem. *Owady*.

Hurst wbił łom w skałę, usiłując podważyć wyjątkowo oporny kawałek kości.

– Mam cię!

Ściana eksplodowała mrowiem błyszczących czarnych ciałek.

– Kurwaaa!

Chrząszcze wypłynęły ze skały lśniąca falą, niczym żywy strumień oleju. Były ich setki. Wylewały się z dziury i spływały na ziemię. Niektóre przemknęły po łomie, prosto na ramiona Hursta. Upuścił narzędzie i zaczął się otrzepywać. Przypominało to jakiś szalony taniec.

Stojący po przeciwnej stronie jaskini Fletch wrzasnął. Czaszka, którą trzymał, poruszyła się w jego dłoni. Z oczodołów i uchylonej szczęki wylało się jeszcze więcej chrząszczy. Leżące na ziemi czaszki również zaczęły się poruszać, przesuwane przez miliony maleńkich owadzich odnóży.

Fletch rzucił czaszkę i zerwał się na równe nogi. Tak mu się spieszyło, że wypuścił z ręki latarkę, która upadła na ziemię i zgasła, pogrążając połowę jaskini w ciemności.

Marie wydała z siebie wysoki, histeryczny krzyk.

– Nic nie widzę. Cholera jasna. One po mnie łążą. Ratunku! Pomocy!

W moim gardle również wezbrał krzyk, ale musiałem myśleć o Annie. Przyłgnęła do mnie, nie wydając z siebie żadnego dźwięku, jakby była sparaliżowana. Objąłem ją ramionami i zacząłem jej szeptać we włosy:

– Nic się nie dzieje. To tylko chrząszcze. Zaraz stąd wyjdziemy.

Próbowałem się z nią wycofać w stronę schodów i Chrisa, który wciąż nie ruszył się z miejsca. Latarka bezużytecznie zwisała z jego dłoni, oświetlając skrawek ruchomego podłoża. Żuki chrzęściły nam pod stopami. *Zupełnie jak*

miażdżone w zębach płatki. Cieszyłem się, że mam na sobie ciężkie obuwie i wpuszczone w nie dżinsy, chociaż opuchnięta kostka boleśnie napierała na skórę butów. Annie skomlała przy moim boku niczym przerażone zwierzę.

Byliśmy już prawie przy schodach, gdy z ciemności wyłoniła się czyjaś sylwetka. To był Hurst. W blasku górniczej lampki jego twarz wyglądała na bladą i mokrą od potu. Spanikowaną. Jej widok przeraził mnie bardziej niż cała reszta.

– Daj mi swój hełm.

Sięgnął po niego, popychając mnie na ścianę. Ręka Annie wysunęła się z mojej.

– Puszczaj!

– Dawaj lampkę.

Popchnął mnie mocno. Uderzyłem głową w skałę. Poczułem, jak czaszka obija mi się o wnętrze hełmu. Światło na moment przygasło, a później rozplynęło się w nicość. Ogarnęła nas lepka ciemność.

– Ty pieprzony idioto! – odepchnąłem Hursta. Desperacja ścisnęła mnie za gardło. Musieliśmy się stąd wydostać, i to jak najszybciej. – Annie?

– Joey? Nie widzę cię – powiedziała to głosem ciężkim od powstrzymywanych łez. Nadal próbowała być dzielna.

Pokuśtykałem w kierunku, z którego dobiegał jej głos.

– Jestem tutaj. Włącz latarkę.

– Nie mogę. Zgubiłam ją.

– Nic się nie... – Wyciągnąłem rękę i musnąłem jej palce.

W ciemności rozległ się wrzask Marie.

– NIEEEEEEE!!!

Poczułem podmuch powietrza, kiedy coś śmignęło mi przed twarzą. Padłem na ziemię, twardo lądując na łokciu. Hełm spadł mi z głowy. Rękę przeszył ból. Nie miałem jednak czasu, żeby o tym myśleć, ponieważ usłyszałem kolejny wrzask: wysoki, przeraźliwy, okropny.

– ANNIE?!

Zacząłem się przesuwac po ziemi, przedzierając się przez twarde pancerzyki i rozbiegane odnóża. Dotknąłem palcami czegoś metalowego. Latarka Annie.

Chwyciłem ją i zorientowałem się, że bateria się wysunęła. Wepchnąłem ją na miejsce, włączyłem latarkę i zatoczyłem nią krąg.

Umysł nagle odmówił mi posłuszeństwa. Serce jednocześnie się zacisnęło, rozprężyło i rozpadło na kawałki. Annie leżała skulona na ziemi, wciąż przyciskając do siebie Abbie-Eyes. Pizama podjechała jej do góry, odsłaniając patykowate, brudne nogi. Twarz i włosy pokrywało coś ciemnego, czerwonego i lepkiego.

Podpełzłem do siostry i niezdarnie przytuliłem ją do siebie. Wydawała się taka chuda i kanciasta. Pachniała szamponem i serowo-cebulowymi chipsami. Otaczające nas zewsząd chrząszcze zaczęły się wycofywać, rozłazić i wnikać z powrotem w ściany, jakby wykonały już swoje zadanie.

– To był wypadek.

Uniosłem latarkę. Hurst stał jakiś metr dalej. Marie kurczowo ścisnęła go za ramię. U jego stóp leżał łom. Przypomniałem sobie, jak coś śmignęło mi przed twarzą. Spojrzałem na Annie; z jej głowy sączyła się krew.

– C o ś t y , k u r w a , z r o b i ł ?

Poczułem wzbierający w gardle gniew, gorzki niczym żółć. Chciałem się na niego rzucić, walić jego głową o skałę, dopóki nie zostaną z niej tylko roztrzaskane kości oblepione galaretą. Miałem ochotę złapać łom i wbić mu go w brzuch.

Coś mnie jednak powstrzymało. A n n i e. Kostka wciąż pulsowała mi bólem. Niezłe bym się namęczył, wspinając się po tych stromych schodach w pojedynkę. Nie dałbym rady wnieść Annie. Zresztą nie byłem pewien, czy w ogóle powinniśmy ją ruszać. Potrzebowałem Hursta i reszty, żeby sprowadzili pomoc.

– Dajcie coś do zatamowania krwi.

Hurst zdjął krawat przez głowę i mi go rzucił. Jego twarz sprawiała wrażenie obwisłej. Wyglądał jak ktoś, kto właśnie obudził się ze złego snu i odkrył, że to wcale nie był sen.

– Nie chciałem...

Nie chciał skrzywdzić Annie, tylko mnie. Nie mogłem jednak o tym myśleć. Przycisnąłem krawat do rany na głowie Annie. Zanurzył się w niej. Niedobrze.

Cholernie niedobrze.

– Czy ona nie żyje? – zapytał Fletch.

Nie – pomyślałem. *Nie, nie, nie. Tylko nie moja młodsza siostrzyczka. Nie Annie.*

– Musicie wezwać karetkę.

– Ale... co im powiemy?

– A jakie to ma znaczenie?

Krawat w mojej dłoni przesiąknął krwią. Rzuciłem go na bok.

– Fletch ma rację – wymamrotał Hurst. – Musimy coś wymyślić. Będą nas pytać o różne rzeczy...

– Coś wymyślić? – Spiorunowałem go wzrokiem. – Na litość boską.

Kątem oka zobaczyłem, że Chris się poruszył. Schylił się i podniósł coś z ziemi, a później znowu zniknął w cieniu.

– Możecie im powiedzieć cokolwiek – odparłem zdesperowany. – Tylko sprowadźcie pomoc. Szybko.

– Jaki to ma sens, jeśli ona nie żyje? – powtórzył Fletch. *P i e p r z o n y* Fletch.

– Nie słyszę, żeby oddychała. Ona nie oddycha. Spójrzcie na nią. Spójrzcie na jej oczy.

Nie musiałem tego robić, bo już wcześniej je widziałem. Annie jest tylko nieprzytomna, wmawiałem sobie. Straciła przytomność. *W takim razie dlaczego jej oczy wywróciły się do tyłu głowy? A kruche ciało jest takie zimne?*

Hurst przeciągnął ręką po włosach. Zastanawiał się. Kiepsko to wróżyło. Bo jeśli zaczął rozmyślać i martwić się o własny tyłek, byliśmy zgubieni.

– Policja będzie nam zadawać pytania.

– Błagam. To moja młodsza siostra.

– Steve. – Marie dotknęła jego ramienia. Prawie zapomniałem, że w ogóle tam jest.

Hurst popatrzył na nią i nagle coś między nimi przeskoczyło.

– Okej. Chodźmy.

Spojrzałem na Marie, chcąc jej przekazać milczące podziękowanie, ale nie chciała mi spojrzeć w oczy. Nadal wyglądała na bladą i chorą. Ruszyli w stronę

schodów. Nikt nie zaproponował, że ze mną zostanie, nawet Chris. Ale to nic. Nie chciałem, żeby tam ze mną byli. Wolałem zostać z Annie sam. Jak zawsze.

Hurst zatrzymał się u podnóża schodów. Wyglądało na to, że chce coś powiedzieć. Gdyby to zrobił, chyba podbiegłbym do niego i wyrwał mu serce gołymi rękami. Ale się nie odezwał. Odwrócił się w milczeniu i zniknął w ciemności.

Kłęczałem na zimnej ziemi, trzymając na kolanach bezwładne ciało Annie. Oparłem latarkę o ścianę, kierując światło ku górze. Otaczały nas zdeptane, martwe chrząszcze. Nadal słyszałem wydawany przez nie chrobot w ścianach jaskini. Starąłem się o tym nie myśleć. Wsłuchiwałem się w kroki wspinających się kolegów. Usiłowałem też nie myśleć o tym, czego nie słyszałem.

O n a n i e o d d y c h a.

Szli za wolno. *Szybciej* – powtarzałem w myślach. *Musicie przyspieszyć.* Dźwięk oddalających się kroków stawał się coraz cichszy. Musieli być już prawie na górze. Dobięgnięcie do wioski, czyjegoś domu albo budki nie zajmie im dużo czasu. Zadzwońią po pogotowie. Szpital był oddalony o jakieś dwadzieścia kilometrów, ale karetki jeżdżą na sygnale, szczególnie gdy chodzi o dziecko...

Usłyszałem kolejny dźwięk. Coś więcej niż echo. Daleki, ale wystarczająco głośny, żeby roznieść się po jaskini. ŁUP. Jakby na ziemię upadło coś ciężkiego. ŁUP. Jakby ktoś zatrzaskał metalowe drzwi. ŁUP.

Albo opuścił pokrywę wjazdu.

ŁUP.

Wpatrywałem się w ciemność.

– Nie – szepnąłem.

Nie mogli tego zrobić. Nie zrobiliby tego. Nawet Hurst. Czy aby na pewno?

Nikomu ani słowa. Musimy coś wymyślić. Będą nas pytać o różne rzeczy.

ŁUP.

Kto by się domyślił? Kto by nas tu znalazł? Kto by się wygadał?

Szukałem jakiegoś logicznego wytłumaczenia. Może się pomyliłem. Albo po prostu zamknęli wjazd, żebyśmy byli bezpieczni albo żeby nikt do niego nie wpadł.

Próbowałem. Naprawdę próbowałem to sobie jakoś wytłumaczyć, ale ciągle słyszałem w głowie ciężki metaliczny odgłos.

ŁUP.

Wtedy właśnie pojąłem rzeczy, których nie powinien rozumieć żaden piętnastolatek. Dotyczące ludzkiej natury. Walki o przetrwanie. Desperacji. Zalała mnie fala paniki. Podeszła mi do gardła, utrudniając oddychanie. Przytuliłem moją małą siostrzyczkę jeszcze mocniej, kołysząc nią w przód i w tył.

Annie, Annie, Annie.

ŁUP.

Nagle usłyszałem kolejny dźwięk. R o z p i e r z c h a j ą c y s i ę c h r o b o t. Chrząszcze. Znowu zaczynały wyłazić ze ścian. Wracały po nas.

Ta myśl pozwoliła mi się otrząsnąć z paraliżu.

Nie mogliśmy tam zostać, czekając na pomoc, która mogła nigdy nie nadejść.

Musieliśmy się stamtąd ruszyć. Wydostać się na powierzchnię.

Delikatnie odłożyłem Annie i dźwignąłem się z ziemi. Gdy przeniosłem cały swój ciężar na lewą stopę, jakoś udało mi się wstać. Schyliłem się, złapałem Annie pod pachy i wtedy dotarło do mnie, że nie mam wolnych rąk, żeby trzymać latarkę. Zawahałem się. Chrząszcze nie przestawały się ruszać. Chwyciłem latarkę i wsunąłem ją sobie między zęby. Później znowu podniosłem Annie i pokonałem tyłem kilka pierwszych stopni, opierając się o skalistą ścianę, ciągnąc za sobą bezwładne ciało. Była lekka, ale ja też. Jej bluza ciągle się podwijała. Miękką skórą Annie ocierała się o twarde kamienne schody. Co chwilę zatrzymywałem się, żeby ją poprawić, co było głupie. Traciłem tylko czas i energię.

Pokonaliśmy w ten sposób jeszcze trzy schody. Bolała mnie kostka. Huczało mi w głowie. Zatrzymałem się, żeby złapać oddech i lepiej ją uchwycić. Zrobiłem kolejny krok do tyłu. Kawałek kamienia oderwał się od stopnia. Poczułem, jak obsuwa mi się stopa, i poleciałem do tyłu. Znowu. Pociągnąłem za sobą Annie, ale nic nie mogło złagodzić mojego upadku i mocno uderzyłem głową o skalisty schodek za moimi plecami. Wzrok mi się zmacił i nagle ogarnęła mnie ciemność.

Tym razem była inna. Ta ciemność. Głębsza. Zimniejsza. Czuję, jak się

porusza, wokół mnie i w środku. Pełźnie po mojej skórze, wypełnia mi gardło, wdzierając się prosto do...

Gwałtownie otworzyłem oczy. Zamachałem rękami, pocierając nimi głowę i twarz. Miałem niewyraźne poczucie, że coś się przede mną cofa. Szemrząca fala połyskliwych pancerzyków ponownie wniknęła w skały. Latarka leżała obok mnie, emanując mdłym, żółtawym blaskiem. Bateria pewnie zaraz się wyczerpie. Jak długo byłem nieprzytomny? Sekundy? Minuty? A może dłużej? Leżałem na przedostatnim stopniu. Moje ciało wydawało się dziwnie lekkie. Pozbawione ciężaru.

Annie.

Nie leżała już na mnie. Dźwignąłem się do pozycji siedzącej. Nie było jej obok mnie, ani nawet w pobliżu czy u podnóża schodów. Co u...

Sięgnąłem po latarkę i wstałem. Kostka wciąż mnie bolała, ale mniej niż przedtem. Może po prostu zdrętwiała albo zaczynałem się uodparniać na ból. Tył głowy również miałem obolały. Dotknąłem go, wyczuwając pod palcami guza. Nie miałem jednak czasu, żeby o tym myśleć.

Annie.

Ostrożnie zszedłem do pieczary. Na ziemi wciąż leżały rozrzucone kości i czaszki. Ich kawałki chrzęściły mi pod stopami.

– Annie?

Mój głos odbił się echem od ścian. Głuchy. Pusty. *Nikogo tu nie ma. Nikogo poza nami, kurczaczkami.*

Niemożliwe. A jednak, skoro Annie nie było na dole, istniało tylko jedno wytłumaczenie – musiała się stąd jakoś wydostać.

Próbowałem coś sobie przypomnieć. Nie widziałem momentu zadania ciosu. Owszem, było mnóstwo krwi, a Annie straciła przytomność, ale rany na głowie zawsze bardzo krwawią, prawda? Gdzieś o tym czytałem. Nawet z malutkiego rozcięcia wypływa mnóstwo krwi. Może wcale nie była tak poważnie ranna, jak mi się wydawało.

Naprawdę? Ale przecież czułeś, jaka jest zimna? Poza tym nie oddychała.

Pomyłka. Mój umysł po prostu to wyolbrzymił. Wszyscy byliśmy przerażeni jak diabli. Było ciemno. Spanikowałem, zareagowałem zbyt nerwowo. Ale przecież było coś jeszcze? Ponownie rozejrzałem się po jaskini. *Abbie-Eyes*. Brakowało *Abbie-Eyes*. Zostawiłem lalkę na dole, a teraz jej nie było. Annie musiała ją stąd zabrać.

Rozejrzałem się po pieczarze po raz ostatni i ponownie ruszyłem w kierunku schodów. Tym razem zdołałem wejść na górę znacznie szybciej – napędzany nadzieją i desperacją – i precyzyjnie się przyczepiłem do wyrwy w skale. Szybko omiotłem spojrzeniem jaskinię, upewniając się, że i ona jest pusta. Światło latarki zamigotało. Może wystarczy mi baterii, żeby wrócić do domu, a może nie.

D om. Czy to możliwe, by Annie tam trafiła?

Tereny dawnej kopalni od naszego domu dzielił zaledwie dziesięciominutowy spacer. Skoro udało jej się wyjść na powierzchnię, to może także dotarła do domu? Opowiadała teraz o wszystkim tacie, a mnie po powrocie czekał solidny opieprz. Nie miałbym nic przeciwko.

Zacząłem się wspinać po drabinie. Właz był częściowo otwarty (więc chyba i w tej sprawie się myliłem). Nie całkiem, ale wystarczająco, żeby Annie zdołała się przez niego precyzyjnie przyczepić, i ja też. Wydostałem się prosto na chłodne, świeże nocne powietrze. Kiedy się nim zaciągnąłem, poczułem w gardle pieczenie. Znowu zrobiło mi się słabo i przestałem wyraźnie widzieć. Pochyliłem się do przodu i oparłem dłonie na kolanach. Musiałem się wziąć w garść, żeby jakoś wrócić do domu.

Pokonałem zwirowe hałdy i przelazłem przez dziurę w ogrodzeniu. W połowie ulicy latarka wreszcie skapitulowała. Ale nie miało to większego znaczenia, bo ulice rozświetlały latarnie i od czasu do czasu światło sączące się przez zasłony w salonach domów. Która mogła być godzina? Jak długo byliśmy tam na dole?

Szybko przemierzyłem alejkę na tyłach naszego domu i wszedłem przez furtkę. Zatrzymałem się dopiero w ogródku. Nadal miałem na sobie kurtkę i buty należące do taty. *Cholera*. Pospiesznie je z siebie ściągnąłem, wrzuciłem do szopy i dokuśtykałem w dziurawych skarpetach do kuchennych drzwi. Nacisnąłem

klamkę. Były otwarte, jak zwykle, bo tata często zapominał je zamknąć po pijaku.

W kuchni zawahałem się przez moment. Z salonu dolatywał delikatny blask włączonego telewizora. Tata na wpół siedział, a na wpół leżał rozwalony na swoim ulubionym fotelu i chrapał. Na podłodze przy jego stopach stała niewielka kolekcja puszek po lagerze.

Podszedłem na palcach do schodów, położyłem dłoń na poręczy i wciągnąłem swoje ledwo trzymające się na nogach ciało na górę. Czułem się doszczętnie wyczerpany i obolały, ale musiałem zobaczyć Annie. Musiałem się upewnić, że wróciła do domu. Otworzyłem drzwi do jej pokoju.

I wtedy zalała mnie fala ulgi.

W świetle płynącym z korytarza dostrzegłem drobną postać Annie zwiniętą w kłębek pod kołdrą z kucykami Pony, spod której wystawała strzecha zmierzwionych ciemnych włosów.

Jest tutaj. Wróciła. A więc wszystko w porządku.

W tamtej chwili byłem gotów uwierzyć w to, że wszystko, co zdarzyło się wcześniej, było tylko okropnym snem.

Zacząłem zamykać drzwi.

A później się zawahałem. Czy nie przyszło mi do głowy, jakie to dziwne, że Annie poszła prosto do łóżka? Nawet nie spróbowała dobudzić taty i zorganizować dla mnie pomocy. Czy chociaż przez ułamek sekundy nie pomyślałem o tym, żeby wejść do jej pokoju i sprawdzić, czy wszystko rzeczywiście jest w porządku? Doznała przecież urazu głowy. Powinienem był ją obudzić, upewnić się, że jest przytomna, świadoma.

P o w i n i e n e m b y ł , p o w i n i e n e m b y ł , p o w i n i e n e m b y ł
t o z r o b i ć.

Ale nie zrobiłem.

Zamknąłem drzwi i zawlokłem się do swojego pokoju. Zdjąłem brudne ubrania i wcisnąłem je do kosza na pranie. Powtarzałem sobie, że wszystko będzie dobrze. Jakoś to sobie poukładamy. Wymyślimy historyjkę o tym, co zdarzyło się wieczorem. Powiem Hurstowi, że nie chcę już należeć do jego bandy. Będę spędzał

więcej czasu z Annie. Wynagrodzę jej to. Naprawdę.

Padłem jak nieżywy na łóżko. Nagle w moim umyśle zatrzepotała jakaś myśl, niczym miękka szara ćma. Dotyczyła ona leżącej w łóżku Annie. Umknęło mi coś ważnego. Zanim jednak zdążyłem tę myśl pochwycić, uciekła. Obróciła się w pył. Naciągnąłem kołdrę po samą brodę i zamknąłem oczy.

29

– A rano już jej nie było?

– W ogóle nie wróciła do domu. Kształt, który widziałem na łóżku, tworzyła sterta zabawek, a włosy należały do lalki. – Kręcę głową. – Sterta pieprzonych zabawek. Powinienem był się zorientować. Albo po prostu to sprawdzić.

– Możliwe, że sam doznałeś wstrząśnienia mózgu. Nie myślałeś logicznie.

Ale powinienem był zauważyć, czego brakuje. Abbie-Eyes. Nie leżała na łóżku. Annie nigdy nie zostawiłaby jej tam na dole. Przyniosłaby ją z powrotem.

– Co wydarzyło się później? – pyta panna Grayson.

– Rodzice wezwali policję. Rozpoczęto poszukiwania. Próbowałem im tłumaczyć. Mówiłem, że Annie czasami chodziła za mną do kopalni. Że powinni jej tam poszukać.

– Ale nie powiedziałeś im, co się stało?

– Chciałem to zrobić. Ale Hurst zdążył powiedzieć policji, że spędziliśmy wieczór u nich. A jego tata to potwierdził. Nikt by mi nie uwierzył. Mieliby moje słowo przeciwko jego słowu.

Panna Grayson kiwa głową, a ja myślę sobie: *Ona wie. Wie, że jestem kłamcą i tchórzem.*

– Nie wróciłeś tam, żeby jej poszukać?

– Nie zdołałem się zbliżyć do terenu dawnej kopalni, a policja nie pozwoliła mi się przyłączyć do żadnej z ekip poszukiwawczych. Ciągle myślałem, że znajdą właz. Że znajdą Annie. Po prostu musiało im się to udać.

– Niektóre miejsca, podobnie jak ludzie, muszą c h c i e ć zostać odnalezione.

Chciałbym wyśmiać jej teorię, ale wiem, że ma rację. Chris nie znalazł włazu. To właz znalazł jego. A jeśli nie chciał cię wpuścić do środka, nie miałeś szans ponownie go namierzyć.

– Zamierzałem się przyznać – mówię. – Chciałem pójść na komisariat i wszystko powiedzieć policji.

– Dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Annie wróciła.

A później żyli długo i szczęśliwie.

Nie w tym wypadku. Moja siostrzyczka rzeczywiście wróciła. Siedziała na posterunku, huśtając nogami, z wielkim kocem na ramionach, mocno przyciskając do siebie Abbie-Eyes. A później się do mnie uśmiechnęła.

Wtedy już wiedziałem. Uświadomiłem sobie, co jest nie w porządku. Potwornie, cholernie nie w porządku.

G ł o w a A n n i e. Gdzie się podziała rana? Krew? Widziałem tylko niewielką czerwoną bliznę na jej czole. Wlepiłem w nią wzrok. Czy to możliwe, by tak szybko się wygoiła? Czyżbym się pomylił? Wyolbrzymił jej uraz? Nie wiedziałem. Nic już nie wiedziałem.

– Joe?

– Mojej siostrze c o ś się stało – mówię wolno. – Nie potrafię tego wyjaśnić. Wiem tylko, że po powrocie zachowywała się inaczej. Nie była już m o j ą Annie.

– Rozumiem.

– Nieprawda. Nikt tego nie rozumie. A ja przez dwadzieścia pięć lat starałem się o tym zapomnieć. – Posyłam jej wściekłe spojrzenie. – Twierdzi pani, że wie, co spotkało moją siostrę. Nie ma pani o tym bladego pojęcia.

Patrzy na mnie chłodnym, taksującym wzrokiem, po czym wstaje i podchodzi do biurka. Otwiera szufladę, wyjmując z niej butelkę sherry i dwa kieliszki.

Napełnia je po brzegi, podaje mi jeden z kieliszków i siada z powrotem, ściskając drugi. Nie przepadam za sherry, lecz mimo to upijam łyk. Całkiem spory.

– Miałam kiedyś siostrę – oznajmia.

– Nie wiedziałem.

– Przyszła na świat martwa. Widziałam ją tuż po urodzeniu. Wyglądała, jakby spała, lecz nie oddychała. Nie wydała z siebie najlżejszego dźwięku. Pamiętam, jak tutejsza położna – starsza kobieta – owinęła ją w becik i ułożyła w ramionach mojej matki. A później powiedziała coś, czego wtedy nie zrozumiałam: *Nie musi tak być. Znam miejsce, gdzie mogą przywrócić życie twojemu dziecku.*

Mam ochotę wygłosić jakiś zgryźliwy komentarz. Stwierdzić krótko, że była wtedy dzieckiem i źle zrozumiała tamtą kobietę. Że z czasem wspomnienia zacierają się w naszej pamięci. Pozwalają się dowolnie kształtować.

Słowa więzną mi jednak w gardle. Znowu czuję zimny przeciąg. Gdzieś w domu musi być otwarte okno.

– Co zrobiła pani matka?

– Kazała jej się wynosić i nie opowiadać takich rzeczy.

– Pytała ją pani później o to?

– Rodzice nigdy nie wspominali o mojej siostrze. Z drugiej strony niewielu ludzi rozmawia na temat śmierci, prawda? To taki brudny sekret. A przecież śmierć jest na swój sposób najważniejszą częścią życia. Bez niej trudno by było sobie wyobrazić naszą egzystencję.

Dopijam sherry jednym haustem.

– Dlaczego chciała pani, żebym wrócił?

– Żeby ta sama historia znowu się nie powtórzyła.

– Przecież to niemożliwe. Historia zawsze się powtarza. Lubimy udawać, że uczymy się na własnych błędach, ale to nieprawda. Wydaje nam się, że następnym razem będzie inaczej, zawsze jest jednak tak samo.

– Gdybyś naprawdę w to wierzył, nie byłoby cię tutaj.

Parskam śmiechem.

– W tym momencie sam już nie wiem, w co wierzę ani dlaczego tutaj jestem.

– W takim razie pozwól, że ci pomogę. Uważam, że Jeremy Hurst znalazł inne wejście do pieczary, którą kiedyś odkryliście, i przyprowadzał tam dzieciaki, w tym również Bena. Myślę, że syna Mortonów spotkało to samo co twoją siostrę.

– Naprawdę przykro mi z tego powodu. Żał mi Bena, podobnie jak Julii. Ale nie

wiem, czego pani ode mnie oczekuje...

- Nie chodzi tylko o nich.
- W takim razie o kogo, u diabła?
- O Stephena Hursta.

Odruchowo zaciskam szczęki.

- Co on ma z tym wszystkim wspólnego?
- Od miesiący blokuje proces budowy parku krajobrazowego. Nie dopuszcza nikogo do ziemi.

– Myślałem, że chce tam budować domy.

– C h ce, żeby wszyscy tak myśleli. Wydaje mi się, że broni tego, co znajduje się pod powierzchnią.

– Ale po co?

– Marie jest bardzo chora.

– Wiem, ma raka.

– N i e u l e c z a l n e g o r a k a. Zostało jej kilka miesięcy, a może nawet tygodni życia. Ona umiera.

Przypominam sobie falę strachu, która ogarnęła mnie wtedy w pubie.

Marie nie umrze. Nie dopuszczę do tego.

– Nie. – Kręcę głową. – Nawet Hurst nie jest t a k szalony.

– Za to jest zdesperowany. A zdesperowani ludzie próbują wszystkiego. Szukają cudu. – Nachyla się do mnie i kładzie chłodną, suchą rękę na mojej dłoni. – Oczywiście rzadko go znajdują. Rozumiesz już, dlaczego chciałam, żebyś wrócił?

Rozumiem, a świadomość tego faktu drąży głęboką, ziejącą chłodem dziurę w moich wnętrznościach.

– Hurst chce ją ocalić – mówię.

– Myślę, że tylko ty możesz go powstrzymać.

30

Siedzę na kanapie. Na stoliku kawowym przed sobą mam szklaneczkę burbona i opakowanie kart. Nie tknąłem jeszcze żadnej z tych rzeczy. W kominku nie pali się ogień, a w pokoju panuje ciemność. Wciąż mam na sobie płaszcz. Jest zimno, ale przecież tu zawsze tak jest.

W bladym świetle księżycy wpadającym przez kuchenne okno widzę Abbie-Eyes siedzącą na fotelu naprzeciwko i świdrującą mnie swoim nowym – i jeszcze bardziej koszmarnym – spojrzeniem.

Nie tylko ona towarzyszy mi tego wieczoru. Wyczuwam je gdzieś w pobliżu. Nie chodzi o zwykły chrobot, do którego zdążyłem się już przyzwyczaić. Mam też inne towarzystwo. Milczące, ale czujne. Otwieram pudełko z kartami – po raz pierwszy od bardzo dawna – i zaczynam je tasować.

– To nie mój problem, okej?

Wyrzucam z siebie te słowa w ciemność i czekam, aż ktoś się im sprzeciwi. Nie słyszę żadnej odpowiedzi, jednak czuję na sobie czyjś posępny wzrok.

– Próbowałem to powstrzymać już wcześniej. Nie udało mi się.

Ciemność się najeża, chrobotanie przybiera na sile, jakbym powiedział coś, co ją rozzłościło. Rozdaję karty czterem niewidzialnym graczom, sięgam po swojego drinka i wychylam go jednym haustem, żeby dodać sobie odwagi. Fałszywej odwagi.

– Nie jestem nic winien Hurstowi. Proszę bardzo, niech próbuje. Dostanie nauczkę. Mam to gdzieś.

Ale to przecież nieprawda. Ciemność przemawia do mnie niczym rodzic do

histeryzującego dziecka. *Zgadza się, Joe? Tu wcale nie chodzi o Hursta, tylko o Marie. Dziewczynę, na której kiedyś ci zależało. Umierającą kobietę, zasługującą na to, żeby odejść w spokoju. Bo przecież istnieją rzeczy gorsze niż śmierć. To, co powraca, nie zawsze jest tym samym, co odeszło. I tylko ty jeden możesz to powstrzymać.*

Usiłuję przeniknąć wzrokiem ciemność, ale ona nie chce ustąpić, nie cofa się nawet o milimetr. Jeśli już, to podchodzi bliżej, napiera na mnie niczym wzgardzona kochanka. I nagle zauważam, że czai się w niej coś jeszcze. Jakieś postacie, cienie pośród cieni. Zmarli nigdy nas na dobre nie opuszczają. Nosimy ich w sobie. We wszystkim, co robimy. W snach i koszmarach. Są częścią nas. I może czegoś jeszcze. Tego miejsca. Tej ziemi.

A jeśli ziemia jest zepsuta? Jeśli wszystko, co z niej wyrasta, przepełnia trucizna? Myślę o tym, że nigdy nie da się ulepić dwa razy tego samego bałwana, a taśmy, które przegrywał kolega taty, zawsze były niewyraźne i uszkodzone. Niektórych rzeczy – pięknych i doskonałych – nie da się odtworzyć, przy okazji ich nie niszcząc.

Słyszę jakiś ruch. Skrzypnięcie drzwi, miękkie kroki. Jestem przygotowany.

– Czego ode mnie chcesz? – pytam. – Co mam zrobić?

– Na początek mógłbyś, kurde, włączyć światło.

Podskakuję i odwracam się dokładnie w chwili, gdy salon zalewa blask lampy.

– Jezu. – Zasłaniam oczy niczym wampir wystawiony na palące promienie słońca.

Zerkam przez palce, mrużąc oczy. Przy drzwiach stoi Brendan. Świetnie wygląda w swojej wojskowej kurtce, workowatej bluzie, sztruksach i znoszonych sportowych butach marki Green Flash. Przez ramię ma przewieszoną wielką torbę.

Przygląda mi się spomiędzy strzechy splątanych włosów i brody.

– Co ty tu, kurde, robisz, siedząc w ciemności i gadając do siebie?

Przyglądam mu się przez chwilę, a później kręcę głową.

– Czy nikt poza mną nie puka już do drzwi?

Brendan parzy okropną kawę. Poza tym jest już po północy – rzadko pijam kawę o tej porze. Czuję się jednak zbyt zmęczony, skołowany i wypompowany, żeby zaprotestować.

Wychodzi z kuchni z dwoma kubkami, stawia jeden z nich przede mną i rozgląda się za czymś, na czym mógłby usiąść.

– Podoba mi się, jak urządziłeś ten dom.

– To się nazywa dekonstrukcja.

– Nieźle.

Wskazuję ruchem głowy na fotel.

– Siadaj. Abbie-Eyes uwielbia towarzystwo.

Spogląda na lalkę.

– Pewnie nie będziesz zaskoczony tym, co powiem, ale siedzenie tutaj i gadanie z jednooką lalką jest jeszcze bardziej upiorne niż gadanie do siebie.

Zdejmuje Abbie-Eyes i kładzie ją na podłodze, wzdrygając się, po czym siada na fotelu i bierze kubek. Torba leży tuż przy jego stopach. Spoglądam na nią.

– Spodziewałem się kuriera, nie dostawy osobistej.

– Cóż, uznałem, że benzyna wyjdzie taniej.

– Przecież nie masz samochodu.

– Pożyczyłem od siostry.

– A co z pracą?

– Nic się nie stanie, jeśli wezmę parę dni urlopu. Cieszę się, że przyjechałem, bo wyglądasz jak gówno, chłopie. Tutejsze powietrze najwyraźniej ci nie służy.

Pocieram oczy.

– Nie będę nim już długo oddychał.

Niezależnie od okoliczności.

– Wkrótce dokończysz swój plan.

– Można tak powiedzieć.

– I właśnie do tego są ci potrzebne karty?

Zerkam na rozłożoną na stole talię.

– Nudziłem się.

– A więc nie zamierzasz odzyskać pieniędzy, grając w karty?

– Oczywiście, że nie.

– Całe, kurde, szczęście. Nie obraż się, ale główniany z ciebie pokerzysta.

– I n i e m o g ł e ś mi tego powiedzieć, zanim ktoś pogruchotał mi nogę?

– Wtedy nie byłeś jeszcze gotowy. – Patrzy na torbę. – Chyba nie odbiorę Sherlockowi Holmesowi roboty, dedukując, że twój plan ma coś wspólnego z zawartością tej torby?

– Brawo, drogi Watsonie.

– Czyli?

Unoszę brew. A przynajmniej próbuję. Jestem zbyt padnięty, żeby się bardziej postarać.

– Ktoś zapłaci mi dużo pieniędzy, żebym n i e poszedł z tym na policję. – Sięgam po torbę i kładę ją na stoliku. – Zaglądałeś do środka?

– Doszedłem do wniosku, że jeśli zechcesz mi pokazać, co jest w środku, po prostu to zrobisz.

Odpinam suwak i ostrożnie wyciągam ze środka pękaty kształt owinięty w starą bluzę. Rozwijam materiał i wydaję dwa przedmioty zabezpieczone przezroczystą plastikową torebką: łom oraz granatowy szkolny krawat z ciemniejszymi plamami w miejscu, gdzie nasiąknął krwią. Krwią mojej siostry. Ledwie widać pod nią wyszyte nazwisko: S. Hurst.

– Co to, kurde, jest? – pyta Brendan.

– Rewanż.

31

1992

To nie upadek zabija, tylko lądowanie.

Dowiedziałem się tego dzięki Chrisowi.

Ludzie myślą, że po skoku z dużej wysokości mózg wyłącza się, jeszcze zanim ciało dotknie ziemi.

Ale to nieprawda. Ze względu na tempo przetwarzania informacji przez mózg może on nie przyswoić samego upadku, jednak to nie znaczy, że nie pracuje na najwyższych obrotach przez całą drogę w dół.

Aż do momentu zderzenia z ziemią.

W dniu, w którym Chris skoczył, na ostatniej lekcji miałem angielski w Bloku. Czytaliśmy fragmenty *Folwarku zwierzęcego*. Nigdy nie lubiłem tej powieści. Nie przepadałem za topornym symbolizmem już wtedy i nadal za nim nie przepadam.

Jako piętnastolatek uważałem, że tę samą historię można było opowiedzieć za pomocą zwykłych bohaterów, niekoniecznie zwierząt. Nie widziałem sensu w całej tej maskaradzie. Nie podobało mi się zwodzenie czytelnika. Zupełnie jakby autor uważał się za sprytnego i myślał, że nikt nie przejrzy jego zamysłu. A ja rozgryłem go bez problemu. Wcale nie był taki sprytny. Czułem się jak podczas pokazu magicznego; domyśliłem się rozwiązania sztuczki, a magikowi i tak się wydawało, że jest genialny.

Orwell nie był genialny, chociaż *Rok 1984* okazał się całkiem niezły. Niczego nie udawał. Był śmiały, przerażający i brutalny.

Szczerze mówiąc, podczas tamtej lekcji nie bardzo potrafiłem się skupić na książce. Byłem rozkojarzony. Przez ostatnich kilka tygodni często się tak czułem.

Od powrotu Annie minął już prawie miesiąc. Początkowa euforia i zainteresowanie naszą historią zdążyły się ulotnić. Mimo to wciąż powinniśmy być szczęśliwi. Powoli wracać do normalności. Ale jakoś nam się nie udawało. Nie byłem już nawet pewien, czym jest „normalność”.

Przez pierwszych kilka dni próbowałem rozmawiać z Annie. Wyciągnąć z niej, co się stało tamtej nocy. Ale ona tylko wpatrywała się we mnie zamglonym wzrokiem, jakby nie rozumiała, o co pytam. Od czasu do czasu uśmiechała się albo chichotała bez powodu. Jej śmiech, od którego zawsze robiło mi się cieplej na sercu, teraz przyprawiał mnie o ból zębów, jak zgrzytanie paznokciami po tablicy.

Mama nadal rzadko bywała w domu, ponieważ przez większość czasu opiekowała się babcią, która od jesieni „kiepsko się czuła”. Tata wziął w pracy urlop, żeby pomóc przy opiece nad Annie do momentu, aż będzie gotowa wrócić do szkoły. A przynajmniej tak nam powiedział. To jednak nie była prawda. Któregoś wieczoru zauważyłem wystający z kieszeni jego kurtki formularz z symbolem „P45”. Wiedziałem, co to oznacza: tata rzucił pracę albo został z niej zwolniony. Wcisnąłem formularz głębiej do kieszeni i nie pisałem mamie ani słowa.

Nie powiedziałem jej o wielu rzeczach. N i e m o g ł e m tego zrobić, bo nie chciałem jej martwić ani tym bardziej unieszczęśliwić. Poza tym bałem się, że mi nie uwierzy.

Nie przyznałem się, że bałem się wracać po szkole do domu, bo tata zawsze był pijany, a w całym domu śmierdziało. Nie tylko alkoholem. Czymś znacznie gorszym, skisłym i zepsutym. Tak jakby pod podłogę naszego domu dostało się jakieś zwierzę i tam zdechło. Pewnego wieczoru mama wysłała nawet mnie i tatę, żebyśmy poszukali martwej myszy. Gdy nie udało nam się niczego znaleźć, przewróciła oczami i powiedziała: *Pewnie da się to wywietrzyć.*

Nie powiedziałem jej, że się myli. Że to nie jest zdechła mysz, tylko coś innego, co zagnieździło się w naszym domu.

Ani że przez większość nocy leżałem bezsenne, wsłuchując się w hałasy dobiegające z sypialni Annie. Czasami była to w kółko ta sama piosenka:

Gdy już przyjdzie, to wyłoni się zza gór. Gdy już przyjdzie, to wyłoni się zza gór.

Kiedy indziej za ścianą rozlegały się upiorne krzyki i wrzaski. Zakładałem słuchawki od walkmana albo wpychałem głowę pod poduszkę, byle tylko stłumić dźwięki. Rano wchodziłem do pokoju Annie, ściągałem z jej łóżka przemoczoną pościel, wrzucałem ją do pralki, a przed wyjściem do szkoły nastawiałem pranie. Mama pewnie myślała, że próbuję w ten sposób pomóc tacie. Prawdę powiedziawszy, gdybym ja nie uprał tych rzeczy, pewnie nikt by tego nie zrobił. Ale to nie był prawdziwy powód.

Robiłem to, ponieważ czułem się odpowiedzialny. To była moja pokuta. Kara za to, co zrobiłem albo raczej czego nie zrobiłem. Nie ocalałem jej.

Nikommu też nie przyznałem się do tego, że czasami musiałem zmienić własną pościel. Podskakiwałem przy byle szeleście. Bałem się, że gdy się odwrócę, zobaczę stojącą w drzwiach Annie z Abbie-Eyes w ramionach, wpatrującą się we mnie w milczeniu tymi swoimi ciemnymi oczami, które wydawały się zbyt dojrzałe jak na ośmiolatkę.

Nawet przed sobą nie chciałem się przyznać do tego, że czasami śmiertelnie się bałem własnej siostrzyczki.

Na dźwięk dzwonka kończącego lekcje wrzuciłem książki do torby i odsunąłem krzesło. Miejsce obok mnie było puste. Dawniej zajmował je Chris. Jednak od pewnego czasu siadał sam, na końcu klasy.

Przyjąłem to z ulgą. Nie tylko dlatego, że nie chciałem z nim rozmawiać. Nie miałem ochoty słuchać, jak mnie przeprosza i tłumaczy, dlaczego tak się wtedy zachowali. Poza tym z Chrisem działo się coś niedobrego. Wyglądał jeszcze bardziej niechlujnie niż przedtem. Ciągle się jękał. Zaczął nucić i mamrotać pod nosem. Czasami zniecka się zatrzymywał i zaczynał nerwowo się otrzepywać, jakby zrzucał z siebie niewidzialny brud. Albo owady.

Zwykle wybiegał z klasy jako pierwszy, żeby uniknąć wyzwisk i poszturchiwania. Odkąd przestał się trzymać z Hurstem (i resztą naszej dawnej

paczki), nie mógł już liczyć na jego niewidzialną ochronę.

Sam też go nie broniłem. Miałem własne zmartwienia. Kiedy więc tamtego popołudnia zczekał, aż wyjdę z klasy, a później przyłączył się do mnie, gdy pędziłem w stronę schodów, wkurzyło mnie to.

– Co jest?

– M-m-muszę ci-ci c-c-c-coś poka-ka-kazać.

Cuchnęło mu z ust, jakby dawno nie mył zębów. Jego koszula śmierdziała potem.

– Co takiego?

– N-n-nie m-mogę ci-ci te-teraz po-powiedzieć.

– Dlaczego?

– Za dużo tu ludzi.

Zeszliśmy na parter. Otworzyłem drzwi prowadzące na dziedziniec. Otoczyli nas inni uczniowie, gwar charakterystyczny dla pory powrotu do domu. Chris był czerwony jak burak. Widziałem, że usiłuje coś z siebie wydusić. Zrobiło mi się go żal, chociaż wcale tego nie chciałem.

– Spróbuj się uspokoić, okej?

Kiwnął głową i wziął kilka głębokich wdechów. Cierpliwie czekałem.

– C-cmentarz. Spo-spotkajmy się t-tam o szóstej. To w-ważne.

Chciałem się od tego wykręcić, ale jaką miałem alternatywę? Pilnować, żeby tata nie zasnął z papierosem i nie puścił naszego domu z dymem? Sprawdzać, czy moja siostra nie zniknęła? I czy wciąż zachowuje się inaczej niż dawna Annie?

– Okej – odparłem, wzdychając. – Obyś miał dobry powód.

Chris przytaknął, schylił głowę, jakby się przed kimś chował, i czmychnął za róg.

Poprawiłem torbę i usłyszałem dobiegający zza moich pleców rechot. Odwróciłem się. Z budynku wyłonił się Hurst, a tuż za nim – niczym jego tłusty cień – pojawił się Fletch. Hurst spojrzał na mnie, uśmiechnął się cwaniacko i szepnął mu coś do ucha, a później obaj się roześmiali.

Zacisnąłem pięści, wbiłem paznokcie w dłonie i zmusiłem się, żeby odejść. Nie

chciałem się pakować w jeszcze większe kłopoty. Mama by się zdenerwowała, tata złoiłby mi skórę, a Hurst znowu byłby górą. Jaki to miałoby sens? Spuściłem głowę i ruszyłem zdecydowanym krokiem w stronę bramy.

Nie wróciłem jednak prosto do domu. Ostatnio nigdy tego nie robiłem. Szwendałem się po ulicach, jadłem frytki na przystanku autobusowym, przesiadywałem na placu zabaw (pod warunkiem że nie było tam Hursta i Fletcha), jednym słowem robiłem wszystko, żeby opóźnić moment, w którym będę musiał otworzyć drzwi i poczuć ten zapach, dławiącą ciemność, upiorny chłód, przenikający do szpiku kości...

Tego dnia miałem w kieszeni tylko parę pensów. Nie mogłem pójść na frytki ani do sklepu ze słodyczami, więc szedłem bez celu główną ulicą, kopiąc przed sobą pustą butelkę po oranżadzie. Dotarłem aż do niewielkiego skwerku, na którym znajdował się pomnik górnika. Obok stała ławka, zwykle pusta, jednak tamtego dnia siedziała na niej samotna postać w za dużej wojskowej kurtce. Miała spuszczoną głowę, ciemne włosy zasłaniały jej twarz. To była Marie.

Nie rozmawialiśmy ze sobą od czasu tamtego wieczoru w kopalni. Szczerze mówiąc, nie byłem pewien, ile w ogóle z niego pamięta. Chciałbym móc powiedzieć, że straciłem do niej przez to część szacunku, że spadła z piedestału, na którym ją wcześniej postawiłem. Ale to nie byłaby prawda. Jej widok ścisnął mnie za serce i nie tylko.

Zatrzymałem się, przestępując z nogi na nogę.

– Dobrze się czujesz?

Spojrzała na mnie zza kurtyny włosów.

– Joe?

Pociągnęła nosem i go wytarła. Dotarło do mnie, że płacze. Po chwili wahania zsunąłem torbę z ramienia i usiadłem obok niej.

– Co się stało?

Pokręciła głową.

– Byłam straszną idiotką – stwierdziła głosem ciężkim od łez.

– Dlaczego?

– Przykro mi z powodu tego, co spotkało twoją siostrę.

– W porządku – odparłem, chociaż wcale tak nie było.

– To był istny obłęd. Jak mogliśmy uwierzyć w to, że ona, no wiesz...

Przełknąłem twardą kulę, która uformowała mi się w gardle.

– Wiem.

Znowu pokręciła głową.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałam o tym z tobą porozmawiać, ale się bałam.

– Bałaś się? Czego?

Zasłoniła sobie twarz włosami, wyraźnie skrępowana.

– To nic takiego.

Jakoś jej nie uwierzyłem. Słyszałem drżenie w głosie Marie i widziałem, jak próbuje ukryć twarz za włosami. Nagle coś mnie tknęło.

– Coś ci się stało w oko?

– Nie, to tylko...

Nachyliłem się i odgarnąłem jej włosy za ucho. Nie powstrzymała mnie. Jej prawe oko było sine i zapuchnięte.

– Co się stało?

– Pokłóciliśmy się. Nie chciał mi zrobić krzywdy.

Gniew zamienił się w rozżarzoną kulę w moim gardle.

– H u r s t ci to zrobił?

Hurst był skurczybykiem, ale nie wiedziałem, że również damskim bokserem.

– Nieważne.

– U d e r z y ł cię. Musisz o tym komuś powiedzieć.

– Proszę, Joe. Nikomu ani słowa. – Chwyciła mnie za rękę. – Obiecuj mi.

Nie miałem wielkiego wyboru.

– Dobrze. Ale ty też mi obiecuj, że już mu na to więcej nie pozwolisz.

– Okej.

– O co się pokłóciliście?

– O Chrisa.

– O Chrisa?

– Steve boi się, że Chris powie komuś o jaskini. Dziwnie się ostatnio zachowuje. Steve powiedział, że Chris ma coś, czego nie powinien mieć, i że trzeba się tym zająć. Kazałam mu zostawić Chrisa w spokoju, a później przyznałam się, że chcę z nim zerwać, i wtedy...

– Wtedy cię uderzył?

– Nazwał mnie dziwką i powiedział, że jego nie można tak po prostu zostawić.

Marie napłynęła do oczu świeża fala łez. Objąłem ją i przytuliłem. Miała szorstkie włosy, które pachniały lakierem do włosów i papierosowym dymem.

– Joe – szepnęła – co my teraz zrobimy?

– Zajmę się tym – obiecałem. – O szóstej spotykam się z Chrisem na cmentarzu. Będę mógł go ostrzec.

Odsunęła się ode mnie.

– Spróbuj z nim pogadać. Przekonaj go, żeby nikomu nic nie mówił. Dał sobie spokój z całym tym wariactwem.

– Nie wiem, czy mi się uda.

– Potrafisz rozmawiać z ludźmi.

– Dobrze, spróbuję.

– Dzięki. – Nachyliła się, przycisnęła wargi do moich ust i szybko wstała z ławki. – Muszę już iść.

Kiwnąłem głową, próbując się otrząsnąć z szoku.

– Pójdziemy razem? – zapytałem.

– Nie mogę. Muszę jeszcze zrobić zakupy dla mamy.

– Aha, okej.

– No to na razie.

– Na razie.

Patrzyłem, jak odchodzi, wciąż czując na ustach mrowienie po naszym pocałunku, i myślałem o tym, co chciałbym zrobić Hurstowi.

Może dlatego nie zastanowiłem się nad tym, co właśnie powiedziałem.

Gdy wróciłem do domu, tata leżał półprzytomny przed telewizorem. Annie

pewnie siedziała w swoim pokoju. Mama zostawiła nam w zamrażarce kilka dań do odgrzania. Wyjąłem jedno i włożyłem do mikrofalówki. Nie byłem bardzo głodny, ale wmusiłem w siebie trochę lasagne, popiłem je colą, krzyknąłem do taty, że w kuchni jest jedzenie, i wszedłem na górę.

Zatrzymałem się przed drzwiami pokoju Annie. Dawniej lubiłem w nich stawać i patrzeć, jak bawi się lalkami Barbie oraz figurkami Action Men, które kiedyś należały do mnie. Wcielała się wtedy w różne postacie i zmieniała głosy. Od jakiegoś czasu drzwi do jej pokoju były zawsze zamknięte, a dobiegające zza nich głosy brzmiały inaczej.

Tego wieczoru ze środka nie dolatywały żadne dźwięki, co z jakiegoś powodu wydało mi się jeszcze gorsze. Zawahałem się. Ale była pora kolacji, Annie powinna coś zjeść. W tej kwestii raczej nie mogłem liczyć na tatę.

Uniosłem rękę i zapukałem do drzwi.

– Annie?

Cisza.

– Annie?

Drzwi lekko się uchyliły. Otworzyłem je szerzej i prawie się cofnąłem z powodu przykrego zapachu. Annie stała na końcu pokoju i wyglądała przez okno. Musiała podbiec do drzwi, otworzyć je i wrócić, ale nie mogłem być tego pewien. Niczego już nie mogłem być pewien.

Wszedłem do sypialni.

– Podgrzałem lasagne.

Nadal tam stała. Nagle zauważyłem, że jest ubrana w starą bluzę, ale od pasa w dół nic na sobie nie ma.

– Daj znać, gdybyś chciała...

Gdy się odwróciła, oblałem się rumieńcem. Annie wciąż była dzieckiem, ale odkąd przestała być niemowlakiem, nie widziałem jej nago. Jakby wyczuwając moje skrepowanie, uśmiechnęła się. Był to lubieżny, okropny grymas. Zrobiła krok do przodu, rozstawiła stopy i pomiędzy jej nóg trysnął strumień gorącego żółtego moczu, wsiąkając w dywan.

Poczułem wzbierającą w gardle żółć. Annie zaczęła się śmiać. Wyskoczyłem z jej pokoju jak oparzony, zatrzasnąłem za sobą drzwi i zbiegłem na dół. Nie myślałem o tym, żeby ją przebrać. Chciałem tylko uciec jak najszybciej i jak najdalej od swojej młodszej siostry.

Wybiegłem z domu, ścigany jej śmiechem, który teraz bardziej przypominał deptające mi po piętach krzyki.

Chrisa nie było na cmentarzu. Otworzyłem furtkę i ruszyłem zachwaszczoną ścieżką. Obszedłem kościół, na wypadek gdyby gdzieś się schował, co byłoby dziwne, ale nie niemożliwe.

Nigdzie ani śladu Chrisa. W ogóle żywej duszy. Westchnąłem. Jakie to typowe. Chrisowi odwalilo. I to na całego. Z drugiej strony sam też nie byłem w kwitnącej formie.

Nie potrafiłem wyrzucić z głowy obrazu Annie. Jej nagości. Mocz sphywającego między jej kościstymi nogami. Nie mogłem tam wrócić. Nie tego wieczoru. Najchętniej w ogóle bym nie wracał.

Być może Annie potrzebowała kolejnej wizyty u lekarza. Możliwe, że cios w głowę – a n a p e w n o w nią oberwała – uszkodził jej mózg. Straciła przecież pamięć. Nie wiedziała, co się z nią działo przez te czterdzieści osiem godzin. Może nie tylko to się popsuło. Powinienem porozmawiać z mamą, żeby zabrała ją do szpitala. Może tam by ją wyleczyli. Przywrócili nam dawną Annie.

Ta myśl dodała mi otuchy, chociaż nie byłem pewien, czy rzeczywiście w to wierzę. Z drugiej strony może właśnie od tego są kościoły: by dodawać ludziom otuchy nawet wtedy, gdy w głębi duszy wiedzą, że to tylko stek bzdur.

Usiadłem na chwiejącej się ławce i wlepiłem wzrok ponad przekrzywionymi szarymi nagrobkami. Pochyliłem się do przodu, oparłem łokcie na kolanach i wsunąłem stopy pod ławkę. Właśnie wtedy się zorientowałem, że coś pod nią leży. Schyliłem się i wyciągnąłem torbę. Od razu wiedziałem, że należy do Chrisa. Reszta naszej paczki miała torby takich firm jak Adidas czy Puma, ale Chris używał starej, niemarkowej torby pokrytej naklejkami z *Doktora Who* i *Star Treka*.

Tego wieczoru było na niej coś jeszcze: koperta z nabazgranym na niej moim imieniem. Oderwałem ją i otworzyłem. W środku znalazłem wyrwaną z zeszytu kartkę pokrytą niechlujnym charakterem pisma Chrisa.

Joe, zawartość torby należy do Ciebie. Będziesz wiedział, co z nią zrobić. Pozostałe rzeczy mogą Ci się kiedyś przydać. Sam nie wiem do czego. Tak na wszelki wypadek.

To wszystko moja wina. Żałuję, że w ogóle znalazłem tamto miejsce. Czai się w nim zło. Teraz już o tym wiem. Być może Ty też.

Przykro mi z powodu Annie i całej reszty.

Wpatrywałem się w liścik, jakby zawarte w nim słowa miały nagle nabrać sensu. Na razie brzmiały jak bełkot szaleńca. Dlaczego Chris zostawił mi tę torbę, zamiast po prostu tu na mnie czekać?

Rozpiąłem suwak. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, były petardy, cholernie wielkie. Takie, które mogły kupić wyłącznie osoby pełnoletnie. Chyba że ktoś wiedział, jak to obejść.

Zmarszczyłem brwi i szukałem dalej. Pod petardami leżało coś jeszcze. Było cięższe, starannie zapakowane w przezroczystą plastikową torebkę. Wyjąłem tajemniczy przedmiot i na jego widok przewróciło mi się w żołądku. Od razu wiedziałem, co to jest. Nie mogłem oderwać od niego wzroku. W końcu ostrożnie schowałem tę rzecz do torby i zapiąłem suwak.

Chris mieszkał na drugim końcu wsi. Przerzuciłem torbę przez ramię i zacząłem iść. Musiałem z nim porozmawiać. Z jakiegoś powodu wiedziałem, że sprawa jest pilna. Czułem się dziwnie rozedrgany, jakbym był już spóźniony na ważne spotkanie. Przyspieszyłem kroku. Po głowie krążyły mi fragmenty listu:

W tym miejscu czai się zło.

Minąłem ławkę, na której Marie przycisnęła wargi do moich ust. Nagle coś zaświtało mi w głowie, lecz równie szybko z niej uleciało.

Spróbuj z nim pogadać.

Znalazłem się przed bramą szkoły. Wtedy jeszcze zostawiano ją otwartą, dopóki nie skończyły się wszystkie pozalekcyjne zajęcia i nauczyciele nie rozeszli się do domów. Szybciej było przejść na skróty przez teren szkoły i przeskoczyć przez ogrodzenie po drugiej stronie, pod warunkiem że nie złapałby mnie woźny.

Minąłem parking, skrzydło, w którym odbywały się lekcje z przedmiotów ścisłych, i ruszyłem w kierunku Bloku. Ciemna bryła wznosiła się przede mną, wyraźnie odznaczając się na tle srebrzystego nieba. Kiedy skręciłem za róg, podmuch wiatru uderzył mnie prosto w twarz i zmierzwił mi włosy. Zadrzałem z zimna i się zatrzymałem. Wydawało mi się, że coś słyszę. Jakieś głosy niesione przez wiatr. Czyżby dobiegały z boiska? Nie. Gdzieś bliżej. Rozejrzałem się, a później... spojrzałem w górę.

Widziałem, jak spada. Poczulem świst powietrza, kiedy szybował w dół, a później usłyszałem głuchy łomot, gdy uderzył w ziemię. Dzieliła nas cała wieczność, mrugnięcie oka. Zastanawiałem się, czy poczuł ten ostatni upadek.

W pierwszym odruchu chciałem stamtąd uciec, i to jak najdalej. Ale nie mogłem go tam zostawić, leżącego na ziemi. A jeśli wciąż żył?

Podszedłem do niego na drżących nogach. Miał otwarte oczy, z kącika ust wypływała strużka krwi. Spod głowy wydostało się jej jeszcze więcej, tworząc szkarłatną aureolę wokół jego blond czupryny. Najdziwniejsze było to, że chyba po raz pierwszy w swoim krótkim życiu Chris wyglądał na spokojnego, jakby wreszcie znalazł to, czego zawsze szukał.

Pozwoliłem torbie zsunąć się z ramion i sam też opadłem na ziemię. Klęczałem przy Chrisie na zimnym betonie w gasnącym ciepłe dnia. Łzy ciekły mi po policzkach. Delikatnie głaskałem jego miękkie, zmierzwione włosy. Zapewniłem go, że to nie była jego wina.

Później – bo dla Chrisa zawsze było za późno; zresztą chyba nie tylko dla niego – wstałem, otrzepałem spodnie z kurzu i ruszyłem w stronę budki telefonicznej.

Zadzwoiłem po karetkę. Powiedziałem, że jakiś dzieciak spadł z dachu. Nie zdradziłem, o kogo chodzi, ani nie podałem własnego nazwiska.

Nie powiedziałem też nikomu, co jeszcze zobaczyłem tamtego wieczoru.

Drugą postać, uciekającą z Bloku. Właściwie dostrzegłem tylko jej cień, ale i tak wiedziałem. Nawet wtedy.

Trzeba się tym zająć.

To był Stephen Hurst.

32

Następnego dnia układam plan, chociaż to zupełnie nie w moim stylu. Nie należę do osób planujących wszystko z wyprzedzeniem. Przekonałem się już o tym, że planowanie to zapowiedź katastrofy, zaproszenie dla losu, żeby zrobił ci na przekór.

Jednak tym razem muszę być przygotowany. Opracować sobie plan działania. Poza tym nie chodzę do pracy, więc na brak czasu nie narzekam.

Brendan wyszedł ode mnie przed drugą w nocy. Zaproponowałem mu, żeby przespał się w wolnej sypialni na górze, ale odmówił.

– Nie obraż się, ale ten dom przyprawia mnie o ciarki.

– Myślałem, że nie jesteś przesądny.

– Pochodzę z Irlandii. To oczywiste, że jestem przesądny. Mamy to zapisane w genach, razem z poczuciem winy. – Włożył kurtkę. – Zresztą zarezerwowałem sobie pokój w zajeździe na końcu drogi.

Farma – przeleciało mi przez głowę – i znowu coś mnie tknęło, ale nie zdołałem schwytać tej myśli. To było coś ważnego, ale – podobnie jak większość rzeczy w moim życiu – znowu mi umknęło.

Parzę sobie mocną czarną kawę, zalewając ją resztkami wody z czajnika, i szybko wypalam dwa papierosy, po czym siadam do pracy. Sadowię się przy niewielkim stole w kuchni i zaczynam pisać. Nie potrzebuję dużo czasu. Mój plan nie jest skomplikowany. Właściwie sam nie wiem, skąd się we mnie wzięła potrzeba przelania go na papier, ale przecież jestem nauczycielem. Słowa przynoszą mi ukojenie i dają oparcie. Długopis i papier: coś namacalnego, czego

mogłem się chwycić. A może po prostu chciałem odwlec całą tę sprawę. W przeciwieństwie do planowania jestem mistrzem w odkładaniu spraw na później.

Następnie sięgam po telefon i dzwonię do paru osób.

Przy pierwszej od razu łączę się z pocztą głosową. Nagrywam wiadomość. Druga rozmowa może się okazać trudniejsza. Nie wiem nawet, czy osoba, do której dzwonię, odbierze telefon. Termin, który mi wyznaczyła, dawno minął. Później jednak słyszę jej głos. Wyjaśniam, o co mi chodzi. Nie wiem, czy się zgodzi. W moim obecnym położeniu nie bardzo mi wypada prosić ją o przysługę.

Gloria wzdycha.

– Wiesz, że będę potrzebowała czasu. Mam znajomości, ale nie jestem twoją pieprzoną dobrą wróżką.

Obracam w palcach papierosa.

– Ile?

– Parę godzin.

– Dziękuję – mówię, ale połączenie już zostało przerwane. Staram się tego nie brać za zły omen.

Trzecie połączenie jest międzynarodowe. Trochę się natrudziłem, żeby zdobyć numer. Możliwe, że niepotrzebnie. Ale teraz, gdy ziarno niepewności zostało zasiane, muszę się dowiedzieć. Przybieram swój najbardziej profesjonalny ton. Tłumaczę, kim jestem i co chciałbym sprawdzić. Bardzo uprzejma Amerykanka w bardzo uprzejmy amerykański sposób każe mi spadać na drzewo. Przyjmuję jej życzenia miłego dnia – chociaż raczej się one nie spełnią – i rozłączam się.

Przez chwilę wpatruję się w telefon z trochę cięższym sercem. Później wstaję, żeby zaparzyć sobie kolejną kawę. Ostatni telefon wykonam później. To żadne odwlekanie. Nie chcę mu dać za dużo czasu na planowanie albo skrzyknięcie swoich zbirów.

Czekam, aż woda się zagotuje, gdy mój telefon zaczyna dzwonić. Szybko po niego sięgam.

– Halo.

– Odsłuchałem wiadomość.

- I...?
 - Jestem na zajęciach.
 - Nie wiesz, czym są wagary?
 - Mam uciec ze szkoły?
 - Nie chcę, żeby weszło ci to w nawyk. Tylko dzisiaj. To ważne.
- Głębokie westchnięcie.
- To dlatego pana wyrzucili?
 - Nie. Powód był znacznie poważniejszy.
- Czekam.
- Okej.

Siedzę na porośniętej krzakami trawie, wpatrując się w kostropaty krajobraz. Miejsce takie jak to nigdy nie stanie się piękne ani malownicze – myślę sobie. Nieważne, ile młodych drzewek, roślin czy kwiatów się tu zasadzi; ile wybuduje się placów zabaw i punktów informacji turystycznej. Ten teren zawsze będzie się wydawał jałowy i nieprzystępny.

Miejsce takie jak to nie chce zostać ponownie zagospodarowane. Lubi być opuszczone, uśpione i martwe. Cmentarzysko ludzkich losów, straconych nadziei, pełne węglowego pyłu i kości. Musnęliśmy tylko jego powierzchnię, ale pod spodem kryje się wiele warstw. A czasami lepiej nie kopać zbyt głęboko.

– Przyszedł pan.

Odwracam się. Marcus stoi za mną, na zboczu niewielkiej hałdy.

– I to dwa razy brzydszy niż ostatnio – mówię.

Nie uśmiecha się. Odnoszę wrażenie, że dobry humor i szczęście nie należą do repertuaru odczuwanych przez niego emocji. Ale to nic. Szczęście jest przereklamowane. Przede wszystkim trwa zbyt krótko. Gdyby można je było zamówić na Amazonie, klienci domagaliby się zwrotu kosztów. *Zepsuło się po miesiącu i jest nie do naprawienia. Następnym razem wypróbuję nieszczęście – podobno nigdy się nie kończy.*

Podchodzi bliżej i staje obok mnie.

– Co pan tu robi?

– Podziwiam widoki i jem to. – Podnoszę batonik Wham, który właśnie żuję.
I żuję. – Chcesz? Mam dwa.

Kręci głową.

– Nie, dzięki.

Przyglądam się błyszczącemu różowemu batonikowi.

– Mój przyjaciel bardzo je lubił. Przypominasz mi go.

– Dlaczego?

– Był odludkiem. Podobnie jak ja. Lubił się dowiadywać różnych rzeczy. I je
o d n a j d y w a ć. Myślę, że też byłbyś w tym dobry, Marcusie. W końcu udało ci
się znaleźć sposób, żeby wymknąć się ze szkoły.

Nic nie mówi.

– Powiedziałeś panie Grayson, że Jeremy znalazł pieczarę?

– Bo tak było.

– Nie. – Kręcę głową. – Nie wydaje mi się. Niektóre miejsca muszą c h c i e ć,
żeby ktoś je znalazł. Ktoś wyjątkowy, nie taki jak Hurst. Ktoś podobny do ciebie.

– Hurst wiedział o pieczarze – odpowiada po chwili zastanowienia. – Wiele
dzieciaków słyszało plotki. Wiedział, że tu przychodzę. Chciał, żebym mu pomógł
znaleźć wejście.

Przytakuję.

– I pomogłeś.

– Właściwie sam się na nie natknąłem.

– Tak. To się zdarza.

Siada obok mnie.

– Chce pan, żebym tam pana zabrał.

– Wcale nie chcę, ale i tak m u s i s z to zrobić.

– Powiedział pan, że to ważne.

– Bo to prawda.

Chyba dopiero teraz zauważa mój plecak.

– Co jest w środku?

– Będzie lepiej, jeśli się nie dowiesz.

Przez chwilę nic nie mówi, a później wstaje.

– Chodźmy.

Dźwigam się z ziemi. Kiedy schodzimy z hałdy, mówi do mnie:

– Nie powinien pan częstować obcych dzieciaków słodyczami.

Może jednak nie brakuje mu poczucia humoru.

Tym razem nie ma włazu. Wpatruję się w grubą, półokrągłą kratę znajdującą się pod niskim skalnym nawisem. Zardzewiały metal ma prawie ten sam kolor co ziemia, maskują go chwasty i cierniste pnącza. Marcus odgarnia je na bok i ostrożnie zdejmuje kratę. Jest ciężka, a na krawędziach zauważam wyłobienia w miejscach, gdzie ktoś próbował ją podważyć siłą.

Domyślam się, że w którymś momencie mieszkańcy wioski starali się zablokować wszystkie wejścia. Nie zdołali jednak zagłuszyć pieczary, powstrzymać jej od przywoływania kolejnych osób: Chrisa, Marcusa.

Wyjmuję z plecaka latarkę i kieruję strumień światła do dziury. Zauważam, że tunel jest mniej stromy niż tamten z czasów mojej młodości i wysoki na niewiele ponad pół metra. Będę się musiał czołgać. Nie jest to przyjemna perspektywa.

– Po jakichś pięciu minutach dotrze pan do schodów – informuje mnie Marcus – prowadzących na dół.

– Dzięki.

– Chce pan powstrzymać ludzi od schodzenia tam?

– Taki mam plan. Zgadzasz się?

– Chyba tak. – Wpatruje się we mnie. – Dziwny z pana nauczyciel.

– W ogóle dziwny ze mnie człowiek. Ale czasami to nic złego. Pamiętaj o tym.

Lekko kiwa głową. Nie mam pewności, lecz wydaje mi się, że zanim się odwróci i odejdzie, przez jego twarz przemyka cień uśmiechu.

Blade promienie słońca padają na Marcusa, gdy dociera na szczyt hałdy, otaczając jego włosy świetlistą aureolą. Przez ułamek sekundy wygląda jak duch chłopca, którego kiedyś znałem. Później znowu chowa się w cieniu i obaj – duch

oraz chłopiec – znikają.

Pokonuję tunel powoli i niezgrabnie jak krab. Uszkodzona noga nie przestaje mnie ćmić. Kilka razy się zatrzymuję i rozważam powrót. Ale już samo obrócenie się w tym tunelu byłoby sporym wyzwaniem, więc przykucam i pełnę dalej, walcząc ze wzbierającym w gardle, dławiącym uczuciem klaustrofobii. Krzywię się za każdym razem, gdy zwisający mi z ramion plecak uderza w sklepienie.

Po upływie kilkudziesięciu lat – a przynajmniej mam wrażenie, że tyle to trwa – podczas których ocieram sobie kolana do żywego, a kręgosłup bezpowrotnie wygina mi się w łuk – tunel rozszerza się na tyle, że mogę wstać, chociaż wciąż muszę iść zgarbiony. Strome schody prowadzą do skalnej ściany. Omiotam ją światłem latarki i dostrzegam wąską szczelinę, prawie niewidoczną w cieniu. No jasne. Drugie wejście albo wyjście. To wyjaśnia, jakim cudem Annie udało się zniknąć i dlaczego nie mogłem jej znaleźć. Przeciskam się na drugą stronę.

Mam wrażenie, że cofnąłem się w czasie o dwadzieścia pięć lat. Stoję w pieczarze z moich dziecięcych koszmarów. Z perspektywy dorosłego wydaje się nieco mniejsza, jakby się skurczyła. Sklepienie nie jest już tak wysokie ani nie przypomina tego w katedrze. Nie mam wrażenia tak ogromnej przestrzeni. Mimo to czuję w czaszce mrowienie.

Na ziemi leży kilka czaszek, zgniecionych puszek po piwie Woodpecker i niedopałków. W ścianach jest kilka dziur w miejscach, gdzie Hurst i Fletch dali się ponieść żądzy destrukcji, lecz skały nad nimi nadal ozdabiają skomplikowane ornamenty z białych i żółtych kości. Przyglądam się im. *Tym, którzy nie wrócili.* Zrobiono z nich makabryczne dekoracje, czy może raczej coś w rodzaju ofiary.

Ciekawe, ile lat liczy to miejsce? Zdziwiający, że nie zniszczyli go górnicy. A może było na odwrót? Przypominam sobie katastrofę w kopalni, której przyczyn – pomimo drobiazgowego śledztwa – nigdy do końca nie wyjaśniono. Nikogo też nie pociągnięto do odpowiedzialności. A co z pozostałymi wypadkami? Pod pieczarą muszą przebiegać szyby. Czyżby górnicy za bardzo się do niej zbliżyli? Zagrozili temu, co było tu przed nimi? Miejscu, które czekało w uśpieniu przez

setki lat.

Wolno obchodzę pomieszczenie, oddychając głęboko, i próbuję zachować spokój. To zwykła jaskinia. Zmarli nie mogą nam zrobić krzywdy. Kości są tylko kośćmi. Cienie – cieniami. Tylko że cienie nigdy nie są wyłącznie cieniami, lecz najmroczniejszymi zakamarkami ciemności. I właśnie w nich kryją się potwory.

Muszę się streszczać.

Wyjmuję z plecaka przedmiot, który załatwiła mi Gloria. Drżą mi ręce i cały się pocę. Miotam się, klnę pod nosem, staram się ochłonać. Muszę to zrobić jak należy. Jeśli coś spieprzę, puszcze z dymem s a m e g o s i e b i e. Ostrożnie – bardzo ostrożnie – umieszczam przedmiot pośrodku jaskini, chociaż bandaż na ręce poważnie mi to utrudnia. A później się wycofuję. Zmuszam się do odejścia. Słyszę chrobot. Traktuję go jako ostrzeżenie. Albo groźbę. Przeciskam się przez szparę w ścianie i, najszybciej jak tylko mogę, gramolę się po schodach na górę. Powtarzam sobie, że powinienem być ostrożny, że szybkie, nieostrożne kroki są właśnie tym, na co czekają. Jeśli się poślizgnę i upadnę – tak jak wtedy – polecę na samo dno.

Docieram do tunelu i zaczynam się czołgać. Dobrze chociaż, że plecak jest teraz pusty. Myśl o tym, co tu wniosłem – i nagły atak paranoi, że nie mam gwarancji, iż mój plan się uda – popycha mnie do przodu.

Wynurzam się na powierzchnię zlany potem, trzęsąc się jak galareta, i osuwam się na kamieniste podłoże.

Przez chwilę siedzę zdyszany i pozwalam, żeby chłodne powietrze osuszyło pot na mojej skórze. Później prostuję plecy i wyciągam z kieszeni papierosa. Zapalam jednego i łączywie się nim zaciągam, jakby to była maska tlenowa. Zastanawiam się, czy nie odpalić drugiego papierosa od pierwszego. Później jednak spoglądam na zegarek i niechętnie chowam papierosa z powrotem do paczki.

Wyjmuję komórkę. Namierzenie tego numeru nie było trudne. Łączę się i czekam. Odbiera po trzecim sygnale.

– Halo.

– To ja.

Cisza. A później wygłaszam kwestię rodem z kiepskiego thrillera:
– Chyba powinniśmy porozmawiać.

33

Powiodło mu się w życiu. Chyba tak właśnie się mówi, widząc u kogoś oznaki dobrobytu albo sukcesu? Zwykle jest to duży dom, drogi garnitur lub błyszczący nowością samochód.

Dziwnie oceniamy różne rzeczy. Tak jakby to, że ktoś może sobie pozwolić na zakup budynku albo na siedzenie w korkach w najbardziej paliwożernym samochodzie, jaki tylko można sobie wyobrazić, było jakimś szczególnym wyczynem podczas tych paru lat, które jest nam dane spędzić na tej planecie. Pomimo całego naszego rozwoju ludzie wciąż oceniają się na podstawie cegieł, ubrań i koni mechanicznych.

W tych kategoriach Stephenowi Hurstowi chyba rzeczywiście „powiodło się w życiu”.

Jego cegły to dawna farma leżąca jakieś osiemset metrów za Arnhill. Przebudował ją w taki sposób, by odebrać staremu budynkowi cały jego charakter i skutecznie go zdeptać przy użyciu kilometrów kwadratowych stali, szkła i cholernych drzwi harmonijkowych.

Tego wieczoru na zwirowanym podjeździe stoi tylko jeden samochód: nowiutki range rover. Marie wybrała się z Jeremym do Nottingham po nowe adidasy, a później na pizzę. Na tyłach domu rozciąga się ogród, w którym dostrzegam jacuzzi i podświetlany basen. Goła pensja radnego na pewno by na to nie wystarczyła.

Może właśnie dlatego Marie z nim została. Ostatecznie to wszystko nie ma jednak znaczenia. Na pewno nie spodziewała się, że tak krótko będzie się

rozkoszować kąpielami w jacuzzi i basenie. I może lepiej by było, gdyby wykorzystwała ten czas, ciesząc się wolnością, życiem z dala od tego miejsca. Pewnie wszystko zależy od tego, jak bardzo ktoś sobie ceni te harmonijkowe drzwi i jak wiele jest dla nich w stanie poświęcić.

Patrzę na zegarek. Jest dwudziesta dwadzieścia siedem. Czekam jeszcze chwilę, po czym zmuszam się, żeby podnieść rękę i nacisnąć guzik.

W głębi domu rozlega się dzwonek. Czekam. Słyszę kroki. A później drzwi szeroko się otwierają.

Powiedziałbym, że to niemożliwe, by człowiek postarzał się w ciągu paru dni, i jednocześnie mógłbym przysiąc, że właśnie to spotkało Hursta. W ostrym świetle wygląda na znacznie starszego niż w rzeczywistości, prawie na emeryta. Skóra zwisa mu z twarzy jak mokra szmata, a oczy przypominają przekrwione szparki otoczone fałdami poszarzałej skóry. Nie wyciąga do mnie ręki, właściwie wcale się ze mną nie wita.

– Mój gabinet jest tam – mówi, po czym odwraca się i odchodzi, pozwalając, żebym sam zamknął za sobą drzwi.

Dom jest zupełnie inny, niż go sobie wyobrażałem. Urządzony z większym smakiem, chociaż trzeba przyznać, że trochę pretensjonalnie. Coś mi się zdaje, że satynowe tapety i podrabiane perskie wazony to pomysł Marie.

Hurst prowadzi mnie korytarzem. Dostrzegam przed sobą wielki salon połączony z jadalnią, a po prawej – nowoczesną kuchnię pełną marmuru i chromu. Otwiera jedne z drzwi po lewej. Jego gabinet. Czuję ukłucie zazdrości. Pomimo tego, co zrobił, Hurst ma to wszystko.

A także żonę umierającą na raka.

Wchodzę za nim do pokoju. W porównaniu z resztą domu gabinet jest urządzony minimalistycznie. Stoi w nim wielkie dębowe biurko. Ścianę ozdabia kilka czarno-białych obrazków. W przeszklonym barku pyszną się kryształowe szklanki i butelki drogiej whisky.

Całe to pomieszczenie wiernie udaje gabinet dżentelmena; na biurku stoi nawet ciężki szklany przycisk do papieru. Oto gabinet człowieka, który myśli, że

naprawdę mu się w życiu powiodło.

Jednak w tym momencie wcale nie sprawia takiego wrażenia. Wygląda raczej jak mężczyzna, którego kosztowne, szyte na miarę garnitury rozłazały się w szwach.

– Napijesz się czegoś? – Podchodzi do barku i zwraca się w moją stronę. – Whisky?

– Może być.

Nalewa dwie duże whisky do błyszczących kryształowych szklanek i stawia je na biurku.

– Siadaj.

Wskazuje mi stojące przed biurkiem krzesło. Kładę torbę na podłodze, obok krzesła. Czekam, aż Hurst zajmie miejsce w swoim wysokim, dyrektorskim fotelu, i opuszczam tyłek na skrzypiące skórzane siedzisko. Patrzy na mnie z góry, ale skoro dzięki temu ma się poczuć lepiej... I tak trzymam w ręku zwycięskie karty.

Przez chwilę żaden z nas się nie odzywa ani nie pije. W końcu jednocześnie sięgamy po swoje szklanki.

– Czego ode mnie chcesz?

– Myślę, że wiesz.

– Przyszedłeś mnie błagać o to, żebym pomógł ci odzyskać pracę?

Parskam śmiechem.

– Chciałbyś, co?

– Nie bardzo. Wolałbym, żebyś wrócił tam, skąd przyszedłeś. Zostawił nas wszystkich w spokoju.

– Niektórzy nie zasługują na spokój.

– Zawsze miałeś o mnie jak najgorsze mniemanie.

– Bo zawsze zachowywałeś się jak najgorzej.

– Byłem dzieckiem. Wszyscy byliśmy dziećmi. Minęło tyle lat.

– Jak się czuje Marie?

Widzę, że moje pytanie wytrąca go z równowagi.

– Nie chcę rozmawiać o Marie.

– Sam ją do mnie przysłałeś.

– To był akurat jej pomysł.

Powiedziała mi coś innego. Ale to przecież Hurst. Kłamstwa przychodzą mu równie łatwo jak oddychanie.

– Wydawało jej się, że zdoła ci przemówić do rozsądku. Pozwoli uniknąć dalszych nieprzyjemności.

– Takich jak pobicie przez synów Fletcha? Albo zdemolowanie mi domu? Masz na myśli t e g o r o d z a j u nieprzyjemności?

Wykrzywia cienkie wargi w uśmiechu przykrym jak smagnięcie biczem.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Nie znaleźli tego, co? Pewnie ostro się wkurwiłeś.

Kręci głową i upija łyk drinka.

– Chyba myślisz, że przejmuję się tamtymi zdarzeniami bardziej niż w rzeczywistości.

– Przejąłeś się dostatecznie mocno, żeby pójść tamtego wieczoru za Chrisem do Bloku. Co się wtedy stało? Pokłóciliście się? Zepchnąłeś go z dachu?

Kręci głową, jakby miał do czynienia z godnym politowania wariatem.

– Wiesz, co właśnie powiedziałeś? Żal mi ciebie. Jakoś ułożyłeś sobie życie. Miałeś pracę, a teraz jesteś gotowy to wszystko zaprzepaścić. I po co? Żeby wyrównać dawne rachunki? Szukać odpowiedzi tam, gdzie ich nie ma? Po prostu daj sobie z tym spokój. Wyjedź stąd, zanim twoja sytuacja jeszcze bardziej się skomplikuje.

Sięgam po swoją szklankę i niespiesznie pociągam z niej długi łyk.

– Widziałem cię. Byłeś tam.

– Nie skrzywdziłem Chrisa. Chciałem go uratować.

– Jasne.

– Próbowałem go namówić, żeby zszedł na dół. Ale gadał jak potłuczony. A później skoczył. Przyznaję, że uciekłem. Gdybym tam został, ludziom mogłoby spaść do głowy coś głupiego.

Zastanawiam się, czy to przejęzyczenie było celowe, ale raczej nie. Nie wydaje mi się też, by kłamał. W głębi serca chyba nigdy nie wierzyłem, że mógłby

zepchnąć Chrisa. Chociaż chciałem wierzyć, bo dzięki temu miałem dodatkowy powód, żeby nienawidzić Hursta. I może jeszcze dogodną wymówkę. Bo skoro Chris skoczył, to znaczy, że go zawiodłem, tak samo jak Annie.

Oczywiście nie wierzę również w to, że Hurst próbował ratować Chrisa. Zawsze myślał wyłącznie o ocaleniu własnej skóry. I na to właśnie liczę.

– Dlaczego tak cię przeraża moja obecność tutaj?

– Nie przeraża. Po prostu rzygam już tym wszystkim.

– Ha, to zabawne, bo rzeczywiście kiepsko wyglądasz.

– Jestem zmęczony. Rak odciska swoje piętno na całej naszej rodzinie. Proszę bardzo. Zadowolony? Jednak nie mam takiego idealnego życia. Czy to właśnie chciałeś usłyszeć?

Patrzę na niego. Może i ma rację. Może faktycznie nie powiodło mu się aż tak dobrze. Przypominają mi się słowa panny Grayson:

Jest zdesperowany. Tylko ty możesz go powstrzymać.

Mam taki zamiar, ale nie dlatego tu jestem. Przede wszystkim mam coś do załatwienia. Interes, który Hurst powinien doskonale zrozumieć. Ja też chcę ocalić własną skórę.

Biorę torbę i rzucam ją na biurko. Hurst szeroko otwiera oczy. Od razu poznaje złachaną, niemarkową torbę, wyblakłe i pozawijane na krawędziach naklejki z *Doktora Who* i *Star Treka*.

– Co to jest, do diabła?

– Myślę, że wiesz. Ale na potrzeby członków rady przysięgłych... – Otwieram torbę i ostrożnie układam przed nim jej zawartość. – Oto łom, którym rozbiłeś głowę mojej siostrze, oraz twój szkolny krawat, pokryty jej krwią i twoim DNA.

Widzę, jak nerwowo drgają mu usta. Zaciska zęby, przeżuując tę informację niczym gorzką pigułkę.

– I czego to ma niby dowieść? Twoją siostrę odnaleziono. Żywą.

– Obaj wiemy, że nie o to chodzi.

– Spróbuj opowiedzieć tę historię policji. Na pewno zafundują ci wygodny kaftan bezpieczeństwa.

– W porządku, spróbujmy inaczej. Moja siostra zniknęła na dwa dni. Czterdzieści osiem godzin. Gdzie wtedy była? Co pomyśli policja, jeśli dostarczę im te dowody? Dowody na to, że ją porwałeś? Skrzywdziłeś? Co by na to powiedzieli twoi sąsiedzi i kumple z rady?

Przez długi moment wpatruje się w łom i zakrwawiony krawat, po czym przenosi spojrzenie na mnie.

– Zapytam jeszcze raz – czego ode mnie chcesz?

– Trzydziestu tysięcy.

Czekam. A później z jego twarzą dzieje się coś dziwnego. Spodziewałem się gniewu, wyparcia. Być może grózb. Ale on tylko rozsiada się wygodnie na swoim fotelu i zaczyna się śmiać.

Rozważyłem wiele scenariuszy, jednak czegoś takiego się nie spodziewałem. Zerkam nerwowo w stronę okna. Widzę tylko ciemność. Zaczynam się coraz bardziej stresować.

– Zdradzisz mi, co cię tak śmieszy?

Prostuje się i poważnieje.

– Ty. Jak zawsze.

– W porządku. – Sięgam po łom, krawat i chowam je z powrotem do torby. – Może po prostu zaniosę to na policję.

– Nie zrobisz tego.

– Wydajesz się bardzo pewny siebie.

– Bo jestem.

– Jeśli spróbujesz mnie powstrzymać albo zadzwonisz po swoich osiłków, to muszę cię uprzedzić, że...

– Nie gadaj głupot – przerywa mi. – Nie mam zamiaru cię skrzywdzić. Widzisz, właśnie na tym polega problem. Zawsze próbujesz rzucić winę na kogoś innego. Nigdy nie przyszło ci do głowy, że sam na siebie to wszystko ściągnąłeś.

– Nie wiem, o co ci, do diabła, chodzi.

– Wiem o wypadku.

– To znaczy? Doszło do wypadku, w którym zginęli moja siostra i mój ojciec.

- Dokąd jechaliście tamtego wieczoru?
 - Nie pamiętam.
 - Jakież to wygodne.
 - Mówię prawdę.
 - Dziennikarze spekulowali, że coś się musiało stać, że twój ojciec jechał do szpitala. Tuż przed kraksą ktoś z twojego domu dzwonił pod numer alarmowy. Zastanawiam się, skąd to wie i przede wszystkim dlaczego się tym interesował.
 - Może po prostu powiesz, o co ci chodzi?
 - Tamtego wieczoru twój ojciec nie wjechał w drzewo przypadkiem.
 - Mylisz się. Wykryto ślady hamowania. Tata próbował zapobiec zderzeniu.
 - Ale ja wcale nie twierdzę, że to nie był w y p a d e k. Po prostu nie spowodował go twój ojciec.
- Uśmiecha się i widzę, jak rozpada się domek z kart, które miały mi zapewnić zwycięstwo.
- To ty wtedy prowadziłeś, Joe.

34

Przeszłość nie jest rzeczywista. To tylko historia, którą sobie opowiadamy.

Nie zawsze prawdziwa.

Kochałem swoją siostrzyczkę. Bardzo. Jednak siostra, którą kochałem, odeszła. Patrzyłem, jak łązi po domu tym swoim dziwnym, zataczającym się krokiem – jakby jej ciało na nią nie pasowało – ale nie widziałem Annie. Widziałem coś, co wyglądało jak Annie, brzmiało jak Annie, ale było tylko jej marną kopią.

Czasami miałem ochotę nawrzeszczyć na rodziców: Czy wy tego nie widzicie? To nie jest Annie. Coś się z nią stało, gdy zniknęła z domu. Ktoś popełnił błąd. Okropny błąd, w wyniku którego zamiast niej trafiło do nas to coś. Coś, co nosi jej skórę i patrzy na świat jej oczami, ale w środku wcale nią nie jest.

Nie zrobiłem tego jednak, bo pomyśleliby, że zwariowałem. Poza tym wiedziałem, że mają już dość kłopotów. Nie chciałem dorzucać kamyczka, który ostatecznie rozbiłby naszą rodzinę. Musiałem sam się tym zająć. Wszystko naprawić. Któregoś dnia, przed pójściem do szkoły, drżącą ręką sięgnąłem po telefon i zadzwoniłem do lekarza. Przedstawiłem się grubym głosem jako pan Thorne i powiedziałem, że chcę umówić wizytę dla swojej córki. Rejestratorka, żwawa i energiczna, ale najwyraźniej niezbyt spostrzegawcza, odparła, że może nas zapisać jeszcze tego samego dnia na wpół do piątej. Podziękowałem jej i stwierdziłem, że ten termin pasuje nam idealnie.

Po powrocie ze szkoły okłamałem tatę, że właśnie mi się przypomniało, że mama umówiła Annie wizytę u lekarza. Na szczęście pił dopiero drugą puszkę piwa. Trochę marudził, więc powiedziałem mu, że to nic takiego, może ją przecież

odwołać. Sztuczka podziałała. Tata nie chciał się narazić mamie, niepotrzebnie jej denerwować. Włożył kurtkę i zawołał Annie. Powiedziałem, że pojedę z nimi. Po drodze kupiłem w sklepie miętówki i poczęstowałem nimi tatę. Wziął dwie.

Lekarz okazał się otyłym mężczyzną z nosem usianym czerwonymi żyłkami i przerzedzonymi włosami na błyszczącej głowie. Był dosyć sympatyczny, ale wyraźnie zmęczony. Zauważyłem, że leżąca u jego stóp teczka jest już spakowana i zamknięta. Gotowa, żeby zabrać ją do domu.

Zbadał Annie, poświecił jej latarką w oczy i postukał w kolano. Siedziała na krześle, nieruchoma niczym lalka brzuchomówcy. Po badaniu lekarz cierpliwie wyjaśnił nam, że Annie fizycznie nic nie dolega. Przeżyła jednak traumę. Nie było jej w domu przez dwa dni. Zaginęła, może nawet była gdzieś więziona. Kto mógł wiedzieć, co ją wtedy spotkało? Moczenie się, koszmary, dziwne zachowania w tym wypadku nie były niczym niezwykłym. Powinniśmy zachować cierpliwość. Dać jej trochę więcej czasu. A jeśli nie zauważymy poprawy, poleci nam terapeutę. Uśmiechnął się do nas. Pewnie nie będzie to potrzebne. Annie była jeszcze dzieckiem. Dzieci są niezwykle odporne. Wszystko wróci do normy, zanim się obejrzymy.

Tata podziękował lekarzowi i uściśnął mu dłoń trzęsącą się ręką. Dobrze, że kupiłem miętówki. Wróciliśmy do domu na piechotę. Po drodze Annie zsiękała się w majtki.

Trauma. Dajcie jej czas. Na pewno wszystko wróci do normy.

Ja nie byłem tego wcale taki pewien. Pomyślałem, że to zwykła ściema, i z jakiegoś powodu poczułem, że kończy się nam czas.

Poza tym wszystkim musiałem sobie poradzić ze śmiercią Chrisa. A właściwie wcale z nią sobie nie radziłem. Odbył się pogrzeb, w krematorium. Wydawało mi się to nierzeczywiste. Ciągle miałem nadzieję, że kiedy się odwrócę, Chris będzie stał obok mnie, z rozwichrzoną blond czupryną, i powie mi, że temperatura w piecu wynosi od siedmiuset sześćdziesięciu do dziewięciuset osiemdziesięciu stopni

Celsjusza, spalenie jednego ciała trwa mniej więcej dwie i pół godziny, a w krematorium każdego tygodnia pali się ich około pięćdziesięciu.

W pierwszym rzędzie siedziała mama Chrisa. Poza nią nie miał żadnej innej rodziny. Jego tata odszedł, kiedy był mały, a starszy brat zmarł na raka, jeszcze zanim urodził się Chris.

Jego mama miała takie same rozwichrzone białe włosy jak on. Była ubrana w bezkształtną czarną sukienkę i ścisnęła w ręku garść chusteczek, chociaż wcale nie płakała. Wpatrywała się tylko prosto przed siebie. Od czasu do czasu mamrotała coś pod nosem i uśmiechała się. Nie wiedzieć czemu jej zachowanie wydawało mi się jeszcze bardziej okropne, niż gdyby wypłakiwała sobie oczy.

Później widziałem ją jeszcze parę razy. Miała na sobie to samo ubranie co na pogrzebie. Czuję, że powinienem się do niej odezwać, ale nie wiedziałem, co powiedzieć. Za każdym razem, gdy mijalem dom Chrisa, zasłony były zaciągnięte. Kilka tygodni później przed domem pojawiła się tabliczka z napisem „Na sprzedaż”.

Po szkole wałęsałem się bez celu po wiosce i zawsze prędzej czy później trafiałem pod Blok. Patrzyłem w górę, zastanawiając się, jakie to uczucie spaść tak szybko, z tak dużej wysokości. Ludzie kładli w tym miejscu kwiaty i pamiętki. Nawet Hurst zostawił bukiet. Miałem wielką ochotę go podnieść, rozerwać na strzępy i wdeptać w ziemię.

Nigdy tego jednak nie zrobiłem. Tak samo jak nikomu nie powiedziałem o tym, że widziałem go tamtego dnia.

Po śmierci Chrisa byłem jak sparalizowany. Ukryłem torbę w szopie, ale nie miałem pojęcia, co powinienem z nią zrobić. Nie mogłem zebrać myśli. Nie umiałem poukładać sobie tego wszystkiego w głowie. Za każdym razem gdy myślałem o torbie, widziałem leżącego na ziemi Chrisa, jego dziwnie sflaczałe ciało i gęstą, ciemną krew. Mnóstwo krwi. A później zaczynałem myśleć o swojej siostrze.

Czasami zastanawiałem się, czy przypadkiem sam nie wariuję. Możliwe, że Annie nic nie dolegało. Może to ja uszkodziłem sobie mózg podczas upadku

i wszystko to sobie wyobraziłem.

Nie potrafiłem się skupić na lekcjach. Zapominałem o posiłkach i myciu się – te rzeczy przestały być dla mnie ważne. Moje długie, monotonne spacerunki po okolicy stawały się coraz dłuższe i dłuższe. Pewnego dnia zatrzymał mnie policjant i kazał mi wracać do domu. Była już prawie północ.

Budziłem się kilka razy w nocy, młócąc rękami powietrze, jakbym chciał uciec przed koszmarami. W jednym z nich Chris i Annie stali na ośnieżonym wzgórzu. Niebo za ich plecami mieniło się na różowo. Słońce było czarne, otoczone srebrzystą poświatą, jak podczas zaćmienia. Chris i Annie znowu wyglądali doskonale, kompletnie. Tak jak przed śmiercią.

Wokół nich roilo się od bałwanów. Dużych, okrągłych, puchatych białych bałwanów z długimi, patykowatymi rękami oraz kawałkami błyszczącego czarnego węgla zamiast oczu i ust. Ich krzywe uśmiechy na moich oczach zamieniły się w groźne grymasy.

Nie możecie tu zostać. To miejsce jest wyłącznie nasze. Idźcie stąd. WYNOŚCIE SIĘ!

Słońce schowało się za horyzont. Chris i Annie zniknęli. Różowe jak cukierek niebo pokryło się bąblami i zaczęło wrzeć, ciemniejąc do głębokiego szkarłatu. Zaczęły się z niego sypać płatki. Ale nie białe, tylko czerwone. I wcale nie były to płatki, tylko krew. Wielkie, ciężkie krople krwi, które paliły jak kwas. Upadłem na ziemię. Skóra zaczęła mi złazić z kości, a te z kolei rozpływały się i wsiąkały w ziemię. Bałwany patrzyły tymi swoimi zimnymi, czarnymi oczami, jak rozpływam się w nicość.

Następnego ranka wiedziałem już, co powinienem zrobić.

Ubrałem się w szkolny mundurek, jak zwykle. Przygotowałem się do wyjścia o normalnej porze. Moja torba zawierała jednak kilka nietypowych, starannie ukrytych pod podręcznikami, przedmiotów.

Wyszedłem z domu szybkim krokiem, ale nie poszedłem do szkoły, tylko na tereny dawnej kopalni. Ogrodzenie zostało naprawione. Pojawiło się jeszcze więcej

ostrzegawczych tablic: NIEBEZPIECZEŃSTWO. NIE WCHODZIĆ. ZAKAZ WSTĘPU POD GROŻBĄ KARY. Podobno ktoś patrolował teren i pilnował, żeby nie weszło tam żadne dziecko. Jednak tamtego ranka, wolno przechadzając się wzdłuż ogrodzenia, nikogo nie widziałem. Nadal nie wydawało się zbyt solidne, a pomiędzy panelami z siatki były przerwy. Nie potrzebowałem wiele czasu, żeby znaleźć odpowiednio szeroką, by się przez nią przecisnąć. Chociaż nie było to takie proste. Zaczepiłem szkolnym swetrem o ostry kawałek drutu, a gdy próbowałem się uwolnić, poczułem, jak materiał się rwie. Zakląłem pod nosem. Wiedziałem, że za podarty sweter mama rozerwie na strzępy m n i e. A przynajmniej kiedyś by tak zrobiła. Teraz pewnie nawet nie zauważy.

Zacząłem się wspinać na hałdę. Tego ranka teren dawnej kopalni wyglądał jakoś inaczej. Było zimno, ale świeciło słońce. Może nie nadawało temu miejscu przyjemnego wyglądu, lecz łagodziło jego ostre, twarde krawędzie. Straciłem przez to orientację. Gdzie znajdował się wjazd? U podnóża najbliższego stromego wzniesienia czy jeszcze następnego? Stałem i rozglądałem się dookoła. Jednak im dłużej patrzyłem, tym bardziej niepewnie się czułem. Panika zaczynała wgryzać się w moje wnętrze. Musiałem się pospieszyć. Nie chciałem spóźnić się za bardzo do szkoły.

Ruszyłem przed siebie, lecz po chwili zmieniłem zdanie i zawróciłem. Wszystkie hałdy wyglądały tak samo. Niech to szlag. Co zrobiłby na moim miejscu Chris? Jak on znalazł to miejsce? I wtedy sobie przypomniałem. To nie on je znalazł, tylko o n o znalazło jego.

Zatrzymałem się, wolno wdychając powietrze. Próbowałem nie myśleć i nie patrzeć, po prostu tam stałem.

A później ruszyłem w lewo, wspiałem się na wzniesienie, zszedłem z niego i wszedłem na kolejne, bardziej strome. Zgramoliłem się po skalistym zboczu. Na dole zobaczyłem niewielkie zapadlisko, osłonięte karłowatymi krzakami. *To tutaj* – pomyślałem, chociaż nie widziałem wjazdu, tylko gruz i kamienie. Wiedziałem jednak, że tam jest. Czułem to. Niemal słyszałem mrużenie ziemi pod stopami.

Podszedłem ostrożnie, starając się nie przeczesać terenu wzrokiem. Nie

przyglądać mu się zbyt uważnie. Zadziało. Nagle dostrzegłem zarys włazu. Przykucnąłem. Z bliska zauważyłem, że nie jest całkiem zamknięty. Wsunąłem palce w szparę i spróbowałem unieść pokrywę, a gdy mi się to udało, opuściłem ją z powrotem. Nie zamierzałem schodzić w tym momencie. Nie mogłem się zjawić w szkole ubrudzony ziemią i węglowym pyłem. Poza tym nie mogłem ryzykować, że ktoś mnie zobaczy i zechce sprawdzić, co znajduje się pod spodem.

Musiałem tam wrócić później. Gdy się ściemni. Kiedy będę mógł zrealizować swój plan, niepowstrzymywany przez nikogo.

Na razie wyjąłem przedmioty, które z taką starannością zapakowałem do torby, i ukryłem je w pobliskich krzakach. Nie chciałem ryzykować, że później nie znajdę włazu, więc zaczepiłem starą czerwoną skarpetkę, którą ze sobą przyniosłem, o gałąź. To powinno wystarczyć. Uporawszy się z pierwszą częścią mojego planu, wyprostowałem się, opuściłem teren dawnej kopalni i poszedłem do szkoły.

Tamten dzień potwornie mi się dłużył i jednocześnie minął mi aż za szybko, jak zawsze, gdy czekamy na coś, czego się jednocześnie boimy, na przykład wizytę u dentysty lub innego lekarza. Szczerze mówiąc, wolałbym mieć wyrywany ząb, niż robić to, co zaplanowałem sobie na wieczór.

W końcu rozległ się dzwonek po ostatniej lekcji. Wyszedłem z klasy, martwiąc się, że ktoś mnie zawoła albo zatrzyma, i trochę też na to licząc. Nikt tego nie zrobił, ale i tak się nie spieszyłem. Do zmierzchu wciąż zostało mi sporo czasu.

Jak zwykle przeszedłem się główną ulicą. Miałem przy sobie trochę pieniędzy, które zwędziłem tacie z portfela poprzedniego wieczoru, więc kupiłem porcję frytek – chociaż wcale nie byłem głodny – zjadłem połowę na przystanku autobusowym, a resztę wyrzuciłem.

Poszwendąłem się jeszcze trochę, a później usiadłem na huśtawce na pustym placu zabaw. Kiedy na ulicach zaczęły się włączać latarnie, przypominające zaskoczone pomarańczowe ślepie, ruszyłem w kierunku kopalni.

Spakowałem do torby latarkę i starą wełnianą czapkę taty, którą naciągnąłem sobie na głowę, prawie po same oczy. Upewniłem się, że nigdzie nie kręci się

żaden ochroniarz, ale ulica była pusta i cicha. Szybko przecisnąłem się przez ogrodzenie.

Nie potrzebowałem jeszcze latarki, chociaż był już koniec października i szybko robiło się ciemno. Nie chciałem na siebie niepotrzebnie zwracać uwagi. Poza tym z jakiegoś powodu czułem, że łatwiej będzie mi znaleźć to miejsce w ciemności. Pomimo kilku poślizgnięć i potknięć – tym razem rozdarłem sobie spodnie od szkolnego mundurka – okazało się, że miałem rację. Zsunąłem się ze stromego wzniesienia i dostrzegłem wśród krzaków ciemniejszy kształt – czerwoną skarpetkę.

Dotarłem na miejsce. A gdy już mi się to udało, prawie posikałem się ze strachu. Wiedziałem, że muszę się spieszyć, bo inaczej całkiem stchórzę. Odsunąłem pokrywę wjazdu, zdzierając sobie skórę z knykci. Później wyjąłem ukryte w krzakach petardy, wsunąłem je z powrotem do torby i wyjąłem z niej latarkę.

Rozejrzałem się po raz ostatni, wlałem do tunelu i zacząłem schodzić po stopniach.

Nie zajęło mi to dużo czasu. Po podpaleniu lontów petard ledwie zdążyłem wyjść z powrotem i zasunąć pokrywę wjazdu, zanim dobiegły mnie pierwsze stłumione dźwięki wybuchów. Chwyciłem torbę i poderwałem się z ziemi. Metalowa pokrywa uniosła się w górę, upadła ze szczękiem, a spod ziemi wydobyły się obłoczki dymu. Chwilę później wjazd jakby zapadł się do środka.

Cofnąłem się. Zdążyłem zrobić zaledwie parę kroków, zanim poczułem drżenie, grzmiący pomruk, który przeszył moje ciało od podeszew sportowych butów aż po klatkę piersiową. Znałem ten dźwięk. Kiedy byłem mniej więcej w wieku Annie, w kopalni doszło do osuwiska. Nikomu nic się nie stało, nigdy jednak nie zapomniałem tamtego grzmiącego pomruku, jakby gdzieś głęboko pod powierzchnią ziemia zwinęła się w harmonijkę.

Ale było już po wszystkim. Mogłem mieć tylko nadzieję, że to wystarczy.

Była już prawie ósma, gdy dotarłem do domu: zmęczony, brudny, ale też dziwnie

podekscytowany. Przez ułamek sekundy, zanim otworzyłem kuchenne drzwi, ogarnęło mnie szalone uczucie, że wszystko będzie dobrze. Zdjąłem zły urok, pokonałem smoka, wypędziłem demona. Annie znowu będzie sobą, mama zacznie gotować nam kolację, a tata będzie czytał gazetę, nucąc pod nosem puszczane w radiu piosenki, tak jak kiedyś, gdy miał dobry nastrój.

Oczywiście nic takiego się nie zdarzyło. Kiedy wszedłem do domu, tata jak zwykle leżał przed telewizorem. Widziałem czubek jego kędzierzawej głowy wystający znad fotela i byłem pewien, że już odpłynął. Annie nie było na dole, więc musiała siedzieć w swoim pokoju. Dom cuchnął gorzej niż zwykle. Zasłoniłem ręką usta i pobiegłem na górę do łazienki.

Stałem na piętrze. Drzwi do pokoju Annie były szeroko otwarte, co nigdy się już wtedy nie zdarzało. Ruszyłem w ich kierunku.

– Annie?

Zajrzałem do środka. Pokój jak zawsze wypełniał półmrok. Przez cienkie zasłony sączyły się resztki wieczornego światła. Łóżko było niepościelone. Jeśli na dole cuchnęło, to smród w tym pokoju był wprost nie do wytrzymania. Mieszanka starego moczu, słodkawej woni zgnilizny, wymiocin i czegoś, co przypominało zepsute jajka. Nikogo tam nie było.

Zajrzałem do swojego pokoju, który również okazał się pusty. Zapukałem do drzwi łazienki.

– Annie, jesteś tam?

Cisza. W drzwiach nie było zamka. Tata zdjął go po tym, jak kiedyś Annie przypadkiem zamknęła się od środka.

Usiedliśmy wtedy z mamą pod drzwiami i śpiewaliśmy, żeby ją uspokoić, a tata majstrował przy zamku. Kiedy wreszcie wparowaliśmy do środka, Annie spała na podłodze w samej pieluszce i podkoszulku.

Wpatrywałem się w zamknięte drzwi. Chwyciłem za klamkę, która wydała mi się dziwnie lepka, pchnąłem je i pociągnąłem za sznurek włączający światło. Nagle cały świat zawirował mi przed oczami.

Zobaczyłem czerwień. Morze czerwieni na umywalce. Krwawe smugi na

lustrze. Plamy krwi na podłodze. Gęstej, błyszczącej, świeżej.

Wpatrywałem się w to wszystko, czując, jak wywracają mi się wnętrzności. Spojrzałem na swoją dłoń pokrytą plamami szkarłatu. Odwróciłem się i zataczając, zbiegłem ze schodów. Dopiero teraz zauważyłem, że ściany i poręcz również są pokryte smugami krwi.

– A n n ie! T a to?

Zeskoczyłem z ostatniego stopnia i wbiegłem do salonu. Tata nadal leżał w fotelu, zwrócony do mnie plecami.

– Tato?

Obszedłem fotel i zobaczyłem jego twarz: przymknięte oczy, uchylone usta, świszczący oddech dobywający się spomiędzy warg. Miał na sobie starą bluzę ze zdjęciem zespołu Wet Wet Wet. Wygrał ją w jakimś konkursie lokalnej rozgłośni radiowej (chciał wygrać wakacje w Hiszpanii). To zabawne, na jakie rzeczy zwracamy czasem uwagę. Zauważyłem na przykład wielką plamę pod twarzą Martiego Pellowa, na samym środku klatki piersiowej taty. Przypominała plamę z atramentu, którą kiedyś zrobiłem, gdy zapomniałem założyć skuwkę na wieczne pióro. Ta plama była jednak za duża i wcale nie niebieska, tylko ciemnoczerwona. Bo to nie był atrament, lecz krew. Mokra, mokra, mokra.

Starałem się nie wpaść w panikę. Zebrać myśli. Tatę dźgnięto nożem, a Annie zniknęła. Musiałem zadzwonić na policję i po karetkę. Podbiegłem do wiszącego na ścianie telefonu i sięgnąłem po słuchawkę. Drżącymi palcami wybrałem numer alarmowy. Słyszałem kolejne sygnały, a później przyjemny głos zapytał:

– Z którymi służbami chce się pan połączyć?

Otworzyłem usta, ale słowa zamarły mi w gardle. *Krew. Czerwona. Świeża.*

– Halo, z którymi służbami chce się pan połączyć?

Łazienka. Plamy na podłodze. Tylko że to nie były plamy, lecz kształty. Jedna większa plama, pięć mniejszych.

Odciski stóp. Drobnych stópek.

– Halo? Jest pan tam?

Opuściłem słuchawkę. Zza pleców dobiegł mnie jakiś dźwięk. Cichutki chichot.

Odłożyłem słuchawkę na widełki i odwróciłem się.

Annie stała w drzwiach. Musiała siedzieć skulona w szafce pod schodami. Była naga. Na twarzy i ciele miała smugi krwi, przypominające barwy wojenne. Widziałem rany na jej ramionach i wątlej piersi. *Sama też się pocięła.* Oczy jej błyszczały. W jednej z dłoni trzymała wielki kuchenny nóż.

Próbowałem oddychać, by nie rzucić się z krzykiem przez okno.

Nóż. Tata. Mokra, bardzo mokra krew.

– Wszystko w porządku, Annie? Chyba ktoś się do nas włamał.

Dostrzegłem malujący się na jej twarzy wyraz zaskoczenia.

– Już dobrze. Wróciłem do domu. Obronię cię. Wiesz o tym, prawda? Jestem twoim starszym bratem. Zawsze będę cię chronił.

Nóż w ręce Annie zadrżał. Wyraz jej twarzy się zmienił. Wyglądała prawie jak mój a Annie. Jak dawniej. Na ten widok ścisnęło mi się serce.

– Odłóż nóż. Możemy to jeszcze naprawić. – Wyciągnąłem do niej rękę z gardłem ściśniętym łzami. – Chodź tutaj.

Uśmiechnęła się i rzuciła na mnie z wściekłym rykiem. Byłem na to jednak przygotowany. Odsunąłem się na bok i mocno ją popchnąłem. Poleciała do przodu, poślizgnęła się na leżącym przed kominkiem dywaniku i upadła na podłogę. Sięgnąłem po pogrzebacz, ale okazało się, że nie jest mi potrzebny. Annie uderzyła głową w kant kominka. Podczas upadku nóż wypadł jej z ręki.

Cały się trząsałem. Myślałem, że może poderwie się z ziemi i znowu na mnie rzuci, ale leżała nieruchomo. Niezależnie od tego, co w niej siedziało, dysponowało ciałem kruchej ośmiolatki.

Spojrzałem na tatę. Musiałem go zawieźć do szpitala. Później zerknąłem na telefon i pobiegłem do kuchni. Jakiś czas temu tata udzielił mi kilku lekcji jazdy samochodem po okolicznych ulicach. W tamtych czasach w Arnhill nikogo nie szokował widok piętnastolatka za kółkiem. Nie byłem świetnym kierowcą, ale miałem opanowane podstawy.

I wiedziałem, gdzie tata trzyma kluczyki od samochodu.

Tata był ciężki. Ostatnio przybrał na wadze. Zaciągnąłem go do drzwi, lekko je uchyliłem i wyjrzałem na ulicę. Nigdzie ani żywego ducha. Zaciągnięte kotary w oknach. Nie mogłem mieć pewności, że nie podgląda nas jakaś wścibska sąsiadka, na przykład panna Hawkins, ale musiałem zaryzykować.

Przeciągnąłem tatę przez krótki podjazd, aż do samochodu. Oparłem go o tylne drzwi i otworzyłem te od strony pasażera. Wepchnąłem go do środka; najpierw korpus, a później nogi i stopy. Odsunąłem się. Ręce i przód szkolnej koszuli miałem całe we krwi, ale nie było czasu się tym martwić. Od szpitala w Nottingham dzieliło nas prawie dwadzieścia kilometrów. Musiałem się pospieszyć. Okrążyłem samochód i stanąłem przy drzwiach od strony kierowcy. Spojrzałem w stronę domu. Annie.

Nie mogłem jej tak po prostu zostawić.

Dźgnęła nożem twojego tatę.

To jeszcze dziecko.

Już nie.

Może umrzeć.

I co z tego?

Nie mogę jej zostawić. Nie po raz drugi.

Pobiegłem. Jakaś część mnie spodziewała się, że nie znajdę jej w domu, tak jak w horrorach, gdy wydaje się, że bohater zabił mordercę, który później pojawia się znowu, z piłą łańcuchową w ręce. Annie leżała jednak w tym samym miejscu, w którym się przewróciła. Naga. Niech to szlag. Wbiegłem na górę z sercem bijącym niczym wewnętrzny zegar, który przypomina o tym, że mój czas się kończy. Otworzyłem drzwi niewielkiej białej szafy w pokoju Annie, złapałem piżamę – różową w białe owieczki – i ponownie zbiegłem na dół.

Nawet nie drgnęła, kiedy ją ubierałem, chociaż czułem jej słaby oddech. Wziąłem ją na ręce. Była lekka jak sarenka i zimna. Nie zdołałem stłumić w sobie dreszczu obrzydzenia.

Byłem już prawie przy furtce, gdy zobaczyłem na ulicy zbliżający się cień i usłyszałem podekscytowane sapanie. Ktoś wyprowadzał na spacer psa.

Schowałem się w cieniu i czekałem, aż pójda dalej. Pies zatrzymał się przy furtce, zaczął węszyć, po czym gwałtownie się cofnął i pociągnął swojego właściciela w dół ulicy.

– Nic się nie stało. Pewnie zwęszyłeś lisa, co?

Nie, pomyślałem, ale c o ś zwęszył na pewno.

Wpakowałem Annie na tylne siedzenie samochodu, a sam zająłem miejsce za kierownicą. Ręce trzęsły mi się tak mocno, że dopiero przy trzeciej próbie zdołałem umieścić kluczyk w stacyjce.

Na szczęście silnik zapalił już za pierwszym razem. Wrzuciłem bieg. W ostatniej chwili przypomniałem sobie o pasach bezpieczeństwa. Zapiąłem je i niepewnie ruszyłem przed siebie. Koncentrowałem się przede wszystkim na trzymaniu się prawej strony drogi i niewjechaniu w krawężnik, dzięki czemu nie myślałem o tym, co zrobię, jeśli tata umrze w drodze, albo co powiem w szpitalu, jeśli tak się nie stanie.

Musiałem coś wymyślić. Przypomniałem sobie, jak powiedziałem Annie o włamaniu. Ktoś włamał się do naszego domu. W to na pewno by mi uwierzyli. Musieliby uwierzyć. A jeśli tata przeżyje, będzie mógł później powiedzieć prawdę.

Wyjechałem z Arnhill. Czarna wiejska droga wiła się przede mną niczym lśniący wąz. Nie było tu latarni, tylko wbudowane w drogę elementy odblaskowe. Nie mogłem znaleźć włącznika długich świateł. Z bocznej drogi wyjechał jakiś samochód i ruszył za nami. Trzymał się dziwnie blisko. Oślepił mnie blask jego świateł odbijający się w lusterku. *A jeśli to policja? Może sprawdzili, że to ja dzwoniłem na numer alarmowy, i teraz mnie śledzą?* Po chwili samochód włączył światła mijania i wyminął mnie z rykiem klaksonu.

Zerknąłem na prędkościomierz. Pokazywał zaledwie pięćdziesiąt sześć kilometrów na godzinę na drodze, po której można było jechać dziewięćdziesiątką. Nic dziwnego, że kierowca się wkurzył. Poza tym niepotrzebnie zwracałem na siebie uwagę. Pomimo ciemności i tego, jak niepewnie czułem się za kółkiem, przycisnąłem pedał gazu. Patrzyłem, jak igła prędkościomierza wędruje do sześćdziesięciu pięciu, a później do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Ponownie spojrziałem w lusterko.

Annie wpatrywała się we mnie.

Gwałtownie skręciłem, opony odbiły się o krawężnik i przez chwilę mocowałem się z kierownicą, żeby zjechać z powrotem na środek pasa. Opony zapiszczały, ale jakoś udało mi się odzyskać kontrolę nad pojazdem. W tym momencie tata ciężko się na mnie osunął. Niech to szlag. Zapomniałem go przypiąć pasami. Jedną ręką pchnąłem go z powrotem na fotel, drugą starałem się kontrolować kierownicę.

Annie rzuciła się na mnie z tylnego siedzenia. Wbiła mi palce w twarz i wczepiła je we włosy, ciągnąc moją głowę do tyłu. Próbowałem się od niej uwolnić wolną ręką, ale jej uścisk okazał się zadziwiająco silny. Czułem, jak paznokcie Annie rozrywają mi skórę; cebulki moich włosów krzyczały z bólu. Zaciśnąłem palce w pięść i wymierzyłem jej mocny cios w twarz. Poleciała do tyłu.

Złapałem kierownicę, i to w ostatniej chwili, cudem unikając zderzenia z jadącym z naprzeciwka samochodem. K u r w a. Jeszcze mocniej wcisnąłem pedał gazu. Musiałem dotrzeć do szpitala. Po prostu m u s i a ł e m. Przyspieszyłem do stu dziesięciu kilometrów na godzinę. Widziałem, jak Annie dźwiga się na siedzeniu. Próbowałem ją odepchnąć łokciem, ale się uchyliła i zasłoniła mi rękami oczy, wbijając palce w oczodoły. Wrzasnąłem. Z oczu pociekły mi łzy. Nie widziałem nic poza ciemnością i rozbłyskami światła.

Zdjąłem rękę z kierownicy i spróbowałem odciągnąć jej palce. Nagle osunęła mi się stopa, którą trzymałem na pedale gazu. Silnik zawył. Poczułem, jak samochód wpada w poślizg, koła oderwały się od asfaltu i uderzyły w trawiaste pobocze.

Samochodem szarpnęło. Annie oderwała palce od mojej twarzy. Dostrzegłem przed nami wielki czarny cień. Drzewo. Próbowałem ponownie chwycić za kierownicę i wcisnąłem hamulec, ale było już za późno.

Zderzenie. Potworny wstrząs. Zgrzyt miażdżonego metalu. Poleciałem do przodu, rozbijając sobie nos o kierownicę. Pasy bezpieczeństwa odrzuciły mnie z powrotem na fotel. Byłem oszołomiony. Coś przeleciało obok mnie i wypadło przez przednią szybę. Poczułem ból w klatce piersiowej, twarzy i w nodze. MOJA NOGA! Usłyszałem krzyk. Swoój własny.

A później zapadła ciemność.

35

– Właśnie w takim stanie cię znaleźliśmy.

– My?

– Ja i mój tata. Wracaliśmy z wieczornego meczu piłki nożnej. Tata zauważył samochód rozbity o drzewo. Zatrzymaliśmy się, żeby pomóc. Od razu wiedzieliśmy, że twój tata nie żyje. Ciało twojej siostry leżało w pewnej odległości od samochodu. Nie mogłem już dla niej nic zrobić – zawiesza głos. – Gdy wróciłem do samochodu, tata powiedział: *Chłopak żyje*. A później dodał: *Będzie miał poważne kłopoty, co?* Miałeś tylko piętnaście lat. Nie powinieneś być prowadzić. Postanowiliśmy zamienić was miejscami. Ciebie posadziliśmy na fotelu pasażera, a twojego tatę za kierownicą, by policja myślała, że to on kierował.

– Dlaczego? Co was to w ogóle obchodziło?

– Nie zgadzałem się z tatą w wielu kwestiach, ale obaj wierzyliśmy w to, że o swoich trzeba dbać. Należałeś do mojej paczki, a twój tata pracował w kopalni – nawet jeśli później okazał się parchem. Nie zostawia się swoich na pastwę losu. Zamierzałem cię odwiedzić w szpitalu i powiedzieć, żebyś trzymał się naszej wersji. Ale okazało się, że masz własną. Pielęgniarka powiedziała mi, że nie pamiętasz żadnych szczegółów wypadku. Czy rzeczywiście tak było, Joe?

Patrzę na niego. Myślę o kłamstwach. Nie ma czegoś takiego jak białe kłamstwa. Kłamstwa nigdy nie są białe albo czarne, tylko szare niczym mgła spowijająca prawdę. Czasami jest ona tak gęsta, że sami ledwo tę prawdę widzimy.

Nie byłem pewien, co pamiętam. Łatwiej było potwierdzić to, co usłyszałem od policji i lekarzy. Zamknąć oczy i skłamać, że nie wiem, co się stało, i nie pamiętam

momentu zderzenia.

Nigdy nie powiedziałem prawdy mamie, a ona nie pytała. O nic. Chociaż w jej głowie na pewno zrodziły się jakieś pytania. Musiała przecież sprzątnąć ślady krwi. Ale nigdy nie powiedziała ani słowa, a raz, gdy próbowałem z nią o tym porozmawiać, ścisnęła mnie za nadgarstek tak mocno, że zostawiła mi na skórze siniaki, i powiedziała: *Cokolwiek wydarzyło się w tym domu, było wypadkiem, Joe. Tak samo jak zderzenie z drzewem. Rozumiesz? Muszę w to wierzyć. Nie mogę stracić także ciebie.*

Wtedy wreszcie zrozumiałem. Mama myślała, że ja to zrobiłem. Że ponoszę odpowiedzialność. Nie mogłem mieć o to do niej żalu. Od tygodni dziwnie się zachowywałem. Prawie nic nie jadłem, rzadko się odzywałem i trzymałem się na uboczu. Poza tym na swój sposób rzeczywiście b y ł e m odpowiedzialny. Ja to wszystko spowodowałem.

Kiedy wróciłem do domu, o kulach, ze śrubami w pogruchotanej nodze, był on wywietrzony i posprzątnany, a pokój Annie – świeżo odnowiony. Wszystko wyglądało jak dawniej.

Nie próbowałem wyprowadzić mamy z błędu ani powiedzieć jej, co się wtedy naprawdę stało. A ona nigdy nie wyraziła głośno tego, co widziałem w jej oczach: przeświadczenia, że straciła niewłaściwe dziecko. Że to ja powinienem był umrzeć. Aż do dnia swojej śmierci mama udawała, że wciąż mnie kocha.

A ja udawałem, że w to wierzę.

Odchrząkuję. Głowa mi pęka. Skonfliktowane myśli walczą ze sobą w grzęzawisku świadomości.

– Mam ci p o d z i ę k o w a ć? – pytam.

Hurst kręci głową.

– Nie. Chcę, żebyś to zabrał – wskazuje na krawat i łom – i wyrzucił do rzeki Trent. A p ó ź n i e j stąd wypierdolił i nigdy więcej nie wracał.

Robi mi się niedobrze. Czuję się, jakbym przegrał. Tak jak wtedy, gdy na widok kart przeciwnika wiesz, że masz przerąbane. Że już jest po tobie. No, prawie.

– Policja będzie miała pytania również do ciebie. Dlaczego zamieniliście nas

miejscami? Dlaczego mówisz o tym dopiero teraz? Manipulowanie przy miejscu wypadku to przestępstwo.

Hurst przytakuje.

– To prawda, ale byłem wtedy dzieckiem. Zamiana była pomysłem taty. Teraz jestem starszy i mądrzejszy, patrzę na sprawy inaczej. Chcę oczyścić swoje sumienie. Jeśli będę musiał, pójdę z tym na policję. A oni mi uwierzą. Jestem szanowanym członkiem społeczności. A ty? Spójrz na siebie. Zawieszony w obowiązkach nauczyciel. Podejrzany o kradzież w poprzedniej szkole. Trudno cię nazwać wzorem obywatelskich cnót.

Ma rację. A jeśli policja zacznie mi zadawać kolejne pytania? Ponownie przyjrzy się okolicznościom wypadku. Zakwestionuje obrażenia taty.

– Wygląda na to, że zabrnęliśmy w ślepy zaułek – stwierdza Hurst.

Kiwam głową i wstaję. Sięgam po starannie zapakowane przedmioty i chowam je z powrotem do torby. Nie mam innego wyboru. Wyjmuję z kieszeni telefon.

Hurst wpatruje się w aparat.

– Nadal chcesz dzwonić na policję?

– Nie.

Rozwijam listę kontaktów i przykładam telefon do ucha. Odbiera po pierwszym sygnale.

– Cześć, Joe.

– Musisz z nim porozmawiać. – Podaję komórkę Hurstowi.

Patrzy na mnie, jakbym trzymał w ręku granat. I trochę tak jest.

– Z kim właściwie mam rozmawiać? – pyta.

– Z kobietą, która zabije twoją żonę i syna, jeśli nie wyjdę stąd bogatszy o trzydzieści kawałków.

Bierze ode mnie telefon i po chwili jego twarz robi się szara jak popiół. Gloria potrafi tak działać na ludzi. Przesyła mu zdjęcia Marie i Jeremy'ego kończących jeść kolację w mieście.

Hurst oddaje mi telefon.

– Lepiej zdobądź te pieniądze – słyszę głos Glorii. – Wychodzą. Muszę ich

śledzić.

Kończę rozmowę i spoglądam na Hursta.

– Trzydzieści tysięcy. Jeśli mi je teraz przelejesz, odczepię się od ciebie raz na zawsze.

Wpatruje się we mnie jak oniemiały. Jakby właśnie się dowiedział, że Ziemia jest płaska, kosmici istnieją, a Jezus wybiera się do niego z wizytą.

Gloria jest świetna w swoim fachu.

– Coś ty do diabła zrobił? – pyta zachrypniętym głosem.

– Po prostu potrzebuję pieniędzy.

Wzrok Hursta odzyskuje ostrość. Oczy napełniają mu się łzami.

– Nie mam tych pieniędzy.

– Nie wierzę ci. Samochód, który stoi przed domem, jest wart co najmniej sześćdziesiąt tysięcy.

– Wziąłem go w leasing.

– A dom?

– Jest obciążony hipoteką.

– Willa w Portugalii?

– Sprzedana. Ledwo wyszedłem na swoje.

Znowu ogarniają mnie mdłości, jeszcze silniejsze niż przedtem. Zupełnie jakby w moich wnętrznościach miotał się szczur, przegryzał przez otrzewną i próbował się dostać do jelit.

– Glorii raczej się to nie spodoba.

Przeciąga dłonią po idealnie ułożonych włosach.

– Ale to prawda. Nie mam trzydziestu tysięcy. Nie mam dwudziestu, dziesięciu czy nawet pięciu pieprzonych kawałków.

– Gówno prawda.

– Wszystko wydałem na leczenie Marie w Ameryce. Masz pojęcie, ile kosztuje taka cudowna terapia? – zanosí się gorzkim śmiechem. – Ponad siedemset pięćdziesiąt tysięcy funtów. Właśnie tyle. Całe moje oszczędności. Nic mi nie zostało.

– Kłamiesz. – Kręcę głową. – Jak zawsze próbujesz ratować własny tyłek. Jesteś kłamcą.

– Mówię prawdę.

– Nie. Dzwoniłem do kliniki w Ameryce. Marie mi o niej powiedziała. I wiesz co? Nigdy nie słyszeli ani o tobie, ani o niej. Nie jest zapisana choćby na zabieg usunięcia pieprzonego wrastającego paznokcia, nie mówiąc już o cudownej terapii leczącej raka.

Patrzę na niego triumfalnie. Czekam, aż wyszczerzy zęby w wyzywającym uśmiechu człowieka, któremu rzucono wyzwanie, i rozwścieczonego tym, że przyłapano go na kłamstwie. Na jego twarzy maluje się jednak coś innego: dezorientacja i strach. Nie tego się spodziewałem.

– To niemożliwe. Marie im przecież zapłaciła. Przełałem jej pieniądze.

– Kolejne kłamstwa. Czy ty nigdy nie przestaniesz? W i e m, co kombinujesz.

– Mogę ci pokazać potwierdzenie z banku. Numer konta.

– Jasne. Pewnie, że... – urywam nagle. Wlepiam wzrok w Hursta. – A więc to o na?

– Marie znalazła tę klinikę i wszystkim się zajęła. Zarezerwowała hotele i loty.

– Przełałeś wszystkie pieniądze Marie?

– Na nasze wspólne konto. To z niego robiła wszystkie płatności.

– Ale nie rozmawiałeś z kliniką? Nie sprawdziłeś, czy pieniądze dotarły?

– Ufam swojej żonie. Poza tym dlaczego miałyby kłamać? Jest zdesperowana. Nie chce umierać. To leczenie było jej ostatnią deską ratunku.

A zdesperowani ludzie chcą wierzyć w cuda.

Usiłuję zachować spokój, zebrać myśli.

– Dlaczego starałeś się opóźnić realizację planu stworzenia parku krajobrazowego?

– Bo bardziej opłaca się postawić na tym terenie domy.

– Pomimo tego, co znajduje się pod ziemią?

Posyła mi szyderczy uśmiech.

– Osuwisko zniszczyło to miejsce wiele lat temu.

- Też miałem taką nadzieję. Ale wygląda na to, że twój syn znalazł inne wejście.
- J e r e m y? N i e. I co to ma do diabła wspólnego z tym wszystkim?
- Nigdy mu nie mówiłeś, co znaleźliśmy?
- K a z a ł e m mu się trzymać z daleka od kopalni. Nigdy tam nie chodzić.
- A dzieciaki zawsze słuchają rodziców?
- Oczywiście, że nie. Jeremy nie przejmuje się tym, co mówię. Za to słucha Marie. Zrobiliby dla niej wszystko. Jest typowym synkiem mamusi.

Przełykam ślinę, chociaż mam wrażenie, jakbym przełykał kawałki tłuczonego szkła.

Zrobiliby dla niej wszystko. Typowy synek mamusi.

A czasami jabłko nie pada zbyt daleko od jabłoni.

Po prostu obszczekiwałem niewłaściwe drzewo.

Zaczyna dzwonić mój telefon. Błyskawicznie po niego sięgam.

– Tak?

– Jak ci idzie?

Spoglądam na Hursta.

– W porządku. Ile mamy czasu do ich powrotu?

– Właśnie dlatego dzwonię. Oni nie wracają.

– Co takiego?

– Wyjechali z miasta. Marie zostawiła chłopaka przy głównej ulicy, żeby mógł się spotkać z kolegami. A teraz jedzie w stronę twojej wioski.

– M o j e j wioski?

– Nie, czekaj. Zatrzymała się. Wysiada z samochodu. Okej, zaczyna się robić dziwnie. Ma ze sobą latarkę i plecak.

Niech to szlag.

– Kopalnia – mówię. – Marie chce zejść na dół.

36

Nie wierzę w przeznaczenie.

Czasami jednak w życiu zdarza się coś nieuniknionego, na co praktycznie nie mamy wpływu.

Wszystko zaczęło się tu, w kopalni, i wygląda na to, że również tu się zakończy.

Nie tak to sobie wyobrażałem. Inaczej to zaplanowałem. Jednak na tym właśnie polega problem z planami. Nigdy nie wypalają tak, jak chcemy. A moje najwyraźniej nie wypalają wcale.

Podjeżdżamy pod kopalnię range roverem Hursta. Nie odzywał się do mnie przez całą drogę. Widzę jednak malujące się na jego twarzy oszołomienie i nerwowo zaciskające się szczęki, gdy próbuje sobie przyswoić to, czego właśnie się dowiedział. Usiłuje zrozumieć, jak to możliwe, że Marie go zdradziła. Okłamała.

Spodziewałem się gniewu, ale on wygląda raczej na załamane. Poniżonego. Myliłem się co do Hursta. Myślałem, że Marie jest jednym z jego trofeów, tak jak dom czy samochód. Ale on ją kocha. Zawsze tak było. I, bez względu na wszystko, nadal pragnie ją ocalić.

Dostrzegam żółte mini niedbale zaparkowane na poboczu. Nigdzie nie widzę Glorii ani jej samochodu. Nie wiem, czy czuję z tego powodu ulgę czy niepokój.

Wysiadamy z samochodu.

– Gdzie ona jest? – pyta Hurst.

– Nie wiem. – Oświetlam latarką ogrodzenie i odnajduję dziurę, przez którą ostatnio wszedłem. – Właź.

Przeciskam się na drugą stronę, a Hurst podąża za mną. Słyszę, jak klnie.

Widocznie nie tylko jego portfel zrobił się ostatnio grubszy.

– Nareszcie.

Z zaskoczenia aż podskakuję. Gloria wyłania się z ciemności tuż przy ogrodzeniu. Tym razem zakryła pastelowe ciuszki ciemnym płaszczem. To jej służbowy strój.

Rozglądam się dookoła.

– Gdzie jest Marie?

– W bagażniku mojego samochodu.

– Ty suko – wyrywa się Hurstowi.

Gloria zwraca się w jego stronę.

– Stephen Hurst, jak mniemam? Żartowałam. Jakieś dwadzieścia minut temu zniknęła za tamtym wzniesieniem.

Szybko interweniuje:

– Glorio, Marie ma twoje pieniądze. Dużo więcej niż trzydzieści tysięcy. Ponad siedemset pięćdziesiąt. Musimy ją tylko tu sprowadzić.

Spogląda na Hursta.

– A co z nim?

– Co masz na myśli?

– Powiedziałaś, że pieniądze ma Marie, jego żona.

– Tak.

– W takim razie nie jest nam już potrzebny?

– Glorio...

– Tak myślałam.

Jej ruchy są tak szybkie, że ledwo zauważam broń. Słyszę tylko stłumiony dźwięk wystrzału. Nagle Hurst upada na ziemię i zwija się z bólu, wrzeszcząc i trzymając się za nogę. Ciemnoczerwona krew tryska – naprawdę t r y s k a – z jego rany. Przyklękam obok.

– Jezu Chryste!

Rozglądam się. Droga za ogrodzeniem jest pusta. W pobliżu nie ma żywego ducha. W tych ciemnościach nie oświetliłyby nas nawet reflektory

przejeżdżającego samochodu.

– Tętnica udowa – odzywa się Gloria, opuszczając broń z tłumikiem. – Nawet gdybym założyła mu opatrunek uciskowy, wykrwawiłby się w ciągu piętnastu, dwudziestu minut.

Oczy Hursta odnajdują moje. Gloria chwyta mnie za ramię i ciągnie do góry.

– Marnujesz czas. Idź po moje p i e p r z o n e pieniądze.

– A co z...

Przykłada palec do ust.

– Tik-tak.

Wspinam się na hałdę, strumień światła latarki podskakuje przede mną jak szalony. Niewiele mam z niego pożytku. Kieruję się przede wszystkim instynktem i strachem. Nie zabrałem ze sobą laski, więc kuśtykam, ślizgam się i potykam na kamienistych, spadzistych zboczach. Uszkodzona noga nawet na moment nie przestaje mnie boleć, a żebra starają się jej dorównać. Częstka mnie odłącza się od tego wszystkiego, jakbym lewitował w powietrzu, obserwując wysokiego, szczupłego mężczyznę z zadyszką palacza i rozwichrzonymi czarnymi włosami, który tuła się po okolicy chwiejnym krokiem, jak pijany włóczęga.

Mam ochotę się roześmiać z powodu absurdalności całej tej sytuacji i śmiać się tak długo, aż mój śmiech zamieni się w krzyk. Wszystko to przypomina okropny, makabryczny sen. Jednak w głębi duszy doskonale wiem, że to się dzieje naprawdę i że ten koszmar na jawie rozpoczął się dwadzieścia pięć lat temu.

A dzisiaj wreszcie się skończy.

Schodzę na dół i zauważam ją obok wjazdu. Siedzi po turecku. Obok niej stoi lampa kempingowa, a u stóp leży plecak. Głowę ma owiniętą chustą, na którą naciągnęła kaptur dla ochrony przed chłodem. Siedzi pochylona do przodu i przez chwilę wydaje mi się, że się modli. Później jednak się prostuje i widzę, że pali papierosa.

Wyłączam latarkę i patrzę na nią, chociaż wcale jej nie widzę. Mam przed sobą piętnastoletnią dziewczynę: piękną, bystrą i... zimną. Zastanawiam się, jak mogłem tego wcześniej nie zauważyć. Ładna buzia potrafi jednak zamaskować wiele wad,

szczególnie kiedy sam jesteś piętnastoletnim kłębowiskiem hormonów. Nie obchodzi cię wtedy, co się kryje pod powierzchnią. Mrok. Przeżarte kości.

Robię krok do przodu.

– Marie?

Nie odwraca się.

– Wiedziałam, że to ty. Zawsze ty. Odkąd byliśmy dziećmi, cierń w moim boku.

– Z nazwiska ⁵ i z charakteru.

– Idź do domu, Joe.

– Okej. Pod warunkiem że pójdziesz ze mną.

– Niezła próba.

– W takim razie spróbuję inaczej – jeśli ze mną nie pójdziesz, pewna wariatka zabije ci męża.

– Nawet gdybym ci uwierzyła, dlaczego miałabym się tym przejmować? Kiedy będzie już po wszystkim, Jeremy i ja zostawimy Hursta w tej zabitej dechami dziurze. Raz na zawsze.

– Musisz wiedzieć, że to czyste szaleństwo.

– To moja jedyna szansa.

– Klinika w Ameryce była twoją jedyną szansą. Miałaś zamiar w ogóle tam polecieć? Czy tylko chciałaś wyłudzić od niego pieniądze?

W końcu odwraca głowę w moją stronę. W świetle kempingowej lampy jej twarz sprawia wrażenie przerażająco chudej i opanowanej.

– Wiesz, jaki mieli odsetek remisji? Trzydzieści procent. Marne trzydzieści procent.

– Zdarzało mi się wchodzić do gry, mając mniejsze szanse na wygraną.

– I wygrywałeś?

Nie odpowiadam.

– Tak myślałam. A ja nie chcę ryzykować. Nie chcę umierać.

– Wszyscy kiedyś umrzemy.

– Łatwo tak mówić, kiedy nie czyha na ciebie śmierć. – Wydmuchuje kłębek dymu. – Masz pojęcie, jakie to uczucie? Każdego wieczoru zamykasz oczy,

zastanawiając się, czy jeszcze je otworzysz. A czasami – z powodu bólu i strachu – masz n a d z i e j ę, że nie. W niektóre wieczory tak bardzo się boisz, że zapadniesz się w ciemność, że w ogóle starasz się nie zasnąć.

Oczy Marie odnajdują moje. Światło lampy nadaje im gorączkowy blask.

– Myślałeś kiedyś o śmierci? Ale tak na poważnie? Nic do ciebie nie dociera, żaden dźwięk, żaden dotyk. Nie istniejesz. I tak przez całą wieczność.

Nie. Wszyscy staramy się o tym nie myśleć. Właśnie na tym polega życie. Usiłujemy się czymś zająć, odwracamy wzrok, żebyśmy nie musieli patrzeć w otchłań, bo to by nas doprowadziło do szaleństwa.

– Nikt nie wie, ile zostało mu czasu.

– Nie jestem jeszcze gotowa.

– Wybór nie należy do ciebie. Nie my decydujemy.

– A gdybyś miał wybór, to jaki by on był?

– Na pewno nie taki.

– I kto to mówi. – Zerka w stronę tunelu. – Oboje wiemy, co jest tam na dole.

– Kości – odpowiadam, starając się opanować głos. – Właśnie to jest na dole. Kości ludzi, którzy dawno już nie żyją, bo w ich czasach nie było skutecznych leków, chemioterapii ani środków uśmierzających ból. Tamci ludzie wierzyli w Boga, diabła i cuda. My już wiemy, że one n i e i s t n i e j ą.

– Nie traktuj mnie z góry, Joe. Byłeś tam. Wszyscy byliśmy.

– Marie, jesteś chora. Nie myślisz trzeźwo. Proszę cię. Tam na dole nie ma niczego, co mogłoby ci pomóc. Niczego. Możesz mi wierzyć.

– W porządku. – Gasi papierosa i sięga do plecaka. Wyjmuje z niego butelkę wódki i opakowanie tabletek nasennych. – Jeśli naprawdę w to wierzysz, pozwól mi odejść. Zażyję je i to będzie koniec. Przynajmniej j a będę miała wybór.

Nic nie mówię.

Uśmiecha się.

– Nie zrobisz tego, prawda? Bo t y w i e s z. Wiesz, co się stało z twoją siostrą.

– Oberwała w głowę. Zgubiła się. A później wróciła.

– Skąd?

Przełykam twardą gulę, która uformowała mi się w gardle.

– Ona nie umarła.

Marie wybucha śmiechem; okropnym, jazgotliwym śmiechem, pozbawionym humoru i człowieczeństwa. Jakaś część mnie zaczyna się zastanawiać, czy w głębi duszy zawsze taka była. Czy może coś się w niej zmieniło tamtej nocy, kiedy zesliśmy pod ziemię. Możliwe, że wszyscy się zmieniliśmy. Wynieśliśmy stamtąd coś więcej niż tylko żal i poczucie winy.

– Nie wierzysz w to – mówi.

– Owszem, wierzę.

– Gówno prawda. – Wykrzywia usta. – Annie umarła. Nie mogłaby przeżyć tamtego ciosu. Wiem o tym, bo...

Nie kończy zdania, a ja zastygam w bezruchu. Wszystkie zakończenia nerwowe zaczynają mi nagle tętnić.

– Bo c o?

– Bez powodu. To nic takiego.

Kłamstwo. To, co chciała powiedzieć, jest wszystkim. Nagle sobie przypominam. Annie zwinięta na ziemi w kłębek. Stojący w pobliżu niej Hurst. Rzucony na ziemię łom. Marie ściskająca Hursta za ramię. Tylko że nie stała tam o d p o c z ą t ku. Przesunęła się. Wcześniej stała bliżej mnie i Annie.

– To byłaś ty – mówię. – Ty ją uderzyłaś.

– Nie chciałam. Wpadłam w panikę. To był wypadek.

– Pozwoliłaś Hurstowi wziąć winę na siebie. Krył cię, chronił.

– On mnie kocha.

Nagle wszystko nabiera sensu. To dlatego została. Dlatego wzięli ślub. Hurst ją kochał, lecz miał też na nią haka. Nie mogła od niego odejść. Możliwe, że dzięki basenowi i harmonijkowym drzwiom było jej łatwiej, ale tylko trochę.

– Naprawdę chcieliście nas tam zostawić?

– Próbowałam go przekonać, żebyśmy tego nie robili.

Ale to nieprawda. Pamiętam, jak położyła mu rękę na ramieniu. Wymienili między sobą spojrzenia. Wtedy myślałem, że chce nam pomóc, jednak teraz sam

już nie wiem. Niczego nie jestem pewien.

– A Chris? Powiedziałem ci, gdzie się umówiliśmy wieczorem. Posłałaś za nim Hursta? To też był twój pomysł?

– Nie. To nie tak. Wiesz, jaki był Hurst. Bałam się go.

Pamiętam jej podbite oko. Prawe oko. A później przypominam sobie, jak Hurst nalewał mi whisky. P r a w ą r ę k ą. Piedestał zaczyna się kruszyć.

– Nigdy cię nie uderzył, prawda?

– Czy to w ogóle ma znaczenie?

– Owszem.

– W porządku. Nie uderzył. Po szkole wdałam się w bójkę z Angie Gordon.

– A więc i w tej sprawie kłamałaś.

– Na litość boską, to było dwadzieścia pięć lat temu. Co się stało, to się nie odstanie. Nie zmienię już tego. Chociaż bardzo bym chciała. – Spogląda w stronę wjazdu. – Proszę, Joe. Pozwól mi tam wejść.

– Nie mogę.

– Zrobię wszystko. Dam ci pieniądze, co tylko zechcesz.

– Co tylko zechcę?

– Tak.

Myślę o wykrwawiającym się na brudnej ziemi Hurście. O pieniądzech, które jestem winien. O szeroko otwartych oczach Annie wyglądających przez okno pewnego jasnego, śnieżnego ranka i jej drobnym, skurczonym ciele leżącym w pieczarze.

Myślę też o środkach wybuchowych, które tam umieściłem, i zdalnym detonatorze w mojej kieszeni. Spoglądam na Marie. Nienawiść płonie jasnym płomieniem.

– Możesz odpowiedzieć na jedno pytanie – mówię.

– Strzelaj.

– Gdzie się podziały wszystkie pieprzone bałwany?

Otwiera usta. Bok jej głowy nagle się zapada. Kości, krew i tkanka mózgowa rozpryskują się na wszystkie strony i opadają jak konfetti. Jej czaszka zamienia się

w ziejący krater, kości rozpadają się niczym papier mâché.

Marie nawet nie wytrzeszcza oczu ze zdziwienia. Brakuje jej na to czasu. Nie doświadcza momentu olśnienia. W jednej chwili żyje. W następnej jest już martwa. Osuwa się bezwładnie na ziemię, jak za naciśnięciem guzika. Jakby ktoś odciął jej zasilanie.

– Jezu Chryste! – Obracam się gwałtownie.

Gloria stoi za moimi plecami z bronią w ręku.

– Zabiłaś ją!

– I tak nic by ci nie dała. Miałam już do czynienia z takimi sukami jak ona.

– Gdzie jest Hurst?

– Szybko się wykrwawił.

Hurst. Martwy. Usiłuję to sobie przyswoić. Przez lata wydawało mi się, że życzę mu śmierci. Jednak stojąc tam, nic nie czuję, poza mdłościami i zmęczeniem. A także strachem. Bo oto zostałem sam na sam z Glorią.

– Nie musiałaś go zabijać...

– Cóż, stało się. Spójrz na to z dobrej strony. Mam dwa dodatkowe ciała, których muszę się pozbyć, więc skończę z tobą szybko. – Mierzy do mnie z pistoletu. – Chcesz coś powiedzieć przed śmiercią?

– Nie zabijaj mnie?

– Chciałabym.

Błaganie nie ma sensu. Nie w wypadku Glorii. Mógłbym próbować. Powiedzieć, że jestem nauczycielem. Nikt nie strzela do nauczycieli. Jesteśmy na to zbyt nudni. Umieramy powoli, parę lat po tym, jak wszystkim się wydaje, że już dawno nie żyjemy. Mógłbym jej powiedzieć, że mam nowy plan. Że chciałbym uciec razem z nią. Albo że nie jestem jeszcze gotowy. I tak niczego by to nie zmieniło.

Zamykam oczy.

Gloria odbezpiecza broń.

– Obyś miał na sobie buty do płasów.

Obejmuję dłonią zdalny detonator... i naciskam guzik.

Tym razem nie słyszę grzmiącego pomruku, tylko ryk. Dobywa się głęboko spod ziemi i wstrząsa jej skrawkiem pod moimi stopami. Otwieram oczy. Widzę, jak Gloria się chwieje, razem z trzymanym w dłoni pistoletem. Czy starczy mi czasu, żeby uciec, rzucić się na nią? Po chwili odzyskuje równowagę. Celuje we mnie, zaciska palec na spuście...

Nie będzie ułaskawienia. Ucieczki w ostatniej chwili. Drugiej szansy.

Nagle Gloria zapada się pod ziemię.

Niczym królik znikający w norze albo grosik wrzucony do fontanny. Nawet nie zdążyła krzyknąć. Po prostu zniknęła. Rozpłynęła się w powietrzu. Wlepiam zdumiony wzrok w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stała: w zapadlisko, które utworzyło się w ziemi.

Kuśtykam w jego stronę. Widzę tylko błysk czegoś różowego i pasmo blond włosów. Ziemia ponownie się trzęsie. Spod czubków moich sportowych butów zaczynają się osypywać grudki ziemi i kępki trawy. Zataczam się do tyłu. W samą porę, ponieważ krawędzie dziury zapadają się do środka, a ciało Glorii przysypują kolejne porcje żwiru, ziemi i kamieni.

Zaglądam w otchłań, czując jednocześnie oszołomienie i mdłości. Mieni mi się przed oczami. Po policzku, obok ucha, spływa mi coś ciepłego. Zaczyna mnie boleć głowa. Podnoszę rękę. Skóra nad uchem wydaje się lepka i dziwnie miękka. Nie mam jednak czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Spod ziemi dobiega kolejny łomot. To dla mnie ostrzeżenie. Muszę stąd jak najszybciej uciec, jeśli nie chcę dołączyć do Glorii, leżącej tam na dole. W ciemności. Pośród kości zmarłych.

I nie tylko.

Droga powrotna potwornie mi się dłuży. Nie mogę złapać równowagi. Chwieję się i potykam, pokonując kolejne wzniesienia i z nich schodząc. Kilka razy się przewracam. W lewym uchu słyszę dzwonięcie i nie widzę wyraźnie na jedno oko. Nie wróży to nic dobrego.

Jestem już prawie przy ogrodzeniu, kiedy ziemię przeszywa ostatni wstrząs. Zatrzymuję się i spoglądam za siebie. Czarny dym zasnuwa niebo koloru węgla.

Nagle coś łąduje na mojej twarzy. Najpierw biorę to za płatki śniegu. Dopiero po chwili orientuję się, że są czarne, nie białe. Płatki węgla. Przez sekundę czy dwie stoję i pozwalam, by na mnie spadały.

A później siadam. To nie jest moja świadoma decyzja. Po prostu uginają się pode mną nogi, jakby przestały odbierać instrukcje od mózgu. Skończyły swoją szychtë. Być może już na dobre. Jestem zmęczony. Moje lewe oko zasnuwa czerwień. Przechodzi mi przez myśl, że mogę się już więcej nie podnieść, ale mam to gdzieś.

Kładę się na kamienistej ziemi. Patrzę w niebo, chociaż mam wrażenie, że spoglądam w dół, w głęboką czarną dziurę. Ciemność przywołuje mnie do siebie.

Nagle ktoś łapie mnie za ramię.

37

Dwa tygodnie później

– Kiepsko sobie radzę z pożegnaniem.

– Ja też.

– Myślisz, że powinniśmy się przytulić?

– Jeśli masz na to ochotę.

Beth posyła mi wymowne spojrzenie.

– Niespecjalną.

– To tak jak ja.

– Wiesz, co mówią o przytulaniu?

– Co takiego?

– Że robi się to po to, by ukryć twarz.

– Cóż, w wypadku niektórych osób to nawet wskazane.

– Pieprzę cię.

– Straciłaś swoją szansę.

– Jakoś przeżyję.

– A już myślałem, że topisz smutki w alkoholu.

Beth unosi szklankę.

– Zdrówko.

Stukam szklanką coli o jej szklankę piwa.

– I nie myśl sobie, że będę stawiać kolejki przez cały wieczór tylko dlatego, że stąd spadasz i zostawiasz mnie samą z całym tym bigosem.

– Mówiąc o bigosie, masz na myśli swój awans na wicedyrektorę?

– No wiesz – ziemniak, kartofel, jeden pies.

– Zdecydowanie ziemniak.

Pokazuje mi środkowy palec.

Parę dni temu Harry zrezygnował z posady, razem z Simonem Saundersem. Nie mogę mieć pewności, ale chyba miało to związek z mailami, które policja znalazła w komputerze Stephena Hursta, świadczącymi o przekupstwie i korupcji. Okazało się, że wywierał na Harry'ego naciski i przekupił Simona Saundersa, by ten zaliczył Jeremy'emu przedmiot. Co za pech.

Panna Hardy (Susan, ta od historii) przejęła obowiązki dyrektorki, a na swoją zastępczynię mianowała Beth. Myślę, że stworzą dobry zespół. Gdybym był optymistą, mógłbym pójść o krok dalej i stwierdzić, że mają realne szanse wyprowadzić Arnhill Academy na prostą, szczególnie że jeden z jej głównych problemów – Jeremy Hurst – raczej tam nie wróci.

Obecnie mieszka z opiekunami zastępczymi i chodzi do psychiatry. Wciąż nie może się otrząsnąć z szoku po nagłej i brutalnej śmierci obojga rodziców. Chciałbym móc powiedzieć, że jest mi żal Jeremy'ego. Ale później przypominam sobie Benjamina Mortona.

Nigdy nie będę miał pewności, ale wydaje mi się, że Jeremy zabrał go do jaskini. Być może w ramach żartu albo „inicjacji”. Nieważne. Na dole Bena spotkało coś złego. Możliwe, że nie tylko jego. Myślę o siostrzenicy Beth, Emily. Kolejnym odmienionym dziecku. Kolejnym tragicznie przerwany życiu.

A Jeremy nikomu o tym nie powiedział. Może z wyjątkiem swojej matki.

Ciała Hursta i Marie znaleziono na terenie dawnej kopalni. Policja wciąż prowadzi śledztwo w sprawie okoliczności ich śmierci. Hurst robił szemrane interesy i miał wielu wrogów, nie wspominając już o znalezionej w bagażniku jego samochodu torbie z zakrwawionym łomem, więc dotarcie do sedna tej sprawy pewnie zajmie policji trochę czasu. Coś mi mówi, że bez dodatkowych informacji mogą jej nigdy nie rozwiązać.

Zapadlisko zostanie wkrótce zasypane. Plany utworzenia w tym miejscu parku krajobrazowego są w trakcie rozpatrywania. Na pewno nigdy nie staną tam domy.

Żadna rada nie wyraziłaby zgody na ich budowę.

Oczywiście była u mnie policja: funkcjonariuszka Taylor i masywny – nawet bardzo masywny – detektyw sierżant Gary Barford. Wiedzieli, że jechałem samochodem Hursta. Skłamałem, że któregoś wieczoru odwiózł mnie do domu. Po odhaczeniu tej kwestii zaczęli mi zadawać wyłącznie zdawkowe pytania.

– Czyli nie jestem o nic podejrzany? – zapytałem, gdy już wychodzili.

Taylor uniosła brew.

– W tej sprawie nie.

Zwalisty detektyw parsknął śmiechem. Nie ma to jak policyjny humor.

– To była robota profesjonalisty, a pan raczej nie wygląda na płatnego zabójcę.

Mógłbym mu powiedzieć, że płatni zabójcy (i zabójczynie) wyglądają bardzo różnie, ale tego nie zrobiłem. Tylko się uśmiechnąłem.

– Pióro mocniejsze jest od miecza – powiedziałem.

Popatrzył na mnie dziwnie. Widocznie nie bawią go nauczycielskie żarty.

Beth spogląda nieufnie na moją colę.

– Naprawdę tak się spieszysz? Byle jaki ten twój pożegnalny drink. Moglibyśmy zamówić butelkę wina, spędzić razem popołudnie.

Patrzę na nią. Będzie mi brakowało tego widoku. Cieszę się, że postanowiliśmy to i owo w naszym życiu naprostować. Przyznałem jej się, że wróciłem do Arnhill, ponieważ obarczałem Hursta winą za śmierć Chrisa. Musiałem pozamykać pewne sprawy. Po części była to prawda, tak jak w wypadku większości kłamstw. Czasami to wystarczy.

– Kusząca propozycja – mówię – ale muszę jechać. Zresztą i tak najważniejsze jest towarzystwo.

Robi zasmuconą minę.

– Wybrnąłeś. Idę siku.

Wstaje od stolika. Patrzę za jej szczupłą, oddalającą się sylwetką. Ma na sobie czarne obcisłe džinsy, martensy i workowatą pasiastą bluzę pełną dziur (odbieram je raczej jako przejaw mody niż dzieło żarłocznych moli). Czuję w sercu ukłucie.

Lubię ją. Nawet bardzo. I mógłbym zaryzykować stwierdzenie, że ona też mnie lubi. Dobry z niej człowiek. W przeciwieństwie do mnie. Właśnie dlatego wyjeżdżam, żeby znaleźć się jak najdalej od niej.

– Przekąski do drinków.

Podnoszę wzrok. Lauren stawia na stole miskę wypełnioną po brzegi chipsami.

Uśmiecham się.

– Dzięki.

– Proszę.

– Nie tylko za chipsy.

Wlepia we mnie wzrok.

– Pamiętam – mówię. – To ty mnie znalazłaś, wtedy w kopalni.

Cisza niebezpiecznie się przeciąga. A gdy już myślę, że nic na to nie powie, nagle się odzywa:

– Wyprowadzałam psa na jego ostatni spacer.

Starego psa, przypominam sobie. Należał jeszcze do jej mamy. Psa z wyrwaną sierścią wokół szyi i tendencją do gryzienia.

– Cóż, jeszcze raz dziękuję – mówię. – Za to, że odprowadziłaś mnie do domu, nikomu nic nie powiedziałaś, i całą resztę. Kiepsko pamiętam szczegóły.

– Właściwie nic nie zrobiłam.

– Myślę, że to nieprawda.

Wzrusza ramionami.

– Jak pańska głowa?

Unoszę rękę do czoła. Mam na skroni niewielki czerwony ślad, jakby pozostałość siniaka. Przy dotknięciu trochę boli, ale poza tym nic mi nie dolega.

– Chyba musiałem się w nią uderzyć podczas upadku.

– Nie upadł pan.

– Nie?

– Nie do końca.

Odwraca się i idzie z powrotem za bar. Odprowadzam ją wzrokiem.

Beth siada przy stoliku.

– Mówiłeś coś?
– Nie, nic. – Sięgam po saszetkę z sosem. – Może keczupu?
– Dzięki. – Bierze ją ode mnie, a po chwili mówi: – Och, prawie bym zapomniała.

Sięga do torby i przesuwa przez stół niewielkie pudełko po butach.

– Załatwiłaś?
– To zasługa pani Craddock od biologii.
– Dzięki. – Otwieram pudełko i zaglądam do środka.
– Poznaj Puszka – mówi Beth.
– Chyba go nie... no wiesz?
– Nieee. Przyczyny naturalne.
– To dobrze. Dzięki.
– Pewnie mnie nie oświecisz?
– Nie.
– Zachowujesz się jak tajny agent.
– Chyba raczej agent specjalnej troski.
– Będzie mi ciebie brakowało.

Uśmiecham się.

– Mnie ciebie też.
– Możesz go schować? Bo zaraz stracę apetyt.

Wsuwam pudełko do torby.

– Tak lepiej?
– Miałam na myśli twój głupkowaty uśmiech.

Jest już po trzeciej, gdy wsiadam do samochodu, żeby wrócić na północny zachód. Wymieniamy się z Beth numerami telefonów, obiecując sobie, że pozostaniemy w kontakcie, choć to mało prawdopodobne. Nie należymy do osób podtrzymujących SMS-owe przyjaźnie, ale to nic.

Nie przytulamy się, nie płaczemy ani też nie zaczynamy się w ostatniej chwili namiętnie całować. Beth nie biegnie za samochodem, gdy odjeżdżam ulicą.

Pokazuje mi za to dwa środkowe palce, po czym wraca do pubu. I dobrze.

Jadę wzdłuż głównej ulicy, ale niezbyt długo. Zatrzymuję się na końcu drogi, przy kościele pod wezwaniem Świętego Judy.

Wysiadam z samochodu i otwieram furtkę. Siedzi na chwiejnej drewnianej ławce. Wygląda na opanowaną, ubrana w skromny szary żakiet i niebieską sukienkę. Gdy do niej podchodzę, odwraca się.

– Dziwne miejsce, żeby się z kimś żegnać – zauważa panna Grayson.

– Wydawało mi się, że odpowiednie.

– Może masz rację.

Oboje wpatrujemy się w cmentarz.

– Nie leży tutaj, prawda?

– Kto taki?

Dobrze wie, o kogo pytam.

– Pani siostra.

– Na tym cmentarzu od lat nikogo nie chowają.

– Nie ma jej na żadnym z pobliskich cmentarzy. Sprawdziłem to.

– Rodzice kazali ją skremować.

– W krematorium też o niej nie słyszeli. Nigdzie nie odnotowano jej śmierci.

Milczy przez dłuższą chwilę, aż w końcu mówi:

– Ból po stracie dziecka jest czymś niewyobrażalnym. A żałobę uważam za rodzaj obłędu mogącego popchnąć człowieka do rzeczy, których w zwykłych okolicznościach nigdy by nie zrobił.

– Co się z nią stało? – pytam.

– Pewnej nocy rodzice gdzieś ją zabrali i nigdy już nie przywieźli z powrotem.

A przynajmniej nie do domu.

– To dlatego zainteresowała się pani historią Arnhill i kopalni. Mówiła pani, że wie, co spotkało Annie.

Kiwa głową, a później pyta:

– Czy wtedy z drzewem to rzeczywiście był wypadek?

– Tak, był – potwierdzam.

Przygląda mi się z namysłem.

– Ludzie mówią, że życie zawsze znajdzie sposób, by się odrodzić. Chyba czasami to samo można powiedzieć o śmierci.

Ostatecznie to właśnie ona trzyma w ręku wszystkie karty.

– Powinienem już jechać. – Wyciągam do niej rękę. – Do widzenia, panno Grayson.

Obejmuje ją chłodną, gładką dłonią.

– Do widzenia, panie Thorne.

Wstaję i odchodzę. Jestem już prawie przy furtce, gdy woła za mną:

– Joe?

– Tak.

– Dziękuję, że wróciłeś.

Wzruszam ramionami.

– Czasami nie ma się wyboru.

38

Kręte wiejskie drogi spowija ciemność. Jadę nimi powoli i ostrożnie. Pomimo ślimaczego tempa dojazd na miejsce zajmuje mi mniej czasu, niż przewidywałem. Zdołałem ominąć korki w godzinach szczytu, za to mój mózg jest przyblokowany. Za dużo się w nim dzieje.

Parkuję w bocznej uliczce, kilka domów od mieszkania, które dzieliłem z Brendanem. Wsiadam z samochodu i patrzę w obie strony. Docieram aż na koniec ulicy, zanim wreszcie go znajduję. Lekko poobijany ford focus z dwoma dziecięcymi fotelikami na tylnym siedzeniu i naklejką na tylnej szybie: POTWORKI NA POKŁADZIE.

Wpatruję się w nią przez chwilę, a później przechodzę jeszcze wolniej na drugą stronę ulicy i mijam kolejne dwie, zanim dotrę do mojego dawnego pubu. To całkiem porządny lokal. Podają w nim przyzwoitą zapiekaną wołowinę z cynaderkami.

Otwieram drzwi i od razu go zauważam, siedzącego przy naszym stoliku na końcu sali. Zamawiam piwo, paczkę chipsów i podchodzę. Podnosi na mnie wzrok i jego pobrużdżoną twarz rozjaśnia szeroki uśmiech.

– Patrzcie państwo, kogo to przywłókł kot.

Odstawiam piwo na stół. Brendan podnosi się i wyciąga przed siebie ramiona. Przytulam go, żeby nie mógł zobaczyć wyrazu mojej twarzy.

W końcu siadamy. Unosi szklankę soku pomarańczowego w geście toastu.

– Dobrze cię znowu widzieć, i to w jednym kawałku.

Upijam łyk piwa.

– Dzięki.

– A teraz może mi opowiesz, co się, kurde, stało.

– Problem z blondynką się rozwiązał.

– Naprawdę?

– Zginęła. W wypadku.

Patrzę na niego, ale dobry z niego pokerzysta.

– A co z twoim długiem?

– Myślę, że niedługo zostanie umorzony.

– Wiesz, co powiedziała by na to moja kochana mamunia?

– Co takiego?

– Mądry człowiek nigdy nie liczy swoich kurcząt, dopóki nie zabije ostatniego lisa.

– I co to niby znaczy?

– Może i zająłeś się tą kobietą, ale czy naprawdę sądzisz, że to już koniec?

Otwieram paczkę chipsów i częstuję nimi Brendana. Klepie się po brzuchu i kręci głową.

– Jestem na diecie, pamiętasz?

– No tak. Rzeczywiście. Dawniej byłeś dużo grubszy, co? Kiedy jeszcze piłeś.

Posyła mi szeroki uśmiech.

– Teraz wyglądam jak grecki bóg.

– Ale wcześniej byłeś gruby?

Uśmiech na jego twarzy blednie.

– O co chodzi, Joe?

– O pewien szczegół, który wspomniała przed śmiercią Gloria. Nie cierpiała, gdybyś się nad tym zastanawiał. Wiem, że byliście sobie bliscy.

– Bliscy? Nie mam cholernego pojęcia, o czym gadasz. Jestem twoim przyjacielem, zawsze byłem przy tobie. I przez długie tygodnie odwiedzałem cię w szpitalu.

– Odwiedziłeś mnie raptem dwa razy. Ale pewnie byłeś zbyt zajęty prowadzeniem interesów. Szulerka, wymuszenia, mordowanie ludzi.

– Interesów? Rozmawiasz ze mną, B r e n d a n e m!

– Nie, rozmawiam z Fatmanem.

Przez chwilę tylko na siebie patrzemy. Widzę, że zrozumiał powagę sytuacji. Wszystkie karty zostały odkryte. Rozkłada ręce.

– Kurwa. Masz mnie. Zawsze byłeś bystry. Za to cię lubię.

Błyskawicznie pozbył się twardego irlandzkiego akcentu, niczym wąż zrzucający skórę.

– I dlatego kazałeś Glorii zrobić ze mnie kalekę? – pytam.

– Biznes biznesem, a przyjaźń przyjaźnią.

– Co ty w ogóle wiesz o przyjaźni?

– Nadal oddychasz. Dla mnie to przyjaźń.

– Dlaczego? Po co udawałeś mojego przyjaciela? Przyjąłeś mnie pod swój dach?

– Próbowałem ci pomóc. Dać szansę spłacenia długu. Ale ty pogrążyłeś się coraz bardziej. Poza tym, Bóg mi świadkiem, lubiłem twoje towarzystwo. Ludzie tacy jak ja mają niewielu bliskich przyjaciół.

– Za to sporo wypadków, co?

Rechocze.

– Czasami są nie do uniknięcia.

Nie do uniknięcia. Jasne.

Odchyła się na krześle.

– No to co ci powiedziała Gloria?

– *Obyś miał na sobie buty do płasów.* Wtedy tego nie skojarzyłem, ponieważ mierzyła do mnie z pistoletu, ale później sobie przypomniałem.

Kręci poprzecinaną bliznami głową.

– Powinienem wiedzieć, że moje mądrości któregoś dnia do mnie wrócą i dziabną mnie w tyłek.

– Chodziło o coś jeszcze. Mógłbym wyrzucić z pamięci to, co powiedziała Gloria...

I chciałem to zrobić. Rozpaczliwie.

– Gdyby nie samochód – kończę.

– Samochód?

– Widziałem czarnego forda focusa przed zajazdem, j e s z c z e z a n i m przyjechałeś do Arnhill oddać mi torbę. Już wtedy wydał mi się znajomy, ale nie potrafiłem go skojarzyć. Później sobie przypomniałem. Stał kiedyś pod naszym blokiem. Podobno pożyczyłeś go od siostry.

– Aha.

– Tak było?

– No nie. Najłatwiej jest się ukryć na widoku, mój przyjacielu. Połowa ludzi w tym pubie słyszała o Fatmanie. Ale nikt nie wie, że można go tu spotkać prawie każdego wieczoru. Nikt nawet nie spojrzy na Brendana, byłego alkoholika, niegroźnego irlandzkiego błazna. To samo dotyczy samochodów. Żaden człowiek nie zwróci uwagi na kolejny samochód do przewożenia dzieci. W razie kłopotów, kiedy trzeba się skądś ulotnić, policja nie zatrzyma zaniedbanego tatuśka, jadącego fordem focusem po dzieciaki. Idealny kamuflaż.

– Albo i nie.

– Cóż, wszyscy popełniamy błędy. Twoim był powrót tutaj. Bo teraz mam dylemat. Nadal wisisz mi pieniądze. Moja dziewczyna nie żyje. Co mam z tobą zrobić, Joe?

– Pozwolić mi stąd wyjść.

Śmieje się.

– Mógłbym to zrobić, ale po co odwlekać nieuniknione?

– Nie zabijesz mnie.

– A to niby dlaczego?

– Odpowiedz mi na dwa pytania. Dlaczego kazałeś mi pójść na policję?

– Bo wiedziałem, że tego nie zrobisz. Odwrócona psychologia.

– Czy wszystko to, co mi powiedziałeś, było kłamstwem?

Myśli nad tym przez chwilę.

– Zastanówmy się. Mamunia rzeczywiście jest Irlandką, chociaż nie taką kochaną. Kiedyś byłem gruby. Wyszedłem z alkoholizmu. Ach, no i mam siostrę...

– Z dwójką dzieci, Daisy i Theo.

Wpatruje się we mnie. Widzę, jak drga mu mięsień przy oku.

– Mieszkają w Altrincham. Ich tata pracuje na lotnisku. Mama jest recepcjonistką w przychodni. Daisy i Theo chodzą do szkoły podstawowej w Huntingdon. Twoja siostra odbiera ich trzy razy w tygodniu, a we wtorki i piątki, gdy pracuje do późna, zastępuje ją niania. No i nie mają myszosczków, tylko chomiki. – Sięgam po szklankę i upijam łyk piwa. – Jak mi idzie?

– Skąd u diabła...

– Nie chodzę do pracy. Miałem sporo wolnego czasu. Jeśli ty zasadzisz się na mnie, ja zasadzę się na twoją siostrę i jej rodzinę.

Unosi kącik ust w drwiącym uśmiechu.

– Brakuje ci jaj.

– Tak?

Sięgam do kieszeni i wyciągam z niej coś małego, brązowego i puchatego. Wrzucam martwego chomika do szklanki Brendana.

– Jak zauważyła twoja kochana mamunia podczas zbiorowego dymania, akurat jaj mi nie brakuje.

Brendan patrzy na chomika, a później znowu na mnie. Uśmiecham się. Wyraz jego twarzy się zmienia.

– Wypierdalaj. Nie chcę już więcej oglądać twojej parszywej gęby.

Odsuwam krzesło.

– Byle jak najdalej stąd – dodaje.

– Słyszałem, że Botswana to przyjemny kraj.

– Kup sobie bilet w jedną stronę. A jeśli przyślesz mi chociaż kartkę, jesteś trupem. Zrozumiałeś?

– Tak.

Odwracam się i wychodzę z pubu, nie oglądając się za siebie.

Z jakiegoś powodu wcale nie kuleję.

Epilog

Henry'emu powtarzano, żeby się tam nie bawił. Odkąd się wprowadzili, jego mama nie mówiła o niczym innym. To niebezpieczne; może sobie zrobić krzywdę, zgubić się albo wpaść do dziury w ziemi. A przecież nie chce wpaść do dziury, prawda?

Henry nie chce, ale też nie zawsze słucha mamy. Czasami ma wrażenie, że jej słowa to tylko zlepek pustych dźwięków. Słyszy je, ale nie do końca rozumie ich znaczenie. Pewnie z powodu autyzmu. Nie potrafi się odpowiednio wczuć (nie wszystko odbiera jak należy).

To nie do końca tak. Ma problem z ludźmi, ale nie ze zwierzętami czy miejscami, które doskonale wyczuwa. Na przykład starą kopalnię. Gdy tylko się tu wprowadzili, natychmiast to poczuł. Przyzywała go. To tak jakby stał obok pomieszczenia pełnego rozmawiających ze sobą ludzi, ale nie mógł zrozumieć, co mówią.

Henry nie powiedział mamie o tych głosach. Nie mówi jej o wielu rzeczach, bo wtedy mama się martwi. Często to powtarza. Martwi się, że coś mu się stanie. Że za dużo czasu spędza sam. Dlatego tak się ucieszyła, kiedy opowiedział jej o swoich nowych przyjaciółach. Henry nigdy wcześniej nie miał przyjaciół i wie, że tym też się martwiła.

Dzisiaj mama siedzi na górze i maluje ściany. Odświeża dom. Powiedziała, że dzięki ścianom w kolorze magnolii czuje się, jakby mieszkała w puszcze pełnej kaszy manny. Mama czasami mówi śmieszne rzeczy. Henry'emu wydaje się, że ją kocha.

Dlatego czuje się trochę (winny?), kiedy wymyka się z domu. Jednak nie na

tyle, żeby się od tego powstrzymać. Właśnie na tym polega problem. Henry nie zastanawia się, jak jego działania wpłyną na innych ludzi (tak powiedzieli lekarze). Żyje chwilą.

Ta chwila jest dobra. Świeci słońce. Ale nie tym delikatnym letnim blaskiem przypominającym rozpuszczone masło. Dzisiaj świeci naprawdę mocno. Zimową jasnością. Promienie słońca sprawiają wrażenie ostrych, jakby mogły przeciąć palce, gdyby się ich dotknęło. Henry'emu to się podoba. Opatulony grubą puchową kurtką, w której jest mu ciepło i bezpiecznie, czuje się odizolowany od reszty świata. I to też mu się podoba.

Idzie drogą aż do ogrodzenia. Wie, w którym miejscu jest dziura. Lubi się zakradać w różne miejsca i dobrze mu to wychodzi. Przeciska się przez szparę w płocie i rozgląda dookoła.

Ciekawe, gdzie się podzieli jego przyjaciele. Zwykle spotykają się z nim właśnie tutaj. W końcu ich zauważa (tak jakby samo myślenie o nich wystarczyło, żeby się pojawili). Machają do niego, schodząc z niewielkiego wzniesienia. Dziewczynka ma mniej więcej tyle lat co Henry. Chłopiec jest trochę starszy, chudy i blondwłosy. Dziewczynka czasami ma ze sobą lalkę.

Szwendają się we trójkę po porośniętym karłowatymi krzakami nieużytku. Co jakiś czas Henry się zatrzymuje i podnosi z ziemi kawałek skały, starą śrubkę albo kawałek metalu. Lubi zbierać różne rzeczy.

Po jakimś czasie – nie bardzo wie, jak długim, ponieważ nie przepada za korzystaniem z zegarka – zauważa, że słońce nie świeci już tak mocno i jasno. Przebyło długą drogę po niebie. Henry'emu przychodzi do głowy, że jego mama pewnie już skończyła malować, a jeśli zauważy, że nie ma go w domu, będzie się m a r t w i ć.

- Powiniennem wracać – mówi.
- Jeszcze nie – odzywa się chłopiec.
- Zostań trochę dłużej – prosi dziewczynka.

Henry się zastanawia. Chciałby zostać. Czuje ściskanie w żołądku. Słyszy w głowie dochodzące spod ziemi mruczenie. Ale nie chce, żeby jego mama była

nieszczęśliwa.

– Nie. Idę.

– Czekaj – mówi chłopiec bardziej natarczywym tonem.

– Chcemy ci coś pokazać – oznajmia dziewczynka.

Dotyka jego ramienia. Ma zimną rękę, a na sobie tylko cienką piżamę. Chłopiec jest ubrany w podkoszulek i szorty. Oboje są bez butów.

Henry’emu przemyka przez głowę, że to trochę dziwne. Po chwili tę myśl zagłuszają szepczące głosy.

Próbuje jeszcze raz.

– Naprawdę muszę już iść.

Chłopiec się uśmiecha. Spomiędzy włosów wypada mu coś czarnego i szybko ucieka.

– Jeszcze tu wrócisz – mówi. – Masz na to nasze słowo.

Przypisy końcowe

1. Nawiązanie do piosenki Noela Gaya i Ralpa Butlera *The Sun Has Got His Hat On* (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). [\[wróć\]](#)
2. *scattergood* (ang.) – rozrzutnik [\[wróć\]](#)
3. Znany angielski szef kuchni, właściciel restauracji The Fat Duck, jednej z pięciu w Wielkiej Brytanii posiadających trzy gwiazdki Michelin. [\[wróć\]](#)
4. Mk 10, 14; cyt. za Biblią Tysiąclecia. [\[wróć\]](#)
5. Nawiązanie do nazwiska głównego bohatera; Thorne brzmi tak samo jak *thorn*, po angielsku „cierń”. [\[wróć\]](#)